

**Donatien Alphonse Francois de Sade4**

**Julietta Powodzenie Występku**

## INICJACJE

Obie, Justyna i ja, wychowałyśmy się w klasztorze Panthemont. Słyszeliście o tym sławnym opactwie i wiecie, że od dawna stamtąd właśnie wychodzą w świat najpiękniejsze i najbardziej wyuzdane kobiety Paryża. Eufrozyna, dziewczyna z sąsiedztwa, której śladami zamierzałam pójść, a która wymknęła się z domu rodziców, aby oddać się rozpuście, była w tym klasztorze moją towarzyszką. A ponieważ to od niej i od duchowej kierowniczki jej przyjaciółek otrzymałam pierwsze wskazówki dotyczące moralności [...], wypada mi teraz obie je przedstawić. ..., zdać szczegółową relację z wczesnego etapu mego życia, kiedy to w sercu uwiedzionym i zepsutym przez te dwie syreny pojawiły się zalążki przyszłych występków.

Zakonnica, o której wspomniałam, była Madame Delbene. Funkcją przeoryszy sprawowała od pięciu lat i dochodziła właśnie trzydziestki, kiedy ją poznałam. Niepodobna wyobrazić sobie piękniejszej istoty: stworzona dla pędzla artysty, blondynka o ujmującym wyrazie twarzy, błękitnych, żywych i czułych oczach oraz talii Gracji. Jako ofiara rodzinnych ambicji Delbene w wieku dwunastu lat trafiła do klasztoru, ażeby znaczniejsza część spadku mogła przypaść znenawidzonemu przez nią bratu. Ubezłasnowolniona w wieku, gdy namiętności domagają się swych praw i, choć z nikim jeszcze nie związana, kochająca mężczyzn i świat, musiała zadać sobie gwałt i zwyciężyć w najtrudniejszych zmaganiach, zanim zaakceptowała swoją sytuację. Nieprzeciętnie inteligentna, mająca za sobą lekturę wszystkich filozofów, potrafiąca świetnie myśleć, Delbene, przystawszy na swoje wycofanie, nie omieszkała zadbać o dwie czy trzy zaufane przyjaciółki. Odwiedzano ją, pocieszano. A ponieważ była dość bogata, miała dostęp do wszystkich książek i duserów, jakich zapragnęła, łącznie z tymi, które musiały rozpalać jej wyobraźnię, już i tak żywą, i nie wyziębiały bynajmniej jej azylu.

Co do Eufrozyny zaś, to związałam się z nią jako piętnastolatką od półtora roku przebywającą już w klasztorze. To ona i Madame Delbene zaproponowały mi zasilenie ich grupy, kiedy skończyłam trzynaście lat. [...]

Nie muszę wyjaśniać, że lubieżność jest u żyjących w zamknięciu kobiet jedynym motorem ich związków. Tym, co je łączy, nie jest cnota, lecz sperma. Podobamy się tej, którą podniecamy, stajemy się przyjaciółką tej, która nas pieści.

Mając żywy temperament, już jako dziewięciolatka przyzwyczaiałam moje palce do tego, by odpowiadały na pożądania lęgnące się w mej głowie, i czekałam odtąd jedynie

sposobności, by zostać odpowiednio poinstruowaną i poświęcić się karierze, do jakiej tak udatnie przygotowała mnie wcześniej rozbudzona natura. Eufrozyna i Delbene zaoferowały mi wkrótce to, czego szukałam. Przełożona, która chciała rozpocząć moją edukację, zaprosiła mnie pewnego razu na obiad... Była już tam Eufrozyna. Tego dnia było strasznie gorąco. Upał posłużył obu za pretekst do negliżu, w jakim je zastałam. Nie miały na sobie nic oprócz przezroczystych bluzek i czerwonych wstążek, jakimi się przepasały.

- Od kiedy jesteś w naszym domu - odezwała się Madame Delbene, całując mnie dość bezceremonialnie w czoło - pragnęłam poznać cię bliżej. Jesteś bardzo ładna, sprawiasz wrażenie inteligentnej, a młode osoby twego pokroju mają u mnie pewne względy... Rumienisz się, mój aniele, zabraniam ci tego. Wstyd jest chimerą to jedynie skutek obyczajów i wychowania, nawyk. Skoro natura stworzyła mężczyznę i kobietę nagimi, niepodobna, by jednocześnie wpoila w nas odrazę lub wstyd jako reakcję na nagość. Gdyby człowiek zawsze podążał za wskazaniem natury, nie poznałby wstydu. Prawda ta dowodzi niestety, moje drogie dziecko, że istnieją pewne cnoty, których jedynym źródłem jest całkowite zapomnienie o prawach natury. Jak bardzo podważono by zaufanie do moralności chrześcijańskiej, gdyby przebadano pod tym kątem konstytuującą ją zasady! Kiedyś jeszcze o tym pogawędzimy. Dzisiaj pomówimy o czymś innym. Ale najpierw rozbierz się tak jak my.

Zbliżywszy się do mnie obie rozbawione trzpiotki szybko pozbawiły mnie ubrania. Pocałunki Madame Delbene nabrały teraz całkiem innego charakteru...

- Jaka śliczna jest moja Julietta! - wykrzyknęła zachwycona. - Jakich miłych kształtów nabierają jej piersi! Są większe niż twoje, Eufrozyno, a przecież to dopiero trzynastolatka.

Palce uroczej przełożonej laskotały moje piersi, a jej język trzepotał w moich ustach. Spostrzegła wkrótce, że jej karesy oddziaływały na mnie z taką siłą, że omal nie zemdlałam.

- Ach, do licha! - zawołała, nie mitygując się już dłużej i zaskakując mnie wymownością swych poczynań. - Co za temperament! Przyjaciółki, przestańmy się krępować! Do diabła z tym, co przesłania jeszcze powaby, jakimi natura nie obdarzyła nas przecież po to, by je ukrywać!

I zrzucając to, co ją okrywało, ukazała się nam piękna jak Wenus, której wdzięki zniewoliły samych Greków. Jej skóra była bielą bieli... i aksamitem..., a jej kształtów nie można by już udoskonalić. Eufrozyna, która rychło poszła za jej przykładem, nie dysponowała takimi powabami. Włosy miała nieco ciemniejsze niż Delbene i nie była tak dobrze utoczona. Nie mogłaby się zapewne podobać w sposób tak jak tamta uniwersalny. Ale co za oczy! Jaka inteligencja! Poruszona tyłoma atrakcyjnymi przymiotami, żywo nakłaniana przez kobiety, które były w ich posiadaniu, do wyzbycia się, jak one, wszelkich hamulców,

uległam, jak łatwo się domyślacie. W stanie słodkiego upojenia Delbene ciągnie mnie do łóżka i obsypuje pocałunkami.

- Chwileczkę, moje przyjaciółki - rzecze wkrótce mimo rozpalenia. - Wprowadźmy nieco ładu do tych przyjemności. Zabawimy się jak należy, o ile je uporządkujemy.

Po tych słowach rozchyła mi nogi i kładąc się na łóżku, z głową między moimi udami, liże mnie, eksponując jednocześnie najpiękniejsze w świecie poślądki przed Eufrozyną, która za pomocą palców wyświadcza jej taką samą przysługę, jaką mnie wyświadcza język przełożonej. Zorientowana w tym, czego trzeba przeoryszy, Eufrozyną uzupełnia swe pieszczoty solidnymi klapsami składanymi na jej tyłku, co, jak zauważyłam, stanowczo mobilizowało naszą miłą nauczycielkę. Lubieżnie rozpalona dziwka pochłaniała spermę, jakiej wskutek swych zabiegów kazała wciąż wypływać z mojej cipki. Niekiedy przerywała na chwilę, by na mnie spojrzeć..., by obserwować mnie pogrążoną w rozkoszy.

- Jaka ona piękna! - entuzjazmowała się trybadka. - Och, jaka intrygująca! Śmielej, Eufrozyno, brandzluj mnie, mój aniele! Chcę umrzeć upojona jej spermą! Zamieńmy się teraz miejscami - zawołała po chwili. - Droga Eufrozyno, będziesz mieć mi to za złe, ale nie sądzę, bym mogła zwrócić ci rozkosze, o jakie mnie przyprowadziłaś! Zaczekajcie, moje miłe, chcę brandzlować was obie jednocześnie.

Umieszcza nas na łóżku, jedną obok drugiej. Za jej radą nasze ręce się krzyżują, a palce wodzą po łechtaczkach. Jej język zagłębia się najpierw w cipse Eufrozyny. Obiema rękami pieści nasze dyskretne dziurki. Co jakiś czas porzuca tamtą cipkę i dobiera się do mojej. Domyślacie się, że chłonąc w ten sposób trzy rozkosze jednocześnie, rychło się spuściłyśmy. Po pewnym czasie trzpiotka każe się nam odwrócić. Prezentujemy jej tyłki. Brandzluje nas od spodu i wylizuje anusy. Wielbiła nasze dupy, uderzała dłonią w poślądki i sprawiała, że umierałyśmy z rozkoszy. Podniósłszy się wreszcie zawołała jak bachantka:

- Zrewanżujcie mi się teraz, brandzlujcie mnie obie naraz! Spocznę w twoich ramionach, Julietto, będę całować twe usta, nasze języki będą się odpychać, nacierać na siebie, wzajemnie się ssać. Wsuniesz we mnie ten godmisz - kontynuowała, podając mi go. - Ty zaś, Eufrozyno, troskliwie zajmiesz się moim tyłkiem, brandzlując mnie tym małym etui, które znakomicie nada się do mojej dziurki... A ty, ptaszyno - ciągnęła, całując mnie - zadbaj o moją łechtaczkę; to prawdziwe źródło kobiecych rozkoszy; możesz ją nawet rozdrapać, jestem twarda... Trochę się zużyłam, potrzebuję mocnych wrażeń. Chcę z waszą pomocą przerobić się na spermę, chcę omdleć tu ze dwadzieścia razy, jeśli łaska.

Zaiste! Oddałyśmy jej z nawiązką to, co same wcześniej otrzymałyśmy. Niepodobna było pracować bardziej gorliwie nad sprawieniem kobiecie rozkoszy... I niepodobna byłoby

znaleźć kobietę, która syciłaby się nią lepiej. W końcu trzeba było odpocząć.

- Mój aniele - odezwała się ta czarująca istota - nie mogę wyrazić radości, jaką sprawiło mi spotkanie z tobą. Jesteś wspaniałą dziewczyną. Pragnę, byś była jedną z mych rozkoszy. Zobaczysz, że można ich tutaj doznawać w sposób bardzo żywy, choć pozbawione jesteśmy męskiego towarzystwa. Zapytaj Eufrozynę, czy jest ze mnie zadowolona.

- Och, moja miłości! Niech dowiodą ci tego moje pocałunki! -odpowiedziała nasza młoda przyjaciółka, przytulając się do piersi Delbene. - Dzięki tobie poznałam siebie samą. Ukształtowałaś mój charakter, wyrwałaś mnie ze zgubnych przesądów dzieciństwa. Dzięki tobie tylko żyję na świecie. Ach, jakże szczęśliwa jest Julietta, że raczysz zająć się nią tak samo troskliwie!

- Owszem - odpowiedziała Delbene - zamierzam zająć się jej edukacją. Chcę wytrzebić z niej, jak wytrzebiłam z ciebie, religijną ohydę, która pozbawia nas radości życia. Chcę jej wpoić zasady natury i przekonać ją, że wszystkie bajki, jakimi dotychczas ją epatowano, zasługują tylko na wzgardę. Zjedzmy coś teraz, moje miłe, musimy jakoś dojść do siebie. Po takich eksploatacjach trzeba się zregenerować.

Wyborny posiłek, jaki spożyliśmy nago, pozwolił nam rychło odzyskać siły konieczne do tego, by zacząć wszystko od początku. Znow zabrałyśmy się do brandzlowania... Z pomocą tysiąca nowych pozycji pograżyłyśmy się ponownie w skrajnych ekscesach wyuzdania. Wciąż zmieniając role, stawałyśmy się żonami tych, których przed chwilą byliśmy mężami, a oszukując w ten sposób naturę, zmuszałyśmy ją przez cały dzień do wieńczenia najśłodszyimi rozkoszami wszelkich zniewag, jakich jej nie szczędziłyśmy.

Tak minął miesiąc. Po tym czasie Eufrozyna, która całkiem zatraciła się dla rozpusty, porzuciła klasztor i rodzinę, by pograć się w odmętach kurestwa i łajdactwa. Pewnego razu złożyła nam wizytę, przedstawiając swoją sytuację. Nadto zepsute, by ganić jej decyzję, ustrzegłyśmy się utyskiwań i prób sprowadzenia jej na właściwą drogę.

- Dobrze zrobiła - podsumowała Madame Delbene. - Setki razy miałam ochotę poświęcić się tej karierze i uczyniłabym to niechybnie, gdyby pociąg do mężczyzn zwyciężył we mnie nad skrajnym upodobaniem do kobiet. Niebo wszakże, droga Julietto, przeznaczając dla mnie wieczne zamknięcie, uczyniło mnie dość szczęśliwą, bym pragnęła tylko bardzo nieznacznie innego rodzaju rozkoszy niż te, na jakie pozwala mi tutejszy azyl. Rozkosz, jaką kobiety mogą sobie zapewnić w swoim gronie, jest tak wyborna, że niemal wcale nie oczekuję innej. Rozumiem jednak, że można kochać mężczyzn. Wyobrażam sobie, że można zrobić wszystko, by się nimi uraczyć. O rozpuszczeniu wiem wszystko... Kto wie, czy nie wzniosłam się nawet zdecydowanie ponad to, co dostępne wyobraźni?!

Pierwszą zasadą mej filozofii, Julietto - kontynuowała Delbene, która przywiązała się do mnie szczególnie od momentu odejścia Eufrozy-ny -jest wzdarda wobec opinii publicznej. Nie wyobrażasz sobie, moja droga, do jakiego stopnia kpię sobie ze wszystkiego, co mogą o mnie mówić. Jak mianowicie przyczyniać by się miała do mojego szczęścia opinia jakiegoś prostaka? Reagujemy na nią tylko za pośrednictwem naszej wrażliwości. Jeśli jednak mądrość i refleksja pozwolą nam osłabić tę wrażliwość w takim stopniu, byśmy nie odczuwali już skutków cudzych ocen, nawet w sprawach, które dotyczą nas najbardziej, okaże się czymś zupełnie niemożliwym, ażeby dobra czy zła sława wpływała jakkolwiek na nasze szczęście. Sami powinniśmy o nim decydować. Zależy ono tylko od naszego sumienia, a może też bardziej jeszcze od naszych poglądów, na których jedynie powinny się gruntować najbardziej oczywiste reakcje naszego sumienia. Sumienie bowiem - kontynuowała ta bystra kobieta - nie jest wszędzie takie samo. Jest niemal zawsze rezultatem obyczajów i klimatu, skoro na przykład Chińczycy nie stronią bynajmniej od zachowań, które przerażają Francuzów. Jeśli więc z pomocą tego plastycznego organu usprawiedliwić można rzeczy przeciwne, odpowiednio do założonej swobody działania, to prawdziwa mądrość polegałaby na wyważeniu między skrajnymi przypadkami czy chimerami i na przyjmowaniu jedynie poglądów odpowiadających jednocześnie naszym naturalnym skłonnościom i prawom stanowionym przez rząd, któremu podlegamy. I poglądy te powinny właśnie kształtować nasze sumienie. Oto dlaczego nigdy nie jest za wcześnie na przyswojenie filozofii, za którą chcemy podążać, ponieważ jedynie ona kształtuje naszą świadomość, a to przecież świadomość kieruje w życiu naszymi poczynaniami.

- Co takiego?! - zawołałam zdumiona. - Jesteś więc abnegatką w takim stopniu, że kpisz sobie z tego, co sądzą o tobie inni?

- Oczywiście, moja droga! Przyznaję nawet, że o wiele bardziej cieszę się wiedząc, że moja reputacja jest zła, niż cieszyłabym się z dobrej. Zapamiętaj, Julietto, że reputacja nie ma żadnej wartości, nie rekompensuje nam nigdy ofiar, jakie składamy na jej ołtarzu. Ten, kto zabiega o swą chwałę, dręczy się tak samo jak ten, kto o nią nie dba. Pierwszy obawia się wciąż, że to cenne dobro mu umknie, drugi lęka się swej beztroski. Jeśli na drodze cnoty jest więc tyle samo cierni co na drodze występku, to po co zadreżać się wyborem? Czy nie lepiej polegać po prostu na naturze i słuchać tego, co ona nam zaleca?

- Przyjmując te maksymy - zaprotestowałam - obawiałabym się wszakże zerwania zbyt wielu hamulców.

- Doprawdy, moja droga! - odparła Delbene. - To zupełnie tak, jakbyś powiedziała, że obawiasz się zbyt wielu przyjemności! A czymże są te hamulce? Spróbujmy rozważyć to na

chłodno... Konwenansami, niemal zawsze narzucanymi bez zgody członków społeczeństwa i znienawidzonymi przez serce... sprzecznymi ze zdrowym rozsądkiem. Absurdalnymi konwencjami, które są coś warte tylko dla głupców chcących się im podporządkować; dla ludzi mądrych i rozumnych mogą być zaś one jedynie przedmiotem wzgardy... Jeszcze do tego wrócimy. Powiedziałam ci już, moja droga, że się tobą zajmę. Twoja prostoduszność i naiwność przekonują mnie, że bardzo potrzebujesz przewodnika na ciernistej drodze życia. I to ja nim będę. [...]

- Wystrzegaj się zwłaszcza religii, jej niebezpieczne wpływy łatwo sprowadzić by cię mogły na manowce. Podobna hydrze, której głowy odrastają w miarę jak sieje odcina, nękać cię ona będzie nieustannie, jeśli nie dołożysz wszelkich starań, by systematycznie niszczyć jej zasady. Obawiam się, by śmieszne idee o fantastycznym Bogu, jakimi zatruwano cię w dzieciństwie, nie zepsuły twej wyobraźni. O, Julietto! Usuń z pamięci ideę tego niepotrzebnego i śmiechu wartego Boga, wzgardź nią. Jego istnienie jest cieniem rozpraszającym natychmiast dzięki najmniejszemu wysiłkowi umysłu. Uspokoisz się dopiero wówczas, gdy ta wstrętna złuda utraci nad twą duszą wszelką władzę, w jaką wyposażona została za sprawą błędu. Szukaj wciąż pocieszenia w wielkich zasadach Spinozy, Yaniniego lub autora Systemu przyrody. [...] Jeśli dręczą cię jeszcze wątpliwości, powiedz mi o nich, a uspokoję cię. Uodporniona tak samo jak ja wkrótce zaczniesz mnie naśladować, i jak ja wypowiadać będziesz imię tego nikczemnego Boga tylko po to, by go przeklinać i okazywać mu nienawiść. Wyznaję, że idea tej chimery jest jedyną rzeczą, jakiej nie mogę wybaczyć człowiekowi. Uwalniam go od wszelkich błędów, ubolewam nad jego słabościami, nie mogę mu wszak darować, iż wykreował owo monstrum, nie wybaczam mu, iż sam ukuł dla siebie religijne kajdany, które skrępowały go tak dotkliwie, iż że powodowany głupotą dobrowolnie nałożył sobie hańbiące jarzmo. Nigdy nie zdołałabym wyjawić do końca zgrozy, jaką przenika mnie potworny system głoszący istnienie Boga. Moja krew burzy się na sam dźwięk boskiego imienia. Wydaje mi się, że gdy je słyszę, zjawiają się wokół mnie duchy wszystkich nieszczęśników, jakich owa odrażająca wiara przywiodła kiedykolwiek do zguby. Wzywajamnie, zaklinają, bym użyła wszystkich sił i talentu, aby wytrzebić z umysłów mych bliźnich ideę tej szkaradnej zjawy, która każe im umierać za życia. [...]

Nie ulega wątpliwości, droga przyjaciółko, że owo przeświadczenie o istnieniu i potędze Boga, szafarza dobra i zła, jest podstawą wszystkich religii na ziemi. Którą z tych tradycji należałoby wszak wybrać? Wszystkie powołują się na uprawomocniające je objawienia, wszystkie cytują księgi, dzieła swych bogów, i wszystkie chcą dla siebie wyłącznej władzy. W owym trudnym wyborze światłym przewodnikiem może być dla mnie

jedynie rozum, a gdy w jego blasku badam te pretensje i bajki, widzę tylko mnóstwo niedorzeczności i banałów, które irytują mnie i budzą mój sprzeciw.

Prześledziwszy pobieżnie absurdalne idee wszystkich ludów w tej istotnej kwestii zatrzymuję się wreszcie nad przekonaniem, jakie mają w tej sprawie Żydzi i chrześcijanie. Pierwsi prawią mi o Bogu, niczego jednak nie wyjaśniają, nie dają żadnej idei, i odnośnie natury Boga tego ludu otrzymuję tylko dziecinne alegorie, niegodne majestatu bytu, w którym, zgodnie z zaleceniem, uznać miałabym stwórcę wszechświata. Prawodawca tego narodu mówi mi o jego Bogu, wyrzucając z siebie bez przerwy oburzające sprzeczności... [...] święte księgi, podawane mi jako dzieło Boga, są faktycznie wytworem kilku tępych szarlatanów, a zamiast boskich rytów widzę w nich jedynie rezultat głupoty i myślowego zamętu. Bo rzeczywiście, czy istnieje może coś bardziej głupiego niż wychwalanie ludu wybranego przez dopiero co wykreowane bóstwo, i wmawianie wszystkim narodom, że Bóg przemawia tylko do tej wyjątkowej populacji; że interesuje się tylko jej losem; że dla niej jedynie zmienia bieg gwiazd, nakazuje rozstać się morzu, zgęstnić rosę? Jak gdyby temu Bogu nie było o wiele łatwiej wnikać w ludzkie serca, oświecić umysły, aniżeli zakłócać prawa natury. I jak gdyby owa predy-lekcja do ciemnego, nikczemnego, nieokrzesanego plemienia mogła odpowiadać najwyższemu majestatowi bytu, któremu miałabym jakoby przyznać moc stworzenia świata.

[...] Nie u Żydów zatem poszukiwać będę wszechmocnego Boga wszechświata. Napotkawszy u tego żalostnego ludu jedynie odrażającą zjawę, zrodzoną z egzaltowanej wyobraźni paru megalomanów, nienawidzić będę godnego pogardy Boga, podsuwanego przez łajdactwo, i przeniosę spojrzenie na chrześcijan.

Cóż za niedorzeczności nam się tutaj serwuje! Teraz już nie księgi wariata, który wspiął się na górę, mają być dla mnie drogowskazem. Bóg, o jakiego tutaj chodzi, przedstawiany jest przez o wiele bardziej nobliwego ambasadora, i bękartą Maryi czci się rzeczywiście całkiem inaczej niż porzuconego syna Jokebed! Przyjrzyjmy się więc temu nicponiowi. Co robi, co wymyśla, by przekonać mnie o swym Bogu? Jakże są jego listy uwierzytelniające? Piruety, biesiady z kurwami, uzdrowi-cielskie popisy, kalambury i oszustwa. Jest synem Boga, którego wieści. Ów nieokrzesaniec, który nie potrafi mi o nim nawet powiedzieć i który nie napisał nigdy choćby jednej linijki! Wisusa powieszono. Cóż z tego? Jego sekta go porzuciła. Nieistotne! To on właśnie jest Bogiem uniwersum. Począć mógł się tylko w łonie Żydówki, a narodzić w stajni. Przekonać winien mnie do siebie poniżeniem, nędzą, szalbierstwem. Jeśli w niego nie wierzę, tym gorzej dla mnie, doczekam się wiecznych katuszy! [...] O, kwintesencjo sprzeczności! Nowe prawo wzniesione ma zostać na starym, a jednak nowe usuwa stare. Jaka będzie więc podstawa tego nowego? Czy to



Chrystus jest owym prawodawcą, któremu trzeba zaufać? Owszem, jedynie on objaśni mi Boga, który go zesłał. [...] Mojżesz, zadowolony, że może się podeprzeć cudami natury, przekonuje swój lud, że piorun rozbłyskuje tylko dla niego. Jezus, o wiele sprytniejszy, sam czyni cuda. A jeśli obaj zasługują na wieczną pogardę ze strony swych współczesnych, to trzeba wszak przyznać, że ten drugi zdołał przynajmniej, za pomocą swych sztuczek, wymusić publiczne uznanie. Potomność zaś, rezerwując w swym osądzie miejsce w domu wariatów pierwszemu, nie omieszkła przeznaczyć dla drugiego eksponowanego miejsca na szafocie. [...]

Co dzień nowe przerażenia. Oto jedyne skutki, jakie wywołuje w nas idea Boga. To ta właśnie idea wnosi do ludzkiego życia najdotkliwsze niedole. Skłania człowieka do wyzbycia się najśłodszych życiowych przyjemności, wpajając weń obawę, iż mógłby się nie spodobać temu odrażającemu owocowi swej zbląkanej wyobraźni. Musisz więc, moja droga przyjaciółko, możliwie najszybciej uwolnić się od trwogi, jaką wzbudza to urojenie. W tym zaś celu należy zniesławiać idola, postarać się zetrzeć go na proch. [...]

- Gdy pytam, dla jakich to powodów zakładać mielibyśmy istnienie nieśmiertelnej duszy, słyszę w odpowiedzi: ponieważ człowiek z natury pożąda bytu nieśmiertelnego. Jednakże, zareplikuję, czyż wasze pragnienie staje się dowodem jego spełnienia? W imię jakiej to osobliwej logiki ośmielamy się twierdzić, że coś musi się zdarzyć tylko dlatego, że my sobie tak życzymy? Utrzymuje się, że bezbożnicy, wyzbyci chwalebnej nadziei innego życia, pragną być unicestwieni. Zgoda! Czy jednak nie są oni, na mocy tego pragnienia, tak samo uprawnieni, by twierdzić, że znikną, jak wy czujecie się w prawie utrzymywać, iż będziecie istnieć po prostu dlatego, że tego pragniecie?

- O, Julietto - kontynuowała z całą mocą perswazji owa kobie-ta-filozof- o, moja droga przyjaciółko! Nie powinnaś wątpić, że umieramy całkowicie, a ludzkie ciało, po tym jak Parka przetnie nić, jest już tylko masą niezdolną do poruszeń, których zespół tworzył życie. Nie ma już wówczas ani ruchu, ani oddychania, ani trawienia, ani słów, ani myśli. Twierdzi się, że wtedy dusza oddzielona jest od ciała. Powiedzieć wszakże, iż owa dusza, której wcale nie znamy, jest zasadą życia, to nie powiedzieć nic oprócz tego, że jakaś nieznaną siłą jest ukrytą zasadą niepostrzegalnych ruchów. Nie ma nic bardziej naturalnego i prostego niż uznać, że człowiek, który umarł, nie istnieje; nie ma też nic bardziej dziwnego niż wierzyć, że człowiek, który umarł, wciąż jeszcze żyje. [...]

- Zachwała się nam nieustannie użyteczność dogmatu o istnieniu innego życia. Utrzymuje się, iż nawet gdyby było ono fikcją, to fikcja ta byłaby korzystna, ponieważ narzuca ludziom cnotę i do cnoty ich przywodzi. Pytam więc, czy jest rzeczywiście prawdą, iż dogmat ów czyni ludzi mądrzejszymi i cnotliwszymi. Ośmielę się twierdzić, że, przeciw-

nie, służy on jedynie czynieniu z nich głupców, hipokrytów, niegodziwców, zgryźliwców, i że więcej cnoty i obyczajności znaleźć można zawsze u ludów, które nie znają żadnej z tych idei [tj. idei Boga i duszy nieśmiertelnej - przyp. tłum.], niż wśród tych, u których stanowią one podstawę religii. Gdyby ci, którzy ponoszą odpowiedzialność za wychowanie ludzi i sprawowanie rządów, sami byli świątli i cnotliwi, odwoływaliby się raczej do rzeczywistości niż do urojeń; wszelako nikczemni, ambitni, zepsuci władcy woleli wszędzie raczej tumanić narody za pomocą bajek niż uczyć je prawdy... niż rozwijać umysły, pobudzać do cnoty za pomocą zmysłów i realnych środków... niż rządzić wreszcie w sposób rozumny.

Nie sposób wątpić, że księża mieli swoje powody, by wymyślić bzdurną bajkę o nieśmiertelności duszy: czyż mogliby bez tych systemów opodatkować śmiertelników? Ach! Jeśli te potworne dogmaty o Bogu. .. o duszy, która żyje po naszej śmierci, nie przynoszą najmniejszego pożytku gatunkowi ludzkiemu, to uznajmy, że są przynajmniej absolutnie nieodzowne tym, którzy postanowili znieprawić nimi społeczeństwo.

- Czyż jednak - zwróciłam się do Delbene - dogmat o nieśmiertelności duszy nie krzepi nieszczęśliwych? Gdyby nawet był iluzją, to czy nie jest ona słodka, czy nie jest przyjemna? Czyż nie jest dobrze dla człowieka, gdy wierzy, że będzie mógł żyć po śmierci i rozkoszować się kiedyś w niebie szczęściem, jakiego odmówiono mu na ziemi?

- Doprawdy - odparła moja przyjaciółka - nie wyobrażam sobie, jak pragnienie błogostanu podnoszone przez jakichś nieszczęsnych imbecylów mogłoby usprawiedliwić fakt zarażania głupstwem milionów ludzi uczciwych! Czy zresztą rozsądnie jest czynić swoje życzenia miarą prawdy? Wykażcie nieco więcej odwagi, przystańcie na ogólne prawo, poddajcie się porządkowi przeznaczenia, którego dekrety są jednakże dla wszystkich bytów, a odnajdziecie siebie w tyglu natury, dokąd powracać będziecie wciąż pod innymi postaciami. Albowiem, w rzeczy samej, nic nie ginie w łonie tej matki gatunku ludzkiego; tworzące nas żywioły łączą się w inne konfiguracje; wawrzyn nigdy nie więdnie na grobie Wergiliusza. Czyż owa chwalebna wędrówka, deistyczni głupcy, nie jest równie rozkoszna, jak wymyślona przez was alternatywa piekła i raj? Jeśli bowiem ten drugi pociesza, to zgodzicie się ze mną, że pierwsze jest straszne. Czyż nie powiadacie, chrześcijańscy idioci, że do zbawienia potrzebna jest łaska, którą wasz Bóg obdarza tylko wybrańców? Doprawdy, oto idee iście krzepiące. Czy po stokroć nie lepiej zostać unicestwionym, niż wiecznie się smażyć? Kto po tym wszystkim ośmieli się jeszcze przeczyć, że stanowisko, które uwalnia od tych obaw, jest tysiąc razy atrakcyjniejsze niż niepewność, na jaką skazuje nas uznanie Boga, który, pan swoich łask, udziela ich tylko wybranym, innych zaś skazuje na niekończące się męki? Jedynie wskutek religijnej manii lub szaleństwa można by przedkładać nad oczywisty system,

który uspokaja, nieprawdopodobne rojenia przywodzące do rozpacz. [...]

- Zawdzięczam ci więcej niż życie, moja droga Delbene! -wykrzyknęłam. - Czymże jest istnienie bez filozofii? Czy warto w ogóle żyć, gdy marnieje się pod jarzmem kłamstwa i głupoty? Chodź -kontynuowałam żarliwie - jestem teraz ciebie godna i na twym łonie złożę świętą przysięgę, iż nie powrócę nigdy do tych urojeń, które twoja czuła przyjaźń właśnie we mnie unicestwiła! Pouczaj mnie nadal, prowadź ku szczęściu; będę słuchać twych rad; zrobisz ze mnie, kogo zechcesz, pewna, że nie będziesz miała nigdy uczennicy bardziej gorliwej i bardziej uległej niż Julietta.

Delbene była w stanie upojenia: dla libertyńskiego umysłu nie ma przyjemności żywszej niż rozkosz pozyskiwania nowych wyznawców. [...] Ponieważ jej pieszczoty stawały się coraz żarliwsze, wzniecony płomieniem filozofii rozgorzał wkrótce płomień namiętności.

- Posłuchaj - rzekła Delbene -jeśli chcesz zostać rozziewiczo-na, zadowolę cię natychmiast.

Upojona rozpustą sięga po godmisz. Pieści mnie najpierw, by złagodzić ból, jaki, powiada, zamierza mi zadać, i atakuje następnie tak gwałtownie, że moje dziewictwo znika przy drugim pchnięciu. Nie sposób wyrazić, jak cierpiałam; jednakże po piekącym bólu wywołanym tą straszliwą operacją nastąpiły rychło najśłodsze rozkosze. Delbene, której nic nie mogło wyczerpać, nie była bynajmniej zmęczona. Napierając na mnie całą siłą swych łądzwi, zagłębiwszy język w mych ustach, dłońmi pieszcząc me pośladki, sprawiła, iż przez godzinę omdlewałam w jej ramionach, by wreszcie błagać ją o litość.

- Czas, byś zwróciła mi wszystko, czego doświadczyłaś - rzekła po chwili. - Umieram z pożądania; zajmując się tobą, nie doznałam rozkoszy; teraz moja kolej.

Z drogiej nauczycielki uczyniłam wkrótce roznamiętnioną kochankę. Penetruję Delbene. Boże! Co za obłąd! Żadna kobieta nie mogłaby być bardziej podatna, żadna nie pozwoliłaby się w takim stopniu porwać rozkoszy. Dziesięć razy łajdaczka omdlewała w mych ramionach. Myślałam, że utopi się w spermie.

- Och, moja droga! - rzekłam. - Czyż nie jest prawdą, że im bystrzejszy mamy umysł, tym lepiej potrafimy korzystać ze słodczy rozkoszy?

- Z pewnością! - odpowiedziała Delbene. - A powód po temu jest oczywisty: rozkosz, nie uznaje żadnych kajdan, jest największa, gdy zrywa je wszystkie; otóż im więcej w człowieku ducha, tym skuteczniej wyzbywa się on hamulców; a zatem człowiek inteligentny będzie zawsze o wiele bliższy rozkoszom libertynizmu niż prostak. [...]

[...] przybyły nasze przyjaciółki [...].

Wstępne ceregiele nie trwały zbyt długo. Dobrze wiedząc, czemu służyło to

zgromadzenie, nie ociągały się z przejściem do rzeczy. Przyznaj ę jednak, że ich rozmowy trochę mnie stropiły. Nawet w burdelu nie rozprawia się o rozpuszcie z taką swobodą i łatwością, jaką zademonstrowały te panienki. I trudno wyobrazić sobie coś bardziej osobliwego niż kontrast między ich skromnością w oficjalnych sytuacjach a nieprzyzwoitością objawianą wtedy, gdy tworzą te lubieżne zespoły. [...]

- Delbene, doprowadź mnie do rozkoszy, oto moje wyzwanie! -rzekła Madame de Yolmar, wchodząc. - Jestem wyczerpana, moja droga; spędziłam noc z Fontenille... Uwielbiam tę małą łąj daczkę; nikt jeszcze tak dobrze mnie nie wybrandzłował... nigdy jeszcze nie wypłynęło ze mnie tyle soków, nigdy nic było mi tak dobrze... tak rozkosznie! Och, moja miła! Czegośmy nie wyczyniały!

- Rzeczy niewiarygodne, czyż nie tak? - odparła Delbene. - No cóż, chcę, abyśmy dziś wieczór zrobiły coś tysiąckrotnie bardziej niezwykłego.

- Och, do diabła! Pospieszmy się! - zawołała Sainte-Elme. - Nie mogę się już doczekać, w przeciwieństwie do Yolmar spałam sama. I podkasując się:

- Proszę, zobacz moją pizdę... widzisz, jak bardzo potrzebuje pomocy?!

- Chwileczkę - powiedziała przełożona - mamy dziś ceremonię przyjęcia. Dołączam Juliettę do naszego grona. Trzeba, by dopełniła formalności.

- Kto? Julietta? - spytała roztargniona Flawia, która nie zwróciła jeszcze na mnie uwagi. - Ach! Ledwie znam tę piękną dziewczynę...

A więc lubisz się pieścić, moje serce? - kontynuowała, całując mnie w usta. - Jesteś więc rozpustna... jesteś więc trybadką, jak my?

I nie czyniąc ceregieli, łąjdaczka złapała mnie jednocześnie za pizdę i pierś.

- Daj jej spokój! - rzekła Delbene, która podkasawszy mnie od tyłu badała moje pośladki. - Zanim się nią posłużymy, musimy dopełnić rytuału przyjęcia.

- Spójrz, Delbene! - odezwała się Elżbieta. - Spójrz na Yolmar całującą dupę Julietty. Ona bierze nowicjuszkę za chłopca. Ta dziwka chce ją zerznąć w dupę!

(Zwróćcie uwagę, że w ten sposób odezwała się najmłodsza).

- Czy nie wiesz, że Yolmar jest mężczyzną? - odparta Sainte-Elme. - Jej clitoris ma trzy cale. Skazana na to, by obrażać naturę, niezależnie od tego, z jaką utożsami się płcią, ta dziwka raz jest trybadką, a raz jebaką. Nie zna niczego pośredniego.

Z kolei, zbliżając się i badając mnie ze wszystkich stron, po tym, jak Flawia odsłoniła mnie od przodu, a Yolmar od tyłu:

- Mała trzpiotka jest dobrze zbudowana i przysięgam, że dziś jeszcze poznam smak jej spermy.

- Chwileczkę, chwileczkę, moje panienki! - wtrąca się Delbene, usiłując zaprowadzić porządek.

- Niech to szlag! Pospiesz się! -jęknęła Sainte-Elme. - Jestem cała mokra! Na co czekamy? Czy mamy się pomodlić, zanim zaczniemy brandzlować pizdy? Spuszczamy kiecki, moje miłe...!

W jednej chwili sześć nagich dziewcząt zaczyna się podziwiał, pieścić, tworząc miłe dla oka, fantazyjne konfiguracje.

- No dobrze, a teraz - rzekła Delbene stanowczo - nadajmy temu trochę ładu... Posłuchajcie! Julierta położy się na łóżku, a każda z was będzie mogła zasmakować z nią dowolnej przyjemności. Ja zaś, przyglądając się wszystkiemu, będę przyjmować was kolejno w miarę jak odstępować będziecie od Julietty, tak że rozkosze z nią rozpoczęte kończyć się będą na mnie. Nie będę się jednak spieszyć, moje soki wypłyną dopiero wówczas, gdy wszystkie pięć znajdziecie się na moim ciele.

Najwyższy szacunek, jakim darzy się przełożoną, nakazuje skrupulatnie wypełnić jej rozkazy. Jako że wszystkie panienki były bardzo wyzwolone, nie zdziwi was zapewne, gdy powiem, czego każda ode mnie zażądała.

Ponieważ ustalono, że podchodzić będą kolejno, poczynając od najmłodszej, pierwsza zbliżyła się Elżbieta. Śliczna łotrzyca zbadła mnie dokładnie i pokrywszy pocałunkami, wplotła się w me uda. Ocierała się o mnie i wkrótce zalałyśmy się spermą. Z kolei podeszła Flawia. Okazała się jeszcze bardziej skrupulatna. Po rozkosznych grach wstępnych położyłyśmy się na sobie w przeciwnych kierunkach i roz-igranymi językami spowodowałyśmy wypływ strumieni spermy. Zbliża się Sainte-Elme. Kładzie się na łóżku, poleca, bym usiadła jej na twarzy i podczas gdy nosem brandzluje mi odbyt, językiem zagłębia się w mej piździe. Pochylona nad mapartnerką również, mogę ją lizać. Palcami pieszczę jej dupę i pięć kolejnych orgazmów przekonuje mnie, że potrzeba, jaką oznajmiała, nie była złudzeniem. Odpowiadam na nią w ten sam sposób. Nigdy jeszcze nikt nie wylizał mnie tak rozkosznie. Vol-mar pragnie tylko moich pośladków, pożera je pocałunkami i przygotowawszy szeroką drogę swym różanym językiem, liberynka przylega do mnie, zagłębia swój clitoris w mej dupie, zaczyna podrygiwać, odwraca maglowe, całuje mnie żarliwie w usta, ssie mi język i brandzluje mnie, jednocześnie dupcząc. To jednak jej nie wystarcza. Uzbrajając mnie w godmiesz, który umieszcza wzdłuż moich lędźwi, wystawia się na me pchnięcia i, zwracając je ku swemu tyłkowi, dziwka jest sodomizowana. Brandzluje ją, powodując, że umiera z rozkoszy. Po tym ostatnim ataku zajmuję miejsce, jakie przeznaczono mi na ciele Delbene. Oto jak kurwa skonstruowała grupę: Elżbieta, na plecach,

umieszczona została na brzegu łóżka. Delbene, w jej ramionach, kazała sobie brandzlować clitoris. Flawia, na kolanach przy łóżku, z głową na wysokości pizdy siostry przełożonej, lizała ją uciskała jej uda. Nad Elżbietą Sainte-Elme siedząca na jej twarzy i wystawiająca rozwartą pizdę na pocałunki Delbene, którą Yolmar pieprzyła swą rozpaloną łechtaczką. Czekano, bym uzupełniła grupę. Lekko pochylona ku Sainte-Elme prezentowałam rewers tego, co ona sama dawała do wylizania. Delbene przesuwiała błyskawicznie językiem od pizdy Sainte-Elme do dziury w mej dupie, lizała, chłonęła żarliwie to jedną, to drugą, i poddając się z nieprawdopodobną werwą ruchom palców Elżbiety, języka Flavii oraz clitoris Yolmar, trybadka co minutę zalewała się potokami spermy.

- Och, do diabła! - rzekła Delbene, wyłaniając się z tego kłębowiska, rozplomieniona jak bachantka. - Dobry Boże, ależ sobie użyłam! Nieważne, kontynuujmy naszą operację. Połóżcie się teraz na łóżku. Julietta zażąda kolejno od każdej wszystkiego, czego zapragnie, a wy spełnicie jej zachcianki; ponieważ jednak dopiero się wdraża, będę jej doradzać. Następnie utworzymy na niej grupę, jak wcześniej utworzyłyście ją na mnie, i dotąd wypompowywać będziemy spermę z panienki, aż błagać zacznie zmiłowania.

Elżbieta jako pierwsza stała się obiektem mej rozpusty.

- Ułóż ją w taki sposób, byś mogła całować jej piękne usta, podczas gdy ona będzie cię brandzlować. Po to zaś, byś wszędzie doświadczyła pieśczoły, zajmę się w trakcie seansu twoją mniejszą dziurką.

Z kolei Flawia zastępuje Elżbietę.

- Polecam ci piękne piersi tej dziewczyny - rzekła przeorysza. - Ssij je, podczas gdy ona będzie cię pieścić... Uwzględniając gusta Vol-mar, najlepiej zrobisz zagłębiając jej język w dupie, podczas gdy ona, tworząc łuk nad tobą, będzie cię lizać... Co do Sainte-Elme, czy wiesz, co bym z nią zrobiła? Umieściłabym się w taki sposób, by móc jej ssać jednocześnie dupę i pizdę, oczekując od niej tego samego... Co do mnie zaś, rozkazuj, moja mała, jestem do twojej dyspozycji.

Rozpalona tym, co widziałam w wykonaniu Yolmar, zawołałam:

- Chcę cię zerznąć w dupę, używając tego godmisza.

- Zrób to, moja droga - odpowiada pokornie Delbene, wystawiając się na me pchnięcia. - Oto moja dupa, powierzam ci ją.

- No cóż! - powiadam, sodomizując mą nauczycielkę. - Skoro stanowić mam centrum grupy, zabierzmy się do dzieła. Droga Yolmar -kontynuowałam-niech twój clitoris potraktuje mój ą dupę tak, jak wcześniej potraktował dupę Delbene. Nie masz pojęcia, jak bardzo mój temperament ożywia się wskutek tego rodzaju rozkoszy. Jedną dłonią chciałabym

brandzlować Elżbietę, drugą zaś Sainte-Elme, ssąc równocześnie pizdę Flawii.

Polecenia przełożonej wyczerpały mnie, nie odezwałam się już więcej ani słowem. Sytuacja zmieniała się siedmiokrotnie i siedem razy moja sperma zalewała ciała mych towarzyszek. [...]

Pocałunkami... dotykami pokryto wkrótce me pośladki. Z kolei, wodząc dłonią po moim łonie, sługa boży sprawił, że jego członek zaczął dość stanowczo ocierać się o mój odbył, czerpiąc stąd lubieżną podnieć; wkrótce wniknął weń niemal bezboleśnie, a w tej samej chwili Telemach przenicował mą pizdę. Obaj się spuścili i wyznają, że poszłam w ich ślady.

- Julietto - odezwała się przełożona - zgotowaliśmy ci właśnie dwie największe przyjemności, jakimi uraczyć można kobietę. Powinnaś nam teraz szczerze powiedzieć, która z nich bardziej przypadła ci do gustu.

- Doprawdy - odparłam - obie dostarczyły mi takiej rozkoszy, że nie potrafię między nimi wybrać. Doznaję jeszcze wrażeń zarazem tak pomieszanych i przyjemnych, że z największym trudem przyszłoby mi je rozróżnić.

- Trzeba więc zacząć od nowa - rzekł Telemach. - Zamienię się z księdzem rolami i poprosimy piękną Juliettę, by uważnie badając swe doznania, zechciała je nam później dokładnie opisać.

- Cóż, bardzo chętnie - odpowiedziałam. - Sądzę, podobnie jak wy, że będę mogła zdecydować tylko pod warunkiem ponowienia próby. [...]

Telemach, który przed chwilą pieprzył mnie w pizdę, zakrzętnął się teraz koło mojej dupy. Miał kutasa nieco większego niż jego konfra-ter i jakkolwiek byłam tylko nowicjuską, to natura przygotowała mnie tak dobrze do tego rodzaju rozkoszy, że w ogóle nie odczuwałam różnicy. Ułożono mnie na przeoryszy w taki sposób, że mój clitoris wchodził jej w usta, i łajdaczka, wyciągnięta na poduszkach,ssała go rozchyliwszy me uda. Lauretta, skulona między jej nogami, raczyła j ą taką samą pieśczoą, a dostarczoną w ten sposób rozkosz Delbene przelewała lubieżnie na Yolmar i Flawię, które oporządzała, mając je po swej lewej i prawej stronie. [...]

Na początku wszystkich scen pieprzenia panowało milczenie. Zdawało się, iż chciano smakować rozkosz całą swą istotą i obawiano się, że może ona umknąć podczas rozmowy. Zalecono mi rozkoszować się z należyłą uwagą, bym mogła później dokonać porównania. Pograżyłam się w milczącej ekstazie i przyznaję, że niewiarygodne rozkosze -jakich zaznałam wskutek regularnych gwałtownych wstrząsów Telema-chowego kutasa w moim odbyciu, a także wskutek lubieżnej trwogi, w jakiej pograżały mnie ruchy przesuwającego się po moim

clitoris języka opatki, tudzież za sprawą rozpustnych scen rozgrywających się wkoło i łączących w sobie tyle wyuzdanych epizodów - wprawiły moje zmysły w stan upojenia, w którym pragnęłam żyć wiecznie.

Telemach usiłował odezwać się pierwszy, lecz jego bełkotanie i westchnienia wyrażały raczej umysłowy bezład niż myśli. Docierały do nas liczne przekleństwa i zrozumieliśmy tylko, że nadzwyczajny żar i ucisk mego odbytu dostarczyły ojcu niebywałych rozkoszy.

- Jestem gotów spuścić się do tego najbardziej boskiego tyłka! -wykrzyknął w końcu. - Nie wiem, czy Juliettę bardziej zadowoli, gdy poczuje mą spermę w swej dupie, czy też wolała doświadczyć jej wytrysku w piździe. Co do mnie, klnę się na Boga, że tysiąc razy większą rozkosz sprawiło mi jej sodomizowanie niż przebywanie w głębi jej waginy.

- To kwestia gustu - rzekł Ducroz, brandzłując się zawzięcie na dupie Lauretty i całując Flawię.

- To rzecz filozofii, rozumu - wtrąciła Yolmar, brandzlowana z wigorem przez Delbene i wylizująca Ducroza. - Jestem co prawda kobietą, sędzę jednak, a nawet zapewniam, że będąc na miejscu mężczyzn, pieprzyłabym tylko w dupę. [...]

- Przystąpmy do tej drugiej rzeczy - powiedziała Delbene, wstając. - Ducroz wypiądzi Juliettę leżącą w jego ramionach. Yolmar, również na brzuchu, lizać jej będzie dupę. Ja wślizgnę się pod Yolmar, by ssać jej clitoris. Flawia zadba o Telemacha, gdy ten będzie jebał mnie w pizdę i pieścił cipę Lauretty.

Ponowne libacje zakończyły tę drugą próbę i znów zaczęto mnie wypytywać.

- Och, droga przyjaciółko! - rzekłam do zadającej pytania Delbene. - Szczerze wyznaję, że mężczyzna, który wniknął w mą dupę, przysporzył mi doznań nieskończenie silniejszych niż ten, który spenetrował mnie od przodu. Jestem młoda, niewinna, nieśmiała, nie potrafię jeszcze w pełni docenić dostarczonych mi rozkoszy. Niewykluczone więc, że myślę się co do charakteru i natury obu tych przyjemności. Ponieważ jednak pytasz, co czułam, odpowiadam.

- Uściśnij mnie, mój aniele! - zawołała Delbene. - Jesteś nas godna! Cóż, bez wątpienia, bez wątpienia! - kontynuowała z entuzjazmem. - Nie ma rozkoszy mogącej się równać z jebaniem w dupę! Nieszczęsne dziewczęta, na tyle proste i głupie, by nie ośmielić się oddać tym lubieżnym wybrykom! Nigdy nie staną się godne tego, by Wenus przyjęła ich hołdy! I nigdy bogini / Pafos nie obdarzy ich swymi wdziękami!

- Ach, zerznijcie mnie w dupę! - wykrzyknęła kurwa, klękając na kanapie. - Yolmar, Flawio, Julietto, uzbrójcie się w godmische. Wy zaś, Ducroz i Telemachu, podniećcie się



solidnie i niech wasze ręce kutasy szturmują mnie na przemian ze sztucznymi członkami tych łaj-daczek. Oto moja dupa, zerznięcie ją wszyscy! Lauretta niech stanie przede mną, bym podczas tej operacji mogła z nią zrobić wszystko, na co przyjdzie mi ochota. [...]

- Do diabła! - krzyknęła wreszcie, sodomizowana przez Telema-cha, pieszczona przez Yolmar. - Och, kurwa, spuszczam się! Sprawiacie, że umieram z rozkoszy! Usiądźmy i podyskutujmy. Nie chodzi tylko o to, by doznawać wrażeń, trzeba jeszcze poddać je analizie. [...]

- Z jakiego powodu, pytam, dziewczyna miałaby zachować dziewictwo aż do momentu małżeństwa? I na jaki poziom ekstrawagancji trzeba się wznieść, by uwierzyć, że wartość kobiecej istoty zależy od mniejszego czy większego rozwarcia jednej z części jej ciała? [...]

- Wystrzegaj się rodzenia dzieci, nie ma niczego mniej przyjemnego. Cięża niszczy zdrowie, psują talię, sprawiają, iż więdną powaby. A ciągła obawa, że mogą się przytrafić, zniechęca męża. Istnieje tysiąc sposobów, by ich uniknąć, z których najlepszym jest pieprzenie w dupę. Każ sobie równocześnie brandzlować clitoris, a metoda ta zapewni ci rychło tysiąckrotnie większą przyjemność niż jakakolwiek inna. Ci, którzy będą cię pieprzyć, z pewnością wiele na tym zyskają, twój mąż niczego nie zauważy, i wszyscy będziecie zadowoleni. [...]

- Nie okazujcie zwłaszcza żadnego szacunku wobec tej cywilnej czy religijnej ceremonii, która wiąże was z mężczyzną i której albo w ogóle nie lubicie, albo już nie lubicie, bądź która wam nie wystarcza. Msza, błogosławieństwo, kontrakt, wszystkie te nikczemności są więc dość zniewalające... dość święte, by skłonić was do pełzania w kajdanach? Owa deklaracja wzmocniona przysięgą jest tylko formalnością, która daje mężczyznom prawo do sypania z kobietą, lecz do niczego nie zobowiązuje: zwłaszcza tę, która ma w owym związku mniejsze szanse na uwolnienie się od zobowiązania. Ty, która przeznaczona zostałeś do życia w wielkim świecie - zwróciła się do mnie przełożona, zatrzymując na mnie wzrok - gardź, moja droga Julietto, tymi niedorzecznościami, podepcz je, gdyż na to tylko zasługują. Są to ludzkie konwencje, do przyjęcia których zmuszona jesteś wbrew sobie. Zamaskowany szarlatan, kręcący się przy stole naprzeciw wielkiej księgi, i nicpoń, który każe ci się wpisywać do jakiejś innej książki, nie warci są z pewnością tego, by się im poddawać, by im ulegać. Korzystaj z praw, w jakie wyposażyła cię natura; zaleca ci ona, byś pogardzała tymi obrządkami i prostytuowała się wedle swych pragnień. To twoje ciało jest świątynią, w której pragnie ona być adorowana, a nie ołtarz, przy którym durny księżyna wymamrotał właśnie swoją mszę. To nie przysięg, jakie złożyłaś wobec tego żalostnego kuglarza bądź

zdeponowałaś w księdze tego drugiego żałobnika, natura się od ciebie domaga. Chce ona, byś oddawała się mężczyznom, na ile starczy ci sił. Bóg, jakiego ci oferuje, to nie okrągły kawałek ciasta, który ów błazen wprowadził przed chwilą do swych trzewi, lecz przyjemność, rozkosz. Wówczas jedynie obrazasz tę czułą matkę, gdy nie korzystasz ochoczo i z jednej, i z drugiej. Gdy będziesz mogła swobodnie decydować o swych miłościach, wybieraj zawsze mężczyzn żonatych: ponieważ, w jednakowej mierze zależeć będzie wam wówczas na dyskrecji, mniej będziecie narażeni na skutki nierozwagi. Nad żonatych przedkładaj jednak jeszcze tych, których wynajmiesz. Powiadam ci, opłaca się to o wiele bardziej: zmieniasz ich jak bieliznę, a zmiana... wielość są najpotężniejszymi nośnikami rozkoszy. Pieprz się z możliwie największą ilością mężczyzn. Nic nie bawi i nie rozpala głowy tak, jak wielka liczba; ona właśnie gwarantuje wciąż, nowe przyjemności, choćby poprzez zmianę kształtu. I nie wiesz nic, jeśli znasz tylko jednego kutasa. Twojemu małżonkowi jest to w istocie zupełnie obojętne. Zgodzisz się, że nie jest on bardziej poniżony przy tysięcznym niż przy pierwszym, a nawet mniej, albowiem wydaje się, że każdy kolejny usuwa poprzedniego. Zresztą małżonek, jeśli jest rozsądny, wybaczają zawsze o wiele łatwiej rozpustę niż miłość: ta upokarza osobiście, podczas gdy tamta jest tylko wybrykiem twej cielesności. Mężowi nie zależy na tym, by jej strzec, jego miłość własna nie doznaje zatem uszczerbku. Gdy więc o niego chodzi, nic nie stanowi problemu. Co zaś do twych zasad, to albo nie jesteś filozofem, albo musisz rzeczywiście uznać, że gdy zrobiło się jeden krok, nie grzeszy się bardziej przy tysięcznym niż przy pierwszym. Pozostaje zatem tylko opinia. To już całkowicie twoja sprawa; wszystko zależy od sztuki udawania i przekonywania. Jeśli posiadałaś obie, a tego wyłącznie powinnaś się uczyć, zrobisz z opinią i mężem absolutnie wszystko, co zechcesz. Nigdy nie zapominaj, że to nie występki gubi kobietę, lecz rozgłos, i że tysiąc nie wyjawionych zbrodni stanowi mniejsze niebezpieczeństwo niż najbardziej niewinne dziwactwo, które kłuje w oczy. Ubieraj się skromnie, przepych zdradza kobietę bardziej niż dwudziestu kochanków. Fryzura mniej czy bardziej elegancka, suknia mniej czy bardziej zdobna - dla szczęścia nie ma to żadnego znaczenia. Za to pieprzyć się często i solidnie - owszem, nie ulega wątpliwości! Gdy wyglądać będziesz niewinnie i skromnie, nigdy o nic nie będą cię podejrzewać. Gdyby wszakże ktoś się poważił, tysiąc obrońców stanie za tobą murem. Opinia, której nie starcza czasu na to, by być głęboką, wyrokuje zawsze tylko na podstawie pozorów; niewiele kosztuje przebrać się w takie, jakich ona oczekuje. Warto ją więc zadowolić, aby w razie potrzeby mogła ci służyć. Kiedy twoi synowie dorosną, trzymaj ich od siebie z daleka; zbyt często widywano ich w roli denuncjatorów własnej matki. Gdyby cię nęcili, staraj się odeprzeć pokusę: dysproporcja wieku wzniesiłaby odrazę, której padłabyś

ofiara. Taki incest nie jest zbyt pikantny, a może zaszkodzić większym rozkoszom. Mniej ryzykowne jest brandzlowanie się z własną córką, o ile ona ci się podoba. Pozwól jej dzielić swoje rozkosze, ażeby ich nie wyjawiała. Trzeba, jak sądzę, dołączyć do tych rad pewną konkluzję. Tę mianowicie, że powściągliwość kobiet jest zgubą, społeczną plagą, i że należałoby karać wszystkie te głupie istoty, które, niezależnie od motywów, jakimi się kierują, wierzą, iż zachowując swą żalosną cnotę, błyszczą w tym świecie i przygotowują swe uświęcenie na tamtym. Młode i czarujące przedstawicielki naszej płci! - kontynuowała rozmątniona Delbene. - Do was właśnie się zwracałam i do was kieruję jeszcze te oto słowa: podepczcie tę siermiężną cnotę, z której głupcy ośmielają się czynić jeden z waszych chwalebnych przymiotów! Sprzeciwcie się barbarzyńskiemu zwyczajowi składania was na ołtarzach tej śmiechu wartej cnoty, której iluzoryczne rozkosze nie wynagrodzą wam nigdy ofiar, j jakie ponosicie w jej imieniu! I jakimż to prawem mężczyźni domagają się od was tyle umiaru, skoro sami przejawiają go w tak nieznacznym stopniu? Czy nie wiecie, że to oni ustanowili prawa i że o kształcie tych praw zdecydowała męska pycha i nicumiarkowanie? O, moje przyjaciółki, pieprzcie, urodziłyście się po to, by pieprzyć! Po to właśnie, byście były pieprzone, stworzyła was natura. Pozwólcie krzyczeć głupcom, świętoszkom i hipokrytom. Mają oni powody, by ganić was za ten cudowny brak umiaru, który stanowi o urodzie waszego życia. Nie mogąc już niczego od was otrzymać, zazdrośni o wszystko, co możecie dać innym, piętnują was, ponieważ niczego już nie oczekują i nie są w stanie niczego od was zażądać. Poradźcie się jednak dzieci miłości i rozkoszy, przypatrzcie się całej ludzkiej społeczności: wszyscy zjednoczą się, by doradzić wam pieprzenie, ponieważ pieprzenie jest intencją natury, a wstrzeźliwość jest dla niej zbrodnią. Niech nie przeraża was miano kurwy. Naiwna jest kobieta, która da się nim zastraszyć. Kurwa jest miłą, młodą, rozkoszną istotą, która już choćby przez to, że poświęca swą reputację dla szczęścia innych, zasługuje na pochwałę. Kurwa jest drogim dzieckiem natury, porządniejsza jest zaś jej odpadkiem. Kurwa godna jest ołtarzy, a kobieta cnotliwa stosu. I czymże dotkliwiej dziewczyna obrazić może naturę niż bezużytecznym i niosącym zagrożenia strzeżeniem chimerycznej cnoty, której cała wartość pochodzi wyłącznie z najbardziej absurdałnego i niedorzecznego przesądu? Pieprzcie, moje drogie, powtarzam, drwijcie bezwstydnie z zaleceń tych, którzy chcą was uwięzić w despotycznych kajdanach cnoty, która na nic się nie przydaje! Wyrzeknijcie się na zawsze wszelkiego wstydu i umiaru! Nie zwlekajcie z pieprzeniem! Można mu się oddawać tylko w pewnym wieku, nie zmarnujcie swej szansy. A jeśli pozwolicie zwiędnąć różom, zgotujecie sobie rzeczywiście gorzkie żale, bo gdy zapragniecie być może w końcu pozbawić kwiat liści, nie spotkacie już kochanków skłonnych to uczynić, i nie znajdziecie pociechy,

skoro chwila stosowna dla miłości okaże się wówczas bezpowrotnie stracona. Wmawiają wam jednak, że taka dziewczyna okrywa się hańbą, a ciężaru tej niesławy niepodobna udźwignąć... Co za obiekcja! Powiedzmy bez ogródek, że niesławę tą stwarza jedynie przesąd: ileż działań uchodzi za haniebne, a przecież jakże często jedynym powodem takiego ich mianowania jest właśnie przesąd! Czy na przykład występki takie jak kradzież, sodomia, tchórzostwo nie są uznane za hańbiące? A zgodzicie się przecież, iż z punktu widzenia natury nie ma w nich nic nieuprawnionego, co sprzeciwia się z kolei idei niesławy. Niepodobna bowiem, aby rzecz zalecana przez naturę mogła nie być uprawniona, a czymś absurdalnym byłoby orzec, iż rzecz uprawniona może być haniebna. [...] tak samo jest z rozpustą przedstawicielek naszej płci. Ponieważ nic nie służy naturze równie dobrze, niemożliwe, by była ona czymś haniebnym. Załóżmy jednak przez chwilę, że niesława ta jest rzeczywista. Dlaczego miałyby ona powstrzymać kobietę rozumną? Co jej szkodzi, że uważa się za zhańbioną? Jeśli, w istocie, nie jest ona takąż punktu widzenia rozumu, i jeśli niepodobna, by niesława dotyczyła kondycji, w jakiej kobieta ta się znajduje, będzie się ona śmiać z bezzasadnego osądu i szaleństwa swych bliźnich, i nie ustanie w uleganiu podszeptom natury, zawsze bardziej spokojna niż jakakolwiek inna reprezentantka jej płci. Wszystko bowiem powstrzymuje, wszystko przeraża tę, która boi się utraty swej reputacji, gdy tymczasem ta, która ją utraciła, niczym już nie ryzykując i wszystkiemu oddając się bez obawy, musi być bardziej szczęśliwa. [...]

- Występuje się przeciw namiętnościom, nie zdając sobie sprawy, że to od ich płomienia filozofia zapala własny. Oraz że to człowiekowi namiętnemu zawdzięczamy szczęśliwe wytrzebiecie religijnych bredni, które tak długo zadżumiały świat. To właśnie płomień namiętności strawił tę odrażającą boską chimerę, w imię której wyrzynano się od stuleci. On jedynie zdołał unicestwić i pochłonąć jej nikczemne ołtarze. Ach! Gdyby namiętności oddały człowiekowi tylko taką przy słudę, czyż nie byłby to wystarczający powód, by zapomnieć o prowokowanych przez nie wybrykach?

## ROZPRAWA CLAIRWIL O APATII

Miesiąc po tej ostatniej przygodzie Noirceuil przedstawił mi kobietę, z której chciał uczynić moją przyjaciółkę. Ponieważ jego ślub z Aleksandryną opóźniał się z powodu żałoby Saint-Fonda i ponieważ tę uroczą córkę ministra chcę wam odmalować dopiero wówczas, gdy ją w pełni posiadę, zajmijmy się teraz Madame de Clairwil oraz poczynaniami, jakie podjęłam wraz z tą czarującą kobietą w celu scementowania naszego związku.

Nie bez powodu Noirceuil wygłaszał największe pochwały na temat Madame de Clairwil. Była ona wysoka, piękna jak malowanie; miała tak ogniste spojrzenie, że nie sposób było je wytrzymać, ale jej oczy, ogromne i bardzo ciemne, raczej narzucały się niż podobały, i w ogóle sylwetka tej kobiety była bardziej dostojna niż miła; jej usta, dość okrągłe, były świeże i rozkoszne; jej włosy, czarne jak gagat, opadały aż do ud; nos, nadzwyczaj kształtny, czoło, szlachetne i majestatyczne, zgrabne piersi, najpiękniejsza skóra, choć ciemna, ciało jędrne, pulchne; formy najkrągłejsze; jednym słowem, była to figura Minerwy, a wdzięki Wenus. Tym niemniej, bądź dlatego, że byłam młodsza, bądź dlatego, że moja twarz miała z urody to, co jej ze szlachetności, bardziej podobałam się wszystkim mężczyznom. Madame de Clairwil zadziwiała, ja zadowalałam się czarowaniem; ona wymuszała na mężczyznach hołd, ja go wykradałam.

Do tych wyniosłych uroków Madame de Clairwil dodawała niezwykły umysł; była bardzo wykształcona, a zwłaszcza wrogo nastawiona do przesądów..., wykorzenianych przez nią od dzieciństwa - kobieta nie mogła dalej pójść w filozofii. Poza tym posiadała wiele talentów, doskonale znała angielski i włoski, grywała role komediowe niczym anioł, tańczyła niczym Terpsychora, znała się na chemii, fizyce, układa-

ła ładne wiersze, była biegła w historii, rysunku, muzyce, geografii, pisała niczym Sevigne. Być może jednak posuwała zbyt daleko wszystkie te ekstrawagancje zalet umysłu, których skutkiem bywa zazwyczaj duma nie do zniesienia dla tych, co nie sięgają jej poziomu, przeciwnie niż ja..., jedyne stworzenie, jak mówiła, u którego naprawdę dostrzegła walory umysłu.

Ta piękna kobieta od pięciu lat była wdową, nigdy nie miała dzieci..., nie znosiła ich, a tego rodzaju drobna surowość u kobiety zawsze dowodzi niewrażliwości; toteż z całą pewnością niewrażliwość Madame de Clairwil dopełniała miary. Schlebiała ona sobie, że nigdy nie uroniła łzy, nigdy nie wzruszyła się losem nieszczęśnika.

- Moja dusza - mówiła - jest nieczuła; nie pozwalam, by zrodziło się w niej

jakiegokolwiek uczucie, z wyjątkiem przyjemności. Jestem panią afektów tej duszy..., jej pragnień..., jej poruszeń; u mnie wszystko należy po porządku umysłu; a to jest najgorsze - ciągnęła - gdy to umysł szkaradny; ale nie narzekam, kocham moje wady, nienawidzę cnoty; jestem zaprzysięgłym wrogiem wszelkich religii, wszelkich bogów, nie obawiam się żadnych nieszczęść w życiu ani tego, co po śmierci, a gdy jest się do mnie podobnym, osiąga się szczęście.

Łatwo zgadnąć, że mając taki charakter, Madame de Clairwil miała wokół siebie tylko pochlebców i niewielu przyjaciół; zresztą sama nie bardziej wierzyła w przyjaźń niż w dobroczynność i nie bardziej w cnoty niż w bogów. Dodajcie do tego ogromne bogactwo, bardzo piękny dom w Paryżu, wspaniałą posiadłość wiejską, wszelkie środki, by korzystać z luksusu..., najlepszy wiek, żelazne zdrowie. Albo nigdzie na tym świecie nie ma szczęścia, albo osoba, która łączy w sobie wszystkie te wdzięki, może sobie pochlebiać, że je posiada.

Madame de Clairwil od razu otworzyła się przede mną ze szczerością zadziwiającą u kobiety, która, jak powiedziałam, była tak dumna ze swej wyższości; muszę jednak oddać jej sprawiedliwość, wyznając, że mnie nigdy jej nie okazała.

- Noirceuil doskonale cię odmalował - powiedziała - widzę, że mamy podobne dusze, podobne umysły, podobne upodobania; jesteśmy stworzone, by być razem, połączmy się zatem, daleko zajdziemy; ale przede wszystkim odrzucmy wszelkie hamulce, są one bowiem dobre dla głupców; dobrze ułożone charaktery, harde dusze, silne umysły jak nasze w rozkoszy pokonująwszystkie te zwykłe bariery, wiedzą bowiem, że szczęście leży za nimi, i odważnie po nie sięgają, depcząc słabe prawa, zimne cnoty i durne religie tych ludzkich mętów, które istnieją bodaj tylko po to, by obrażać naturę.

Kilka dni później Clairwil, za którą zaczęłam przepadać, przyszła zjeść ze mną obiad; i właśnie podczas tej drugiej przygody wyznałyśmy sobie wzajem..., jakie mamy upodobania, uczucia... Och! jakąż duszę miała Clairwil, sądzę, że gdyby sam występki zamieszkał na ziemi, swe imperium założyłby właśnie w głębinach tej perwersyjnej duszy.

W pewnym momencie tych wzajemnych wyznań, zanim jeszcze zasiadłyśmy do stołu, Clairwil przysunęła się do mnie, a siedziałyśmy w wyłożonej lustrami wnęce, swobodnie rozciągnięte na poduszkach, których miękki puch podtrzymywał nasze kołyszące się lędźwie; piękny dzień wręcz przyzywał miłość i faworyzował jej przyjemności.

- Czyż nie jest prawdą, mój aniele - powiedziała Clairwil, całując me piersi - że takie kobiety jak my powinny się poznawać, brandz-lując się...

Mówiąc te słowa, trybadka podkasła mi suknię, a rozpalony język wcisnęła głęboko w gardło... Jej libertyńskie palce sięgnęły celu.

- Przyjemność jest tutaj - powiedziała - śpi w tym różanym łożu, moja czuła miłość chce, bym ją obudziła. Och Julietto, pozwól mi cię całować w ogniu uniesień, jaki ku tobie we mnie zapłonął... Szelmo, twoje usta mi odpowiedziały, twój język przywołuje mój, zaprasza do lubieżności. Ach! Oddaj mi to, co ja ci daję, i umierajmy z rozkoszy.

- Rozbierzmy się - powiedziałam do mej przyjaciółki - lubieżna rozpusta jest dobra wówczas, gdy jest się nagim; niczego nie rozróżniam, a chcę widzieć wszystko; pozbądźmy się tych natrętnych zasłon, czyż nie wystarczą zasłony natury? Ach! kiedy budzę w tobie uniesienie, chciałabym widzieć, jak bije twe serce.

- Cóż za pomysł - powiedziała Clairwil - odmalowuje on twój charakter, Julietto, uwielbiam cię; róbmy wszystko, czego pragniesz.

I moja przyjaciółka tak jak ja rozebrała się do naga; najpierw przez kilka minut uważnie się sobie w milczeniu przyglądałyśmy. Clairwil rozpałała się na widok piękności, jakimi obdarzyła mnie natura. Ja nie mogłam wyjść z podziwu wobec jej urody; nigdy nie widziano piękniejszej figury, bardziej kształtnych piersi..., pośladków! Na Boga! to tylek samej Wenus wielbionej przez Greków; nigdy nie widziałam wspanialej ukształtowanego, nie przestawałam całować tych uroków; a moja przyjaciółka, początkowo ulegając mi z upodobaniem, po stokroć oddała mi wszystkie pieszczoty, jakimi ją obsypałam.

- Pozwól mi działać - powiedziała, położywszy mnie na otomanie z szeroko rozchylonymi udami - pozwól mi dowieść, moja droga, że potrafię kobiecie dać rozkosz.

Wówczas jej palce zaczęły się trudzić nad mą lechtaczką, a potem nad dziurą w dupie, gdy tymczasem jej język, zagłębiony w mej piździe, łakomie zlizywał spermę, o płynięcie której przypawiły mnie jej pieszczoty; nigdy w życiu nie zostałam w taki sposób wybrandzłowana; trzy razy spuściłam się w jej ustach, w takim uniesieniu, że myślałam, że postradam zmysły. Clairwil, łakoma na mą spermę, za czwartym razem z równą lekkością co zręcznością zmieniła swe manewry. Tym razem zagłębiła w mej cipie palec, gdy tymczasem drugim pocierała lechtaczkę, a jej słodki i rozkoszny język penetrował dziurę w mej dupie.

- Jakaż sztuka..., jakież upodobanie - wykrzyknęłam... - Ach! Clairwil, przypawisz mnie o śmierć.

I nowe strumienie spermy stały się owocem boskich poczynań tego rozkosznego stworzenia.

- Cóż - powiedziała, gdy tylko przyszłam do siebie - wierzysz, że potrafię brandzłować kobiety! Uwielbiam je, jak mogłabym nie znać sztuki dawania im przyjemności? Co chcesz, moja droga, jestem zepsuta, czy to moja wina, że natura dała mi upodobania przeciwne do tych, jakie mają wszyscy? Nie znam nic równie niesprawiedliwego

jak zasada mieszania płci dla dostarczenia sobie czystej rozkoszy; a jakaż płeć lepiej niż nasza zna sztukę rozbudzania przyjemności; czy dając sobie wzajem to, co czynimy, gdy same się rozkoszujemy, czyniąc sobie wzajem to, co jej właściwe, nie powinnyśmy osiągnąć więcej niż ta istota różna od nas, która może nam ofiarować tylko rozkosze bardzo dalekie od tych, jakich wymaga egzystencja naszego rodzaju?

- Cóż, Clairwil, nie lubisz mężczyzn!

- Posługuję się nimi, gdyż to zgodne z moim temperamentem, ale nimi pogardzam i ich nienawidzę; chciałabym móc poświęcić tych wszystkich, w oczach których mogłam stracić na wartości.

- Jakaż duma!

- Taki mam charakter, Julietto, a do tej dumy dołączam szczerość, sposób na to, byś mnie szybko poznała.

- Twoje słowa zakładają okrucieństwo; jeśli pragniesz tego, o czym mówiłaś, uczynisz to, gdy będziesz mogła.

- Kto ci powiedział, że tego nie czyniłam? Moja dusza jest twarda, a nie sądzę bynajmniej, że jest jakiś rodzaj wrażliwości bardziej odpowiedni dla szczęsnej apatii, jaką się rozkoszuję. Och! Julietto -ciągnęła, wracając do siebie - chyba się mylisz co do tej niebezpiecznej wrażliwości, którą szczyli się tylu idiotów.

Wrażliwość, moja droga, jest ogniskiem wszelkich występków, podobnie jak wszelkich cnót. To ona zaprowadziła Cartouche'a na szafot, tak jak imię Tytusa złotymi zgłoskami zapisała w annałach dobroczynności. Gdy jesteśmy zbyt wrażliwi, oddajemy się cnotom, także gdy jesteśmy zbyt wrażliwi, uwielbiamy zbrodnie; indywidualum pozbawione wrażliwości jest surową bryłą, jednakowo niezdolną czynić dobro i zło, i tylko postać ma ludzką. Ta czysto fizyczna wrażliwość zależna jest od podatności naszych organów, od delikatności zmysłów, a przede wszystkim od natury fluidu nerwowego, w którym ogólnie sytuują wszystkie uczucia człowieka. Wychowanie, a obok niego przyzwyczajenie zwracają w takim lub innym kierunku tę porcję wrażliwości otrzymanej z rąk natury; a egoizm... troska o własne życie wspiera później wychowanie i przyzwyczajenie w skłanianiu się ku takiemu czy innemu wyborowi. Ponieważ jednak wychowanie niemal zawsze nas zwodzi, gdy jest już zakończone, zapalenie wywołane we fluidzie elektrycznym przez wpływ przedmiotów zewnętrznych, działanie, które zwiemy skutkiem - namiętności - rozstrzyga o przyzwyczajeniu do dobra lub zła. Jeśli to zapalenie jest słabe z powodu ociężałości organów, która przeciwstawia się szybkiemu działaniu przedmiotu zewnętrznego na fluid nerwowy, lub z racji powolności, z jaką mózg przenosi doń efekt tego oddziaływania, albo też z powodu



małej podatności tego fluidu na poruszenie, to skutki tej wrażliwości skłaniają nas ku cnocie; jeśli, przeciwnie, przedmioty zewnętrzne silnie oddziałują na nasze organy, jeśli gwałtownie je przenikają, jeśli cząsteczkom fluidu, które krążą w zakamarkach naszych nerwów, nadają szybki ruch, to w tym przypadku skutki naszej wrażliwości skłaniają nas ku występki. Jeśli oddziaływanie jest jeszcze silniejsze, to popycha nas ono do zbrodni, a w końcu do okrucieństw, gdy gwałtowność skutku osiąga najwyższy stopień energii. Pod każdym jednak względem widać, że wrażliwość jest tylko czymś mechanicznym, że z niej wszystko się rodzi, że to ona jest powodem wszystkich naszych czynów. Jeśli w młodej osobie dostrzegamy nadmiar tej wrażliwości, śmiało postawmy jej horoskop i bądźmy pewni, że pewnego dnia wrażliwość ta doprowadzi ją do zbrodni; nie jest bowiem tak, jak można by sądzić, że to rodzaj wrażliwości skłania do zbrodni lub do cnoty, lecz jej najwyższy stopień; a indywiduum, w którym jej działanie jest powolne, będzie się skłaniać ku dobru, tak jak pewne jest, że to, w którym owo działanie czyni spustoszenia, nieuchronnie zwróci się ku złu; zło jest bowiem bardziej pikantne, bardziej pociągające niż dobro. Ku niemu więc muszą prowadzić skutki gwałtowne, zgodnie z zasadą, która wszystkie jednakowe skutki zawsze zbliża i łączy ze sferą duchową i fizyczną.

Pewne jest więc, że w podobnym przypadku koniecznym postępowaniem wobec młodej osoby, jaką byśmy kształcili, byłoby stępienie tej wrażliwości; ukierunkowanie jest bowiem prawie niemożliwe; stępując, być może zagubisz kilka słabych cnót, ale oszczędzisz wiele występków, a w ustroju, który surowo karze wszelkie występki i nigdy nie nagradza cnót, nieskończenie ważniejsze jest nauczenie nieczynienia zła niż przywiązanie się do czynienia dobra. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa w nieczynieniu dobra, a jest takie w czynieniu zła, zanim osiągnie się wiek, w jakim można sobie uświadomić konieczność ukrywania zła, ku któremu natura nas nieuchronnie popycha; powiem więcej, najbardziej bezużyteczną rzeczą w świecie jest czynienie dobra, a rzeczą najbardziej podstawową nieczynienie zła, nie ze względu na siebie, gdyż największa rozkosz rodzi się często właśnie z nadmiaru zła, nie ze względu na religię, nic bowiem nie jest równie niedorzeczne jak to, co dotyczy idei Boga, lecz wyłącznie ze względu na prawa, których otwarte naruszenie, bez względu na to, jak może być rozkoszne, zawsze ściąga na nas nieszczęście, gdy brakuje nam doświadczenia.

Nie będzie zatem żadnego niebezpieczeństwa w doprowadzeniu duszy młodej osoby, której wychowanie tutaj zakładamy, do takiego stanu, że naprawdę nigdy nie spełni ona dobrego uczynku, ale w zamian nigdy nie wyobrazi sobie złego..., przynajmniej zanim osiągnie wiek, w jakim doświadczenie wykaże jej konieczność hipokryzji; otóż metodą, jaką

w podobnym przypadku należałoby zastosować, jest całkowite stępienie jej wrażliwości, gdy tylko dostrzeżesz, że jej zbyt duża żywotność mogłaby ją wciągnąć w występki. Zakładam bowiem nawet, że jeśli z apatii, do jakiej doprowadzisz jej duszę, mogą się zrodzić pewne niebezpieczeństwa, to zawsze będą mniejsze niż te, które zrodzą się ze zbyt wielkiej wrażliwości; zbrodnie popełniane w przypadku stępienia zmysłowości zawsze będą popełniane z zimną krwią, i dlatego hipotetyczny uczeń będzie miał czas ukryć i zaaranżować ich następstwa, natomiast zbrodnie popełnione w uniesieniu ściągają na niego najgorsze nieszczęścia, tak, że nie będzie miał czasu się przed nimi obronić. Pierwsze będą być może bardziej mroczne, ale będą również bardziej potajemne, ponieważ flegma, z jaką zostaną popełnione, da czas na ich przygotowanie bez obaw o następstwa; te drugie, przeciwnie, popełnione otwarcie i bez refleksji, zaprowadzą ich autora na szafot; nie powinnaś więc przywiązywać wagi do tego, czy twój uczeń, gdy stanie się mężczyzną, będzie popełniał zbrodnie czy nie będzie ich popełniał, ponieważ faktycznie zbrodnia jest pewnym przypadkiem natury, której człowiek jest bezwolnym narzędziem, której wbrew sobie musi być zabawką, gdy jego organy je wymuszają: powinnaś natomiast przywiązywać wagę do tego, czy ten uczeń popełnia występki mniej niebezpieczne ze względu na prawa kraju, w jakim mieszka, tak, że jeśli najdrobniejszy z nich jest karany, a najstraszliwszy nie, to wszak najstraszliwszy należy mu pozwolić popełnić. Gdyż, mówiąc raz jeszcze, nie przed zbrodnią należy go strzec, lecz przed mieczem spadającym na autora zbrodni; zbrodnia nie jest żadną niedogodnością, a kara ma ich bardzo wiele; dla szczęścia człowieka jest całkowicie obojętne, czy popełnia on zbrodnie, czy ich nie popełnia; ale jest bardzo istotne dla tego samego szczęścia, by nie został on ukarany za te zbrodnie, które popełnił, bez względu na ich rodzaj czy okrucieństwo. Pierwszym obowiązkiem nauczyciela byłoby zatem wyrobienie w uczniu, jakim jest on obarczony, skłonności koniecznych do tego, by mógł się on oddawać temu z dwóch rodzajów zła, który jest mniej niebezpieczny, jest bowiem, niestety, aż nazbyt prawdą, że musi się on skłaniać ku jednemu lub ku drugiemu; a doświadczenie z łatwością ci wykaże, że występki, które będą mogły się zrodzić ze stępienia duszy, będą znacznie mniej niebezpieczne niż występki spowodowane przez nadmiar wrażliwości, a to z tej istotnej racji, że zimna krew, jaką łączymy z pierwszymi, daje sposoby ustrzeżenia się przed karą, gdy tymczasem wykazane zostało, że nie zdoła uniknąć tej kary ktoś, kto nie mając czasu niczego zaaranżować, niczego przewidzieć, ślepo oddaje się porywowi swych zmysłów. Toteż chcę powiedzieć, że w pierwszym przypadku, gdy pozostawiamy młodej osobie całą jej wrażliwość, spełni ona kilka dobrych uczynków, które, jak dowiedziono, są bezużyteczne, w drugim nie spełni żadnego dobrego, co nie jest żadną niedogodnością; a usposobienie, jakie

jej nadasz, każe jej popełniać tylko swego rodzaju wykroczenia, których można się dopuszczać bez niebezpieczeństwa. Ale twój uczeń stanie się okrutny... Ech! jakież będą skutki tego okrucieństwa? Przy pewnej żywości polegać będą na stałym odrzucaniu wszelkich wpływów litości, do której obudzenia nie dopuści już ukierunkowanie, jakie nadałaś jego duszy; nie ma w tym niebezpieczeństwa. W każdym razie są to jakieś cnoty, cnota zaś to rzecz w świecie najbardziej bezużyteczna, ponieważ jest ona uciążliwa dla tego, kto się jej oddaje, a w naszym klimacie nie otrzymuje ona żadnego zadośćuczynienia; w przypadku duszy silnej i surowej to wprowadzone w czyn okrucieństwo polegać będzie na jakichś skrytych zbrodniach, których ostre wpływy rozpalą przez pocieranie elektryczne cząsteczki fluidu jego nerwów, i być może będą kosztować życie kilku marnych istot; to bez znaczenia, poryw jego namiętności, nie zmniejszając jego zdolności osądu, dokona wszystkiego w takiej tajemnicy. ..., z taką sztuką, że płomień Temidy nigdy nie zdoła przeniknąć jej zakamarków; będzie on zatem szczęśliwy, nie wystawiając się na niebezpieczeństwa; czyż nie tego właśnie trzeba? To nie zło jest niebezpieczne, lecz rozgłos; i najbardziej odpychająca ze zbrodni, dobrze ukryta, ma nieskończenie mniej niedogodności niż najdrobniejsza słabość ujawniona. Spójrz teraz na inny przypadek: wyposażony w pełnię swych zmysłowych władz hipotetyczny uczeń widzi obiekt, który mu odpowiada, rodzice mu go odmawiają; przyzwyczajony nadawać swej wrażliwości cały możliwy zakres, będzie zabijał, truł wszystkich, którzy -broniąc teraz dostępu do obiektu - będą krzyżować jego plany, i stanie się łajdakiem; w obu przypadkach, jak widać, zakładam najgorsze: podaję tylko jeden przykład niebezpieczeństwa jednej i drugiej sytuacji, i pozostawiam umysłowi zestawienie innych danych. Jeśli, dokonawszy kalkulacji, zgodzisz się, a nie mogę sądzić inaczej, że należy stłumić całą wrażliwość ucznia, to pierwszą gałęzią drzewa, którą należy obciąć, nieuchronnie będzie litość. A czym w istocie jest litość? Uczuciem czysto egoistycznym, które skłania nas do oplakiwania u innych zła, jakiego obawiamy się ze względu na siebie. Wskaż mi w świecie jakąś istotę, która ze swej natury może być wolna od wszelkiego zła przydarzającego się ludzkości, a istota ta nie tylko nie będzie znała żadnego rodzaju litości, ale nawet nie będzie mogła jej pojąć; jeszcze lepszym dowodem na to, że litość jest tylko wzruszeniem czysto biernym, odcisniętym na rodzaju nerwów, z racji czy według proporcji nieszczęścia przydarzającego się bliźniemu, jest to, że zawsze będziemy bardziej wrażliwi na to nieszczęście, jakie przydarzyło się na naszych oczach, nawet nieznanemu, niż na to, jakiego mógłby doświadczać w odległości stu mil od nas najlepszy przyjaciel; a skąd ta różnica? Czyż nie zostało dowiedzione, że uczucie to jest tylko fizycznym rezultatem oddziaływania przypadku na nasze nerwy; pytam więc, czy takie uczucie samo w sobie może

mieć coś godnego szacunku i czy można je widzieć inaczej niż jako słabość? Co więcej, to uczucie bardzo bolesne, ponieważ rodzi się w nas tylko przez porównanie, które doprowadza nas do nieszczęścia. Jego wygaśnięcie, przeciwnie, wytwarza przyjemność, gdyż pozwala spojrzeć z zimną krwią na stan, z jakiego się wyrwaliśmy i jaki umożliwia wówczas odważne porównanie..., wnet ulegające zniszczeniu, gdy poddamy się słabości do tego stopnia, by oplakiwać nieszczęśnika, co czynimy tylko wskutek okrutnej myśli, że nazajutrz może się nam przydarzyć to samo. Lekceważmy tę złudną obawę, umiejmy bez strachu stawić czoło temu niebezpieczeństwu nam grożącemu i nie oplakujmy go już u innych.

Innym dowodem na to, że uczucie to jest tylko słabością i małodusznością, jest jego bardzo szczególna przynależność kobietom i dzieciom, i odraza, jaką żywią do niego ci, których organy zyskały całą stosowną siłę i żywość. Z tej samej racji biedak, bliższy nieszczęśliwemu niż bogacz, z natury ma duszę bardziej podatną na zło, jakie ręka losu gotuje jego zamiarom; ponieważ zło to jest mu bliższe, ma on dla innych więcej współczucia. Wszystko to więc dowodzi, że litość, nie będąc bynajmniej cnotą, jest tylko słabością zrodzoną z lęku i nieszczęścia..., słabością, którą jako pierwszą należy usunąć, gdy pracuje się nad stępieniem zbyt wielkiej wrażliwości jego nerwów, zupełnie nie dającej się pogodzić z zasadami filozofii.

Julietto, oto zasady, które doprowadziły mnie do tego spokoju..., tego wychnienia namiętności..., do tego stoicyzmu, pozwalającego mi teraz czynić wszystko i wszystko znosić bez emocji; spiesz się więc wciągnąć w te sekrety - kontynuowała ta urocza kobieta, nie wiedząc jeszcze, jak daleko doszłam w tym punkcie. - Spiesz się unicestwić to głupie współczucie, które dręczyłoby cię przy najmniejszym spektaklu nieszczęścia, jaki jawiłby się twym oczom; doszedłszy do tego, mój aniele, dzięki ciągłym doświadczeniom, które wnet cię przekonają o krańcowej różnicy między tobą a tym obiektem, nad którego smutnym losem lamentujesz, przekonaj się, że łyż, jakie wylewasz nad tym indywiduum, jego nie wspomagają, a ciebie przygnębiają; że pomoc, jakiej byś mu udzieliła, twym zmysłom w istocie mogłaby dać tylko przyjemność pozbawioną smaku, a że z jej odrzucenia mogłaby się narodzić przyjemność bardzo żywa. Bądź pewna, że to wyciąganie z klasy ubogich tych, których natura chciała w niej umieścić, jest naruszaniem porządku natury; że jako w pełni mądra i konsekwentna we wszystkich swych działaniach ma ona co do ludzi zamiary, których poznanie i których krzyżowanie nie do nas należy; że jej zamiary co do nas realizują się w nierówności sił, której nieuchronnie towarzyszy nierówność fortun i kondycji. Powołaj się, Julietto, na dawne przykłady, twój umysł jest w nie bogaty; przypomnij sobie swe lektury. Przypomnij sobie cesarza Licyniusza, który pod najstraszliwszymi karami zakazał współ-

czucia biednym i wszelkiego rodzaju wspomaganie ubóstwa. Przypomnij sobie tę sektę filozofów greckich, którzy twierdzili, że zamiar naruszania ustalonych przez naturę niuansów w różnicach klas ludzi jest zbrodnią; i gdy dojdiesz w tym do tego samego punktu co ja, przestań opłakiwać utratę cnót zrodzonych przez litość; gdyż w tych cnotach, mających za podstawę wyłącznie egoizm, nie ma nic godnego szacunku; skoro nie jest bynajmniej pewne, że nieszczęśnik, którego natura wtrąca w niedolę, może z niej wydobyć jakieś dobro, to prościej stłumić uczucie czyniące nas wrażliwym na jego niedolę, niż pozwalać mu kiełkować, w przekonaniu, że jeśli mu współczujemy, to niwecząc widoki natury, być może ją obrażamy; co więcej, powinniśmy dojść do takiego stanu, w którym na to zło patrzymy już tylko z obojętnością. Ach! droga przyjaciółko, gdybyś tak jak ja miała siłę uczynić jeszcze jeden krok, gdybyś miała odwagę znaleźć przyjemność w kontemplowaniu zła dotykającego innych, wystarczyłoby tylko to zadowalające wyobrażenie, by samej go nie doświadczać, wyobrażenie, które z koniecznością przynosi niewątpliwą rozkosz; gdybyś mogła do tego dojść; niewątpliwie wiele zyskałabyś dla swego szczęścia, skoro posiadałabyś umiejętność zmieniania niektórych kółców życia w róże; ani przez chwilę, moja droga, nie miej wątpliwości, że Denisowie, Neronowie, Ludwikowie, Tyberiusze, Waclawowie, Herodowie, Andronikowie, He-liogabale, Retzowie itd., byli szczęśliwi dzięki tym zasadom i że jeśli bez drżenia mogli czynić te wszystkie okropności, to z pewnością dzięki temu, że potrafili rozpalic rozkosz od pochodni swych zbrodni. To były potwory, zarzucą mi głupcy? Tak, zgodnie z naszymi obyczajami i naszym sposobem myślenia, ale w odniesieniu do wielkich zamiarów natury względem nas byli oni tylko narzędziami realizacji jej planów; właśnie po to, by wypełniali jej prawa, wyposażyła ich ona w te okrutne i krwiożercze charaktery. Toteż choć wydaje się, że uczynili wiele zła, jeśli sądzić podług praw ludzkich, których celem jest zachowanie człowieka, nie uczynili żadnego, jeśli sądzić podług praw natury, których celem jest zniszczenie przynajmniej tego, co ona sama stworzyła; przeciwnie, czynili rzeczywiste dobro, gdyż spełniali jej zamiary; wynika z tego, że indywiduum, które miałoby charakter podobny do charakteru tych rzekomych tyranów lub które potrafiłoby tak wynieść własny, nie tylko uniknęłoby wielkiego zła, lecz w spełnieniu jej systemów znalazłoby nawet źródło bardzo silnej rozkoszy, jakiej mogłoby się oddać z tym mniejszą obawą, że pewne byłoby, iż wskutek swych okrucieństw bądź chaosu staje się ono równie użyteczne naturze, jak najuczciwszy z ludzi dzięki swej dobroczynności i swym cnotom. Podsycaj to wszystko działaniami i przykładami; przyglądaj się często nieszczęśnikom; przyzwyczaj się odmawiać im pomocy, aby twa dusza przywykła do spektaklu cierpienia pozostawionego samemu sobie; ośmiel się sama stać się winna kilku straszliwych okrucieństw, a wnet zobaczysz, że

zestawiwszy wywołane zło, które wcale cię nie dotyka, i spowodowany przez to zło wstrząs, który twym nerwom pozwolił doznać rozkosznego drżenia, wystarczy tylko zło, jakie ci to przyniosło, porównać z dobrem, a obróci się ono na twoją korzyść; choćby tylko z tego powodu, jak mówię, nie wolno ci się wahać ani chwili; wówczas twa wrażliwość niepostrzeżenie się stępi, nie będziesz uprzedzona do wielkich zbrodni, skoro, przeciwnie, będziesz zdolna je popełnić i je popełnisz; ale przynajmniej uczynisz to z flegmą, w tej apatii, która pozwala namiętnościom się skryć i która, wprawiając cię w stan umożliwiający zaaranżowanie ich następstw, ustrzeże cię przed wszelkimi niebezpieczeństwami.

- Och, Clairwil! wydaje mi się, że przy takim sposobie myślenia nie zrujnowałaś się dobrymi uczynkami.

- Jestem bogata - odparła ta wspaniała kobieta... - do tego stopnia, że nie bardzo wiem, ile posiadam. Cóż! Julietto, przysięgam ci, że wołałabym wrzucić moje pieniądze do rzeki, niż użyć ich do tego, co głupcy nazywają jałmużną, zapomogą czy miłosierdziem; uważam to wszystko za bardzo szkodliwe dla ludzkości, zgubne dla biedaków, kto-

rym takie obyczaje odbierają energię, a jeszcze bardziej niebezpieczne dla bogacza, który uważa, że posiada wszelkie cnoty, gdy kilka talarów da księżom lub próżniakom; to pewny środek ukrycia wszelkich własnych występków poprzez zachęcanie do nich innych.

- Czarująca kobieto! - powiedziałam do mej przyjaciółki - jeśli wiesz, na czym polega moja służba u ministra, to czy możesz sobie wyobrazić, że moja moralność w odniesieniu do przedmiotów, o jakich mówiłaś, nie jest znacznie bardziej czysta niż twoja.

- Z pewnością - odparła - znam wszystkie posługi, jakie oddajesz Saint-Fondowi; od dawna będąc jego przyjaciółką, podobnie jak Noirceuila, jakże mogłabym nie wiedzieć, w jakiej rozpuście nurzają się ci dwaj zbrodniarze...

## DELCOUR, KAT Z NANTES

Zaledwie zdążyłam się urządzić na tej wsi, odizolowanej zewsząd i odosobnionej niczym pustelnia, gdy jeden ze służących uprzedził mnie o przybyciu dobrze ubranego mężczyzny, który prosił o rozmowę ze mną, oświadczając, że przysłała go minister.

Przyjęłam go od razu i odpieczętowałam list:

„Niech twoja służba - czytałam w nim - zajmie się natychmiast człowiekiem, który ci to odda; niech go zamkną w lochu, jaki kazałem wybudować w twym domu; własnym życiem odpowiadasz za tę osobę; wkrótce przybędzie jego żona i córka, potraktuj je tak samo. Pamiętaj wypełnić me rozkazy z największą dokładnością; użyj zwłaszcza całej obłudy, całego okrucieństwa, do czego, jak wiem, jesteś zdolna. Do zobaczenia”.

- Panie - powiedziałam do doręczyciela listu, nie dając mu poznać po sobie najlżejszego wahania -jesteś zapewne przyjacielem Jego Wysokości?

- Od dawna, pani, zaszczyca on swą uprzejmością mnie i moją rodzinę.

- Widzę to po jego liście, panie... Pozwolisz, że wydam służącym stosowne polecenia, by przyjąć cię tak, jak, sądzę, życzy on sobie.

Poprosiłam go, by spoczął, i wyszłam.

Ludzie, którzy u mnie służyli, raczej niewolnicy niż służba, zaopatrzyli się w sznury i wraz ze mną weszli do apartamentu.

- Pozwól, panie - powiedziałam - do pokoju, jaki przeznaczył ci Jego Wysokość.

I łajdacy, rzucając się natychmiast na tego nieszczęśnika, zawlekli go na mych oczach do najpotworniejszego lochu.

- Och! Pani, to zdrada, okropność - wykrzykiwała ta nieszczęsna ofiara fałszywości Saint-Fonda i mojej.

Ja jednak, niewzruszona i nieczuła na jego skargi, ślepo posłuszna rozkazom ministra, gotowego mnie uwięzić, ani słowem nie odpowiedziałam na wszystkie pytania, jakimi mnie zasypał.

Zaledwie wróciłam do salonu, gdy na podwórze wjechał powóz. Przybyły żona i córka tego nieszczęśnika, tak jak on w dobrej wierze przynoszące mi listy z dokładnie takimi samymi rozkazami. Saint-Fon-dzie, powiedziałam do siebie, ujrzawszy obie te kobiety, podziwiając urodę matki, kobiety zaledwie trzydziestosześcioletniej, oraz wdzięk i urok córki, mającej najwyżej szesnaście lat, ach! Saint-Fondzie, czy wypełniając ministerialne obowiązki, nie posunąłeś się za daleko w swej przeklętej i zbrodniczej lubieżności? I czy

tutaj, tak jak we wszystkich w życiu poczynaniach, za przewodnika nie masz raczej występków niż umiłowania ojczyzny?

Trudno byłoby mi opisać krzyki i lamenty tych dwu nieszczęśnic, gdy haniebnie zawleczono je do lochu, który im także był przeznaczony; równie jednak niewrażliwa na łzy żony i córki, jak na łzy ojca, przedsięwzięłam podobnie surowe środki ostrożności i uspokoiłam się zupełnie dopiero wówczas, gdy wszystkie klucze znalazły się w mojej kieszeni.

Rozmyślałam nad losem tych trojga, nie przypuszczając, że może chodzić o coś innego niż uwięzienie - mnie zaś pociągały egzekucje, o planach zaś wobec nich nie zostałam uprzedzona - gdy zaanonsowano czwartą osobę. Boże! Jakże byłam zaskoczona, rozpoznawszy mężczyznę, któremu Saint-Fond, gdy zjawiłam się u niego po raz pierwszy, kazał, jak pamiętacie, trzykrotnie uderzyć mnie laską w ramię; osobnik ów przyniósł list, który natychmiast przeczytałam.

„Przyjmij jak najlepiej tego człowieka - pisał Saint-Fond - musisz go pamiętać, od jakiegoś czasu nosisz ślady jego rąk, to jego ręce wydały cię mym namiętnościom, gdy po raz pierwszy zabawiałem się z tobą w mym domu. Będzie on głównym aktorem krwawego przedstawienia, jakie ma się jutro rozegrać. Jednym słowem, to kat z Narites, przybyły na mój rozkaz w celu wykonania egzekucji na trzech osobach, które masz teraz pod kluczem. Zobowiązany, pod groźbą utraty stanowiska, do zanieśienia pojutrze ich głów królowej, sam - jak wiesz - chętnie wziąłbym na siebie wykonanie wyroku, gdyby Jej Wysokość nie wyraziła najgorętszego pragnienia, by dostać je z rąk kata. Dlatego właśnie nie życzo no sobie kata z Paryża. Delcour nie zna powodów, które sprowadziły go do twego domu. Możesz go teraz poinformować, ale nie pozwól mu obejrzeć ofiar: to najważniejszy warunek. Przybędę na pewno jutro rano. Więźniów, zwłaszcza kobiety, traktuj z największą surowością; niech mają tylko chleb..., wodę i nie oglądaj ą światła dziennego”.

- Panie - zwróciłam się do przybysza - minister ma rację, pisząc w liście, że już się znamy... Pewnego dnia potraktowałeś mnie w sposób...

- Och! Pani, wybacz, wykonywałem rozkazy...

- Nie mam ci tego za złe - przerwałam, podając mu dłoń, którą gorąco ucałował... - Ale pora na obiad; siądźmy do stołu, porozmawiamy później.

Delcour był przystojnym dwudziestoosmioletnim mężczyzną i zarówno jego wygląd, jak i profesja szybko rozpa liły mi głowę. Względy, jakie mu okazałam, zawdzięczał memu sercu; po obiedzie zaczęłam go w najrozkoszniejszy sposób uwodzić. Delcour przekonał mnie wkrótce o powodzeniu tych zabiegów. Jego obcisłe spodnie zadziwiająco się uwypukliły, nie



mogłam wytrzymać...

- Psiakrew! - powiedziałam. - Mój drogi, zobaczmy, co tam masz. Ten wspaniały kutas rozpala mi głowę, twoja profesja wręcz ją rozplomienia; ogromnie pragnę, byś mnie posiadał.

Wzięłam natychmiast ten wspaniały instrument i najpierw, jak miałam zwyczaj postępować ze wszystkimi mężczyznami, zaczęłam mu obciążać, ale ledwo mieścił mi się w ustach. Gdy tylko jego kutas się w nich znalazł, Delcour zabrał się za lizanie mej szpary, i po kilku chwilach oboje wpadliśmy w uniesienie. Ujrzawszy jak pochłaniam jego spermę, uroczy młody człowiek rzucił się na mnie z zapalem.

- Ach, psiakrew! - wykrzyknął. - Zgubił mnie zbyt ni pośpiech, ale chcę naprawić błąd.

I szelma, któremu nawet nie opadł, przewrócił mnie na szeroką berżerkę, przywarł do moich ust, jeszcze zwilżonych spermą, i włożył mi w pizdę zupełnie sztywny członek, co rzadko się zdarza, gdy na czubku jest jeszcze kropla: dotąd nikt tak wspaniale mnie nie rznął. Delcour robił to trzy kwadransy, wreszcie wycofał się przezornie, czując, że zaraz się spuści, a ja ponownie wlałam sobie w usta gęstą spermę, którą zawdzięczałam mej szparze, i drugą porcję połknęłam z równą rozkoszą jak pierwszą.

- Delcour - powiedziałam, wróciwszy nieco do siebie - muszę z tobą pomówić o mej ekstrawagancji. Jesteś zapewne zaskoczony śmiałością, z jaką cię przyjął. Tak swobodne zachowanie, tak szybko okazane względy mogą sprawić, że weźmiesz mnie za zwykłą dziwkę. Choć gardzę tym, co głupcy nazywają reputacją, to jednak nie chcę cię pozostawiać w nieświadomości: otóż ten szczęśliwy los zawdzięczasz nie tyle mej kokieterii, nie tyle mym zmysłom, ile memu umysłowi: na nieszczęście to umysł bardzo osobliwy. Jesteś mordercą..., katem..., zresztą bardzo przystojnym, i wspaniale ci stoi... No dobrze! Powiem ci to..., tak, to właśnie twoja profesja rzuciła mnie w twe ramiona. Możesz mną gardzić, brzydzić się mną, kpię z tego: zerznąłeś mnie, to wszystko, czego pragnęłam.

- Aniele niebiański - odparł Delcour - nie, nie gardzę tobą ani nie czuję do ciebie niechęci, nie zasługujesz na takie uczucia. Uwielbiam cię, bo jesteś tego godna, i tylko żałuję, że uniesienie twe zawdzięczam wyłącznie temu, co w oczach innych mnie poniża...

- Jakież to ma znaczenie - powiedziałam - wszystko to kwestia poglądów, a te, jak widzisz, są zmienne, skoro odpowiadasz mi właśnie dzięki temu, co odsuwa cię od reszty ludzi. Potraktuj to więc wyłącznie jako rzecz rozpusty: moje przywiązanie do ministra, rodzaj naszego współżycia, nie pozwalają mi na żadne intrygi, i z pewnością nigdy nie będę ich knuć. Weźmy tego wieczora i tej nocy wszystko, co możliwe, i poprzestańmy na tym.

- Ach! Pani - powiedział wówczas ów młody człowiek z najwyższym szacunkiem -

proszę tylko o twą protekcję i łaskawość.

- Zawsze będziesz miał i jedno, i drugie, musisz jednak poddać się w pełni całemu rozprężeniu mej wyobraźni, a uprzedzam, że przy tobie, właśnie z powodu przewyciężenia przesądu, posunie się ona, być może, jeszcze dalej.

I gdy po chwili Delcour zaczął jedną ręką obmacywać me piersi, drugą zaś drażnić łechtaczkę, od czasu do czasu wciskając język w me usta, poradziłam mu, by posłusznie odpowiadał na pytania, jakie miałam mu zadać, i by mówił prawdę.

- Powiedz mi najpierw, czemu wówczas, gdy widziałam cię po raz pierwszy, Samt-Fondowi przyszedł do głowy dziwny pomysł, by kazać ci uderzyć mnie w ramię.

- To rzecz libertynizmu, pani, podnieta wyobraźni: znasz ministra.

- Zatrudnia cię on w swych scenach rozpusty?

- Ilekroć jestem w Paryżu.

- Posiadł cię?

- Tak, pani. -A ty j ego?

- Oczywiście.

- Biłeś go, chłostałeś?

- Często.

- Och, do diabła! Podnieca mnie to...! Pieść mą łechtaczkę, pieść... Czy kazał ci bić albo chłostać inne kobiety?

- Wielokrotnie.

- Czy posuwaliście się dalej?

- Pozwól, pani, że uszanuję sekrety ministra; gdy zna się go równie dobrze jak ty, łatwo wszystko odgadnąć.

- Czy słyszałeś, by snuł jakieś plany przeciwko mnie?

- Och! Nigdy, pani! Obdarza cię wyłącznie zaufaniem i czułością, zaręczam, że bardzo cię kocha.

- Odplacam mu tym samym..., uwielbiam go i mam nadzieję, że jest o tym przekonany. Pomówmy o czymś innym, skoro chcesz, bym uszanowała wasze sekrety. Powiedz mi, proszę, jak możesz targnąć się na życie kogoś, kto nigdy ci niczego nie uczynił? Czy w głębi duszy nie masz litości dla nieszczęśnika, którego prawo każe ci zabić z zimną krwią?

- Bądź pewna, pani - odparł Delcour - że nikt z nas nie osiągnąłby takiego stopnia świadomego okrucieństwa, gdyby nie kierował się zasadami, które innym ludziom są, być może, nieznanne.

- Zasady? To właśnie chcę wiedzieć: jakież to zasady?

- Mają one źródło w całkowitym zaprzeczeniu człowieczeństwa. Od dzieciństwa uczy się nas mieć życie ludzkie za nic, prawo zaś za wyrocznię; w wyniku tego zabijamy bliźnich z taką samą łatwością, z jaką rzeźnik zabija wołu, zbytnio się nad tym nie zastanawiając.

- Czy wszak na to, na co pozwalacie sobie egzekwując prawo, pozwolilibyście sobie również dla zaspokojenia własnych skłonności?

- Oczywiście, pani, gdy tylko znika przesąd, nie uważamy już morderstwa za jakiegokolwiek zło.

- Jakże można nie widzieć zła w niszczeniu bliźnich?

- Zapytam cię ze swej strony, pani, jakże można je w tym dostrzegać? Gdyby jedną z pierwszych sił natury nie było niszczenie wszelkich istot, mógłbym zapewne sądzić, że niszcząc obraża się tę niezrozumiałą naturę; ponieważ jednak nie ma ani jednego procesu natury, który by nie dowodził, że niszczenie jest w naturze konieczne i że może ona tworzyć wyłącznie mocą niszczenia, to z pewnością każda istota, która odda się niszczeniu, będzie tylko naśladować naturę. Powiem więcej: ten, kto by się od tego uchylał, ciężko by ją obraził; a jeśli, o czym nie można wątpić, właśnie niszczenie dostarcza jej środków do tworzenia, to z pewnością im więcej niszczymy, tym lepiej służymy jej zamysłom. Jeśli mord jest podstawą właściwych naturze mocy odradzania się, to z całą pewnością człowiekiem najlepiej służącym naturze będzie morderca, a im więcej dokona on mordów, tym lepiej spełni nakazy natury, której jedynymi potrzebami są morderstwa.

- To bardzo niebezpieczne poglądy.

- Ale prawdziwe, pani... Jeśli ktoś kiedyś rozwinie je bardziej niż ja, zobaczysz, że zawsze wyjdzie od tych samych podstaw.

- Mój drogi - rzekłam do Delcoura - powiedziałeś dość, by skłonić mnie do zastanowienia. Jedna myśl podsunięta umysłowi takiemu jak mój to niczym iskra rzucona na beczkę prochu, mam wyraźne skłonności, by myśleć tak jak ty... Znajdują się tutaj trzy ofiary, a ty jesteś w zamku po to, by je zgładzić; zapewniam cię, że będę miała ogromną przyjemność widząc, jak się do nich zabierzesz. Ale proszę cię, mój drogi, wyjaśnij mi to wszystko na tyle, na ile tylko zdołasz. Czyż nie jest prawdą, że właśnie z pomocą libertynizmu udało ci się pokonać naturę, a raczej przesąd? Dowiodłeś mi bowiem jasno, że morderstwo raczej służy naturze niż ją obraża.

- Co chcesz przez to powiedzieć, pani?

- Pytam cię, czy nie jest rzeczą zupełnie pewną, jak zrozumiałam, że oddając się libertynizmowi, doszedłeś do tego, że odurzasz się morderstwami, które popelniać każe ci twa

profesja: jednym słowem, czy nie jest prawdą, że ich dokonanie zawsze cię podnieca?

- Oczywiście, pani, libertynizm prowadzi do zbrodni. To pewne, że człowiek osłabiony może odzyskać siły, popełniając właśnie to, co głupcy nazywają zbrodnią; jest tak dlatego, że przenosząc na nasze nerwy wstrząsy wywołane w kimś innym, a odniesione do zmysłu, który najsilniej nas pobudza, nieuchronnie odzyskać musimy siły utracone wskutek występków. Morderstwo jest więc rzeczywiście jednym z naj-rozkoszniej szych nośników libertynizmu, nie jest jednak prawdą, że aby je popełnić, zawsze trzeba mieć głowę nabitą libertynizmem. Dowodzi tego zimna krew, z jaką zabijają wszyscy nasi pobratymcy..., kierując się namiętnością całkiem innego rodzaju niż namiętność libertynizmu, pobudzającą więc tych, którzy oddają się temu występкови z powodu ambicji, zemsty bądź chciwości, a nawet tych, dla których pobudką jest zwykle okrucieństwo, nie mające podstaw w żadnej innej namiętności. Jak widzisz, pozwala to wskazać kilka kategorii morderstw, wśród których libertynizm obejmuje osobną, co jednak nie przeszkadza nam wnosić, że żadne z tych morderstw nie obraża natury, każde bowiem, bez względu na rodzaj, raczej współtworzy jej prawa niż je gwałci.

- Wszystko, co mówisz, jest słuszne, Delcour, twierdzą jednak, że ze względu na korzyść płynącą z tych morderstw byłoby pożądane, by ten, kto je popełnia, rozpałał swój szal wyłącznie od płomienia rozwiązłości, gdyż namiętność ta nigdy nie przynosi wyrzutów sumienia, a jej wspomnienie jest przyjemnością. W przypadku innych namiętności, gdy wyczerpie się ich energia, często gryzą nas wyrzuty sumienia, zwłaszcza wówczas, gdy nie ma się trwałych zasad. I rzeczywiście, łatwo byłoby wówczas odwrócić się od zbrodniczych działań, gdyby nie pobudka libertynizmu. Wydaje mi się, że można by zabijać z dowolnego powodu, zawsze jednak w stanie podniecenia, co wzmacnia nasz czyn i zapobiega dręczącym wyrzutom, które nigdy nie dosięgają libertynizmu. .. i nie domagają się jego pomsty.

- Sądziż zatem - powiedział Delcour - że rozwiązłość może wzmacniać lub podsycać namiętności?

- Jest ona dla namiętności tym, czym nerwowy fluid dla życia, wszystkie je pobudza, wszystkim użycza sił; dowodzi tego fakt, że mężczyzna pozbawiony jaj nie posiadałby namiętności.

- Uważasz więc, że można być ambitnym, okrutnym, chciwym, mściwym z tych samych powodów, co w przypadku rozwiązłości.

- Tak, jestem przekonana, że wszystkie te namiętności wywołują podniecenie, a każda z nich może rozpałać żywy i bystry umysł tak, jak to czyni rozwiązłość. Nie mówię tutaj o niczym, czego bym nie doświadczyła: onanizowałam się aż do całkowitego wyczerpania,

powodowana ambicją, okrucieństwem, chciwością i pragnieniem zemsty. Nie ma takiego zamysłu zbrodni, bez względu na popychającą do niej namiętność, który by nie sprawiał, że w mych żyłach zaczyna krążyć subtelny ogień lubieżności: takie skutki powodowało kłamstwo, bezbożność, oszczerstwo, oszustwo, nieczułość duszy, a nawet obżarstwo. Jednym słowem, nie istnieje taki rodzaj występku, który by nie rozbudzał we mnie lubieżności; albo też, jeśli wolisz, jej pochodnia, wzniciwszy we mnie pożar wszystkich występków, rozpalając w nich sobie tylko właściwy boski ogień, przeniknęła je wszystkie tym rozkosznym odczuciem, którego niegodziwcy oczekują, jak się wydaje, wyłącznie z jej rąk. Jestem o tym przekonana.

- Ja także, pani - odparł Delcour - nie mógłbym dłużej tego ukrywać.

- Jestem ci wdzięczna za szczerość. Sądzę, mój drogi, że znam cię teraz dostatecznie, by mieć pewność, iż wówczas gdy dokonujesz zleconych ci morderstw, jednocześnie oddajesz się libertynizmowi, co pozwala ci czerpać z nich znacznie większą rozkosz niż twoim pobratymcom, którzy zabijają beznamiętnie.

- No dobrze, pani, przejrzałaś mnie.

- Zbrodniarzu - powiedziałam, uśmiechając się i ponownie biorąc kutasa tego młodego człowieka, którego zaczęłam brandzlować, ażeby dodać mu nieco energii... - O, wspaniały libertynie! Oznacza to, że dziś znajdziesz podniecie w rozkoszowaniu się moim istnieniem, a jutro spuściłbyś się, pozbawiając mnie życia...

A widząc zakłopotanie Delcoura, dodałam:

- Mój drogi, w pełni akceptując twe zasady, muszę ci wybaczyć to wszystko, co z nich wynika: cieszymy się więc konsekwencjami i nie rozmawiamy już o nich.

Głowę miałam nieprawdopodobnie rozpaloną.

- Śmiało - ciągnęłam musisz zrobić ze mną rzeczy zupełnie niezwykle.

- Co mianowicie?

- Musisz mnie bić, musisz mnie znieważać, musisz mnie chłostać, czy nie czyniłeś tego zawsze z dziewczętami? Czy to nie te właśnie rozkosze, którymi splamiłeś się z innymi, tak cię elektryzują, że zdolny jesteś dokonać więcej?

- Owszem.

- Jutro czeka cię poważne zadanie, przygotuj się więc do niego dzisiaj: oto moje ciało, oddaję ci je.

I Delcour, posłuszny moim rozkazom, zaaplikował mi na wstępie tuzin policzków i tyleż kopniaków, chwycił bat i przez kwadrans zdierał mi nim skórę z pośladków, podczas gdy jedna z kobiet mnie lizała.

- Delcour - powiedziałam - o boski niszczycielu rodzaju ludzkiego! Ty, którego

wielbię i którym chcę się rozkoszować, bij mocniej swą ladacznicę, odcisnij na niej ślady swej ręki, widzisz, że płonie pragnieniem ich noszenia. Robi mi się mokro na samą myśl, że twe palce spłyną mą krwią, nie oszczędzaj mnie, mój kochany...!

Krew trysnęła... Och, moi drodzy! W jakież wpadłam uniesienie. Żadne słowa nie wyrażą oszołomienia, w jakie wprawiły mnie te poczynania: trzeba mego umysłu, by je podjąć, waszych, by je pojąć. Trudno sobie wyobrazić, jak wiele soków straciłam w ustach liżącej mnie dziewczyny. W głowie miałam zamęt..., ogarnęło mnie wzburzenie..., podniecenie, nigdy w życiu nie byłam w takim stanie...

- Och! Delcour- ciągnęłam-pozostaje ci jeszcze oddać mi ostatni hołd, zbierz siły, by się do tego zabrać. Ta dupa, którą okaleczyłeś, przywołuję cię, proszę, byś ją ukoił. Wenus, jak wiesz, ma na Cyterze niejedną świątynię: otwórz więc świątynię sekretną, weź mnie od tyłu. Chodź, Delcour..., niech nie będzie ani jednej rozkoszy, której byśmy nie zakosztowali, ani jednej okropności, której byśmy nie popełnili.

- Ach! Psiakrew - wykrzyknął Delcour w uniesieniu - nie śmiałem ci tego, pani, proponować, ale spójrz, jak udziela mi się tve podniecenie.

I rzeczywiście, mój amant pokazał mi najbardziej jędrnego i najdłuższego kutasa, jakiego kiedykolwiek widziałam...

- Najdroższy liberytynie - powiedziałam - a więc lubisz tyłek!

- Ach! Pani, czy istnieje w świecie wyborniejsza rozkosz?

- Dobrze wiem, mój drogi - odparłam - że gdy przyzwyczajymy się lekceważyć jedno z prawa natury, prawdziwą rozkosz dać nam może tylko przekraczanie ich wszystkich po kolei...

Delcour, zauroczony ołtarzem, który całkowicie mu powierzyłam, obsypał go, choć pośladki broczyły krwią, najrozkoszniejszymi pieszczotami. Gwałtowne ruchy jego języka w dziurce rozpałiły mnie. Dziwka, której się oddałam, robiła to samo z moją łechtaczką. Nie mogłam już wytrzymać, byłam wyczerpana, ale nie znalazłam ukojenia i przestałam się troszczyć o Delcoura: tak bardzo go pragnęłam, jak wielkie budził we mnie przerażenie. Oto efekt nienormalnych pragnień: im bardziej rozpałają nam głowę, tym większą pozostawiają w niej pustkę. Głupcy widzą w tym dowody istnienia Boga, ja znajduję tylko najpewniejsze dowody materializmu: im bardziej ponizacie nasze istnienie, tym mniej uważam je za dzieło Boga.

Delcour wrócił do swego apartamentu, a ja zatrzymałam mą lesbijkę na noc. Saint-Fond przybył nazajutrz około południa, odesłał służbę i powóz, i zjawił się w salonie, by się ze mną przywitać. Trochę zaniepokojona, jak przyjmie drobny wybryk, na jaki pozwoliłam

sobie z Delcourem, wszystko mu wyznałam.

- Julietto - powiedział - zganiłbym cię, gdybym cię nie uprzedził, że do wszystkich szalonych pomysłów, jakie ci przychodzą do głowy, odnoszę się z największym pobłażaniem. Pozwoliłaś sobie na rzecz całkiem zwyczajną, jedynym twoim błędem jest to, że zawierzyłaś Del-courowi, który mógłby okazać się niedyskretny. Młody Delcour, o czym powinnaś wiedzieć, był przez dwa lata moim fagasem. Jest on synem kata z Nancy, myśl o tym mnie podniecała, wziąłem więc jego dziewictwo, a gdy się nim znudziłem, oddałem go w ręce kata Paryża, którego był pomocnikiem aż do śmierci swego ojca. Dziś zajął jego miejsce. To chłopiec, któremu nie brak rozumu, ale jest nadmiernie libertyński i jak ci już powiedziałem, nie budzi zaufania. A teraz muszę cię poinformować o więźniach, którym mamy zadać śmierć.

## ROZPRAWA CLAIRWIL O PIEKLE. SYSTEM SAINT-FONDA

- Nie istnieje życie pośmiertne, Saint-Fondzie - odparłam wówczas, przypominając sobie filozoficzne zasady przyswojone w dzieciństwie. - Owo urojenie przechowywane jest jedynie w wyobraźni ludzi, którzy ulegając mu, dali tylko wyraz swemu pragnieniu życia po śmierci, ażeby móc cieszyć się wówczas szczęściem trwalszym i czystszy niż to, jakiego zakosztowali na ziemi. Po pierwsze, cóż to za żalostny absurd wierzyć w jednego Boga?! Po drugie zaś -roić sobie, że ów Bóg rezerwuje nieskończone mąki dla całej rzeszy ludzi?! A przecież religia każe im się spodziewać, że ów dziwaczny Bóg, owoc ich łatwowierności bądź szelmostwa, uczyniwszy ich nieszczęśliwymi na tym świecie, zrobi z nich w dodatku pokutników w zaświatach! Owszem, podejmowane są wysiłki, by wyłgać się z tej niedorzeczności. Twierdzi się, że Bożą dobroć zastąpi wówczas sprawiedliwość. Wszelako dobroć, która ustępuje miejsca najstraszliwшему okrucieństwu, nie jest już nieskończoną dobrocią. A poza tym, czy Bóg, który będąc najpierw nieskończenie dobry, staje się potem nieskończenie zły, może być uważany za istotę niezmienną? Czy Bóg przepełniony wściekłością mógłby być bytem, w którym da się dostrzec znamiona łagodności lub dobroci? Zgodnie z nauką teologów wydaje się oczywiste, że Bóg stworzył ogromną liczbę ludzi tylko po to, by umożliwić im ściąganie na siebie piekielnych kar. Czyż nie byłby on o wiele bliższy dobroci, rozumowi, prawości, gdyby stworzył tylko kamienie i rośliny, zamiast ludzi, których postęпки zagrożone są niekończącymi się męczarniami? Bóg na tyle perfidny, na tyle niegodziwy, że stworzył człowieka i pozwolił, by postępował on w sposób obarczony ryzykiem wiecznego potępienia, nie może uchodzić za istotę doskonałą. Winien być natomiast traktowany jak monstrum nierozumu, nieprawości, złościwości i okrucieństwa. Dalecy od wymyślenia doskonałego Boga, teologowie skonstruowali więc tylko odrażającą chimerę. I dopełnili swego marnego dzieła, wyposażając tego potwornego Boga w zamysł wiecznego karania. Okrucieństwo, które jest składnikiem naszych rozkoszy, ma przynajmniej jakieś motywy. Dają się one wskazać i są nam znane. Lecz Bóg nęka swe ofiary całkiem bezinteresownie, nie ma bowiem powodu karać istot, które nie mogą ani naprawdę zagrozić jego władzy, ani zakłócić jego szczęśliwości. Z drugiej strony, kary na tamtym świecie wydają się bezużyteczne, gdy chodzi o żywych, skoro nie mogą oni ich poznać. Są też mało pedagogiczne, gdy chodzi o potępionych, ponieważ w piekle nie można się nawrócić, a czas domniemanego miłosierdzia tego Boga już tam nie obowiązuje. Wynika stąd, że Bóg ćwiczący się w wiecznej pomście miałby na celu jedynie własną rozkosz i szyderstwo ze



słabości swych stworzeń. Tak więc twój nikczemny Bóg, działający okrutniej niż jakikolwiek człowiek i bez właściwej ludzkiej motywacji, okazuje się, przez sam ów fakt, nieskończenie większym niż oni zdrajcą, łotrem i zbrodniarzem.

- Pójdźmy dalej - rzekła Clairwil. - Szczegółowej analizie poddam teraz, jeśli sobie życzyście, ów potworny dogmat piekła. Jestem w stanie zwalczyć go w sposób dostatecznie przekonujący, by usunąć najmniejszy ślad jego obecności z naiwnego umysłu naszego przyjaciela. Czy chcecie mnie wysłuchać?

- Oczywiście - odpowiedzieliśmy.

I oto w jaki sposób owa inteligentna i pełna polotu kobieta podjęła dyskurs dotyczący tego ważnego zagadnienia.

- Istnieją dogmaty, które niekiedy zmuszeni jesteśmy nie tyle uznać, co założyć, ażeby zyskać w ten sposób możliwość zwalczania innych. Po to, bym mogła unicestwić idiotyczny dogmat o piekle, muszę na krótko powołać do życia deistyczną chimerę. Stanie się ona punktem wyjścia tej ważnej rozprawy, choć oczywiście ożywiłam ją tutaj tylko na chwilę. Mam nadzieję, że zdołacie mi to wybaczyć tym łatwiej, że z pewnością nie podejrzewacie mnie o wiarę w tę odrażającą zjawę.

Wyznaję, że dogmat o piekle jest sam w sobie tak nieprawdopodobny, wszystkie argumenty wysuwane dla jego podtrzymania są tak słabe, tak jawnie sprzeciwiają się rozumowi, iż wstydzę się niemal, że muszę je zwalczać. No cóż, bezlitośnie pozbawmy chrześcijan choćby nadziei na to, iż dąży się ponownie omotać ich potworną religią, i wykażmy im, że dogmat, do którego władczo się odwołują, by nas przerazić, znika, jak wszystkie ich urojenia, pod wpływem najwładzejszego blasku płomienia filozofii.

Główne argumenty, jakimi się posługują, by usankcjonować tę szkodliwą bajkę, są następujące:

° Ponieważ grzech, jakim znieważa się Boga, jest nieskończenie wielki, zasługuje on na nieskończoną karę; ponieważ Bóg ustanowił prawa, jego przywilejem jest karać z wysokości swego majestatu tych, którzy je łamią.

° Powszechność tej doktryny i sposób, w jaki wyrażona została w Piśmie.

° Nieodzowność tego dogmatu dla powściągnięcia grzeszników i niedowiarków.

Oto podstawa, którą należy usunąć.

Zgodzicie się, jak sadzę, że pierwszy z tych argumentów znosi się samoistnie wskutek nierówności przewin. Według tej doktryny najmniejszy błąd karany byłby tak samo jak najcięższy występki. Pytam więc, czy sprawiedliwy Bóg dopuścić mógłby tego rodzaju niesprawiedliwość? Kto zresztą stworzył człowieka? Kto wyposażył go w namiętności, które

powinny być wytrzebione za sprawą piekielnych męczarni? Czy aby nie wasz Bóg? Tak więc wy, chrześcijańscy głupcy, uznajecie, że wasz śmieszny Bóg wyposażył człowieka w skłonności, które zarazem czuje się zobowiązany karać? Czyżby nie wiedział, że one go znieważają? Jeśli o tym wie, to po cóż je człowiekowi wpaja? Jeśli zaś nie wie, dlaczego karze go za błąd, jaki sam popełnia?

Biorąc pod uwagę warunki konieczne do zbawienia, wydaje się oczywiste, że zasłużymy raczej na potępienie niż zbawienie. Pytam więc jeszcze, czy to na mocy tak wysławianej sprawiedliwości waszego Boga stawia on swe nieszczęsne i ułomne dzieło w równie okrutnym położeniu? Pytam też, jakże w ramach tego systemu wasi doktorzy mają czelność twierdzić, iż wieczne szczęście i niedola w tej samej mierze dostępne są człowiekowi i zależą wyłącznie od jego wyboru? Jeśli olbrzymia część rodzaju ludzkiego przeznaczona jest wiecznej udręce, to Bóg, który wie wszystko, musiał wiedzieć również o tym. Po cóż więc stworzył nas ów potwór? Czy był do tego zmuszony? Nie jest zatem wolny. Postąpił tak świadomie? Jest więc okrutny. Nie, Bóg nie był wcale zmuszony do stworzenia człowieka, a jeśli stworzył go wyłącznie po to, by skazać go na taki los, to rozmnażanie naszego gatunku staje się odtąd największą zbrodnią i nic nie byłoby bardziej pożądane niż całkowite wytrzebienie ludzkiego rodzaju.

Jeśli jednak ów dogmat wydaje się wam przez chwilę konieczny dla uzasadnienia Boskiej potęgi, to pytam was, dlaczego ów Bóg, tak potężny i dobry, nie dał człowiekowi siły niezbędnej do uchronienia go przed tą męką? Czyż nie jest okrucieństwem pozostawienie człowiekowi władzy zatracenia siebie na wieki i czy znajdziecie kiedykolwiek sposób na oczyszczenie waszego Boga z zarzutu niewiedzy lub niego-dziwości?

Skoro wszyscy ludzie są w jednakowym stopniu dziełami Boga, dlaczego inaczej zapatrują się na zbrodnie, za które karą ma być wieczne udręczenie? Dlaczego Hotentot potępia to, co według Chińczyka godne jest raj, i dlaczego Chińczyk obiecuje niebo komuś, kto zdaniem chrześcijanina zasługuje na piekło? Nigdy nie dobrnęlibyśmy do końca, pragnąc wyłożyć poglądy pogan, żydów, mahometan, chrześcijan na temat sposobów zapobiegania wiecznym katuszom. Podobnie byłoby ze sposobami zapewniającymi szczęście, gdybyśmy zechcieli opisać dziecinne i śmieszne pomysły, jakie podsuwała w tym zakresie ludzka wyobraźnia.

Drugim fundamentem tej śmiechu wartkiej doktryny jest jej wykładnia w Piśmie oraz jej powszechność.

Wystrzegajmy się przekonania, że powszechność jakiejś doktryny może być argumentem przemawiającym na jej korzyść. Nie ma bez mała szaleństwa czy

ekstrawagancji, które nie byłyby ogólnie przyjęte; nie ma takich, które nie miałyby swych zwolenników i wyznawców.

Jak długo istnieć będą ludzie, tak długo istnieć też będą szaleńcy, przetrwają bogowie, wyznania, raj, piekło itd. Wszelako Pismo głosi! Załóżmy, że księgi w ten sposób nazywane są autentyczne i że istotnie winniśmy im jakiś szacunek. Jak powiedziałam, bywają urojenia, których istnienie trzeba niekiedy na chwilę przyjąć, by móc dzięki temu zwalczyć inne. No cóż! Odpowiem najpierw, że jest nader wątpliwe, czy Pismo rzeczywiście coś mówi w interesującej nas kwestii. A jeśli nawet założyć, że tak, to zwraca się ono do tych, którzy je znają i traktują jak wyrocznie; tych zaś, którzy go nie znają lub w nie nie wierzą, jego autorytet przekonać nie może. Czyż jednak nie twierdzi się, że tym, którzy go nie znają lub w nie nie wierzą, grozi wieczna kara, tak samo jak tym, którzy o nim wiedzą i mu ufają? W tej sytuacji mogę jedynie zapytać, czy istnieje na świecie większa niesprawiedliwość?

Powiecie, że ludy, którym wasze absurdalne Pismo w ogóle nie było znane, mimo to wierzą w nieskończone męki w przyszłym życiu. W odniesieniu do pewnych ludów może to być prawdziwe, wiele innych nie ma jednak żadnej wiedzy o tych dogmatach. W jaki zatem sposób lud, który nie poznał Biblii, mógłby sobie przyswoić ów pogląd? Nie powiecie, mam nadzieję, że jest to idea wrodzona: gdyby tak było, byłaby ona wspólna wszystkim ludziom. Nie będziecie, jak sądzę, utrzymywać, że jest to dzieło rozumu: albowiem, co oczywiste, rozum nie mógłby podpowiadać człowiekowi, że za skończone grzechy miałby on cierpieć nieskończone męki. Nie jest to też bynajmniej rezultat objawienia, skoro ów lud w ogóle go nie dostąpił. Musimy więc zgodzić się, że ów dogmat dociera do tego ludu tylko z poduszczenia księży lub za sprawą wyobraźni. Pytam więc, na czym polega jego niewzruszoność?

Jeśli ktoś spekuluje, że ludom, które nie przejęły jej z Pisma, wiara w wieczne potępienie przekazana została przez tradycję, to można zapytać, skąd wiarę tę przejęli ci, którzy głosili ją pierwotnie. A jeśli nie sposób dowieść, iż otrzymali ją dzięki boskiemu objawieniu, to trzeba będzie się zgodzić, że ów zadziwiający pogląd jest skutkiem rozprężenia wyobraźni lub szalbierstwa.

Zakładając, że Pismo, jakoby święte, wieści ludziom kary w przyszłym życiu, oraz uznając to za nie dającą się zakwestionować prawdę, mielibyśmy ochotę zapytać, skąd autorzy Pisma mogli wiedzieć o istnieniu tego rodzaju kar? Nie omieszkacie odpowiedzieć, że zawdzięczali to natchnieniu. Ależ to cudowne! Wszelako ci, którzy nie mieli szczęścia ulec tej szczególnej iluminacji, zmuszeni byli polegać na innych formach oświecenia. Odpowiedzcie mi, proszę, jak bardzo powinno się ufać ludziom, którzy powiadają w tej tak

istotnej kwestii: wierzę, ponieważ, ten czy ów powiedział mi, że mu się to przyśniło? W taki więc sposób przedstawia się to, co absorbuje, onieśmiela i trwoży połowę ludzkości, co przeszkadza jej poddać się najslodszyom inspiracjom natury! Czy można posunąć się dalej w zamęcie i niedorzeczności? Wasi natchnieni przodkowie nie mówili przecież do wszystkich; wielka część rodzaju ludzkiego nie ma pojęcia o ich mrzonkach. Czyż jednak nie wszystkim ludziom jednakowo zależy na przekonaniu się o prawdziwości tego dogmatu, jak zależy na tym autorom Biblii i ich wyznawcom? Jakże więc się to dzieje, że nie wszyscy mogą zyskać taką samą pewność? Wszyscy chcieliby wiedzieć, jak mają się odnosić do kwestii wiecznego potępienia: dlaczego więc Bóg nie wyposażył wszystkich w tę subtelną wiedzę, dostępną bezpośrednio, bez udziału i pomocy ludzi, których można by podejrzewać o oszustwo i uchybienie prawdzie? Pytam, czy postępowanie całkiem przeciwne cechować może istotę, którą odmalowujecie jako nieskończenie dobrą i mądrą? Czyż postępowanie takie nie nosi wszelkich cech okrucieństwa i niegodziwości? Czy rządy, wówczas, gdy stanowią prawa i obmyślają kary dla wichrzycieli, nie robią wszystkiego, co możliwe, by upowszechniać wiedzę i o tych prawach, i o tych karach? Czy można rozumnie karać człowieka za wykroczenie przeciw prawu, którego nie zna? Do jakiego wniosku wszystko to nas prowadzi? Bodaj do takiego, że system dotyczący piekła nigdy nie był niczym innym niż rezultatem niegodziwości paru ludzi i ekstrawagancji wielu **innych**1.

Trzecim fundamentem tego potwornego dogmatu jest przekonanie o konieczności powściągnięcia grzeszników i niewierzących.

Jeśli sprawiedliwość i chwała Boga wymagają, by karał on grzeszników i niedowiarków wiecznymi mękami, to nie ulega wątpliwości, że sprawiedliwość i rozum wymagałyby również, aby władny był on odwozić jednych od grzechu, a drugich przywracać wierze. Co sądzić bowiem o istocie na tyle absurdalnej, by zakładała, że człowiek jest wolny? Co myśleć o kimś, kto oślepl do tego stopnia, iż nie widzi, że nie panujemy nad działaniami, w które zostaliśmy wciągnięci, i że Bóg, który nakłada nam te pęta, byłby (założywszy jego istnienie, co czynię, jak wiecie, z odrazą) najbardziej niesprawiedliwą i okrutną istotą, gdyby karał nas za to, że stajemy się, wbrew sobie, ofiarami skłonności, w jakie z rozbrajającym brakiem konsekwencji wyposaża nas jego ręka?

Czyż nie jest więc jasne, że to temperament, w jaki natura wyposażyla człowieka, różne okoliczności życia, wychowanie, środowisko przesądzą o jego działaniach i zwracają go ku dobru lub złu? Czy jednak - zechcecie może zaprotestować - niesłuszne są również kary, nakładane w tym świecie na ludzi z racji ich nagannego postępowania? Z pewnością są słuszne. Interes ogólny bierze wszak tutaj górę nad j ed-nostkowym: społeczeństwa muszą

wyrywać ze swego łona działających na ich szkodę niegodziwców. Oto, co usprawiedliwia prawa, które, rozważane jedynie z punktu widzenia jednostki, byłyby całkiem bezzasadne. Czy wszakże wasz Bóg kieruje się takimi samymi racjami, karząc niegodziwca? Z pewnością nie. Nie cierpi on z powodu tych niegodziwości, a jeśli do nich dochodzi, to dlatego, że Bogu podobało się stworzyć człowieka zdolnym do ich popełnienia. Byłoby więc okrucieństwem zadawanie mu cierpień z tego tytułu, że uczyniony został na ziemi takim, jakim zaprojektował go ów szkaradny Bóg, któremu w dodatku ludzki los jest całkowicie obojętny.

Wykażmy teraz, że okoliczności determinujące wierzenia religijne ludzi bynajmniej od nich nie zależą.

Pytam najpierw, czy mamy jakikolwiek wpływ na to, gdzie przychodzimy na świat? I czy od nas, urodzonych w sferze oddziaływania jakiegoś kultu, zależy wybór wiary? Czy istnieje jedna choćby religia podtrzymująca płomień namiętności? I czy namiętności, które pochodzą od Boga, nie lepsze są niż religie, które pochodzą od ludzi?

Jakim barbarzyńcą byłby ów Bóg, skazujący nas na wieczne męki za to, iż wątpimy w prawdę kultu, którego uznanie on sam w nas niweczy za sprawą namiętności podważających wciąż jego istnienie? Co za nedorzeczność! Co za absurd! I jakże nie żałować czasu straconego na zwalczanie takiego obskurantyzmu?!

Pójdźmy jednak dalej i w miarę możliwości nie oddajmy żadnego szansa zidiociałym obrońcom najśmieszniejszego ze wszystkich dogmatów.

Gdyby nawet od samych ludzi zależało to, czy będą cnotliwi i uwierzą we wszystkie dogmaty swej religii, trzeba by jeszcze zbadać, czy byłoby sprawiedliwe, iżby spotykała ich wieczna kara, już to z powodu ich słabości, już to z powodu niedowiarstwa, skoro wiadomo, że z bezzasadnych męczarni nie może bynajmniej wynikać dobro.

Oddalmy dotyczące tego zagadnienia przesady i zastanówmy się zwłaszcza nad sprawiedliwością, jaką uznajemy w Bogu. Czy nie jest nedorzeczne twierdzenie, że Boska sprawiedliwość wymaga wiecznego potępienia grzeszników i niedowiarków? Czy czynność karania z surowością niewspółmierną do przewiny nie jest raczej zemstą okrucieństwem niż sprawiedliwością? Utrzymywać, że Bóg karze w ten sposób, znaczyłoby zatem najoczywiściej bluźnić przeciw niemu. Jakże ów Bóg, w którego dobroć nie wątpicie, ocalić mógłby swą chwałą, karząc słabe wytwory własnych rąk? Zaiste ci, którzy utrzymują, że właśnie tego domaga się Boska chwała, nie rozpoznają całej potworności tej doktryny. Prawią o chwale Boga, a nie potrafią sobie wytworzyć jej idei. Gdyby zdolni byli oszacować naturę tej chwały, gdyby potrafili tworzyć w związku z nią właściwe pojęcia, zrozumieliby, że jeśli taki byt istnieje, to tylko dobro, mądrość i nieograniczona moc uszczęśliwiania ludzi mogą

stanowić o jego chwale.

Powtarza się ponadto, w celu utwierdzenia odrażającej doktryny o wiecznych cierpieniach, że została ona przyjęta przez znaczną liczbę ludzi głębokiej wiary i uczonych teologów. Zaprzeczam przede wszystkim temu domniemanemu faktowi: największa ich część wątpiła w ów dogmat. A jeśli ktoś weń wierzył, to łatwo ustalić, z jakiego powodu: dogmat o piekle był jeszcze jednym jarzmem, kolejną parą kajdan, jakie chcieli narzucić ludziom księży. Znamy władzę terroru nad duszami, a wiadomo, że polityka zawsze potrzebuje terroru do wymuszania poddaństwa.

Czy wszakże owe jakoby święte księgi, które przywołujecie, pochodzą ze źródła na tyle czystego, by nie można było odrzucić tego, co nam podsuwają? Najprostsze badanie wystarczy, by nas przekonać, że nie będąc bynajmniej, jak śmie się nam wmawiać, dziełem urojonego Boga, który nigdy nie pisał ani nic mówił, są one, przeciwnie, jedynie wytworem ludzi słabych i ciemnych, i że winniśmy im z tego względu wyłącznie nieufność i pogardę. Wszelako zakładając, iż pisarze ci mieli odrobinę rozsądku, jakim prostakiem musiałby być człowiek, który pasjonowałby się taką czy inną opinią tylko dlatego, że znalazł ją w jakiejś książce? Bez wątpienia może ową opinię przyjąć, lecz poświęcać dla niej szczęście i spokój własnego życia? Powtarzam -jedynie wariat mógłby się na to **zdobyć**<sup>2</sup>. A zresztą, nawet jeśli zdołacie mi zaprzeczyć, podpierając się cytatem z waszych jakoby świętych ksiąg, przemawiającym na korzyść tej opinii, w tych samych księgach znajduję opinię z tamtą sprzeczną.

Otwieram Eklezjastę i czytam:

„Los bowiem synów ludzkich jest ten sam, co i los zwierząt; los ich jest jeden: jaka śmierć jednego, taka śmierć drugiego, i oddech życia ten sam. W niczym więc człowiek nie przewyższa zwierząt. Bo wszystko jest marnością. Wszystko idzie na jedno miejsce: Powstało wszystko z prochu i wszystko do prochu znów wraca „, (Koh 5, 19-20).

Czy cokolwiek bardziej stanowczo niż ów fragment przemawia przeciwko istnieniu jakiegoś innego życia? Czy cokolwiek wyraźniej podtrzymuje pogląd przeciwny pogładowi o nieśmiertelności duszy i śmiesznemu dogmatowi o piekle?

Jakie myśli nachodzą więc rozsądną istotę, czytającą tę absurdalną bajkę o wiecznym potępieniu człowieka w odwecie za skosztowanie zakazanego owocu? Jakkolwiek nużąca i niesmaczna byłaby ta bajka, niech wolno mi będzie przez chwilę się nad nią zatrzymać, jako że to ona właśnie stanowi punkt wyjścia dla uznania wiecznych kar piekielnych. Czyż potrzeba czegoś więcej oprócz bezstronnego zbadania tej niedorzeczności, by wykazać jej nicość? O, przyjaciele! Zapytuję, czy człowiek przepelniony dobrocią posadziłby w swym ogrodzie drzewo rodzące wyborne, lecz zatrute owoce, by czerpać przyjemność z wydanego

swym dzieciom zakazu ich spożywania, grożąc im, że umrą, jeśli ośmielą się zerwać? Czy człowiek przezorny i mądry wiedząc, że ma w swym ogrodzie takie drzewo, nie powinien był raczej zadbać o to, by je ściąć, zwłaszcza, iż doskonale zdawał sobie sprawę, że bez podjęcia tych środków ostrożności jego dzieci nie omieszkają spożyć owocu, gotując w ten sposób zgubę sobie i wtrącając w niedole swych potomnych? Bo przecież Bóg wiedział, że pierwszy człowiek będzie zgubiony, on i przyszłe pokolenia, jeśli skosztuje tego owocu. A jednak nie tylko stworzył go słabym, ale też posunął swą niegodziwość do tego stopnia, by go kusić. Człowiek uległ i wydał na siebie wyrok: uczynił to, co Bóg pozwolił mu uczynić, to, do czego Bóg go zachęcił, i oto stał się na wieki nieszczęśliwy. Czyż można wyobrazić sobie coś bardziej absurdalnego i okrutnego! Powtarzam, iż z pewnością nie zadałabym sobie trudu zwalczania tej niedorzeczności, gdyby dogmat piekła, jaki pragnę obalić, nie był jej odrażającym następstwem.

Winniśmy w tym wszystkim dostrzegać tylko alegorie, bawić się nimi przez chwilę, lecz nie dawać im wiary; mówić o nich jedynie tak, jak mówimy o bajkach Ezopa i fantazjach Milтона, rozumiejąc wszak, że owe bajki i fantazje nie są zbyt istotne, podczas gdy tamte, usiłując wyzyskać naszą wiarę, zmącić przyjemność, okazują się najczęściej niebezpieczne i należałoby je odrzucić w sposób na tyle radykalny, by nie groził nam ich powrót.

Miejmy więc pewność, że tak owe zdarzenia, jak i ci, których imiona widnieją w tej mdłej opowieści znanej pod nazwą Pisma Świętego, to jedynie odrażające oszustwa, godne najgłębszej pogardy, z których nie powinniśmy wyciągać żadnych wniosków dotyczących naszego szczęścia lub niedoli. Bądźmy przeświadczeni, że dogmat o nieśmiertelności duszy, który należy uznać, nim wyda się jana wieczne męki lub zbawi, jest najbardziej trywialnym, prostackim i nikczemnym ze wszystkich możliwych oszustw; że wszystko w nas umiera, jak w zwierzętach, i że, co za tym idzie, nie będziemy później, bez względu na sposób postępowania w tym świecie i przeżywszy tyle czasu, ile naturze spodobało się nam przeznaczyć, ani bardziej szczęśliwi, ani bardziej nieszczęśliwi.

Powiedziano, że wiara w wieczne męki jest absolutnie nieodzowna dla powściągnięcia ludzi i że z tego powodu trzeba się wystrzegać jej unicestwienia. Jeśli nie ulega wszak wątpliwości, że doktryna ta jest fałszywa, jeśli niepodobna, by oparła się rzetelnemu badaniu, to czy moralność na niej wzniesiona nie okaże się czymś nieskończenie bardziej groźnym niż użytecznym? I czy nie należy zakładać, że bardziej będzie ona szkodzić niż przysparzać dobra, odkąd człowiek, po oszacowaniu jej, zwróci się ku złu, ponieważ uzna ją za fałszywą? Czy nie byłoby sto razy lepiej, iżby w ogóle nie miał wędzideł, niż miał jedno, które zrywa z taką łatwością? W pierwszym przypadku idea zła może w ogóle nie pojawiłaby się w jego

umyśle; pojawia się natomiast w przypadku zerwania wędzideł, ponieważ do głosu dochodzi wówczas nowa przyjemność: przewrotność człowieka sprawia bowiem, że ceni on zło i poddaje mu się najchętniej właśnie wówczas, gdy sady, iż trafił na przeszkodę broniącą mu do niego dostępu.

Ci, którzy uważnie badali ludzką naturę, zmuszeni będą uznać, że wszelkie niebezpieczeństwa, wszelkiego rodzaju nikczemności, jakkolwiek byłyby straszne, tracą swą moc, gdy są daleko, i zdają się budzić niniejsze obawy niż drobne zagrożenia, jakie pojawiają się w zasięgu ręki. Jest oczywiste, że rychłe kary skuteczniej odwodzą od zbrodni niż kary zapowiedziane w odległej przyszłości. Czyż od błędów, nad którymi prawa nie mają żadnej władzy, o wiele skuteczniej nie odwodzą ludzi względy zdrowia, przyzwoitości, szacunku oraz inne doczesne i dostępne ich doświadczeniu motywacje, nie zaś obawa o przyszłe i bezkresne niedole, które rzadko przychodzą im na myśl lub jawią się jako mgliste, niepewne i łatwe do uniknięcia?

Ażeby ocenić, czy obawa przed wiecznymi i nieuchronnymi mękami w innym świecie skuteczniej odwodzi ludzi od zła, niż obawa przed karami doczesnymi i dostępnymi w świecie realnym, przyjmijmy, że pierwsza z tych obaw staje się powszechna, druga zaś zostaje całkowicie usunięta. Czy w ramach tej hipotezy świat nie okazałby się rychło skąpany w zbrodniach? Przyjmijmy wariant przeciwny: założmy, że obawa przed wiecznymi mękami znika, podczas gdy obawa przed karami godzącymi w zmysły zachowuje się w całej swej ostrości. Czy wówczas, gdyby kary te egzekwowano w sposób nieuchronny i powszechny, nie stwierdzilibyśmy, że oddziałują one o wiele silniej na umysły ludzi i o wiele skuteczniej wpływają na ich postępowanie niż męki zapowiadane na odległą przyszłość, które traci się z pola widzenia, gdy tylko do głosu dochodzą namiętności?

Czyż codzienne doświadczenie nie dostarcza przekonujących dowodów małej skuteczności, z jaką obawa przed karami w innym świecie oddziałuje na wielu spośród tych, którzy najmocniej w nie wierzą? Nie ma bodaj narodów bardziej przeświadczonych o prawdziwości dogmatu wiecznych mąk niż Hiszpanie, Portugalczycy i Włosi. A czyż istnieją ludy bardziej rozwiązłe? Gdzie wreszcie popełnia się więcej sekretnych zbrodni niż w środowisku księży i mnichów, czyli tam, gdzie, jak można by sądzić, istnieje najsilniejsza wiara w prawdy religijne? I czyż nie dowodzi to w sposób oczywisty, że pożądane skutki dogmatu o wiecznych karach zachodzą rzadko i są nader wątpliwe? Przekonamy się zaś, że skutki niewłaściwe są rozmaite i niezawodne. W istocie rzeczy doktryna ta, przepelniając duszę goryczą, przenosi na nią najbardziej bulwersujące przymioty Boskości: znieczula serce i pogrąża je w rozpacz, nie sprzyjającej owej Boskości, której system zamierzacie zbudować



za pomocą tego dogmatu. Ów odrażający dogmat prowadzi, przeciwnie, do ateizmu, do bezbożności. Wszyscy rozsądni ludzie uważają, że o wiele lepiej jest nie wierzyć w Boga, niż uznawać istnienie Boga okrutnego, niekonsekwentnego i barbarzyńskiego, Boga, który stworzył ludzi jedynie po to, by pogrążyć ich w wiecznym nieszczęściu.

Czy podobna długo wyznawać religię, okazywać jej szacunek, gdy opiera się ona na wierze w Boga, który musi skazywać na wieczne męki niezmierną liczbę swych stworzeń za to, iż ulegają skłonnościom, jakie on sam im zaszczerpił? Każdy człowiek przekonany do tych potwornych zasad żyć musi w ciągłym strachu przed istotą, która może go uczynić wiecznie nieszczęśliwym: jakże więc mógłby on w ogóle kochać lub szanować taką istotę? Czy gdyby syn przypuszczał, że jego ojciec zdolny byłby skazać go na okrutne męczarnie lub nie chciał mu ich oszczędzić, potrafiąc to uczynić, żywiłby do niego szacunek lub miłość? Czy istoty stworzone przez Boga nie mają prawa oczekiwać odeń więcej dobra niż dzieci od najbardziej nawet wyrozumiałego ojca? Czyż to nie ufność ludzi, dobroć ich Boga, stwórcy wszystkiego, czym mogą się cieszyć i co ów Bóg ma w swej opiece, a także przyszła pomysłność losów, której po nim oczekują, czyż wszystko to nie stanowi podstawy religii? Jeśli wszystko to jest wam wstrętne, nie ma już religii. Widzicie więc, że wasz idiotyczny dogmat o piekle niszczy, zamiast umacniać, wstrząsa podstawami kultu, zamiast je utrwalać. W końcu okazuje się, że tylko głupcy mogli weni wierzyć, a hultaje wymyślić.

Nie sposób wątpić, że ów byt, o którym ma się czelność bez przerwy nam prawić, jest naprawdę poniżany i zniesławiany śmiesznymi wizerunkami, jakimi posługują się ludzie, by go nam odmalować. Gdyby nie wytworzyli tych absurdalnych i nierozumnych idei na temat Boga, nie zakładaliby jego okrucieństwa. Nie dając zaś wiary jego okrucieństwu, nie potrafiliby sobie wyobrazić, że zdolny byłby ich karać nieskończonymi męczarniami albo, że mógłby pozwolić, by dzieła jego rąk były na wieki pozbawione szczęścia.

Aby ujść mocy tego argumentu, rzecznicy dogmatu o wiecznym potępieniu powiadają, że niedola odrzuconych nie jest wcale arbitralną karą zadaną przez Boga, lecz konsekwencją grzechu i niezmiennego porządku rzeczy. A skąd niby o tym wiecie? Jeśli stwierdzicie, że tak głosi Pismo, będziecie w kłopotcie, jak rzecz udowodnić. Jeśli zaś zdołacie odnaleźć choć jeden traktujący o tym ustęp, o ileż spraw ja z kolei zacznę was wypytywać, by przekonać się o autentyczności, świętości, prawdziwości tego ustępu, przemawiającego jakoby na waszą korzyść. Czyżby to rozum podsunął wam ów odrażający dogmat? Wyjawcie mi zatem, w jaki sposób pogodzić to, co on głosi, z niesprawiedliwością Boga, który daje życie stworzeniu, mimo iż jest pewien, że niezmiennie wyroki rzeczy muszą na zawsze pogrążyć je w oceanie nieszczęść. Jeśli to prawda, że świat stworzony jest i rządony przez nieskończenie potężną,

nieskończenie mądrą istotę, to jest absolutnie konieczne, aby wszystko współdziałało z jej celami i zmierzało ku największemu dobru. Jakież więc dobro, przyczyniające się do większej pomyślności świata, wynikać ma stąd, że słaba i nieszczęśliwa istota będzie wiecznie dręczona za błędy, które bynajmniej od niej nie zależały?

Gdyby nieprzebraną rzeszę grzeszników, wiarołomców, niedowiarków rzeczywiście przeznaczono do znoszenia okrutnych i nie kończących się cierpień, z jakże potwornym spektaklem nędzy ludzkiego rodu mielibyśmy wówczas do czynienia! Miliardy ludzi zostałyby bezlitośnie wydane niekończącym się mękom. Los wrażliwej i rozumnej istoty, jaką jest człowiek, stałby się wówczas naprawdę przerażający. Jakże to! Nie wystarczy więc strapienie, na jakie skazany jest w tym życiu? Musi obawiać się jeszcze okropnych kar i męczarni po śmierci? Co za potworność! Co za przekleństwo! Jakże tego rodzaju pomysły mogły się zrodzić w ludzkim umyśle i jakże mogą nie budzić podejrzeń, że są jedynie owocem szalbierstwa, kłamstwa i najbardziej barbarzyńskiej polityki? Ach! Bądźmy pewni, że ta doktryna, ani użyteczna, ani konieczna, pozbawiona skuteczności w odwodzeniu ludzi od zła, może stanowić jedynie podstawę takiej religii, której wyłącznym celem byłoby kielzanie niewolników. Uznajmy zatem, że ów odrażający dogmat ma jedynie przykre konsekwencje, skoro służy tylko wypełnianiu życia goryczą, lękiem i trwogą... I zdajmy sobie sprawę, że niepodobna już obalić kultu Boskości, gdy wcześniej niefortunnie wyraziło się zgodę na to, co bezsprzecznie go **degraduje**<sup>3</sup>.

Jeśli wierzymy, że świat stworzony został i rządzony jest przez istotę, której potęga, mądrość i dobro są nieskończone, to winniśmy stąd oczywiście wnosić, że wszelkie zło absolutne musi być zeń usunięte. A przecież nie ulega wątpliwości, że wieczne cierpienie olbrzymiej części gatunku ludzkiego byłoby złem absolutnym. Jakąż haniebną rolę odgrywać każecie temu szkaradnemu Bogu, przypuszczając, że zdolny jest do takiego barbarzyństwa! Jednym słowem, założenie o wiecznych męczarniach przeczy domniemanej przez was nieskończonej dobroci Boga. Przestańcie więc mnie nakłaniać, bym w nią uwierzyła, albo usuńcie wasz prymitywny dogmat o wiecznych karach, jeśli chcecie, bym mogła przez chwilę uznać waszego Boga.

W dogmat raju nie starajmy się wierzyć bardziej niż w dogmat piekła: oba są odrażającymi wymysłami religijnych tyranów, którzy dążyli do zawładnięcia ludzkim sumieniem i wtłoczenia go w despotyczne jarzmo rządzących. Bądźmy pewni, że jesteśmy tylko materią i że ponad nami nie ma absolutnie niczego; że wszystko, co przypisujemy duszy, stanowi tylko zwykły skutek procesów zachodzących w materii; i że jest tak na przekór ludzkiej dumie, za sprawą której odróżniamy się od zwierzęcia. Toteż podobnie jak

ono zwracając materii ożywiającej nas atomy, nie będziemy ani szczególnie karani za złe uczynki, do jakich popychają nas różne rodzaje otrzymanej od materii konstytucji, ani szczególnie nagradzani za dobre, zawdzięczane tylko pewnemu rodzajowi konstytucji przeciwnej. Z uwagi na los, jaki czeka nas po życiu w tym świecie, jest więc obojętne, czy będziemy postępować dobrze czy źle. A jeśli zdołamy wypełnić wszystkie chwile przyjemnościami, mimo że taki sposób życia oburzać może innych i wstrząsać społecznymi konwencjami, to, pod warunkiem, że chroni nas prawo (a to jedyna istotna kwestia), będziemy wówczas nieskończenie bardziej szczęśliwi niż głupiec, który w obawie przed pośmiertnymi karami surowo wzbierałby sobie za życia wszystkiego, co mogło mu się podobać i czym mógł się rozkoszować. Nieskończenie bardziej ważne jest bowiem to, aby być szczęśliwym w tym życiu, którego jesteśmy pewni, aby nie rezygnować z dostępnego nam szczęścia w nadziei uzyskania jakiegoś innego, wyobrazonego, o jakim nie mamy, i nie możemy mieć, najmniejszego pojęcia. Ach! Jakim dziwakiem musiał być ktoś próbujący przekonać ludzi, że po śmierci mogą stać się bardziej nieszczęśliwi niż byli za życia! Czyżby to oni domagali się przyścia na ten świat? Czyżby sami wyposażyli się w namiętności, które, według waszego potwornego systemu, skazują ich na wieczne cierpienia? Ach, nie, nie! Sami o niczym nie decydowali i niepodobna, by ich karano za to, na co nie mieli wpływu.

Czy nie wystarczy wszak rzucić okiem na nasz nieszczęsny rodzaj ludzki, by się przekonać, że nie ma w nim niczego, co zapowiadałoby nieśmiertelność? Jakże to! Owa boska jakość, powiedzmy raczej owa jakość nieosiągalna dla materii, miałyby należeć do tego zwierzęcia, które zwie się człowiekiem? Ten, kto pije, je, przedłuża swe istnienie jak zwierzęta, ten, komu dano jedynie przywilej powodowania się nieco bardziej wyrafinowanym instynktem, miałyby pretendować do losu tak różnego od losu tychże zwierząt? Czy można przystać na to choćby przez chwilę? Wszelako człowiek, powiadają, doszedł do subtelного poznania swego Boga: już to sprawia, że godny jest nieśmiertelności, której hipotezę wysuwa. Cóż więc jest subtelного w tym poznaniu chimery poza tym, iż z uporem utrzymujecie, że skoro człowiek doszedł do kresu głupoty w odniesieniu do jednego przedmiotu, musi nieodzownie zgłupieć także w odniesieniu do wszystkich pozostałych? Ach! Jeśli ów nieszczęśnik ma przewagę nad zwierzętami, to czyż i one w jakiś sposób nie górują nad nim?! Na jaką ogromną ilość cierpień i nieszczęść jest on narażony! Jakże licznych namiętności pada ofiarą! Czy poza tym, że jest istotą bardziej złożoną, posiada rzeczywiście jakąś inną przewagę? I czy ta niewielka przewaga daje powód do dumy pozwalającej wierzyć, że, inaczej niż jego bracia, żyć on będzie wiecznie w zaświatach? O, nieszczęśliwa ludzkości! Na jakie szczyty ekstrawagancji wyniosła cię miłość własna! I kiedy, wyzwolona od własnych

złudzeń, uznasz w sobie jedynie zwierzęcość, w twym Bogu zaś wyłącznie necplus ultra ludzkich pretensji, a w ziemskim życiu tylko drogę, j aką dane ci j est przemierzyć zarówno pośród występków, j ak i cnót?

Pozwólcie mi jednak podjąć głębsze i bardziej skomplikowane rozważania.

Pewni doktorzy Kościoła utrzymywali, że Jezus zstąpił do piekieł. Ile razy zaprzeczano temu zstąpieniu! Nie będziemy wnikać w rozmaite dotyczące tej kwestii roztrząsania: niewątpliwie nie wytrzymałyby one krytyki ze strony filozofii, a przemawiamy wszak tutaj jedynie w jej imieniu. Jest faktem, że ani Pismo, ani żaden z jego komentatorów nie rozstrzygają jednoznacznie niczego w kwestii umiejscowienia piekła tudzież zadawanych w nim tortur. Słowo Boże niczego nam więc w tej sprawie nie wyjaśnia, jeśli zważyć, że to, czego naucza Pismo, winno być pewne i wyraźnie powiedziane, zwłaszcza gdy chodzi o zagadnienie największej wagi. Nie ulega tymczasem wątpliwości, że ani w tekście hebrajskim, ani w greckiej czy łacińskiej wersji Pisma nawet jednym słowem nie wspomina się o piekle w znaczeniu, jakie my z nim wiążemy, to znaczy jako miejscu kaźni przeznaczonej grzesznikom. Czy świadectwo to nie przemawia dostatecznie mocno przeciw pogładowi tych, którzy upierają się przy realności piekielnych męczarni? Jeśli w Piśmie nie pojawia się w ogóle kwestia piekła, jakim prawem, moi mili, zabiegacie o utrzymanie tego pojęcia? Czy w religii zmuszeni jesteśmy przyjmować cokolwiek poza tym, co zostało zapisane? Jeśli więc taki pogląd nigdzie w Piśmie się nie pojawia, na jakiej podstawie mielibyśmy go uznać? Nie powinniśmy w ogóle zaprzętać sobie głowy tym, co nie zostało objawione. Wszystko zaś, co ma inne źródło, może być przez nas prawomocnie traktowane jako bajki, mgliste przypuszczenia, ludzkie tradycje, oszukańcze wymysły. Na podstawie badań ustalono przynajmniej, że istniała, niedaleko Jerozolimy, dolina zwana Gehenną, gdzie dokonywano egzekucji zbrodniarzy i dokąd wrzucano również zwierzęce szczątki. To właśnie miejsce ma w swych alegoriach na myśli Jezus, gdy powiada: *Ulic erit fletus et stridor dentium*. Owa dolina była miejscem udręki, miejscem kaźni; i to bez wątpienia o niej traktuje on w swych parabolach, w swych niezrozumiałych przemowach. Owo przypuszczenie jest tym bardziej prawdopodobne, że w dolinie tej stosowano karę ognia. Żywce palono tam winowajców; niekiedy zakopywano ich też po szyję w gnoju; obwiązywano im szyję sznurem, który dwoje ludzi ciągnęło w przeciwne strony, dusząc w ten sposób potępieńców; kazano im też otwierać usta i wlewano stopiony ołów, który palił im wnętrzności: oto ogień, oto męka, o jakiej mówił Galilejczyk. Ów grzech (mawiał często) zasługuje na to, by okupić go karą ognia, co znaczy: przestępca winien być spalony w dolinie Gehenny, albo rzucony na śmietnisko i spalony ze zwierzęcymi trupami, jakie gromadzono w tamtym miejscu. Czy jednak słowo wieczny,

jakim Jezus często się posługuje, mówiąc o tym ogniu, nie potwierdza racji tych, którzy sądzą, że płomienie piekielne nigdy nie wygasną? Nie, bynajmniej. Owo słówko wieczny, często przywoływane w Piśmie, daje nam wszak zawsze tylko ideę rzeczy skończonych. Bóg zawarł ze swym ludem wieczne przymierze, a jednak zostało ono zerwane. Sodomia i Gomora miały płonąć wiecznie, a jednak pożar ten dawno już **wygasł**<sup>4</sup>. Wiadomo zresztą powszechnie, że ogień w dolinie Gehenny, niedaleko Jerozolimy, płonął dzień i noc. Wiemy również, że w Piśmie często stosowane są hiperbole i że tego, co ono głosi, nigdy nie powinniśmy traktować literalnie. Czy ulegając tym przejawskrawieniom, należy wypaczać, jak się to czyni, prawdziwe znaczenie rzeczy? I czy tego rodzaju przesadą nie posługują się w istocie ci, których winniśmy uznać za niewątpliwych wrogów zdrowego rozsądku i rozumu?

Jakiej więc natury jest ów ogień, którym nam grożą?

1° Nie może być fizyczny, skoro powiadają, że ogień, jaki znamy, jest tylko jego słabym obrazem.

2° Ogień fizyczny oświetla miejsce, w jakim płonie, a zapewniają nas, że piekło pogrążone jest w ciemnościach.

3° Ogień fizyczny pochłania gwałtownie wszystkie palne materiały i wreszcie gaśnie, pochłaniając sam siebie, ogień piekielny natomiast płonąć ma zawsze i pochłaniać po wsze czasy.

4° Ogień piekielny jest niewidzialny: nie jest więc bynajmniej fizyczny, skoro jest niewidzialny.

5° Ogień fizyczny gaśnie z braku opału, ogień piekielny zaś, według naszej absurdalnej religii, nie wygaśnie nigdy.

6° Ogień piekielny jest wieczny, ogień fizyczny natomiast tylko czasowy.

7° Powiadają, że brak Boga będzie dla potępionych największą męczarnią: wiemy wszelako z dostępnego nam w tym życiu doświadczenia, że fizyczny ogień jest dla nas o wiele większą udręką niż nieobecność Boga.

8° Wreszcie fizyczny ogień nie mógłby oddziaływać na duchy! Otóż demony są duchami: ogień piekielny nie mógłby więc na nie działać. Utrzymywać, że Bóg może sprawić, iżby fizyczny ogień oddziaływał na duchy, twierdzić, że Bóg pozwoli żyć i trwać tym duchom bez pożywienia i że podtrzyma ogień niczym go nie podsycając, to odwoływać się do cudownych domniemań, poręczanych jedynie przez nonsensowne mrzonki teologów i dowodzących wyłącznie ich głupoty i niegodziwości.

Wyciągać stąd wniosek, że dla Boga wszystko jest możliwe, że Bóg sprawi wszystko, co jest możliwe, to bez wątpienia szczególnie sposób rozumowania. Ludzie powinni się

wystrzegać fundowania swych marzeń na Boskiej wszechmocy, skoro nie wiedzą nawet, czym jest ów Bóg. By usunąć te trudności, inni teologowie przekonują nas, że ogień piekielny nie jest fizyczny, lecz duchowy. Czym jest, za przeproszeniem, ogień, który nie jest bynajmniej materią? Jakież idee tworzą sobie o nim ci, którzy tak twierdzą? W jakimż to miejscu Bóg objaśnił ich co do natury tego ognia? Wszelako pewni doktorzy, chcąc pogodzić sprzeczności, powiadają, że ogień jest w części duchowy, w części zaś materialny. Oto więc mamy w piekle dwa różne rodzaje ognia! Co za absurd! Dokąd to przywieść nas może zabobon, gdy zapragnie usankcjonować swe szalbierstwa!

Monstrualna jest ilość bzdurnych przekonań, jakie trzeba było wymyślić, by ustalić prawdopodobną lokalizację tego baśniowego piekła. Według najbardziej powszechnego przeświadczenia znajdowało się ono w najniższych regionach ziemi. Gdzie jednak, proszę was, są owe regiony w globie krążącym wokół własnej osi? Inni mówili, że znajduje się ono w centrum ziemi, czyli około tysiąc pięćset mil od nas. Jeśli jednak Pismo ma rację, ziemia zostanie zniszczona, a skoro tak się stanie, gdzie znajdować się będzie piekło? Widzicie więc, do jakich bredni przywodzą pewne błędy w myśleniu. Rezonery mniej dziwaczni utrzymują, jak wcześniej wspomniałam, że piekło polega na pozbawieniu człowieka możliwości oglądania Boga. W takim przypadku piekło zaczyna się już w tym świecie, jako że owego Boga bynajmniej w nim nie widzimy. Nie jesteśmy tym wszakże zbyt zmartwieni, a gdyby ów dziwaczny Bóg istniał naprawdę tak, jak go nam odmalowują, nie wątpimy, że wówczas piekłem dla ludzi byłoby go widzieć!

Wszelkie wahania i ograniczona zgoda wśród teologów dowodzą, że błędzą oni w ciemnościach i, jak pijani, nie potrafią złapać równowagi. I czyż nie jest wielce zastanawiające, że nie mogą się porozumieć w kwestii równie zasadniczego dogmatu, który, jak twierdzą, uważają za tak jasno wyrażony w Bożym słowie?

Wbijcie więc sobie do głów, zdobione tonsurą kanalie, że ów przerażający dogmat pozbawiony jest podstawy, że jest produktem waszego skąpstwa i ambicji, tworem waszego zбочzonego umysłu; że punktem wyjścia są dlań obawy pospolitego głupka, któremu każecie bezkrytycznie akceptować wszystko, co tylko zechcecie mu wmówić. Przyjmijcie więc w końcu do wiadomości, że owo piekło istnieje tylko w waszych głowach i że wieczne męczarnie są lękami, którymi dla własnej przyjemności przytłaczacie śmiertelnych, oni zaś zgadzają się, byście nimi powodowali. Zgłębiwszy te zasady, wyrzekamy się więc na zawsze owej doktryny niebezpiecznej dla ludzi i obelżywej dla Boskości; doktryny, której, krótko mówiąc, niepodobna racjonalnie dowieść umysłowi.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę ustalmy, że dziecinny dogmat o piekle jest

wymysłem księży, okrutnym domniemaniem, jakie zaryzykowali hultaje w sutannach. Postanowili oni uwzniościć Boga równie płaskiego, równie godnego pogardy jak oni sami, ażeby zyskać prawo domagania się dla tego odrażającego idola wszystkiego, co schlebia ich namiętnościom, a zwłaszcza zapewnić sobie dziwki i pieniądze, wyłączne przedmioty ambicji tego stada próżniaków, nikczemnego odpadu społeczeństwa, które zrobiłoby najmądrzej raz na zawsze się ich **pozbywając**<sup>5</sup>.

Wygnaście więc na zawsze z waszych serc doktrynę, która przeczy zarówno waszemu Bogu, jak rozumowi. Oto bez wątpienia dogmat, jaki przysporzył ludzkości najwięcej ateistów, skoro nie ma choćby jednego człowieka, który nie wolałby w nic nie wierzyć niż przyswoić równie niebezpieczny stek kłamstw. Dlatego właśnie tak wiele szlachetnych i wrażliwych dusz w absolutnej areligijności szuka pocieszenia i zaradczych środków przeciw terrorowi, jaki nikczemna doktryna chrześcijańska stara się im narzucić. Wyzbądźmy się więc daremnych obaw, zetrzyjmy na proch dogmaty, odrzućmy ceremonie i tajemnice tej odrażającej religii. Solidnie ugruntowany ateizm wart jest o wiele więcej niż kult, którego zagrożenia prześledziliśmy. Nie wiem, na czym polegać miałyby niedogodność niewiary; doskonale za to przeczuwam wszystkie zagrożenia, jakie zrodzić się mogą z przyswojenia tamtych niebezpiecznych systemów.

Oto, co sądzę, mój drogi Saint-Fondzie, o nikczemnym dogmacie piekła. Niechże przestanie cię on trwożyć i mącić tve przyjemności! Nie ma innego piekła dla ludzi niż głupota i niegodziwość bliźnich. Kiedy człowiek kończy swój żywot, wszystko znika: unicestwia się on na zawsze i nic zeń nie przetrwa. Jakże naiwne byłoby więc jakiegokolwiek ograniczanie jego namiętności! Niechże uwierzy, że stworzony został tylko dla nich i po to, by je zaspokajać, jakiegokolwiek miałyby pociągać za sobą ekscesy, i że wszelkie skutki tych namiętności, jakiegokolwiek by były, są środkami, za pomocą których służymy naturze; naturze, której jesteśmy odwiecznymi elementami - w co nie sposób wątpić i przed czym niepodobna się bronić.

Zwracam ci teraz ideę Boga, jaką posłużyłam się tylko przez chwilę, ażeby zwalczyć system wiecznych kar. Nie ma wszelako ani Boga, ani Diabła, ani raj, ani piekła, a jedynymi obowiązkami, jakie winniśmy wypełniać, są te, jakich domagaję się nasze przyjemności. Nie należy przy tym zważać na społeczne interesy, nie ma bowiem żadnego, jakiego nie powinniśmy natychmiast uśmiercić w imię najmniejszego z naszych pragnień.

To, mam nadzieję, dość, by cię przekonać o absurdalności zasady, na której wznosisz swe bezużyteczne okrucieństwo. Czy przeanalizuję środki? Nie, doprawdy, szkoda fatygi! Jakże mogłeś przypuszczać, że podpis krwią jest skuteczniejszy niż jakiegokolwiek inny;

że sygnowany w ten sposób papier, wetknięty w tyłek, czyli odrobina materii dołożona do innej materii, mógłby stać się paszportem do Boga lub Diabła, a więc bytów, które nie istnieją? Jest to połączenie przesądów tak osobliwych, że nie zasługuje ono doprawdy na zaszczyt refutacji. Zastąp lubieżną ideę, jaka rozpala ci głowę, ową ideę przedłużania męki tego samego obiektu, ideą obfitszych zbrodni. Nie zabijaj już wciąż na nowo tej samej istoty, co jest niemożliwe, uśmiercaj większą ilość bytów, co jest łatwe do wykonania. Czyż nie jest czymś małostkowym ograniczać się do sześciu ofiar na tydzień? Odwołaj się do troskliwości i inteligencji Julietty w celu podwojenia i potrojenia tej liczby. Wręcz jej stosowną sumę: niczego ci nie zabraknie, a twoje namiętności będą zaspokojone.

- Wspaniale! - odparł Saint-Fond. - Przyjmuję ten ostatni postulat i oznajmiam ci, Julietto, że od tej chwili zamiast trzech ofiar podczas kolacji, żądam sześciu, i że zamiast dwu kolacji, w tym samym odstępie czasu odbędę cztery, co podniesie liczbę ofiar do dwudziestu czterech na tydzień, wśród których znajdować się mają w jednej trzeciej mężczyźni i w dwóch trzecich kobiety; dobrze opłacę twe starania. Nie ustąpię jednak, drogie panie, tak łatwo w sprawie tej wnikliwej dysertacji o nicości kar i piekła. Doceniam widoczną w niej erudycję..., jej cel..., niektóre wnioski. Nie mogę jej wszak uznać i oto, co jej przeciwstawiam.

Wydaje się przede wszystkim, że w swym rozumowaniu, Clair-wil, dążysz jedynie do usprawiedliwienia Boga za barbarzyństwo dogmatu o piekle. Wciąż powtarzasz, że jeśli Bóg istnieje, to cechy, jakie powinien posiadać, nie dają się pogodzić z tym niesmacznym dogmatem. Wszelako tutaj właśnie popełniasz, według mnie, największy błąd, a dzieje się tak z braku dostatecznie głębokiej, dostatecznie jasnej filozofii, która zorientować by cię mogła w tej materii. Dogmat piekła szkodzi twym przyjemnościom i biorąc to za punkt wyjścia, utrzymujesz, że nie ma piekła. Jakże zaufać można pogładowi tak przepelnionemu egoizmem? Ażeby zwalczyć dogmat wiecznej kary, zaczynasz swawolnie od zniszczenia wszystkiego, co go uzasadnia: Bóg nie istnieje, nie posiadamy duszy, nie ma więc powodu obawiać się cierpień w innym świecie. Wydaje mi się, że popełniasz tutaj największy logiczny błąd, polegający na zakładaniu tego, co już stanowi przedmiot. Daleki od myślenia w tym duchu, uznaję istnienie Najwyższej Istoty, a w sposób jeszcze bardziej stanowczy nieśmiertelność naszych dusz. Niech wszakże de-woci, oczarowani tym początkiem, nie wyobrażają sobie, że zdołają na tej podstawie uczynić ze mnie nowo nawróconego. Wątpię, by spodobały się im moje systemy Jakiegokolwiek mogłabyś dostrzec w nich dziwactwa, niniejszym ci je prezentuję.

Spoglądam na świat, wszędzie widzę panujące despotycznie zło, chaos i zbrodnię.



Pochylam się nad stworzeniem najbardziej zasługującym na życzliwość i widzę, że i ono złożone jest z występków, sprzeczności, nikczemności. Jakie wnioski płyną z tego badania? Że to, co niesłusznie nazywamy złem, naprawdę wcale nim nie jest, i że ów stan rzeczy jest tak konieczny z punktu widzenia bytu, który nas stworzył, iż przestałby on być panem swego własnego dzieła, gdyby zło nie występowało powszechnie na ziemi. Szczerze przekonany do tego systemu, powiadam: istnieje Bóg; jakaś ręka w sposób konieczny stworzyła wszystko, co widzę; stworzyła to jednak tylko w imię zła, ma upodobanie jedynie w złu, zło stanowi jej istotę, a wszelkie zło, jakie każe nam popełniać, nieodzowne jest dla realizacji jej planów. Cóż stąd, że cierpię z powodu tego zła, jeśli jest ono konieczne? Czyż nie wydaje się, że jestem ukochanym dzieckiem tej istoty? Być może niedole, jakie spadają na mnie od dnia narodzin aż po śmierć, zdają się potwierdzać jej obojętność wobec mnie tylko dlatego, że posiadam błędne wyobrażenie o złu.

To, co ja w ten sposób postrzegam, jest prawdopodobnie wielkim dobrem dla bytu, który wydał mnie na świat. A jeśli doznaję zła od innych, cieszę się prawem odpłaty, a nawet z łatwością wyrządzić je mogę jako pierwszy. Odtąd zło jest dla mnie dobrem, podobnie jak dobre jest ono dla stwórcy. Jestem szczęśliwy wyrządzając zło innym, podobnie jak Bóg jest szczęśliwy czyniąc zło mnie. Błąd tkwi już tylko w idei wyrażonej za pomocą słowa, faktycznie zaś zło jest i konieczne, i sprawia przyjemność. Dlaczegoż więc nie miałbym nazywać go odtąd dobrem? Wyzbądźmy się wątpliwości - zło, lub przynajmniej to, co w ten sposób nazywamy, jest całkowicie użyteczne dla występnego ustroju tego smutnego świata. Bóg -jego konstruktor -jest bytem mściwym, barbarzyńskim, złośliwym, niesprawiedliwym, okrutnym, a to dlatego, że mściwość, barbarzyństwo, złośliwość, nieprawość, łotrstwo są koniecznymi modusami sił napędowych tego ogromnego dzieła, nad którymi ubolewamy tylko wówczas, gdy nam szkodzą: gdy jesteśmy bierni, zbrodnia pozbawiona jest słuszności, gdy działamy, racja jest po jej stronie. Otóż jeśli zło lub przynajmniej to, co tak nazywamy, jest istotą tak Boga, który stworzył świat, jak i ukształtowanych na jego podobieństwo indywiduów, to jakże uniknąć pewności, że następstwa zła muszą być wieczne? Ze zła właśnie stworzył on świat; dzięki złu go podtrzymuje dzięki złu zapewnia mu trwanie; stworzenie może istnieć tylko, jeśli przenika je zło; do łona zła powraca ono po śmierci. Dusza ludzka jest tylko oddziaływaniem zła na subtelną materię, złu jedynie pozwalającą się kształtować: otóż modus ów, będący duszą Stwórcy, podobnie jak jest duszą stworzenia, istniał przed ukształtowanym zeń stworzeniem i tak samo istniał będzie po nim. Wszystko musi być złe, okrutne, nieludzkie, podobnie jak wasz Bóg: oto występki, jakie przyswoić musi ten, kto chce mu się spodobać, a kto nie może wszak liczyć, że zdoła to osiągnąć,

albowiem szkodzące wciąż zło, zło-istota Boga, nie poddaje się ani miłości, ani wdzięczności. Jeśli ów Bóg, ośrodek zła i dzikości, dręczy człowieka i poddaje go udręce ze strony przyrody oraz innych ludzi w ciągu całego jego istnienia, to jakże wątpić, że oddziała tak samo, i być może nieświadomie, na owo wydane przez siebie technienie, które, jak przed chwilą powiedziałem, nie jest niczym innym niż samym złem? Jakże jednak - zaprotestujecie - zło może być dręczone przez zło? Dzieje się tak dlatego, iż wzmaga się ono, dosięgając siebie samego, i że część przyjmowana musi zostać zdruzgotana przez część, która przyjmuje, ponieważ słabość ulega zawsze wobec siły. To, co istnieje dzięki temu bytowi złemu z natury i co się zeń wywodzi, ponieważ taka jest istota jego niezmiennego konstytucji, będzie więc - zanurzone w łonie zła i bezsilne, gdyż okaże się słabsze - dręczone przez absolutną istotę zła, z jaką się połączy. I to właśnie owe złośliwe molekuly tworzą, w akcie zespolenia z tymi, jakie sprowadza na nie śmierć, to, co poeci i rozpalone wyobraźnie, nazywają demonami. Jak widzicie, żaden człowiek, bez względu na swoją sytuację w świecie, nie może uniknąć tego potwornego losu, wszystko bowiem, co wywodzi się z łona natury, czyli zła, musi do niego powrócić: takie jest prawo uniwersum. Tak oto odrażające składniki złego człowieka wchłaniane są przez ośrodek niegodziwości, jakim jest Bóg, po to, by, powróciwszy, ożywiały inne jeszcze byty, które zrodzą się o tyle bardziej zepsute, iż będą owocem zepsucia.

Czym jest zatem - zapytacie - byt dobry? Ależ byt dobry w ogóle nie istnieje; ten, kogo nazywacie cnotliwym, nie jest wcale dobry, czy też jeśli jest taki wobec was, to nie jest z pewnością dla Boga, który jest tylko złem, chce tylko zła, domaga się jedynie zła. Człowiek, o którym mówicie, to słabeusz, a słabość jest złem. Ów człowiek, jako słabszy od bytu absolutnie i całkowicie występnego, w rezultacie zaś wcześniej pochłonięty przez złośliwe molekuly, z jakimi łączy go własne elementarne rozproszenie, cierpieć będzie o wiele bardziej: to właśnie popychać winno wszystkich ludzi do bycia w tym świecie największymi nikczemnikami, możliwie największymi niegodziwcami, ażeby, bardziej podobni do molekuł, z jakimi pewnego dnia się połączą, doznawali, w tym akcie zespolenia, nieskończenie mniej cierpień. Mrówka pochłonięta przez zwierzę mogące unicestwić wszystko, czym zawładnie, cierpiałaby, wskutek znikomego oporu, do jakiego jest zdolna, nieskończenie bardziej niż duże zwierzę, które, potrafiąc skuteczniej przeciwstawiać się agresji, wchłaniane byłoby wolniej. Im bardziej człowiek dopuszczał się będzie w tym świecie występków i potwornych zbrodni, tym bardziej zbliży się do swego niezmiennego celu, jakim jest niegodziwość; tym mniej w rezultacie będzie cierpieć, łącząc się z ośrodkiem niegodziwości, którą uznaję za pierwotną materię świata. Niechaj więc człowiek wystrzega się cnoty, jeśli nie chce być wydany najokrutniejszym niedolom; albowiem, jako że cnota stanowi modus przeciwny

porządkowi świata, wszyscy, którzy ją szanują, znosić będą po śmierci niewiarygodne męki w związku z trudnością powrotu do łona zła... twórcy i odnowiciela wszystkiego, co istnieje.

Skoro widzieliście, że wszystko na ziemi jest występne i zbrodnicze, powie im Najwyższa Niegodziwa Istota, dlaczego zbłądziliście na drogi cnoty? Czyż nie podpowiadałam wam niekiedy, że ów świat stworzony został dla mej przyjemności? I czy nieustanne plagi, jakie zsyłałam na świat, nie powinny was przekonać, że lubię tylko nieład i że należało mnie naśladować, aby mi się spodobać? Czyż nie służyłam wam codziennie przykładem niszczenia? Dlaczego nie niszczyliście? Czyż klęski, jakimi nękałam świat, dowodząc wam, że zło jest moją największą rozrywką, nie powinny was skłonić do służenia moim planom za pomocą zła? Mówiłam wam, że ludzkość winna mi schlebiać: czy w którymś z moich zachowań dostrzeżliście ślad dobra? Czy było tak wówczas, gdy zsyłałam wam zarazy, wojny domowe, choroby, trzęsienia ziemi, nawałnice? Czy wtedy, gdy potrzasałam wam nad głowami węzami niezgody, dowodziłam, że dobro stanowi mą istotę? Idioci, czemuście mnie nie naśladowali?! Czemu opieraliście się tym namiętnościom, w jakie wyposażyłam was tylko po to, by wam dowiedzieć, jak bardzo zło było mi niezbędne? Należało słuchać ich głosu, bezlitośnie łupić, jak ja, wdowę i sierotę, zawłaszczać dobytkiem ubogiego, jednym słowem sprawić, idąc za moim przykładem, by inny służył wszystkim waszym potrzebom i zachciankom. Co przyszło wam z wybrania drogi przeciwnej i w jakież sposób łagodne elementy, uwolnione w chwili rozpadu, miałyby powrócić, nie ulegając rozbiciu i nie przysparzając wam największych cierpień, do łona niegodziwości i zbrodni?

Będąc, jak widzisz, w większym stopniu filozofem niż ty, Clair-wil, nie odwołuję się bynajmniej do tego szelmy Jezusa, ani do bająn Pisma Świętego, by objaśnić ci mój system. W badaniu natury wszechświata szukam oręża, którym zwalczam twoje argumenty, a sądząc po sposobie, w jaki świat jest rządzony, stwierdzam konieczność obecności w nim wiecznego i powszechnego zła. Twórca wszechświata jest najbardziej niegodziwym, okrutnym, odrażającym ze wszystkich bytów. Jego dzieła mogą być jedynie albo rezultatem, albo przejawem nikczemności. Gdyby wszechświat nie był kwintesencją niegodziwości, nic by w nim nie przetrwało; zło jest wszelako bytem moralnym, a nie celowo stworzonym, wiecznym, a nie śmiertelnym: istniało przed światem; ukonstytuowało potworny, ohydny byt, który zdolny był stworzyć równie dziwaczny świat. Istnieć więc ono będzie po śmierci istot zaludniających ów świat. I to w łonie zła ponownie się one spotkają, ażeby dać początek innym, bardziej jeszcze niegodziwym bytom. Właśnie dlatego mówimy, że wszystko się degraduje, psuje w miarę starzenia: przyczyną tego jest nieskończone powracanie i wyłanianie się złych elementów w łonie złośliwych molekuł.

Zapytacie mnie teraz, być może, jak w ramach tej hipotezy wyobrażam sobie możliwość przedłużania cierpień jakiegoś bytu za pomocą biletu wprowadzonego w obrot. To bardzo proste, ośmielę się nawet powiedzieć, że najpewniejsze i najmniej podatne na odparcie: nazwałem to słabością dlatego, iż nie sądziłem, że znajdę się w sytuacji, w której przedstawiać będę me systemy. Bronię teraz mojej metody i dowodzę jej słuszności.

Powracając do łona zła, moje ofiary dołączają, za sprawą zadanych im przeze mnie wszelkich możliwych do zniesienia cierpień, do grona bytów cnotliwych. Wskutek mego działania czynię je lepszymi; dostatecznie utrudnia ono ich połączenie ze złośliwymi molekułami i przysparza ogromnych cierpień; na mocy zaś podstawowych w naturze praw przyciągania są one tego samego rodzaju co cierpienia, jakie kazałem im znosić w tym świecie. Jak magnes przyciąga żelazo, a piękno wzbudza cielesne pożądanie, tak samo przywołują się wzajemnie, wchodzą ze sobą w związki, cierpienia A, cierpienia C i cierpienia B. Zakładam, że byt unicestwiony przeze mnie za pomocą cierpienia B, powróci do łona złośliwych molekuł tylko dzięki cierpieniu B; a jeśli owo cierpienie B jest najstraszliwszym z możliwych, to mam pewność, że moja ofiara znosić będzie podobne, łącząc się z ośrodkiem zła, który jest jedynym przeznaczeniem ludzi, i że, na mocy praw przyciągania, o jakich wspomniałem, przyjmie on ją tylko w takiej samej postaci, w jakiej opuściła świat. Co do biletu, to zgadzam się, że stanowi on tylko formalny dodatek... niekonieczny, być może, satysfakcjonujący jednak mego ducha i niesprzeczny z właściwym celem, jakim jest sukces mego przedsięwzięcia.

- Oto - odezwała się Clairwil - najbardziej zdumiewający, osobliwy i, ośmielę się powiedzieć, najbardziej dziwaczny z systemów, jakie kiedykolwiek powstały w ludzkim umyśle!

- Jest mniej niezwykły od tego, jaki sama przedstawiłaś - odparł Saint-Fond. - By utrzymać własny system, zmuszona jesteś albo oczyścić Boga z jego win, albo zanegować jego istnienie. Ja zaś uznaję go ze wszystkimi jego występkami, tym więc, którzy poznają dobrze wszelkie zbrodnie, wszelkie potworności tego monstrualnego bytu, wielbionego i nazywanego przez ludzi dobrym tylko ze strachu, moje idee wydadzą się mniej niewłaściwe niż te, jakie sama wyłożyłaś.

- Twój system ma źródło w głębokiej odrazie, jaką żywisz do Boga.

- Istotnie, odczuwam do niego wstręt. Nienawiść nie jest jednak podstawą mego systemu: stanowi on wyłącznie owoc mej mądrości mych przemyśleń.

- Wolę nie wierzyć w Boga niż obarczać się nim po to, by go nienawidzić. Co o tym

sądzisz, Julietto?

- Jako gorliwa ateistka, stanowcza przeciwniczka dogmatu o nieśmiertelności duszy, przedkładam zdecydowanie twój system nad system Saint-Fonda. Wolę pewność nicości niż obawę przed wiecznymi mękami.

- Wciąż ten perfidny egoizm, przyczyna wszystkich ludzkich błędów - rzekł Saint-Fond. - Tworzymy projekty podług naszych gustów, zachcianek, wciąż oddalając się od prawdy. Na boku zostawić trzeba namiętności, gdy rozważa się filozoficzny system.

- Ach, Saint-Fondzie! - odparła Clairwil. - Jakże łatwo byłoby wykazać, że twój własny system jest tylko owocem namiętności, których, według ciebie, należałoby się wyzbyć w toku badania. Gdybyś miał w sercu mniej okrucieństwa, twoje dogmaty byłyby mniej krwawe. Wolisz ściągnąć na siebie wieczne potępienie, o jakim rozprawiasz, niż wyrzec się cudownej rozkoszy trwożenia nim innych.

- Doprawdy, Clairwil - przerwałam - taki jest jedyny cel jego systemowych wysiłków! To z jego strony tylko niegodziwość, lecz on w to nie wierzy.

- Mylisz się, wierzę. I możecie stwierdzić, że moje działania są całkowicie zgodne z moim sposobem myślenia. Przekonany, że męka połączenia ze złośliwymi molekułami będzie bardzo złagodzona w przypadku bytu równie niegodziwego jak one, pławię się w zbrodniach w tym świecie, ażeby mniej cierpieć w przyszłym.

- Co do mnie - rzekła Clairwil - to plamię się nimi, ponieważ mi odpowiadają, ponieważ uważam je za jeden ze sposobów służenia naturze i ponieważ, skoro po śmierci niczego nie ma, nie jest ważne, jak będę postępować w tym świecie.

W trakcie tej dyskusji usłyszeliśmy odgłos zajeżdżającego powozu. Zaanonsowano Noirceuil. Zjawił się w towarzystwie szesnastoletniego chłopca, piękniejszego niż sama Miłość.

- A cóż to takiego! - zdumiał się minister. - Zamierzałem właśnie przystąpić do analizy piekła. Czy chcesz dać mi okazję, bym nieco bardziej na nie zasłużył?

- On należy wyłącznie do ciebie - odpowiedział Noirceuil. - I możesz do woli narażać się na potępienie z pomocą tego pięknego dziecka: sprowadziłem je tutaj tylko w tym celu. Jest synem markizy de Rosę, którą osiem dni temu kazałeś osadzić w Bastylii pod zmyślonym pretekstem spiskowania, mającym, jak mi się wydaje, na celu jedynie twoje wzbogacenie się jej kosztem i nasycenie się tym cudownym dzieckiem. Znając nasze stosunki, markiza zabiegała o widzenie ze mną: poleciłem twym urzędnikom, by umożliwili mi spotkanie z nią i właśnie dziś rano sobie pogwarzyliśmy. Oto rezultat moich negocjacji - dodał Noirceuil, popychając młodego Rosę w kierunku ministra. - Używaj i podpisuj! Ponadto mam jeszcze

dla ciebie sto tysięcy talarów.

- Podoba mi się - stwierdził Saint-Fond, całując młodzieńca - jest bardzo ładny. Przybywa jednak w złym momencie... robiliśmy okropne rzeczy, jestem wykończony.

- Z pewnością sobie poradzisz - odrzekł Noirceuil. - A we wdziękach tego dziecka znajdziesz wszystko, czego trzeba, by cię, ożywić.

Rosę i Noirceuil, którzy nie jedli kolacji, zasiedli do stołu. Gdy skończyli jeść, Saint-Fond powiedział, że pragnie, abym asystowała mu w przyjemnościach, jakie obiecuje sobie po tym chłopcu, i aby Noirceuil spał z Clairwil. Pomysł spodobał się. obojgu, przystąpiliśmy więc do dzieła.

- Trzeba mi wielu rzeczy - odezwał się Saint-Fond, gdy zostaliśmy już tylko we troje. - I jakkolwiek piękne jest to dziecko, czuję, że z trudem przyjdzie mi się podniecić. Ściągnij mu spodnie, Julietto, podciągnij koszulę, zostawiając spodnie rozkosznie opuszczone do połowy ud. Uwielbiam ten sposób wystawiania dupy.

A jako że ta, którą odsłoniłam, była doprawdy wyborna, Saint-Fond, pobudzony przeze mnie, całował ją bardzo długo, brandzlując młodzieńcowi kutasa, który nabrał wkrótce nader okazałego wyglądu.

- Ssij go - polecił mi kochanek - ja zaś dobiorę się młodzianowi do tyłka. - Trzeba sprawić, by chłopak spuścił się między nami.

Następnie Saint-Fond, zazdrosny o spermę, jakiej się właśnie dopracowałam, zapragnął zamienić się ze mną miejscami, czego dokonaliśmy w sposób tak udany, że zaledwie wziął do ust członek młodzieńca, poczuł, jak wypełniają się one wskutek nader obfitej ejakulacji. Pochłonał nasienie.

- Och, Julietto! - zawołał. - Jakże lubię posilać się tym daniem! Toż to sam miód!

Z kolei poleciwszy dziecku położyć się do łóżka, lecz nie zasypiać, dopóki nie wrócimy, zabrał mnie do swego buduaru.

- Julietto - powiedział - muszę cię wprowadzić w szczegóły sprawy, której sam Noirceuil nie zna zbyt dobrze. Markiza de Rosę, jedna z najpiękniejszych kobiet dworu, była niegdyś moją kochanką, a dziecko, które tutaj przebywa, jest moim synem. Dwa lata temu zakochałem się w tym chłopcu, jednak hrabina nigdy nie zgodziła się mi go oddać. Ponieważ jej zaufanie do mnie nie było jeszcze dość ugruntowane, nie chciałem ryzykować. Widząc jednak ostatnio jej wzrastającą wobec mnie pobłażliwość, nie zawahałem się oskarżyć kochanki, aby się zemścić.

Złupię ją więc i udręcę, używając sobie z jej synem. Teraz ogarnął ją strach, przyszyła mi go w momencie, gdy, wydawszy nań sporo w ciągu osiemnastu miesięcy, wykazuję już o

niego tylko bardzo umiarkowaną troskę. Ponieważ jednak w całej tej historii rozkwita sporo pięknych zbrodniczych kwiatów, zerwę je ku własnej rozkoszy. Przede wszystkim chcę przywłaszczyć sobie sto tysięcy talarów hrabiny oraz zerznąć jej syna. Jeśli zaś o nią chodzi, to może opuścić Bastyję tylko w drewnianym futerale.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To proste. Hrabina nie wie, że gdyby straciła syna, ja, chociaż pozostaję na uboczu, byłbym jej wyłącznym spadkobiercą. Za miesiąc kurwy już nie będzie. Dzisiejszej nocy wypieprzę panicza, jej synalka, jutro rano zaś poczęstujemy go kawą, która przysporzy mi fortuny, jakiej on miał być dziedzicem.

- Cóż za wyborna zbrodnicza intryga!

- Widzisz więc, że bez trudu powrócę do łona złośliwych mole-kul\

- Och, jesteś zdumiewający! Czy rzecz jest przynajmniej warta trudu?

- Pięćset tysięcy liwrow renty, Julietto, które zdobędę używając arszeniku za dwadzieścia su! Mam głowę na karku! Możesz więc stwierdzić - kontynuował, wciskając mi w dłoń swego nabrzmiałego i bardzo twardego kutasa - przewagę zbrodniczej idei nad moimi zmysłami: nigdy nie zgodziłbym się utracić kobiety, gdybym nie był pewny, że ją potem zabiję.

Młody Rosę oczekiwał nas; położyliśmy się obok niego. Saint-Fond obdarował go najbardziej lubieżnymi czułościami; brandzlowali-śmy go, ssaliśmy, obrabialiśmy mu tyłek, a ponieważ wyobraźnia mocno pracowała, Saint-Fond wkrótce go zerznął. Językiem brandzlowa-łam mu odbył i mimo że minister był już wyczerpany, jego wyładowanie było jednym z najdłuższych i najbardziej obfitych. Zażądał, bym spermę wlała mu do ust: ten rodzaj rozpusty wyjątkowo mi się spodobał, spełniłam więc jego życzenie. Z kolei młody Rosę pieprzył mnie w dupę, podczas gdy Saint-Fond rznął go po raz drugi. Następnie ja potraktowana zostałam tak samo przez ministra, operującego jednocześnie godmiszem w dupie młodzieńca. Skończyliśmy wyczerpani, nakłoniwszy chłopca do spuszczenia się albo w nasze usta, albo w dupy. Około północy Saint-Fond, zde gustowany brakiem satysfakcji, polecił mi trzymać dziecko, sam zaś dyscypliną krwawo oporządził mu pośladki. Później bił go i znęcał się nad nim okrutnie. O jedenastej podano czekoladę. Z polecenia ministra zatroszczyłam się o to, co zapewnić mu miało spadek, on zaś, powodowany niesłychanym wyrafinowaniem w okrucieństwie, zapragnął, wówczas gdy ja przygotowywałam truciznę dla syna, wydać rozkaz komendantowi Bastylii, by ten zaordynował truciznę matce.

- Doprawdy - odezwał się Saint-Fond, gdy za sprawą naszych knowań śmierć przeniknęła do trzewi tego nieszczęsnego dziecka - to się nazywa szczęśliwy poranek!

Gdybyż Najwyższa Niegodziwa Istota zechciała mi ofiarować choćby cztery takie w tygodniu, byłbym jej wielkim dłużnikiem.

Noirceuil i Clairwil czekali na nas przy śniadaniu. Nie wyjawiliśmy żadnego z naszych sekretów i minister wrócił do Paryża w towarzystwie dziecka oraz przyjaciela; same wyruszyliśmy w dalszą drogę.

By nie wracać już do tej przygody, powiem tylko, że owa zbrodnia, jak wszystkie zbrodnie Saint-Fonda, uwieńczona została powodzeniem. Wkrótce dysponował spadkiem, z którego był łaskaw wypłacić mi z góry dwuletnią pensję za współudział w tym niegodziwym postępku.

W podróży Clairwil zadała mi parę pytań, na które odpowiedziałam w taki sposób, by w nic jej nie wtajemniczyć. Ukrywanie lubieżnych postępków byłoby daremne; i tak by mi nie uwierzyła. Zakamuflowałam jednak resztę i Saint-Fond był mi za to wdzięczny. Skorzystałam z okazji, by przypomnieć przyjaciółce o złożonej obietnicy wprowadzenia mnie do jej libertyńskiego klubu. Zadeklarowała, że nastąpi to w trakcie najbliższego zebrania członków i wyprawiłyśmy się w dalszą drogę.



## STOWARZYSZENIE MIŁOŚNIKÓW ZBRODNI

Nadszedł wreszcie dzień mego przyjęcia do klubu Clairwil. Związek ten nazywano Stowarzyszeniem Miłośników Zbrodni. Rano moja wprowadzająca przyniosła statut zgromadzenia. Interesujące będzie dla was, jak sądzę, zapoznanie się z nim, oto więc on:

### STATUT STOWARZYSZENIA MIŁOŚNIKÓW ZBRODNI

Stowarzyszenie posługuje się słowem zbrodnia, by zastosować się do przyjętych zwyczajów, oświadcza jednak, że nie określa w ten sposób żadnego czynu, bez względu na jego charakter.

Głęboko przekonane, że ludzie nie są wolni, a jako skrępowani prawami natury, wszyscy są niewolnikami tych pierwszych praw, zezwała na wszystko, wszystko usprawiedliwia i uznaje za najgorliwszych zwolenników tych, którzy bez żadnych wyrzutów sumienia oddawali się jak największej liczbie owych śmiałych czynów, które głupcy w swej słabości nazywają zbrodniami; przekonane jest ono bowiem, że oddając się tym czynom służy naturze, gdyż ona je dyktuje, i że prawdziwą zbrodnią byłby opór, jaki człowiek stawiałby wszelkim podszeptom natury, bez względu na ich charakter. Dlatego Stowarzyszenie chroni wszystkich swych członków, wszystkim obiecuje pomoc, obronę, protekcję, zaufanie, zabezpieczenie przed Prawem; bierze ono pod opiekę tych, którzy je łamią, i uważa, że samo stoi ponad prawem, ponieważ Prawo jest dziełem ludzi, a Stowarzyszenie, dziecię natury, posłuszne jest tylko jej i tylko do niej się stosuje.

1. Nie będzie żadnych podziałów między osobami wchodzącymi w skład Stowarzyszenia. Nie dlatego, że sądzi ono, iż w oczach natury wszyscy ludzie są równi (nie akceptuje ono bynajmniej tego obiegowego przesądu, owocu słabości i fałszywej filozofii), lecz przekonane jest, że w przyjemnościach Stowarzyszenia wszelki podział byłoby rzeczą uciążliwą i prędzej czy później nieuchronnie utrudniłby ich **realizację**.

2. Osoba, która chce zostać przyjęta do Stowarzyszenia, powinna wyrzec się wszelkiej religii, bez względu na jej charakter. Musi być przygotowana na próby, które dowiodą jej pogardy dla tych ludzkich kultów i ich urojonego przedmiotu. Najdrobniejszy powrót do tych głupstw będzie ją kosztował natychmiastowe wykluczenie.

3. Stowarzyszenie nie przyjmuje istnienia Boga. Ażeby do niego wstąpić, należy złożyć dowody ateizmu. Jedyńm Bogiem, jakiego zna, jest przyjemność, i jej wszystko poświęca; akceptuje wszelkie wyobrażalne rozkosze, za dobre uznaje to wszystko, co sprawia komuś przyjemność; w nim dozwolone są wszelkie rozkosze, nie ma ani jednej,

jakiej nie hołduje, ani jednej, jakiej nie doradza i nie zaleca.

4. Stowarzyszenie zrywa wszelkie węzły małżeńskie i wszystkie więzy krwi. Można się w nim rozkoszować, bez różnicy, żoną bliźniego tak jak własną, bratem, siostrą, dziećmi, kuzynami, tak jak rodziną innych. Naj lżej sza niechęć wobec tych zasad j est wyraźnym powodem wykluczenia.

5. Mąż jest obowiązany wprowadzić swą żonę, ojciec syna lub córkę, brat siostrę, wuj siostrzeńca lub siostrzenicę itd.

6. Do Stowarzyszenia nie przyjmuje się nikogo, kto nie da dowodu posiadania przynajmniej dwudziestu pięciu tysięcy liwów dochodu, ponieważ roczne wydatki wynoszą dziesięć tysięcy franków na osobę. Suma ta służy na wszelkie wydatki domu, na czynsz, seraje, powozy, kancelarię, na zgromadzenia, uczty, oświetlenie. A gdy pod koniec roku skarbnik ma jeszcze pieniądze, dzieli je między członków; jeśli wydatki przekroczą wpływy, wszyscy się składają, by różnicę zwrócić skarbnikowi, zawsze wierząc mu na słowo.

7. Za skromną sumę tysiąca liwów rocznie przyjętych zostanie dwudziestu artystów czy też ludzi pióra. Stowarzyszenie, protektor sztuk, chce im okazać te względy; jest jednak niepokieszone, że środki nie pozwalają mu za tę skromną sumę przyjąć znacznie większej liczby osób, które zawsze darzyć będzie ogromnym szacunkiem.

8. Członkowie Stowarzyszenia, związani ze sobą jak w rodzinie, dzielą wszelkie trudności i wszelkie przyjemności, wzajem się wspomagają i wspierają w najróżniejszych sytuacjach życiowych; wszelka jednak jałmużna, miłosierdzie, pomoc udzielana wdowom, sierotom lub ubogim są całkowicie zabronione, zarówno w Stowarzyszeniu, jak też indywidualnie jego członkom. Każdy członek, choćby tylko podejrzany o te rzekomo dobre uczynki, zostanie wykluczony.

9. W zapasie będzie zawsze suma trzydziestu tysięcy liwów na użytek członka, którego los dotknie jakimś nieszczęściem.

10. Prezydent wybierany jest w drodze głosowania i urząd ten pełni tylko przez miesiąc; wybiera się go spośród przedstawicieli tak jednej, jak i drugiej płci, i przewodniczy on dwunastu zgromadzeniom (odbywają się one trzy razy w tygodniu). Jego jedynym zajęciem jest dbałość o przestrzeganie praw Stowarzyszenia, utrzymywanie harmonii egzekwowanej przez stały komitet, którego prezydent jest przewodniczącym. Członkami tego komitetu są skarbnik i dwaj sekretarze zgromadzenia; ci ostatni zmieniają się co miesiąc, tak jak prezydent.

11. Każde posiedzenie otwiera przemowa, dzieło jednego z członków; duch tej przemowy sprzeczny jest z obyczajami i religią; jeśli jest tego warta, natychmiast zostaje

wydana nakładem Stowarzyszenia i umieszczona w jego archiwach.

12. W godzinach przeznaczonych rozkoszom wszyscy bracia i wszystkie siostry będą nadzy; dowolnie się ze sobą łączą i zażywają rozkoszy, a odmowa jednej osoby nigdy nie będzie mogła stanowić przeszkody dla przyjemności innej. Ten, kto zostanie wybrany, powinien być uległy i czynić wszystko: czyż chwilę później nie będzie miał takiego samego prawa? Osoba, która odmówiłaby oddania się przyjemnościom swych braci, zostanie do tego zmuszona, a następnie wygnana.

13. Podczas zgromadzenia nie można oddawać się żadnej namiętności okrutnej, z wyjątkiem chłosty wymierzanej po prostu w pośladki; namiętnościom okrutnym będzie się można swobodnie oddawać tylko w podlegających Stowarzyszeniu serajach, pośród braci zaś dozwolone są jedynie rozkosze łajdackie, kazirodcze, sodomskie i łagodne.

14. Pomiedzy braćmi obowiązuje pełne zaufanie; należy ujawniać własne upodobania i słabostki, korzystać z poufnych zwierzeń innych i znajdować w tym dodatkową pożywkę dla własnej przyjemności. Osoba, która zdradziłaby tajemnice Stowarzyszenia lub wyrzucała któremuś z braci jego słabostki czy też namiętności, stanowiące o jego rozkoszy, zostanie natychmiast wykluczona.

15. Obok publicznej sali przeznaczonej rozkoszom znajdują się sekretne gabinety, w których można się skryć, by w samotności oddawać się wszelkim występkom libertynizmu; można się tam udać w dowolnej liczbie osób. W każdym gabinecie znaleźć można wszystko, co niezbędne, także dziewczynę i młodzieńca, gotowych zaspokoić wszelkie namiętności członków Stowarzyszenia, nawet te, które dozwolone są tylko w serajach, gdyż owe dzieci należą do tej samej kategorii, co pozostające do dyspozycji w serajach, mogą więc być tak samo traktowane.

16. Dopuszczalne są wszelkie ekscesy stołu; bratu, który się im oddał, udzieli się wszelkiej pomocy i wszelkiej opieki; dostarczone mu zostanie wszystko, co służyć by mogło jego zadowoleniu.

17. Przyjęciu do Stowarzyszenia nie stoi na przeszkodzie żadne sądowe piętno, żadna publiczna pogarda, żadne oszczerstwo. Jego zasady ugruntowane są na zbrodni, jakże więc to, co pochodzi ze zbrodni, mogłoby kiedykolwiek stanowić przeszkodę! Osoby te, odrzucone przez towarzystwo, ukojenie i przyjaciół znajdują w Stowarzyszeniu, które zawsze będzie je traktować i przyjmować jako uprzywilejowanych. Z im większą pogardą osoba taka spotka się w towarzystwie, tym bardziej spodoba się Stowarzyszeniu; osoby tego rodzaju wybierane będą na prezydenta nawet w dniu przyjęcia, a w serajach przyjmowane z pominięciem okresu nowicjatu.

18. Podczas czterech wielkich zgromadzeń generalnych, które organizowane będą w okresach uznawanych przez katolików za cztery wielkie doroczne Świąta, odbywać się będzie spowiedź publiczna. W jej trakcie każdy zobowiązany jest głośno i wyraźnie wyznać wszystko, co uczynił; jeśli jego prowadzenie się jest bez zarzutu, zostaje zganiony; wychwala się go, jeśli jest nieprawidłowe; co zaś wówczas, gdy dopuścił się potwornych zbrodni i zniewag? Zostaje nagrodzony, w takim jednak przypadku musi przedstawić świadków. Nagrody sięgają zawsze dwóch tysięcy franków i wypłacane są z zasobów Stowarzyszenia.

19. Siedziba Stowarzyszenia, którą mogą znać tylko jego członkowie, jest niezwykle piękna. Otacza ją wspaniały ogród. Zimą w salach płonie ogień. Spotkania odbywają się między godziną piątą po południu a południem dnia następnego. Około północy podawany jest wystawny posiłek, a przez cały czas owoce i napoje chłodzące.

20. Wszelkie gry są w Stowarzyszeniu zabronione. Zajęte miłszą naturze rozrywką, gardzi ono wszystkim, co odległe od boskich namiętności libertynizmu, jedynych zdolnych podniecić człowieka.

21. Nowoprzyjętego, bez względu na płeć, obowiązuje miesięczny okres nowicjatu. Przez cały ten czas pozostaje on do dyspozycji Stowarzyszenia; służy jako plastron i nie może wejść do seraju ani objąć żadnego urzędu. Jeśli odrzuci jakąkolwiek złożoną mu propozycję, ukarany zostanie śmiercią.

22. O obsadzie urzędów rozstrzyga się w głosowaniu tajnym; intrygi są surowo zabronione. Urzędy to stanowisko prezydenta, dwóch sekretariatu, cenzora, dwóch zarządców serajów, skarbnika, ochmistrza, dwóch lekarzy, dwóch chirurgów, akuszerza, zarządu sekretariatu, którego szef ma pod sobą pisarzy, wydawców, rewizora i cenzora dzieł oraz generalnego inspektora kart wstępu.

23. Nie przyjmuje się osób powyżej czterdziestego roku życia w przypadku mężczyzn i trzydziestego piątego w przypadku kobiet; ci jednak, którzy przekroczą ten wiek jako członkowie Stowarzyszenia, mogą w nim pozostać do końca życia.

24. Każdy członek Stowarzyszenia, który nie pokaże się w nim przez rok, zostanie z niego wykluczony, a jego nieobecności nie usprawiedliwią ani sprawy publiczne, ani prywatne zajęcia.

25. Każde dzieło wymierzone w obyczaj lub religię, przedstawione przez członka Stowarzyszenia, bez względu na to, czy jest jego autorstwa, czy kogoś innego, zostanie natychmiast złożone w bibliotecę, a ten, kto je podsunął, będzie nagrodzony, i z racji zasługi dzieła, i ze względu na wniesiony przez siebie wkład.

26. Dzieci urodzone w Stowarzyszeniu zostaną wnet umieszczone w domu będącym

nowicjatem seraju, ażeby stały się jego członkami, gdy osiągną dziesiąty rok życia w przypadku chłopców i siódmy w przypadku dziewcząt. Kobieta czy dziewczyna, która chciałaby rodzić dzieci, zostanie jednak natychmiast wykluczona: rozmnażanie jest sprzeczne z duchem Stowarzyszenia; prawdziwy libertyn odczuwa wstręt do potomstwa. Stowarzyszenie karze więc za tę skłonność. Kobiety będą denuncjować mężczyzn ulegających tej manii i jeśli uzna się ich za niepoprawnych, również zostaną poproszeni o złożenie natychmiastowej rezygnacji.

27. Funkcja prezydenta polega na czuwaniu nad ogólnym porządkiem podczas zgromadzenia. Ma on pod sobą cenzora; obaj powinni utrzymywać spokój, ciszę, zaspokajać kaprysy członków, zapewniać uległość poddanych, milczenie, powstrzymywać śmiechy, rozmowy, wszystko, co jest obce duchowi libertynizmu, lub wszystko, co mu szkodzi. Prezydent odpowiedzialny jest za generalną inspekcję serajów. Może on je wizytować tylko pod warunkiem, że na katedrze zastąpi go jego poprzednik.

28. Dozwolone są przekleństwa, a zwłaszcza bluźnierstwa; można ich używać przy każdej okazji. Do siebie wzajem zawsze należy zwracać się per „ty”.

29. Zazdrość, plotki, miłosne sceny lub słowa są absolutnie zakazane: wszystko to szkodzi libertynizmowi, a tutaj należy się zajmować wyłącznie libertynizmem.

30. Każdy krzykacz, każdy amator pojedynków zostanie bezlitośnie wyrzucony. Tchórzostwo będzie szanowane tak jak w Rzymie: tchórz żyje w pokoju z ludźmi, zazwyczaj jest on zresztą libertynem, to osobnik, jakiego trzeba Stowarzyszeniu.

31. Liczba członków nie może przekroczyć czterystu i zawsze należy starać się o zachowanie równowagi płci.

32. W Stowarzyszeniu dozwolona jest kradzież, zabójstwo natomiast tylko w serajach.

33. Członek Stowarzyszenia nie musi się troszczyć o libertyńskie akcesoria: dom dostarczy tych rzeczy pod dostatkiem, do wyboru i w należytej czystości.

34. Nie będą tolerowane żadne odpychające ułomności. Każdy, kogo dotknie podobny los, z całą pewnością nie zostanie przyjęty. Jeśli zaś podobne nieszczęście spadnie na osoby już przyjęte, zostaną one poproszone o złożenie rezygnacji.

35. Członek Stowarzyszenia dotknięty chorobą weneryczną zostanie zmuszony do zawieszenia swego uczestnictwa aż do czasu całkowitego wyleczenia, potwierzonego przez właściwych lekarzy i chirurgów.

36. Nie zostanie przyjęty żaden cudzoziemiec, podobnie miesz-V kańcy prowincji. Stowarzyszenie przeznaczone jest wyłącznie dla osób ^ mieszkających w Paryżu lub w okolicach podmiejskich.

37. Przy przyjęciu nie liczą się tytuły rodowe, należy jedynie dowieść, że posiada się wymagane, wcześniej wymienione zasoby. Bez l względu na urodę kobieta nie zostanie przyjęta, jeśli nie dowiedzie, że posiada wymagany majątek. Tak samo będzie z młodzieńcem, choćby f najbardziej przystojnym.

38. Piękno, młodość nie mają w Stowarzyszeniu żadnych szczególnych praw: prawa takie szybko zniszczyłyby równość obyczajów, jaka powinna w nim panować.

39. Każdy członek, który zdradzi tajemnice Stowarzyszenia, zostanie skazany na śmierć. Ściagać się go będzie wszędzie, na koszt tegoż.

40. W zgromadzeniu panować będzie niepodzielnie swoboda, wolność, bezbożność, rozpusta, wszelkie ekscesy libertynizmu, wszelkie ekscesy rozwiązłości, obżarstwa, jednym słowem to, co zwie się nieczystością rozpusty.

41. Funkcje służących zawsze będzie pełnić stu najętych przez dom urodziwych i młodych braci, których wolno będzie wykorzystywać jako poddanych w aktach lubieżności; nigdy jednak nie będą oni odgrywać innej roli. Stowarzyszenie ma na swe rozkazy szesnaście ekwi-paży, dwóch koniuszych i pięćdziesięciu stajennych. Posiada drukarnię, s dwunastu kopistów i czterech lektorów, nie licząc tych osób, które konieczne są w serajach.

42. W salach przeznaczonych na rozkosze nie toleruje się żadnej broni, nawet laski. Wszystko to należy zostawić przy wejściu do obszernego przedpokoju, gdzie rozbierają was zaufane kobiety, odpowiadając odtąd za wasze ubranie. Obok sali znajduje się kilka wygódek obsługiwanych przez dziewczęta i młodzieńców, zobowiązanych oddawać się wszelkim namiętnościom, także tego rodzaju, jakie zaspokaja się w serajach. Znajdują się tam: lewatywy, bidety, klozety, bardzo delikatne ściereczki, wonności i w ogóle to wszystko, co jest konieczne przed załatwieniem potrzeby, po lub w jej trakcie; później ich języki są do waszej dyspozycji.

43. Całkowicie zakazane jest mieszanie się w sprawy rządu. Stanowczo zabronione jest też wszelkie rozprawianie o polityce. Stowarzyszenie respektuje panujące rządy, a jeśli stawia siebie ponad prawem, to dlatego, że w myśl wyznawanych przez nie zasad człowiek nie ma mocy ustanawiania praw, które szkodzą i przeczą prawom natury. Rozprężenie właściwe członkom Stowarzyszenia i w nim demonstrowane nigdy jednak nie powinno gorszyć ani rządzonych, ani rządzących.

44. Członkom Stowarzyszenia przydzielone są dwa seraje mieszczące się w budynkach, które tworzą skrzydła wielkiego domu. Jeden składa się z trzystu młodzieńców w wieku od siedmiu do dwudziestu pięciu lat; drugi z podobnej liczby dziewcząt w wieku od pięciu do dwudziestu jeden lat. Poddani ci stale się zmieniają i co tydzień przynajmniej

trzydziestu poddanych z każdego seraju zastępują kolejni, ażeby członkom Stowarzyszenia dostarczyć więcej nowych obiektów. Obok stoi dom, w którym wychowuje się poddanych przeznaczonych do tej wymiany; zadaniem ich dostarczenia obarczonych jest sześćdziesiąt strę-czycielek; a w każdym seraju, jak już powiedziano, znajduje się inspektor. Seraje te są wygodne i odpowiednio urządzone; można w nich oddawać się absolutnie wszystkiemu, czego się zapragnie, także najokrutniejszym namiętnościom; wszyscy członkowie Stowarzyszenia przyjmowani są w nich bezpłatnie. Płaci się tylko za zabójstwa - sto talarów za poddanego. Ci, którzy chcą, mogą tam jadać; karty wstępu rozdziela prezydent i nie może jej odmówić członkowi, który zakończył miesięczny okres nowicjatu. Poddanych w serajach obowiązuje całkowite posłuszeństwo; gdyby były jakieś skargi na brak uległości lub uprzejmości, natychmiast zostaną one przekazane inspektorowi tego seraju lub prezydentowi, a poddanego spotka wnet orzeczone przez **was kara, którą 7** macie prawo sami wykonać, jeśli to was bawi. W każdym seraju znajduje się dwanaście gabinetów tortur, w których nie brakuje niczego, czym ofiarom można zadać najokrutniejsze i najpotworniejsze męki. Swobod--' nie można sprowadzać mężczyzn do kobiet lub kobiety do mężczyzn. W każdym seraju znajduje się też dwanaście lochów służących tym, którzy znajdują przyjemność w pozostawianiu w nich ofiar, skazanych w ten , sposób na powolną śmierć. Zabronione jest sprowadzanie do siebie i do sal poddanych z obu serajów. W pawilonach tych znajdują się także r zwierzęta wszelkich gatunków dla tych, którzy lubują się w bestialstwie: jest to zwykła i naturalna namiętność, należy ją więc szanować tak jak t inne.

Trzy skargi na tego samego poddanego wystarczą do oddalenia go. Trzy żądania śmierci wystarczą, by go natychmiast w ten sposób ukarać. W każdym seraju znajduje się czterech katów, czterech strażników, ośmiu ludzi wymierzających chłostę, czterech oprawców zwierząt, cztery położne i czterech chirurgów, na rozkazy członków, którzy z racji swych namiętności mogliby potrzebować pomocy takich osób; ma się rozumieć, że położne i chirurdzy są tutaj tylko po to, by zadawać męki, a nie otaczać opieką. Gdy tylko jakiś poddany wykazuje najlżejsze objawy choroby, zostaje odesłany do szpitala i nie wraca już do domu.

Oba seraje otoczone są wysokim murem. We wszystkich oknach znajdują się kraty, a poddani nigdy nie wychodzą na zewnątrz. Między budynkiem amurem jest odstęp szerokości dziesięciu stóp, tworzący aleję obsadzaną cyprysami, dokąd członkowie Stowarzyszenia pozwalają niekiedy wyjść poddanym, by na tej samotnej promenadzie oddawać się z nimi przyjemnościom bardziej mrocznym i często bardziej przerażającym. U stóp kilku drzew przygotowane są doły, w których ofiary mogą nagle zniknąć. Niekiedy jada się pod tymi

drzewami, nie-kiedy w samych dołach. Są one bardzo głębokie, a zejść na ich dno można sekretnymi schodami i tam oddawać się wszelkim możliwym niegodziwościami, z takim samym spokojem i w takiej samej ciszy, jak gdyby było się we wnętrzu ziemi.

45. Nikt nie może zostać przyjęty nie podpisawszy uprzednio przysięgi, jaką każe mu się złożyć, i nie zobowiązawszy się przestrzegać wymogów narzuconych jego płci.

Nadszedł czas, a więc wyruszyliśmy. Byłam wystrojona niczym Jutrzenka. Clairwil, grająca rolę mojej matki chrzestnej, ubrana była z kokieterią osoby nieco starszej. W drodze uprzedziła mnie, że wszelkie pragnienia członków Stowarzyszenia powinnam spełniać z całkowitą uległością, powiedziała też, bym się nie niecierpliwiła, jeśli, jako nowicjuszka, przez miesiąc nie będę mogła uczestniczyć w przyjemnościach seraju.

Dom znajdował się na jednym z najbardziej pustych i najmniej zaludnionych przedmieść Paryża, w drodze byliśmy więc blisko godzinę. Serce zabiło mi żywiej, gdy karetka wjechała na otoczony wysokimi drzewami podwórzec, którego bramy zamknęły się za nami. Koniuszki pomógł nam wysiąść z powozu i wprowadził do sali. Clairwil musiała być naga, ja zaś miałam się rozebrać dopiero podczas ceremonii. Pomieszczenie wydało mi się wspaniałe i doskonale oświetlone. Musiałyśmy przejść po usłanym poświęconymi hostiami wielkim krzyżu. Za nim znajdowała się Biblia, którą tak samo należało podeptać. Jak się zapewne domyślicie, żaden z tych wymogów nie był dla mnie przeszkodą.

Weszłam. Prezydentem była bardzo piękna trzydziestopięcioletnia kobieta; była naga, wspaniale uczesana; otaczające ją prezydium -dwóch mężczyzn i kobieta - również było nagie. Zgromadziło się już ponad trzysta osób, wszyscy nago: jedni się pierdolili, inni brandzlowali, jeszcze inni chłostali, lizali, sodomizowali, spuszczaali, a wszystko to z największym spokojem, nie dawał się słyszeć żaden dźwięk prócz tego, jakiego wymagały okoliczności. Niektórzy przechadzali się parami lub samotnie; wielu bacznie przyglądało się innym i lubieżnie się brandzlowało na ich widok. Było kilka grup, niektóre liczyły nawet po osiem czy dziesięć osób; wielu mężczyzn było z mężczyznami, wiele kobiet oddawało się wyłącznie kobietom, niektóre kobiety były też z dwoma mężczyznami, a niektórzy mężczyźni z dwiema lub trzema kobietami.

W wielkich konsoletach paliły się najwspanialsze kadzidła roznoszące upojne zapachy, które, czy kto chciał, czy nie, przyprawiały o swego rodzaju rozkoszne omdlenie. Widziałam kilka osób udających się wspólnie do wygódek. Po chwili prezydentowa wstała i półgłosem poprosiła, by zechciano, jeśli to możliwe, poświęcić jej chwilę uwagi. Kilka minut później otoczyli mnie już wszyscy. Nigdy w życiu nie byłam tak bacz-I\* nie oglądana; każdy wyraził opinię i ośmielił się powiedzieć, że otrzymałam wyłącznie pochwały. Powstawały co



do mnie wielkie plany, snuto intrygi i zadrżałam na samą myśl o oddaniu się wszelkim pragnieniom, jakie rozbudziła moja młodość i wdzięki. Wreszcie prezydentowa kazała mi wejść na scenę na wprost siebie, a gdy się tam znalazłam oddzielona balustradą od zgromadzenia, rozkazała, by rozebrano mnie do naga: przybyli dwaj bracia służący i nie minęły nawet trzy minuty, a niczego i już na sobie nie miałam. Wyznaję, że poczułam się trochę skrępowana, f gdy bracia odsunęli się i przed tak licznyim zgromadzeniem stanęłam całkiem naga, ale gromkie brawa, jakie usłyszałam, szybko przywróciły mi cały mój bezwstyd.

Oto pytania, jakie skierowała do mnie prezydentowa; dołączam też do nich moje odpowiedzi:

- Czy przyrzekasz oddawać się zawsze największym ekscesom libertynizmu?

- Przyrzekam.

- Czy wszelkie rozpustne czyny, nawet najwstrętniejsze, wydają ci się czymś zwyczajnym i należącym do natury?

- Wszystkie one są w mych oczach jednakie.

- Czy dopuścisz się ich przy najlżejszym poruszeniu twych namiętności?

- Tak, wszystkich.

- Czy przysięgasz stosować się ściśle do wszystkiego, co zostało ci odczytane przez twą matkę chrzestną ze statutu naszego Stowarzyszenia? T czy podporządkujesz się karom przewidzianym przez ten statut, jeśli go naruszysz?

- Przysięgami i przyrzekam wypełnić wszystko, co jest zawarte w tym artykule.

- Czy jesteś zamężna?

-Nie.

- Czy jesteś dziewicą?

-Nie.

- Czy byłaś pierdolona w dupę?

- Często.

- Jebana w usta?

- Często.

- Chłostana?

- Kilkakrotnie.

- Jak ci na imię?

- Julietta.

- Ile masz lat?

- Osiemnaście.

- Czy brandzlowałaś się z kobietami?

- Często.

- Czy popełniałaś zbrodnie?

- Wiele.

- Czy dybałaś na życie swych bliskich? -Tak.

- Czy przyrzekasz zawsze oddawać się takim samym ekscesom?

- Przyrzekam.

(W tym miejscu ponownie rozległy się oklaski.)

- Czy godzisz się oddać Stowarzyszeniu tych wszystkich, z którymi związana jesteś więzami krwi?

-Tak.

- Czy przyrzekasz nigdy nie zdradzić tajemnic Stowarzyszenia?

- Przyrzekam.

- Czy obiecujesz całkowitą uległość wobec wszelkich kaprysów, wszelkich lubieżnych fantazji członków Stowarzyszenia?

- Obiecuję.

- Kogo wolisz, mężczyzn czy kobiety?

- Wolę kobiety, jeśli chodzi o brandzlowanie, bardziej jednak mężczyzn, jeśli chodzi o pierdolenie.

(Naiwność ta wywołała ogólny wybuch śmiechu.)

- Czy lubisz chłostę?

- Lubię, i ją wymierzać, i otrzymywać.

- Które z dwu rozkoszy, jakich można dostarczyć kobiecie, wolisz: pierdolenie w pizdę czy sodomię?

- Kilkakrotnie niczego nie osiągnęłam z mężczyzną, który jebał mnie w pizdę, zawsze zaś doznawałam satysfakcji z tym, który rznął mnie w dupę.

(Wydało mi się, że również ta odpowiedź sprawiła słuchaczom wielką przyjemność.)

- Co myślisz o rozkoszach, jakich dostarczają usta? -Uwielbiam je.

- Czy lubisz być lizana?

- Nieskończenie.

- A sama dobrze lizasz?

- Bardzo delikatnie.

- A więc również z przyjemnością ssiesz kutasa? -1 połykam spernę.

- Czy płodziłaś dzieci?
- Nigdy.
- Czy zapewniasz uroczyście wystrzegać się tego?
- Najmocniej jak potrafię.
- Nie znosisz więc potomstwa?
- Odczuwam do tego wstręt.
- Gdyby przydarzyło ci się zajść w ciążę, czy miałabyś odwagę ją usunąć?
- Z całą pewnością.
- Czy twoja matka chrzestna otrzymała sumę pieniędzy, jaką powinnaś wpłacić przed przyjęciem?
- Tak.
- Czy jesteś bogata?
- Ogromnie.
- Czy kiedykolwiek spełniałaś dobre uczynki?
- Nie znoszę ich.
- Czy od czasów dzieciństwa oddałaś się jakiemuś aktowi religijnemu?
- Żadnemu.

Clairwil przekazała na ręce sekretarza stosowna sumę i wzięła jakiś papier, który nakazano mi głośno odczytać. Druk ten zatytułowany był Instrukcje dla kobiet przyjętych do Stowarzyszenia Miłośników Zbrodni.

- Oto on, moi drodzy - powiedziała pani de Lorsange -jest zbyt interesujący, bym nie chciała go wam przedstawić<sup>7</sup>.

„Tej, która ma tutaj złożyć swój podpis, a która, bez względu na stan i urodzenie, służyć powinna, odkąd jest kobietą, rozkoszy mężczyzny, zaleca się prowadzenie umożliwiające dawanie tych rozkoszy, użytecznych zarówno dla jej kieszeni, jak i lubieżności. Rozważać tu będziemy sytuację kobiet zamężnych; albowiem i te, które, nie będąc zamężne, żyją z mężczyzną, czy jako kochanki, czy jako utrzymanki, związane tak samo jak w małżeństwie, znajdą w następujących dalej radach analogiczne zalecenia, by wystrzegać się tych więzów lub czynić je słodszyimi. Uprzedzamy więc, że używane w tym piśmie słowo «mężczy-zna» oznaczać będzie «kochanka», «małżonka» lub «utrzymanka», jednym słowem, każdą osobę przywłaszczającą sobie prawo do kobiety, bez względu na jej stan, która jednak zawsze zarabiać powinna własnym ciałem, choćby nawet jej bogactwo sięgało milionów. Pierwszym prawem każdej kobiety jest więc pierdolić się wyłącznie z powodu li-bertynizmu lub dla korzyści, a jako że często musi ona płacić tym, którzy jej się

podobają, powinna zdobyć do tego środki, ciągnąc zyski z prostytucji, jakiej oddaje się z tymi, którzy się jej nie podobają. Oczywiście, wszystko to dotyczy tylko jej prowadzenia się w towarzystwie. Statut, na który właśnie przysięgła, ustala, jak powinna zachowywać się w Stowarzyszeniu.

1. Aby osiągnąć tę konieczną apatię, bez względu na to, czy pieprzy się ona za pieniądze, czy dla przyjemności, przede wszystkim powinna mieć na względzie to, by jej serce zawsze pozostało niedostępne dla miłości: jeśli bowiem pierdoli się dla przyjemności, to niewiele skorzysta, gdy się zakocha; uwaga, jaką będzie poświęcać dawaniu przyjemności kochankowi, jej samej nie pozwoli jej zakosztować; a jeśli pieprzy się dla pieniędzy, to nigdy nie ośmieli się zdziierać z tego, kogo kocha: a tym wszak właśnie powinna się zajmować, będąc z mężczyzną, który jej płaci.

2. Odrzucając wszelkie uczucia metafizyczne, będzie zawsze woleć tego, kto, jeśli pieprzy się ona dla przyjemności, ma wspanialszego kutasa i komu lepiej stoi; a jeśli pierdoli się dla korzyści, wybierze tego, kto jej więcej zapłaci.

3. Niech zawsze starannie unika tego, kogo nazywają amantem: taki równie kiepsko płaci, jak pierdoli. Niech się ograniczy do służących, tragarzy: oto spodnie, z których władczość jest usunięta...! Umysły, które dochowują tajemnicy...! Zmienia się takich jak rękawiczki i nigdy nie trzeba obawiać się niedyskrecji.

4. Bez względu na to, jaki mężczyzna ją usidli, niech wystrzega się ona dochowania wierności. To dziecinne i romantyczne uczucie może tylko doprowadzić kobietę do zguby, przysporzyć jej wielu zmartwień, z całą jednak pewnością nigdy nie przyniesie jej przyjemności. Z jakiego zresztą powodu miałaby być wierna, skoro pewne jest, że nie ma na świecie ani jednego mężczyzny, który byłby wierny? Czyż nie jest rzeczą śmieszną, że ta słaba, delikatna płeć, ta, którą wszystko stale popycha ku przyjemnościom, ta, którą codzienne uwodzenie upoważnia do ulegania pokusie, czyż nie jest absurdalne, by właśnie ona się opierała, podczas gdy drugą płeć do wyrządzania zła popycha wyłącznie mego-dziwość? A zresztą, czemu służy wierność kobiety? Jeśli mężczyzna naprawdę ją kocha, powinien być na tyle delikatny, by tolerować wszelkie jej słabostki, a nawet w sposób idealny dzielić z nią rozkosze, jakie ona sobie sprawia; jeśli jej nie kocha, jakże nedorzecznie postępuje kobieta, związując się z kimś, kto codziennie ją zwodzi? Niewierność kobiety jest błędem natury, niewierność mężczyzny błędem jego szelmstwa i niegodziwości. Kobieta, o jaką tutaj chodzi, nie przepuści więc żadnej okazji, by nie dochować wierność: przeciwnie, będzie ich szukać tak często, jak to tylko możliwe, i codziennie będzie je mnożyć.

5. Zasadniczą cechą charakteru kobiety jest fałszywość. Zawsze była ona bronią istoty

słabej: jak, stając przed obliczem swego pana, miałyby stawiać opór ciemnicy, nie kłamiąc i nie oszukując? Niech więc bez obaw używa tego oręża; dane jest jej ono przez naturę dla obrony przed wszelkimi zakusami ciemzców. Mężczyźni chcą być zwodzeni, wspianała ułuda jest słodsza niż smutna rzeczywistość: czyż nie lepiej, by kobieta ukryła swe wady, niż je ujawniła?

6. Kobieta nigdy nie powinna mieć własnego charakteru: niech umiejętnie naśladowuje ludzi, z którymi najkorzystniej dla niej jest oględnie postępować, bądź ze względu na swą rozpustę, bądź skąpstwo, tak jednak, by owa potulność nie odebrała jej energii koniecznej do pławienia się we wszelkiego rodzaju zbrodniach, które powinny mile łechtać jej namiętności lub im służyć, takich jak cudzołóstwo, kazirodztwo, dzieciobójstwo, tracicielstwo, kradzież, zabójstwo, a wreszcie tych wszystkich, które mogą być jej mile i którym, pod przykryciem fałszywości i szelmostwa, co jej doradzamy, może się oddawać bez żadnych obaw i wyrzutów sumienia, ponieważ to natura umieściła je w sercu kobiety i ponieważ fałszywe zasady wpojone w toku wychowania przeszkadzają jej bez przerwy hołdować tym namiętnościom tak, jak wszak czynić powinna.

7. Niech najbardziej występny, najgłębszy i najbardziej łajdacki libertynizm, zamiast ją przerażać, stanie się podwaliną dla najrozkoszniejszych dla niej poczynań. Jeśli zechce ona słuchać głosu natury, zobaczy, że otrzymała od niej najsilniejsze skłonności ku tego rodzaju przyjemnościom i że dlatego powinna codziennie się im oddawać bez obaw: im częściej się pierdoli, tym lepiej służy naturze, a obrażają swą **wstrzemięźliwością**.

8. Niech nigdy nie odmawia takiego aktu rozpusty, jaki jej został zaproponowany przez mężczyznę; całkowita uległość w tym przypadku stanie się zawsze jednym z najpewniejszych środków usidlenia tego, w którego zatrzymaniu przy sobie widzi ona korzyść. Rozkoszowanie się jedną kobietą wkrótce znudzi mężczyznę: cóż się stanie, jeśli nie zdoła ona odrodzić rozkoszy? Zniechęci się on i ją porzuci. Ale ten, kto dostrzeże, że kobieta bardzo się stara, by odgadywać i poznawać jego upodobania, by je uprzedzać i im ulegać, ten, jak się rzekło, znajdując zawsze w posiadaniu jednej kobiety coś nowego, z pewnością bardziej się do niej przywiąże: odtąd kobiecie łatwiej go będzie zwodzić; a właśnie to powinno być najcenniejszą nauką dla osoby tej płci, której obowiązki nakreślamy.

9. Niech ta uroczą osobą w towarzystwie mężczyzny stara się nie wyglądać wstydliwie i skromnie: bardzo niewiele lubi ten sposób bycia, i naraża się ona na szybkie zniechęcenie tych, którzy tego nie znoszą. Jeśli uważa to za konieczne, niech przybiera tę maskę, by ją obnosić w towarzystwie: wszystko, co zmierza w stronę hipokryzji, jest dobre, to jeszcze jeden sposób zwodzenia, a nie ma ani jednego, po jaki nie powinna sięgnąć.

10. Nie sposób przesadzić z zalecaniem unikania ciąży, czy to dzięki używaniu wszelkich sposobów zażywania rozkoszy, które zawracają nasienie z płodzącego naczynia, czy to poprzez zniszczenie zarodka, gdy tylko zajdzie podejrzenie jego istnienia. Ciąża zniekształca, psuje figurę i w żadnej mierze nie jest dobra. Niech oddaje się ona przede wszystkim namiętności przeciwnej naturze; ta wspaniała rozkosz zapewni jej zarazem i więcej przyjemności, i więcej pewności: niemal wszystkie kobiety, które tego próbowały, przy tym pozostały. Zresztą dostarczanie w ten sposób większej przyjemności mężczyznom powinno być ze względu na swój rozkoszny charakter wystarczającym powodem rezygnacji z innych metod.

11. Niech jej całkiem nieczuła dusza nigdy nie da przystępu wrażliwości, która by ją zgubiła. Kobieta wrażliwa musi liczyć się z tym, że spadną na nią wszelkie nieszczęścia, gdyż, jako że jest słabsza i delikatniejsza niż mężczyźni, wszystko, co porusza jej wrażliwość, będzie okrutnie rozdzierać jej serce, i odtąd nie zazna już żadnej przyjemności. Usposobienie popychają do rozpusty: jeśli przez ten nadmiar wrażliwości, który chcemy zniszczyć, zwiąże się z jednym mężczyzną, to od tej chwili zerwie z urokami libertynizmu, jedynymi naprawdę dla niej stworzonymi, które powinny dawać jej rozkosz, zgodnie z konstytucją, jaką otrzymała od natury.

12. Niech starannie unika wszelkich praktyk religijnych: te nie-godziwości, które dawno już winna była zdeptać, napęlniając jej sumienie bojaźnią, mogłyby tylko sprowadzić ją na drogę cnoty, na którą by nie weszła, nie będąc zmuszona wyrzec się wszystkich swych przyzwyczajęń i wszystkich przyjemności; te przerażające podłości nie są warte ofiar, jakie zmuszona byłaby ponieść, i jak pies z bajki w pogoni za nimi porzuciłaby rzeczywistość dla pozoru. Ateistka, okrutnica, bezbożniczka, libertynka, sodomitka, lesbijka, kazirodczyni, krwiopijczyni, hipo-krytka, osoba mściwa i fałszywa - oto podstawy charakteru kobiety, która poświęca się Stowarzyszeniu Miłośników Zbrodni, oto występki, jakim powinna się oddawać, jeśli chce w nim znaleźć szczęście”.

Energia, z jaką odczytałam te zasady, przekonując towarzystwo, że tkwiły już one mocno w moim sercu, przyniosła mi nowe brawa, i zesłała na salę.

## U KARMELITÓW

Jakiś czas później Clairwil zaproponowała mi partię dość szczególną. Był okres wielkiego postu.

- Dopełnijmy naszych religijnych powinności - powiedziała.

- Oszalałaś?

- Bynajmniej. Chodzi o niezwykle kaprys, jaki niedawno przyszedł mi do głowy, który chciałabym zrealizować tylko z twoim udziałem. Jest u karmelitów pewien trzydziestopięcioletni, bardzo przystojny zakonnik. Pożądam go od sześciu miesięcy. Stanowczo chcę, by mnie zerznął, wszelako dopiero wskutek wdrożenia nader przyjemnego planu: pójdziemy się do niego wyspowiadać; rozpalimy mu głowę, mówiąc o najbardziej lubieżnych szczegółach; on się podnieci; jestem przekonana, że sam złoży nam propozycję; umówi się z nami, my od razi się zgodzimy, a później wyciśniemy z niego wszystkie soki... Ale to jeszcze nie wszystko; przyjmujemy komunię, ukryjemy hostie w chusteczkach i wyczyniać będziemy straszne rzeczy z tym godnym pożałowania symbolem haniebnego chrześcijaństwa.

Słyszając to, uznałam, że powinnam wyjaśnić mej przyjaciółce, iż pierwsza część jej projektów wydaje mi się bardziej wdzięczna i konkretna niż druga.

- Ponieważ nie wierzymy w Boga - powiedziałam - profanacje, o jakich mówisz, są już tylko absolutnie bezużyteczną dziecinadą.

- Masz rację - odpowiedziała - lecz, bardzo je lubię; rozpalają mi głowę. Nic, moim zdaniem, nie usuwa w takim stopniu możliwości regresu; niepodobna już przyznać istnienia obiektom traktowanym w taki sposób. Zgodzisz się chyba zresztą, że nie wierzę zbyt mocno we wszystkie te bajki.

- Ach, Clairwil, jakaś ty niepoprawna! - odparłam. - Jestem chyba bardziej zatwardziała niż ty. Mój ateizm jest nieprzejednany. Nie wyobrażaj więc sobie, że potrzebuję tych głupstw, by dać się przerazić. Dopuszczę się tej dziecinady, ponieważ, sprawia ci ona przyjemność, dla mnie jednak będą to tylko zwykłe igraszki, nie zaś coś poważnego, co miałyby potwierdzić mój sposób myślenia albo przekonać innych.

- Ależ, zgoda, mój aniele! - odpowiedziała Clairwil. - Potraktujemy to jak rozrywkę: teraz, już ciebie pewna, nie będę wymagać niczego innego. Oddajmy się temu jednak przez libertynizm, błagam.

- Pochwalam dobrze opracowany i uroczy zamysł uwiedzenia podczas spowiedzi

naszego karmelity, jednak profanacja okrągłego kawałka ciasta, będącego śmiechu wartym idolem chrześcijan, nie jest z pewnością takim zamysłem w większym stopniu niż podarcie lub spalenie świstka papieru.

- Zgoda. - odparła Clairwil. - Z tym świstkiem papieru nie wiąże się jednak żadna idea, gdy tymczasem trzy czwarte Europejczyków łączy idee bardzo religijne z ową hostią... z tym krzyżem, i dlatego właśnie lubię je profanować. Wyzywam powszechną opinię, i to mnie bawi; depreczuję przesady mego dzieciństwa, unicestwiam je, i to rozpala mi głowę.

- No cóż, chodźmy zatem, masz we mnie sprzymierzeńca! Wsiadłyśmy do powozu. Nasza prosta toaleta doskonale odpowiadała naszym zamysłom i ojciec Claude, o którego zapytałyśmy i który zjawił się wkrótce w konfesjonale, nie mógł z pewnością ocenić nas inaczej niż jako dwie dewotki.

Clairwil rozpoczęła naszą grą; łatwo się tego domyśliłam, bo gdy podeszłam do karmelity, był cały w pąsach.

- Och, mój ojcze! - odezwałam się. - Bądź. bardzo wyrozumiały, bo wyjawię ci rzeczy straszne!

- Odwagi, moje dziecko. Bóg jest miłosierny, słucha nas łaskawie. O cóż. więc chodzi?

- O potworne błędy, mój ojcze, jakie okropny libertynizm każe mi codziennie popełniać. Chociaż jestem jeszcze tak młoda, wyzbyłam się wszelkich hamulców, nie modłę się już do Najwyższej Istoty i ona się ode mnie odwróciła. Och, jakże potrzebuję twego u niej wstawiennictwa! Moje lubieżne zboczenia przyprawiają o drżenie, ledwie śmiem je wyznać.

- Czy jesteś zamężna?

- Tak, mój ojcze, i znieważam co dzień mego męża najbardziej występny zachowaniem.

- Jakiś kochanek... jakieś skłonności?

- Pociąg do mężczyzn w ogóle, także do kobiet, wszystkie możliwe rodzaje rozpusty.

- Masz więc temperament...

- Nienasycony, mój ojcze; oto, co sprowadza mnie na drogę występku. .. i pogrąża w nim tak bardzo, iż obawiam się, że wciąż będę mu ulegać, mimo wszelkiego wsparcia, jakie może dać mi religia... Wyznać muszę, że nawet teraz, rozkosz zapoznania cię z mą tajemnicą zakłóca działanie łaski. W tym świętym trybunale szukam Boga, a widzę tylko czarującego mężczyznę, którego gotowa jestem nad Boga przedłożyć.

- Córko... - rzecze biedny, wstrząśnięty mnich - twój stan sprawia mi przykrość... zasmuca mnie... Jedynie wielka pokuta mogłaby...



-Ach! Naj okrutniej szą będzie dla mnie więcej cię nie zobaczyć... I dlaczegoż to słudzy Boga posiadają uroki, które odwracają uwagę od jedyne go przedmiotu, jaki powinien nas tutaj zajmować? Mój ojciec, płonę zamiast odczuwać spokój. Boski mężczyzno! To do mego serca trafiają twoje słowa, nie zaś do umysłu, i odczuwam jedynie podrażnienie tam, gdzie chętnie doznałabym ukojenia. Spotkajmy się w jakimś innym miejscu, wyjdź z tej dziwacznej klatki, która mnie przeraża, przestań na pewien czas być sługą Boga i stań się już tylko kochankiem Julietty.

Claude podniecił się bardzo, jak przystało na przedstawiciela jego zakonu. Biała i krągła pierś, jaką ukradkiem przed nim odsłoniłam, ożywione spojrzenie, gesty, które miały potwierdzić stan, w jakim się znajdowałam, wszystko to podziało na karmelitę; z trudem się kontrolował.

- Łaskawa pani - odezwał się rozplomieniony - pani przyjaciółka, podpadająca pod taki sam przypadek, również zaproponowała mi rzeczy... do jakich inspirują mnie pani oczy... rzeczy, które palę się uczynić... jesteście niby dwie syreny, które oszołomiły mnie swymi słodkimi słowami, i nie potrafię już dłużej opierać się tym urokom. Opuśćmy kościół; mam nieopodal mały pokój... czy zechcecie tam pójść? Zrobię wszystko, co w mej mocy, by was zadowolić.

Z kolei wychodząc z konfesjonału i biorąc Clairwil za rękę:

- Chodźcie ze mną, uwodzicielki; to piekielny duch wysyła was, by mnie kusić. Ach! Ponieważ był silniejszy niż sam Bóg, zawładnąć też musi karmelitą.

Wyszliśmy. Zrobiło się już zupełnie ciemno. Claude powiedział, byśmy patrzyły, dokąd idzie, i podążały za nim, zachowując dystans dwudziestu kroków. Wybrał drogę przez bramę Yaugirard i wkrótce znalazłyśmy się w sekretnym miłym mieszkanku, gdzie dobry mnich poczęstował nas biszkoptami i likierem.

- Czarujący mężczyzno - rzekła moja towarzyszka - porzućmy tutaj ów mistyczny język. Znamy cię teraz obie; kochamy cię. Co mówię, płoniemy z nieokiełznanego pożądania, abyś nas zerznął. Śmieję się wraz z nami z podstępu, do jakiego się uciekłyśmy; i spraw, byśmy były zadowolone. Od sześciu miesięcy cię uwielbiam, a od dwu godzin wilgotnieję dla twego kutasa. Spójrz - kontynuowała liberynka, podciągając suknię - oto gdzie chcę go umieścić. Sprawdź, czy gniazdo godne jest ptaka.

Rzucając się natychmiast na łóżko, łajdaczka wydobyla wkrótce na zewnątrz karmelickiego kordelasa.

- Och! Sprawiedliwe nieba, co za narząd...! Julietto - zwróciła się do mnie upojona - chwyć ten dyszel, jeśli twoje dłonie zdołają go objąć, i pokieruj nim; wkrótce oddam ci taką

samą przysługę.

Clairwil się otwiera; organ znika wkrótce w jej cipie, która, cała nasączona, od kwadransa czekała tęsknie, by go przyjąć. Och, przyjaciele! Jakże słusznie wskazujemy na karmelitę, szukając ideału kutasa i erekcji. Członek Claude'a, podobny do narządu muła, miał dziewięć cali i sześć linii w obwodzie oraz trzynaście cali długości, a jego odsłoniętą głowę, doprawdy monstualną, ledwie zmieściłam w mych dłoniach. Był to najokazalszy i najczerwieńszy grzyb, jaki można sobie wyobrazić. Cudownym zrządzeniem natury, faworyzującej w ten sposób tylko swych wybrańców, Claude wyposażony był w trzy jądra...! Jakżeż były wypełnione...! Jakie nabrzmiałe! Dłużej niż od miesiąca, wedle jego własnych słów, nicpoń nie uronił ani kropli spermy, jakież potop urządził on więc w piździe Clairwil, gdy tylko dotarł do jej dna! I w jaki stan ów obfity wytrysk wprowadzić musiał mą lubieżną przyjaciółkę! Claude obmacywał mnie w trakcie pieprzenia, a zręczność, z jaką pieścił mi clitoris, sprawiła, że zaczęłam wkrótce naśladować wzorzec, jaki miałam przed oczami. Mnich wychodzi z Clairwil; dłonią obrabiam mu kutasa; Clairwil pozostaje w pełnej gotowości; dziwka pieści się sama, czekając aż Claude znów zacznie ją pieprzyć. Narząd odzyskuje wigor: jestem wszak mistrzynią w sztuce brandzlowania! Wymykając się wkrótce z kierującej nim dłoni, Claude pragnie się zanurzyć w oferowanej mu waginie.

- Nie, nie! - woła Clairwil, powstrzymując zapal swego kochanka.

- Julietto, spraw, bym go pożądała; wybrandzluj mi clitoris.

Claude uczestniczy w tych preliminariach, obmacując mnie. Jedną ręką rozwiera pizdę Clairwil, drugą zaś mnie ugniata. Wreszcie, z impetem jak u narowistego wierzchowca, który zrywa cugle, kutas Claude^ wpada do otwartej przed nim jamy. Przewracając mnie na łóżko, obok Clairwil, pieprzy jedną z nas, brandzlując drugą z całą dającą się wyobrazić zręcznością.

- Rozrywasz mnie, łotrze! - zawołała Clairwil, klnąc jak potępiona.

- Ach, do wszystkich diabłów! Nie zniosę już dłużej twych pchnięć, każde wydobywa ze mnie kaskadę spermy... Całuj mnie więc przynajmniej, straszliwy jebako... Zanurz język w mych ustach, zanim twój kutas wbije się w mą macicę... Ach, kurwa! Spuszczam się... Nie naśladowuj mnie - kontynuowała, odtrącając go energicznym wyrzutem tyłka - zachowaj siły! Musisz mnie jeszcze rznąć.

Jednak nieszczęsny, nie mogąc się już dłużej powstrzymać, spuścił się ponownie; brandzlowałam go, kierując na rozwartą pizdę Clairwil wyrzucane przez niego spienione strugi. Spermą starałam się ugasić przez spermę wzniecony ogień.

- Ach, do diabła! -jęknęła Clairwil, podnosząc się. - Ten łajdak mnie wykończył... Julietto, nie zdołasz tego wytrzymać.

Wszelako znów dobiera się do mnicha, potrząsa jego kutasem. Aby przyspieszyć erekcję boskiego sługi, dziwka próbuje go ssać, jednak narząd jest zbyt duży, by zmieścić się w jej ustach. Uciekając się do innego sposobu, wciska mu w odbył dwa palce; w przypadku mnichów, przyzwyczajonych do jebania w dupę, sposób ten zawsze okazuje się skuteczny.

Na libertyńskie pytania Clairwil w tej kwestii Claude odpowiada, iż w młodości był taktycznie fagasem konfratrów.

- No cóż, my też potrafimy cię zerznąć] - powiada Clairwil, odsłaniając pośladki mnicha, całując je i liżąc mu odbył. - Owszem, zso-domizujemy cię - kontynuuje, pokazując mu godmisz. - Twoja władczyni stanie się zaraz twym kochankiem. Pieprz, przyjacielu, ja będę jebać cię w dupę, a później ty wyjebiesz w taki sarn sposób nas obie, jeśli ci to odpowiada. Spójrz na ten tyłek - mówi, odsłaniając przed karmelitą swe pośladki - czyż nie wart jest pizdy, którą przed chwilą zerznąłeś? Dla kurw takich jak my wszystko jest dobre; a jeśli przyszły-śmy tu po to, by być pieprzone, to chcemy, aby dotyczyło to wszystkich części naszych ciał. Podniecasz, się, łotrze, dalej, wypieprz tę uroczą nowicjuszkę, która niedawno się przed tobą wyspowiadała, wyjeb ją w pizdę, łajdaku! Oto jej pokuta, i zerznij ją tak ostro, jak zerznąłeś mnie. Prowadzi ku mnie tego potwora. Leżałam na łóżku, z rozchylonymi nogami... Ołtarz otwiera się na ofiarnika...

Choć nawykłam do liberryizmu i penetracji przez najdorodniej-sze kutasy Paryża, tego nie mogłam przyjąć bez przygotowania. Clairwil zlitowała się nade mną, zwilżając śliną i wargi mej pizdy, i olbrzymią głowę karmelickiego kutasa. Podtrzymując następnie me pośladki jedną ręką, by wysunąć mój brzuch ku taranowi, drugą zaś zbliżając ów potworny organ do mej cipy, sprawiła, iż wniknął on w nią odrobinę. Ośmielony tym obiecującym początkiem, Claude mocno mnie obejmuj e. Przeklina, toczy pianę, tryumfuj e, j ego laury zroszone zostały j ednak mój ą krwią; utraciłam jej tyle, co w dniu mego rozstania z dziewictwem; ból również był taki sam. Wkrótce jednak, ożywiona najśłodszymi doznaniem rozkoszy, zwracam memu pogromcy taką samą ilość pchnięć, jaką od niego otrzymałam.

- Zaprzestań na chwile tych gwałtownych podrygów - rzekła Cla-irwil do mego kawalerzysty. - Te lubieżne wstrząsy sprawiają, że nie mogę dopaść twej dupy, a obiecałam ci przecież, że ją zerznę.

Claude przerywa swą pracę. Dwa piękne pośladki rozwierają się pod libertyńskimi palcami Clairwil: uzbrojona w godmisz, dziwka piłuje mego amanta. Ów epizod, tak miły każdemu libertynowi, tylko jeszcze bardziej go ożywia; Claude posuwa mnie coraz szybciej i się spuszcza. Nie miałam czasu go powstrzymać. Czy zresztą bym mogła? Wielki Boże! I czy moja oszalała głowa by się na to zdobyła? Ach! Czy myślimy o niebezpieczeństwie, gdy

porywa nas rozkosz?

- Na mnie kolej! - woła Clairwil. - Nie pozwólmy mu odpocząć! Spójrz, łotrze, oto me pośladki, wyjeb mnie w dupę! Wiem, że mi ją rozkrwawisz. Lecz cóż to szkodzi? Chwyć godmisz, Julietto! Zsodomi-zuj tego chwata! Zrewanżujesz mi się za to, co dla ciebie zrobiłam.

Podniecony mymi pieszczotami i widokiem pięknej dupy Clairwil, Claude nie potrzebował dużo czasu, by się ożywić. Zwracani mej przyjaciółce to, co od niej otrzymałam, moje usta zwilżają jej odbyt i święty grot sługi Chrystusa. Nie sposób opisać kłopotów Claude'a przy próbach penetracji: dwadzieścia razy wycofywał się wobec trudności przedsięwzięcia. Moja przyjaciółka oddaje się jednak zadaniu z takim kunsztem, pożąda tego kutasa tak żarliwie, że zanurza się on wreszcie w jej dupie...

- Och, kurwa! On zrobi ze mnie kalekę! - wrzeszczy.

Chce się wymknąć, uciec przed ostrzem potwornego sztyletu, który ją przeszywa. Za późno: wskutek całkowitego zagłębienia organu trudno się nawet domyślić, że między nim i libertynem istnieje jakiś związek.

- Ach, Julietto! - woła moja przyjaciółka. - Zostaw tego buhaja, nic podniecaj go już, ja bardziej potrzebuję twej ręki niż jego dupa twego godmisza. Przyjdź mnie wybrandzłować, bo umieram.

Nie zważając na to gadanie, rznę przede wszystkim mnicha, później, wyciągając ramię, brandzłuję mą przyjaciółkę: dobrze wyłaskota-na, kurwa znosi bardziej bohaterko przypuszczane na nią szturmy.

- Przeceniłam swe siły! - woła. - Julietto, nie naśladuj mnie, mogłabyś przyplącić to życiem!

Claude mimo wszystko się spuszcza. Nigdy zapewne nie widziano takiego entuzjazmu: łotr ryczy jak osioł i zostawia w dupie mej przyjaciółki niedwuznaczne dowody rozkoszy, jakiej właśnie zasmakował. Clairwil nurza się we krwi; ja palę się do tego, by pójść w jej ślady, ona protestuje.

- Dla błahej i ulotnej przyjemności nie wolno ryzykować przyszłego szczęśliwego życia. Ten obwieś nie jest mężczyzną, to byk; jestem przekonana, że nigdy jeszcze nie pieprzył kobiety.

I jałmużnik przyznał, że w całym Paryżu jedynie dupa przeora wchłonąć mogła jego kutasa.

- Rzniesz go więc w dupę, zbrodniarzu? - spytała Clairwil.

- Bardzo często.

-I godzisz tę rozwiązłość z odprawianiem mszy, spowiadaniem wiernych?

- Owszem, najbardziej pobożnym człowiekiem jest ten, który służy wszystkim bogom... Moje panie - kontynuował mnich, siadając między nami i każdą ręką macając jedną dupę - czy wyobrażacie sobie, że wierzymy w prawdy religii bardziej niż wy? Znajdując się bliżej Bytu, jaki ona zakłada, lepiej niż inni znamy tę chimerę. Religia jest świętą bajką, z której żyjemy, a sklepikarz nie powinien dyskredytować swego kramu. Handlujemy absolucjami i bóstwami, tak jak stręczycielka sprzedaje swoje kurwy. Czyż ulepieni jesteśmy z innej gliny, by znieczulić się na zwykłe ludzkie namiętności? I czy sądzicie, że jakieś śmieszne działania, jakieś absurdalne komedie zabezpieczają nas przed ludzkimi wadami? Ależ bynajmniej! „Namiętności - powiada pewien zmyślny człowiek - nabierają pod habitem nowej siły. Wprowadzamy je do serca, przykład pozwala im się rozwinąć, próżniactwo je odnawia, okazja je mnoży. Jakim sposobem można by się im oprzeć?” Prawdziwi ateści znajdują się wśród kapłanów, moje drogie panie. Wy tylko podejrzewacie nieistnienie idola; my, którzy jesteśmy jego domniemanymi powiernikami, wiemy na pewno, że nie istnieje. Wszystkie religie objawione, jakie spotykamy w świecie, pełne są tajemnych dogmatów, niezrozumiałych zasad, niewiarygodnych cudów, zdumiewających opowieści, wymyślonych, jak się zdaje, jedynie po to, by psuć rozum: wszystkie mówią o ukrytym Bogu, którego istnienie jest tajemnicą. Postępowanie, jakie mu się przypisuje, jest równie trudne do pojęcia, jak sama istota tego Boga. Czy gdyby Bóg istniał, przemawiałby w sposób tak enigmatyczny? Czymże byłoby więc objawienie w kontekście tych wszystkich tajemnic? Im więcej jakaś religia zawiera tajemnic, im więcej rzeczy niewiarygodnych przedstawia umysłowi, tym bardziej, niestety, podoba się ludziom, którzy znajdują w niej dla siebie niewyczerpane żerowisko. Im bardziej jest mroczna, tym bardziej wydaje się boska, to znaczy zgodna z naturą bytu ukrytego, którego idei nie posiadamy. Jest przejawem ignorancji przedkładać to, co nieznanne, zmyślane, cudowne, niewiarygodne, a nawet potworne, nad to, co jasne, proste i prawdziwe. Prawda nie porywa wyobraźni tak bardzo jak fikcja; prostakowi wystarcza wysłuchiwanie absurdalnych bajek, jakie mu opowiadamy. Wymyślając religie i koncypując tajemnice, kapłani i prawodawcy posłużyli się ludem zgodnie ze swym upodobaniem. Łączą się w tym z entuzjastami, kobietami, ignorantami; tego rodzaju indywidua łatwo wyrzekają się racji, gdyż nie są w stanie ich badać. Umiłowanie prostoty i prawdy właściwe jest tylko niewielkiej liczbie tych, których wyobraźnia kierowana jest przez namysł i refleksję. Nie, nie, moje panie, bądźcie spokojne, nie ma żadnego Boga. Istnienia tej obrzydliwej chimery nie sposób założyć, a wszystkie sprzeczności, jakie się w niej zawierają, wystarczą, by ją odrzucić, jeśli zdobędziemy się na najskromniejszy bodaj wysiłek badawczy.

W trakcie tej dyskusji mnich, usadowiony, jak powiedzialem, między Clairwil i mna, brandzlowal równocześnie nasze dupy.

- Piękny tyłek! - orzekł o moim. - Jaka szkoda, że nie można go przenicować...! Może jednak spróbujemy...? Och, Pani! Proszę wy-świadczyc mi tę grzeczność. Czyż będąc tak piękną, można być okrutną?

- Zbrodniarzu - odpowiedziałam wstając - nie dałabym ci już nawet mej pizdy; zbyt wyraźnie czuję jeszcze ból, jaki mi sprawiłeś, by narażać się na nowe katusze. Obciągnijmy mu, Clairwil, niech się spuszcza aż do krwi, tak by nie miał już ochoty na więcej.

Rozkładamy go na łóżku. Clairwil brandzluje go na swych piersiach, ja zaś, wypięta ku jego twarzy, każę mu całować świątynię, do której zabroniłam mu wstępu. Łaskocze ją językiem i, przenosząc dłoń na me łono, brandzluje mi clitoris. Oboje znów się spuszczamy. Clairwil zapytuje mnicha, czy w klasztorze znajduje się wielu podobnych mu libertynów. Gdy Claude zapewnił ją, że jest ich tam przynajmniej trzydziestu, moja przyjaciółka chce wiedzieć, czy można byłoby odbyć z nimi seans w ich siedzibie.

- Naturalnie - odpowiedział mnich - jeśli chcecie być dobrze wyjebane, powmnyście się tam pokazać, i zapewniam, że skłonią was tam do błagania o litość.

Wówczas Clairwil zapytała, czy można by tam również uczestniczyć w bezbożnym spektaklu, jaki obmyśliła.

- Bardziej niż gdziekolwiek indziej - odparł karmelita. - Pozwolimy ci zrobić wszystko, na co masz ochotę.

- Mój drogi - rzekła Clairwil - ponieważ nie zamierzamy przyjść do was na próżno, zapytaj swego przełożonego, czy to, czego pragniemy, rzeczywiście będzie można wykonać. Dobrze mu wszystko wyjaśnij; czekamy na odpowiedź.

- Julietto - odezwała się, gdy tylko mnich się oddalił - domyślasz się zapewne, że ten łajdak zerznął mnie zbyt dobrze, bym nie pragnęła jego śmierci... i to najokrutniejszej, bez wątpienia.

- Och, do licha! Spiskujesz już przeciw temu nieszczęśnikowi?

- Odraza, jaką żywię do mężczyzn, gdy już mnie zaspokoją, jest na miarę doznanej za ich sprawą rozkoszy, a dawno już nie szczytowałam tak wybornie... On musi umrzeć. Mam dwa pomysły na to, by go zgubić. Po pierwsze, zasugerować przeorowi, by zainteresował się swym podwładnym; wówczas należałoby mu tylko uświadomić, jak niebezpiecznie jest mieć u siebie człowieka skorego, jak Claude, do wyjawiania sekretów klasztoru. W ten sposób nic by mi jednak po nim nie zostało; a mam wszak projekty co do jego wspaniałego narządu.

- Jeśli wszakże chcesz go uśmiercić, to jak zamierzasz zrealizować ów zamiar?

- Najprościej w świecie: nakłońmy go, by spędził u nas dwadzieścia cztery godziny. O reszcie dowiesz się później... Och, Julietto! Jaki piękny godmisz z kutasa tego nicponia!

A ponieważ moja przyjaciółka nie chciała nic więcej wyjaśnić, umiłałyśmy sobie czas oczekiwania na mnicha przetrząsaniem jego księgozbioru.

Ciekawe rzeczy znalazłyśmy wśród zalegających tam obscenicznych sztychów i książek. Najpierw wpadł nam w ręce Furtian od Kartuzów - dziełko bardziej sprośne niż libertyńskie, które wszakże, mimo stanowiącej o jego aurze prostoduszności i poczciwości przyprawiło, jak powiadają, jego autora o wyrzuty sumienia na łożu śmierci... Co za głupota! Człowiek odczuwający w takim momencie wyrzuty sumienia z powodu tego, co ośmielił się powiedzieć lub napisać za życia, jest tchórzem, którego potomni nie powinni wspominać z szacunkiem.

Następną pozycją była Szkoła dam - dzieło, w przypadku którego zamysł jest dobry, ale wykonanie kiepskie. Bojaźliwy autor sprawia wrażenie, iż przeczuł prawdę, ale nie śmie jej wyrazić. Rzecz strasznie Jf zresztą przegadana.

f Z kolei Edukacja Laury - inna poroniona produkcja, tym razem

f z powodu skrupułów. Gdyby autor wysłowił żonobójstwo, którego każe •| się nam domyślać, i kazirodztwo, wokół którego wciąż tylko lawiruje, | gdyby nie skąpił lubieżnych scen... dołączył upodobanie do okrucieństwa, o którym wspomina jedynie we wstępie, wówczas dzieło, dowodząc twórczej wyobraźni, byłoby wyborne. Tymczasem bojaźliwość, jaką tu zademonstrowano, jest czymś stanowczo zniechęcającym. I o wiele bardziej wolałabym, aby ktoś taki niczego nie napisał, niż dawał tylko namiastki.

Znajdowała się tam też Teresa filozof, urocze dziełko markiza d'Ar-gens, jedyne, które wskazuje cel, choć nie całkiem do niego dochodzi. Jedyne, które przyjemnie wiąże rozpustę z bezbożnością, a przekazane wkrótce czytającej publiczności w postaci, jaką autor pierwotnie zamierzył, da wreszcie wyobrażenie o książce naprawdę niemoralnej.

Resztę stanowiły te produkowane w kawiarniach lub burdelach liche broszurki, które ujawniają podwójną pustkę ich nieporadnych autorów. Pustkę umysłu i żołądka. O rozpuście, córce dostatku i przewagi, rozprawiać mogą z sensem tylko ludzie dysponujący fizyczną i duchową tężyzną... tylko jednostki, które, dobrze usposobione przez naturę, korzystają w dodatku z łaskawości fortuny i mogą same spróbować tego, co wychodzi spod ich lubieżnego pióra. I dobrze wiemy, że jest to zupełnie niemożliwe w przypadku swawolnych gryzipiórków, którzy zalewają nas swymi piśmidłami. Jest wśród nich miejsce dla Mirabeau, który postanowił być libertynem, aby być kimkolwiek, ale mimo tych wysiłków jest i zawsze będzie tylko nikim.

Przeszukując garsonierę mnicha, natknęliśmy się na godmisze, kondomy, dyscypliny, cały osprzęt, który przekonał nas, że ojciec Clau-de nie po raz pierwszy oddawał się dzisiaj libertynizmowi. Powraca.

- Mam formalną akceptację ze strony superiora: możecie przyjść, kiedy sobie życycie.

- To nastąpi wkrótce, mój przyjacielu - odpowiadani. - Zbyt dobrze wypieszczony zostałeś przez jednego z członków zakonu, by nie życzyć sobie wspaniałych kontaktów z całą resztą. Polegaj na naszych ognistych pizdach i oceń na podstawie tego, co widziałeś w ich wykonaniu, na co będą się mogły zdobyć, gdy zostaną jeszcze lepiej wyjebane. Tymczasem zapraszam cię do nas za trzy dni, wraz z moją przyjaciółką podejmiemy cię w naszej uroczej posiadłości, gdzie przesyć nas rozkoszami, zbieraj siły i nie zawieź nas.

Przy okazji chcieliśmy osobiście porozmawiać z przeorem. Był to przystojny sześćdziesięciolatek, który przyjął nas bardzo uprzejmie.

- Podejmiemy was z ochotą - powiedział. - Spośród trzydziestu mnichów godnych tych orgii obiecuję wam dwudziestu w wieku od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat, którzy, wyposażeni jak Claude i żywotni jak na mnichów przystało, potraktują was jak Messaliny. Co do dyskrecji, możecie być pewne, że będzie większa niż byłaby gdziekolwiek poza murami. Zażyczyłyście sobie paru blasfemii, wiemy, czym są te niewinne szaleństwa, bądźcie spokojne, we wszystkim zostaniecie usatysfakcjonowane. Głupcy twierdzą, że mnisi do niczego się nie nadają: dowiedziemy wam, moje panie, że przynajmniej karmelici doskonali są w jebaniu.

Przemowa tak stanowcza w połączeniu z dowodami, jakie uzyskałyśmy, nie mogła już pozostawiać wątpliwości co do sposobu, w jaki zostaniemy przyjęte. Uprzedziłyśmy naszych łaskawych anachoretów, że przyprowadzimy ze sobą dwie ładne dziewczyny, aby nam pomagały i służyły naszej rozrywce. Ponieważ jednak rozmaite sprawy przeszkadzały temu, by owa przyjemna partia rozegrała się tak szybko, jak byśmy sobie życzyły, przesunięta została na dzień Wielkanocy.

- Ten wybór odpowiada znakomicie naszemu zamysłowi popełnienia paru małych blasfemii - rzekła Clairwil. - Co by o tym nie powiedzieć, mam ogromną ochotę sprofanować najświętszą tajemnicę religii chrześcijańskiej w tym właśnie dniu, który jej wyznawcy uznają za jedno ze swych największych świąt.

Do tego czasu pozostało jeszcze około miesiąca, a ponieważ okres ten znaczący jest dwoma szczególnymi wydarzeniami, sądzę, iż powinnam o nich tutaj wspomnieć we właściwej kolejności, zanim przedstawię wam dalszy ciąg naszych libertyńskich zmagania u



karmelitów.

Pierwszym z tych wydarzeń była tragiczna śmierć Claude'a. Nieszczęśnik przybył na wieś w wyznaczonym dniu. Była tam również Clairwil. Rozpaliłyśmy mnicha, a kiedy jego kutas był w stanie najsilniejszej erekcji, moja przyjaciółka, rozkazawszy pięciu kobietom przytrzymać karmelitę, odcięła mu go u samej nasady. Poleciwszy zaś pewnemu chirurgowi odpowiednio go spreparować, uczyniła sobie zeń najbardziej osobliwy i najpiękniejszy godmisz, jaki można sobie wyobrazić. Clau-de wyzionął ducha w najstraszliwszych męczarniach, którymi Clairwil syciła swą lubieżną wściekłość, podczas gdy ja, wspomagana przez trzy kobiety, brandzłowałam ją stóp ofiary.

- No cóż! - rzekła kurwa, zalewając nas swą spermą. - Czy. nie powiedziałam ci, że masakrując tego poczciwca, coś jednak sobie z niego zachowam? [...]

Zbliżała się Wielkanoc. Clairwil przypomniała mi o naszej partii u karmelitów. Gdy wraz z Elwirą i Charmeil znalazłyśmy się w klasztorze, superior powitał nas pytaniem o wieści dotyczące Claude'a. Powiedział, iż nie pojawił się od momentu, gdy zaprosiłyśmy go do siebie. Zapewniłyśmy dobrego mnicha, że los jego konfratra jest nam zupełnie nieznan; biorąc jednak pod uwagę jego libertyńskie skłonności, wydaje się bardzo prawdopodobne, że na zawsze rozstał się z habitem. Więcej już do tego nie wracaliśmy. Przeszliśmy do ogromnej sali, w której, jak się okazało, dokonać miałyśmy przeglądu wojowników. Euzebiusz kazał im kolejno przed nami przedefilować; przechodzili przez ręce naszych dwu pomocniczek, które brandzłowały ich i demonstrowały nam karmelickie kutasy. Wszyscy, którzy nie mieli narządów mierzących przynajmniej sześć cali w obwodzie i dziewięć długości, byli odsyłani, podobnie jak ci, którzy przekroczyli pięćdziesiątkę. Obiecano nam tylko trzydziestu; tymczasem było sześćdziesięciu czterech mnichów i sześciu nowicjuszy, wszyscy wyposażeni w organy, z których najmniejsze zachowywały wspomniane proporcje, kilka zaś miało wymiary dziesięć na czternaście. Rozpoczęła się ceremonia.

Clairwil i ja, wciąż w tej samej sali, ułożyłyśmy się na obszernych kanapach, swobodnie i głęboko, ze zwieszonymi nogami, z dużymi poduszkami wsuniętymi pod plecy, absolutnie nagie, i to pizdy wystawiłyśmy na pierwszy atak naszych przeciwników. Trybadki przysyłały nam kutasy, przestrzegając kryterium rozmiaru, w taki sposób, że najpierw pojawiły się najmniejsze. Powierzano je zrazu trosce naszych palców, tak że każda z nas zajmowała się dwoma następcami tego, który właśnie nas jebał. Gdy tylko pizda wypełniała się ze stratą dla ręki, w tej samej dłoni zjawiał się natychmiast nowy kutas i każda z nas miała wciąż do czynienia z trzema mężczyznami. Tego, który wypadł z gry, odsyłano do sąsiedniej sali, gdzie czekał na nowe rozkazy. Wszyscy byli nadzy i wszyscy spuszczaali się do

nałożonych na ich kutasy kondomów. Przechodzili kolejno od Clairwil do mnie: w ten sposób każda z nas była więc najpierw wyjebana sześćdziesiąt cztery razy. Przy ostatnich nasze kobiety przeszły do drugiego pomieszczenia, gdzie pracowały nad przydaniem mnichom wigoru. Rozpoczęła się druga tura... Znow sześćdziesiąt cztery razy zaaplikowane każdej z nas. Te same zabiegi z okazji trzeciej tury, tym razem jednak zaprezentowałyśmy dupy, a nasi zapaśnicy przysyłani byli teraz, w taki sposób, że miałyśmy ciągle po jednym kutasie w dupie i w ustach, tego, który wychodził z naszych dup, z kolei ssałyśmy, ażeby przygotować go do czwartego ataku. Działanie przebiegało alternatywnie, mianowicie ja ssałam kutasa, który wysunął się z dupy Clairwil, ona zaś ssała tego, który wyszedł z mojej. Rzecz została ponowiona, wskutek czego po tym pierwszym seansie każda z nas wypieprzona była sto dwadzieścia osiem razy w pizdę i sto dwadzieścia osiem razy w dupę, co dawało łącznie dwieście pięćdziesiąt sześć rżnięć. Podano biszkopty i hiszpańskie wina, po czym grupy uformowały się ponownie.

Dostawałyśmy ośmiu mężczyzn jednocześnie: miałyśmy kutasa pod każdą pachą, w każdej dłoni, na piersiach, w ustach, siódmego w piździe, ósmego w dupie. Teraz już bez kondomów; wszyscy musieli się spuścić, ażeby każda część naszych ciał zalana została spermą i aby zewsząd widać było, jak ona się na nas pieni. Każda ośmioosobowa brygada dwa razy podejmowała swą akcję, zmieniając kobietę i układ, w taki sposób, że każda z nas doświadczyła ośmiu tego rodzaju obłężeń, po których niczego już nie wymagałyśmy. Wydając się całkowicie na pastwę lubieżności mnichów, oświadczyłyśmy im, iż mogą swobodnie wybierać między Clairwil i mną i raczyć się nami dowoli. Tym sposobem Clairwil wyjebana została jeszcze piętnaście razy w usta, dziesięć w pizdę i trzydzieści dziewięć w dupę, ja zaś czterdzieści sześć razy w dupę, osiem w usta i dziesięć w pizdę. W sumie każdą zerżnięto jeszcze dwieście razy.

Wstał nowy dzień, a jako że była to Wielkanoc, łajdacy, potraktowawszy nas w ten sposób, poszli odprawiać swoją mszę. Po powrocie obwieścili, że pora na śniadanie. Wyraziłyśmy wówczas wobec superiora pragnienie oddania się wcześniej przewidzianym w programie blas-femiom. Obserwujący nasze lubieżne poczynania Euzebiusz, który lubił tylko mężczyzn, zadowolił się zadysponowaniem nam kutasów i zerżnięciem paru konfratrów.

- Dobrze więc! - odparł. - Sam celebrować będę świętą tajemnicę w znajdującej się na górze kaplicy Matki Boskiej. Czego zatem sobie życzyacie?

- Niech jeszcze jeden mnich celebruje osobno u twego boku - rzekła Clairwil. - Obie msze odprawiane będą na pizdach naszych dwu trybadek; w tym czasie inny mnich pieprzyć je będzie w usta, prezentując swą dupę celebrantowi, i nasra na brzuch dziewczyny, gdy

hostia zostanie poświęcona. Wówczas kapłan każe umieścić małego Boga w tej kupie. Moja przyjaciółka i ja wydobędziemy go stamtąd; spalimy kawałek hostii, inny zaś posiekamy nożem. To, co zostanie, podzielimy następnie na cztery części: dwie z nich wciśnięte zostaną kutasem w dupy dwóch celebrantów, pozostałe dwie wprowadzi się w taki sam sposób w dupę Julietty i w moją. Z kolei poświęcone wino naciągnie się do czterech małych strzykawek i wtłoczy w dupy obu kapłanów i nasze. Ponownie wszyscy czworo zostaniemy zsodomizowani, a jebacy spuszczą się nam w dupy. Najpiękniejsze krucyfiksy umieszczone zostaną w toku operacji pod naszymi brzuchami i stopami; wysramy się na nie z góry, podobnie jak do waszych cyboriiów i kielichów, gdy tylko zostaniemy zerżnięte.

Wszystko odbyło się zgodnie z pragnieniem mej przyjaciółki.

- Do licha! - zawołała. - Jestem zadowolona; wiem, że wszystko to jest tylko dziecinadą bez znaczenia, rozpala mi ona jednak głowę. A czy nie o to właśnie chodzi? Rozkoszne jest tylko to, co za takie uzna nasza wyobraźnia, a najwyborniejszą ze wszystkich rozkoszy jest właśnie ta, która urzeka najbardziej:

Natura zna wszystkie upodobania Najlepsze jest to, w które cię wyposażyla.

Euzebiusz i czterech mnichów, którzy podobali się nam najbardziej, byli naszymi wyłącznymi towarzyszami podczas wystawnego posiłku, jaki nam podano. Odpoczęłyśmy dwie godziny, po czym orgie zaczęły się na nowo.

Tym razem nasze dwie trybadki, umieszczone nad głową Clair-wil, eksponowały jedna swą pizdę, druga dupę. Ja brandzlować miałam sześćdziesiąt cztery kutasy i wprowadzać je kolejno najpierw w wagi-nę, a następnie w odbyt mej towarzyszki, która oczekiwała ich leżąc na plecach, z nogami rozchyłonymi ku górze i przywiązanymi do kolumn łóżka. Mnisi mieli się rozpalać w piździe, spuścić musieli się zaś w dupie. Zająłem miejsce Clairwil; oddała mi analogiczną przysługę. Rozkoszując się nami w ten sposób, libertyni czerpali przyjemność nie tylko z pieprzenia na dwa sposoby, ale jeszcze z tego, że (podczas pieprzenia) korzystać mogli z posługi pięknej dłoni oraz całować, zależnie od upodobania, usta, pizdę lub dupę; wszyscy się spuścili.

W trakcie następnego seansu każda z naszych trybadek brandzlowała nam na twarzach kutasa, my każdą dłonią brandzlowałyśmy po jednym, a dwaj mnisi pieścili nasze łechtaczki. Siedziałyśmy na twarzach innych mnichów, którzy lizali nam odbyty. Między nogami miałyśmy jeszcze jednego, który klęcząc, ssał nam cipę. Siódmy i ósmy oczekiwali naszych rozkazów z kutasami w dłoniach i jebali nas w pizdę lub w dupę wówczas, gdy dostatecznie podekscytowane przez dręczycieli naszych łechtaczek, przesyłałyśmy stosowne znaki.

Moja towarzyszka i ja byłyśmy wyczerpane, gdy w głowie Clair-wil zrodziła się myśl rzeczywiście godna jej libertynizmu.

- Jeśli umiejętnie się do tego zabrać - powiedziała - można sprawić, że kobieta jebana będzie w pizdę równocześnie przez dwu mężczyzn. Niech podejda ci, którym jeszcze stoją. Niech lepiej wyposażony nadzieje mnie na siebie, a drugi umieści mi swojego od tyłu, brandzlu-jąc mi odbyć; niech trzeci da mi swojego do ssania. Wszystko to nie przeszkodzi mi bynajmniej brandzlować jeszcze dwu innych.

Clairwil okazała się na szczęście dość szeroka, by zrealizować swój projekt. Żwawo obrabiana przez dwa monstrualne narządy, z których jeden wsuwał się i wysuwał, podczas gdy drugi wchłonięty był aż po nasadę, dała się w ten sposób pieprzyć przez ponad trzy godziny dwudziestu sześciu mnichom, którzy byli jeszcze dość sprawni, by sprostać zadaniu. Kurwa wyszła z tego całkiem obłąkana: oczy jej błyszczały, usta toczyły pianę, cała złana była potem. I choć zdawało się, że jest u kresu sił, dziwka chciała więcej. Niczym bachantka przebiegała szeregi i ssała kutasy, pragnąc wykrzesać z nich nowe siły. Zbyt młoda i delikatna, by choć spróbować tego bezwstydnego zboczenia, jakiemu oddawała się moja towarzyszka, zadowalałam się podczas tych orgii sposobieniem kutasów, nie byłam jednak całkowicie niezaangażowana: czułam w jednym i drugim regionie rozkoszy taki ogień, swędzenie tak intensywne, że ledwie mogłam usiedzieć na miejscu.

Zjadłyśmy kolację... Było późno. Clairwil powiedziała, że chce spać w klasztorze.

- Każ przygotować dla mnie materac na głównym ołtarzu - zwróciła się do superiora. - Chcę się tam pieprzyć przez całą noc. Julietta będzie mnie naśladować. Jest gorąco, tam będzie nam więc najwygodniej. Albo niech raczej pójdzie do kaplicy tej kurwy, która, jak powiadają, była matką powieszzonego Boga nikczemnej religii chrześcijańskiej... Julietto, będziesz leżeć na tym ołtarzu, imitując kurestwo dziwki, u której zagościsz. Zamiast wśród żołnierzy z jerozolimskiego garnizonu, którym łajdaczka oddawała się co dnia, wybierać będziesz spośród mnichów dysponujących jeszcze wigorem.

- Ach! Dziś mam już dość pieprzenia! - zawołałam.

- No cóż! Ty będziesz ich brandzlować, oni będą brandzlować ciebie; będziesz ich ssać, oni będą ssać ciebie. Zawsze znajdzie się dość spermy do rozlania na bluźnierczych ołtarzach tej niewiarygodnej dziwki.

- Co do mnie - kontynuowała - bynajmniej nie jestem do ciebie podobna. Niezależnie od tego, jak solidnie by mnie wypieprzono, płonę wciąż z potrzeby bycia jebaną. Potoki spermy użyźniające moją dupę i pizdę jedynie bardziej jeszcze mnie podniecają. Płonę... W moim wieku im więcej się pieprzy, tym więcej pragnie się pieprzyć: jedynie pieprzenie

uśmierza płomień wzniecony pieprzeniem, a jeśli kobieta ma temperament, jakim obdarzyła mnie natura, wówczas szczęśliwa może być tylko dzięki jebaniu. Kurestwo jest cnotą kobiet. Stworzone jesteśmy wyłącznie dla pieprzenia: nieszczęsna, którą głupia cnota zmusza do respektu wobec płaskich przesądów! Ofiara własnych poglądów i chłodnej estymy, jakiej oczekuje niemal zawsze na próżno od mężczyzn, żyć będzie bez przyjemności i umrze, nie wzbudzając niczyjego żalu. Li-bertynizm kobiet czczony był na całym świecie; wszędzie miał i wyznawców, i świątynie. Ach, jaką gorliwą ma on we mnie zwolenniczkę! Klnę się i przysięgam, że będę kurwą do końca mych dni...! Jakże zobowiązana jestem wobec tych, którzy usiłowali zapobiec mej występnej karierze: im właśnie zawdzięczam życie! Otrzymałam je od rodziców, zatrute niegodziwymi przesądami: ogień namiętności strawił je wszystkie, a ponieważ przejrzałam na oczy dopiero w chwili, gdy poznałam sztukę pieprzenia, to właśnie od tamtego czasu czuję, że żyję... Kutasy, tak, na Boga! Kutasy! Oto moi bogowie, moi rodzice, moi przyjaciele!

Żyję tylko dla tego szlachetnego organu i kiedy nie znajduje się on ani w mej piździe, ani w mej dupie, umieszcza się tak doskonale w mej głowie, że gdy pewnego dnia dokonają na mnie sekcji, znajdą go w moim mózgu!

Po tej szalonej tyradzie, wygłoszonej tonem i z wyrazem twarzy opętanej, Clairwil pociągnęła za sobą dwu karmelitów i kazała, by umieścili ją na ołtarzu. Zwilżona różanym olejkiem sposobila się do odparcia kolejnych ataków dwu okazałych nowicjuszy, jakich ze sobą przywiodła i z którymi się zabawiała, gdy Clairwil, rzucając się w dół ołtarza, na którym ją ulokowano, wrzasnęła, że potrzebuje nowych mężczyzn.

- Jeśli stanowi to jakiś kłopot, otwórzcie róg obfitości, nic prostszego! - zawołała. - Brakuje ich nam! Te tutaj niedojdy do niczego już się nie nadają! Wyobrazasz to sobie, Julietto?! Przed chwilą jeden z nich nie skorzystał z okazji... ze mną, która nigdy nie doznałam takiego afron-tu. Do diabła! Czy są jeszcze w tym przybytku jakieś kutasy? Wybrałyśmy najokazalsze, wypróbujemy teraz pozostałe, chodź ze mną! Jeśli przeor - kontynuowała, rozkazując go odszukać - nie był dość dobry, by osobiście zaspokoić me pragnienia, potrafi zapewne się znaleźć, polecając, by ukoili je ci jego konfratry, którzy, wypoczęci, rześcy, krzepcy i do tej pory przez nas nie wykorzystani, muszą mieć siły niezbędne do tego, by nas usatysfakcjonować... Dalej! - krzyknęła, gdy superior się pojawił. - Prowadź nas do cel zamieszkałych przez mnichów, którzy nie brali jeszcze udziału w naszych bachanaliach!

Podążyłyśmy za nim. Kolejno otwierają się wszystkie drzwi. Niezależnie od tego, jak wyposażeni byli ci, których znalazłyśmy w celach, musieli się z nami zabawiać. Wszyscy godnie stanęli w szranki, wszyscy potwierdzili to swą spermą. Jedni brali nas od przodu, inni,

i ci przeważali, chcieli penetrować wyłącznie dupy. My zaś, wyznaczyszy sobie tylko jeden cel, ten, by zostać wyjebane, oferowałyśmy, nie czyniąc różnicy, wszystko, czego od nas zażądano, rade przyjmować spermę w tych częściach naszych ciał, do jakich ona spływała. Oto, jak powinny myśleć wszystkie kobiety. Jestże bowiem zaiste coś bardziej absurdałnego niż przypuszczać, że przyjęciu kutasa służy tylko jedna część naszego ciała i że, jeśli na nieszczęście zejdziemy z utartego szlaku, nieuchronnie popełniamy zbrodnię? Jak gdyby natura, tworząc dwie dziury, nie zasugerowała mężczyźnie dostatecznie jasno, że uczyniła to w tym celu, by dowoli zatykał je obie; i że którykolwiek z nich by wybrał, wypełni zawsze nakazy matki zbyt mądrej, by przyznała jednemu ze swych najslabszych stworzeń komiczny przywilej jej znieważania.

Jako wielka zwolenniczka tego rodzaju rozkoszy, i przedkładając ją bezwzględnie nad tę drugą, byłam całkiem rada, że w trakcie tego drugiego tournée żądano ode mnie tylko dupy, i nie odmówiłam jej nikomu.

Przeszliśmy wreszcie do starców. - Nie należy robić żadnych wyjątków - powiedziała Clairwil.

- Wszyscy mężczyźni są interesujący, gdy się spuszcza: domagam się od nich tylko spermy.

Niektórzy, leżący u boku swych młodych kochanków, odtrącali nas. - Nie jesteście w stanie powetować nam niewierności - mówili.

- Nawet gdybyście oferowały ołtarz, na którym zwykliśmy składać ofiary, jego sąsiedztwo byłoby zbyt potworne, byśmy mogli ryzykować złożenie hołdu.

Kobieta daremnie się stara, daremnie się odwraca Zawsze pozostanie kobietą..

Martialis, Epigramaty

Inni nas przyjmowali, ileż jednak kłopotów miałyśmy z samym ich podnieceniem... Jakiej życzliwości to od nas wymagało... jakich starań... jakich lubieżnych atencji! Ile różnych ról trzeba było odegrać! Kolejno ofiary bądź kapłanki, u jednych budzić musiałyśmy, za sprawą okrutnych upodzeń, uśpioną naturę, podczas gdy inni wychodzili z letargu jedynie dzięki temu, że nas maltretowali. Jeden z tych starych grzeszników chciał nas wychłostać; zniosłyśmy i to. Z kolei z innych same zdierałyśmy skórę. Pięciu czy sześciu żądało od nas pocałunków; słono płaciłyśmy za naszą naiwność, gdyż wyczerpawszy się przy tej czynności, niczego już nie byli w stanie nam zaoferować. Inni żądali rzeczy jeszcze bardziej osobliwych; robiłyśmy wszystko... Wszyscy się spuszcza, aż po zakrystiana, aż po furtiana, aż po zamiataczy, i wypieprzyli każdą z nas wybornie. Zniósłszy ponad trzysta takich szturmów to z jednej, to z drugiej strony, wycofałyśmy się, naznaczone wszystkimi rodzajami

wyczerpania, jakie dotyczyć mogą ludzkiego ciała. Ścisła dziewięciodniowa dieta, podczas której zażywałyśmy licznych kąpiei i stosowałyśmy okłady z serwatki, sprawiła, iż stałyśmy się równie świeże, jak gdyby owa partia nie zaistniała nawet w naszej wyobraźni.

## TYRADA BELMORA O MIŁOŚCI

Wkrótce potem spotkałam na obiedzie u Noirceuila wspaniałego czterdziestopięcioletniego mężczyznę, którego zapowiedziano jako hrabiego Belmora.

- Oto nasz nowy prezydent - przedstawił mi go Noirceuil. - Właśnie dzisiaj obejmuje urząd i z okazji swej nominacji obiecał nam rozprawę o miłości, ja zaś gorąco cię zachęcam do jej wysłuchania, abyś uchronić mogła swe serce przed tym uczuciem, które kobiety tak często i nedorzecznie okazują mężczyznom. Tobie zaś, przyjacielu - kontynuował, zwracając się do Belmora - przedstawiam sławną Juliettę. Czy spotkaliście się już w Stowarzyszeniu?

- Nie - odparł hrabia - nie przypominam sobie, bym miał ten zaszczyt.

- A zatem - rzekł Noirceuil - poznajcie się, zanim wyjdziemy. Oto najbielsza dupa... i najczarniejsza dusza! Och, ona rzeczywiście jest nas godna! Dziś po południu przyjdzie wysłuchać twego wykładu... Czy chciałbyś przedsięwziąć coś przed obiadem?... Oczekuję Cla-irwil... wszelako nie skończy ona swej toalety przed czwartą. Ponieważ zaś jest dopiero trzecia, namawiam cię do spędzenia paru chwil w moim buduarze. Lokaj zaraz się tobą zajmie.

Belmor przystał na propozycję; pojawił się służący; wreszcie we troje zamknęliśmy się w gabinecie. Namiętność Belmora była prosta: całował i długo badał pośladki kobiety, mężczyzna zaś rznął go w dupę. Później, gdy mężczyzna się spuścił, brandzłował mu kutasa na dupie kobiety, doprowadzając po raz drugi do wytrysku dokładnie na jej odbytu. Z kolei pochłaniał to, co uzyskał od mężczyzny, podczas gdy kobieta puszczała wiatry; wówczas należało go wychłostać. Hrabia dopełnił wraz ze mną wszystkich tych czynności, stosownie do swych upodobań. Przeczuwając wszakże wieczorne zaangażowanie, bynajmniej się nie spuścił. Wyszliśmy z gabinetu. Clairwil, piękna jak anioł, właśnie przybyła. Podano do stołu.

- Nie sądzę, Julietto - odezwał się Noirceuil - że namiętności hrabiego są zawsze tak subtelne jak te, które przed chwilą zaspokoiliś; potraktował cię jak przyjaciółkę.

- Jak mężczyzna, który oszczędza siły - wtrąciła Clairwil.

- Wiesz zatem, co robi hrabia w chwilach uniesienia? - spytałam Clairwil z uśmiechem. - Jeśli tak, powiedz mi o tym, proszę, ponieważ wydał mi się tak uprzejmy, że chciałabym wiedzieć o wszystkim, co go dotyczy.

- Czy zgadzasz się, hrabio, by jej o tym powiedzieć? - spytał Noirceuil.

- Nie powinienem na to przystać, wyrobi sobie pani na mój temat bardzo złą opinię.

- Dostatecznie znam moją przyjaciółkę - powiedziała Clairwil -by pana zapewnić, że



może go ona jedynie docenić z uwagi na liczbę i klasę występków.

- Dobrze więc! - rzekł Noirceuil. - Ulubiona namiętność tego zbrodniarza polega na przywiązaniu pięcio- lub sześcioletniego chłopca do ramion pięknej kobiety. Małej ofierze zadaje się wiele różnych ran w taki sposób, by strumień krwi spływał na odbytek kobiety, którą w toku tej operacji zachęca się do srania. Klęcząc przed jej dupą nikczemnik pochłania krew, podczas gdy trzech mężczyzn uwija się przy jego tyłku. Widzisz więc, że to, co niedawno z tobą uczynił, jest tylko częścią preferowanej przezeń fantazji. To jednak prawda, że drobne nawyki mężczyzn mówią o zwyczajach istotniejszych i że dominujący występki zawsze jest przez coś zapowiadany.

- O, do diabła! - zwróciłam się do hrabiego, ściskając go serdecznie. - Pańska mania zawróciła mi w głowie. Proszę używać często mych pośladek do takich ceremonii. Może mieć pan pewność, że nie zaniedbam niczego, co mogłoby wysubtelnić pańską rozkosz.

Belmor zapewnił, że zajmiemy się tym niedługo, i poprosił uprzejmie, bym zarezerwowała dlań moją kupę.

- Ach! - wykrzyknęła Clairwil. - Wiedziałam, że nie sprawi pan przykrości mej przyjaciółce, anonsując jej ten rodzaj rozpusty.

- To pewne - rzekł Noirceuil - że powściągliwość jest nedorzeczną cnotą. Mężczyzna urodził się po to, by używać, i właśnie rozpusta dostarcza mu najslodszych przyjemności: tylko głupcy trzymają na wodzy swe żądze.

- Co do mnie - wtrąciła Clairwil - to sądzę, że należy ślepo oddawać się wszystkiemu i że dopiero pośród tych zatrąceń odnajdywać powinniśmy szczęście.

- Natura - rzekł hrabia - podpowiada mężczyźnie, by szczęścia szukał tylko w ekscesach. Niestalość, przyrodzona cecha mężczyzn, zalecająca mu poszukiwanie każdego dnia nowych doznań, dowodzi, że najrozkoszniejszych dostarczają właśnie wybryki. Biada tym, którzy powściągając namiętności młodego mężczyzny, każą mu się stopniowo ich wyrzekać, czyniąc go najbardziej nieszczęśliwym ze wszystkich istot. Jakże fatalną wyświadcza mu się w ten sposób przysługę!

- Niechaj nie zwiodą nas cele tych, którzy tak postępują - stwierdził Noirceuil. - Kieruje nimi wyłącznie złośliwość, zazdrość i obawa, by inni nie dostąpili szczęścia, które także według tych pedantów można osiągnąć tylko wówczas, gdy oddajemy się wszelkim namiętnościom.

- Istotną rolę odgrywa tutaj przesąd - rzekł Belmor. - Musieliśmy uzbroić się w obelgi przeciwko Bogu, którego stworzył przesąd: Bóg, który miał nigdy nie ulegać złości, stał się bytem bezsilnym: gdziez bowiem lepiej wschodzi ziarno zbrodni niż w wybuchu

namiętności?

- Ile szkód wyrządziła światu religia! - zawyrokował Noirceuil. - Uważam ją za najbardziej niebezpieczną plagę ludzkości. Ten, kto pierwszy zaszczepił ją ludziom, musiał być ich największym wrogiem: najokrutniejsze męczarnie byłyby dlań jeszcze o wiele za łagodne.

-Nie zdajemy sobie dostatecznie sprawy z konieczności jej unicestwienia. .. wytrzebienia z naszego kraju.

- Byłoby to bardzo trudne; najbardziej uparcie trzyma się człowiek zasad wpojonych mu w dzieciństwie. Być może pewnego dnia, wskutek entuzjastycznej demaskacji śmiesznych przesądów religijnych, ujrzysz, jak lud niszczy idole. Podobny do trwożliwego dziecka wkrótce zacznie on jednak żałować, że rozbił swe zabawki, i poskłada je na nowo z tysiąckrotnie większą gorliwością. Nie, nie! Nigdy nie ujrzysz filozofii rozkwitającej wśród ludu: jego ociężałe organy nie udoskonała się nigdy w świętym płomieniu tej bogini. Zwodniczy autorytet, na chwilę osłabiony, odbuduje się z tym większą siłą, i do końca świata przesąd zatruwał nas będzie swym jadem.

- Cóż za potworne proroctwo!

- Jest niestety prawdziwe.

- Jak można by zapobiec jego spełnieniu?

- Oto właściwy sposób; jest gwałtowny, ale pewny: w ciągu jednego dnia należy pochwyć i zmasakrować wszystkich księży... Tak samo potraktować trzeba wszelkich wyznawców, niwecząc w jednej chwili do ostatka katolicki kult... Proklamować należy systemy ateistyczne, powierzyć natychmiast filozofom edukację młodzieży. Trzeba mnożyć, zalecać, rozpowszechniać, rekomendować dzieła propagujące niewiarę i przez pół wieku stosować z całą surowością karę śmierci wobec każdego, kto usiłowałby odnowić to **urojenie**<sup>9</sup>. Wszelako niektórzy ośmielą się powiedzieć, że srogość stwarza gorliwców i że to nietolerancja jest kolebką męczenników. Obiekcja ta jest całkiem absurdalna: teza o nieskuteczności możliwa jest tylko dlatego, że w postępowaniu tym wykazano nadmierną łagodność i pobłażliwość; nie działano dość stanowczo i dlatego nie osiągnięto celu. Nie wystarczy odciąć hydrze jedną z głów, trzeba po prostu unicestwić potwora. Męczennik wita śmierć z odwagą, ponieważ siłą zaszczepił mu jego poprzednik: wszystkich wytępić należy jednego dnia, tak by żaden się nie ostał, a me będzie już odtąd ani wyznawców, ani męczenników.

- Przedsięwzięcie to nie jest łatwe - odezwała się Clairwil.

- Jest nieskończenie łatwiejsze, niż się sądzi - odparł Belmor. - Podjąłbym się jego

realizacji z pomocą dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, gdyby tylko rząd zechciał mi ich powierzyć. Potrzeba jedynie politycznego, sekretnego i stanowczego działania, zwłaszcza zaś wyrzec się należy łagodności i nie dopuścić do wywołanego brakiem dyscypliny fiaska. Boicie się męczenników? Będziecie ich mieli, dopóki pozostanie choćby jeden wyznawca odrażającego Boga chrześcijan.

- Należałoby więc wyniszczyć dwie trzecie ludności Francji! -wtrąciłam.

- Nie byłaby to nawet jedna trzecia - odpowiedział Belmor. -Wszelako zakładając, że nieodzowna destrukcja musiałaby sięgnąć takich rozmiarów, czy nie przypuszczasz, iż byłoby po stokroć lepiej, aby tę piękną część Europy zamieszkiwało raczej dziesięć milionów ludzi przyzwoitych niż dwadzieścia pięć milionów hultajów? Powtarzam jednak, nie sądzcie, że Francja posiada aż tylu wyznawców religii chrześcijańskiej . Stosownego odsiewu można by dokonać bardzo szybko: rok dyskretnego i spokojnego działania zupełnie by do tego wystarczył. Jestem pewny, że odniósłbym sukces.

- Byłby to przerażający upust krwi!

- Zgadzam się. Na zawsze jednak zapewniłby Francji szczęście. To radykalny środek zaordynowany silnemu organizmowi; wydobywając go gwałtownie ze stanu skażenia, oszczędzimy mu nieskończonej ilości oczyszczeń, które, wskutek nadmiaru, przywiodłyby go do całkowitego wyczerpania. Bądźcie pewni, że przyczyną wszelkich plag nękających Francję od osiemnastu stuleci są **religijne spiski10**.

- Słuchając cię, hrabio - rzekł Noirceuil - można odnieść wrażenie, że naprawdę nie lubisz religii.

- Uznaję ją za ciężącą nad narodami plagę, która upadła ludzi. A gdybym nie kochał tak bardzo mego kraju, żywiłbym mniejszą odrazę do wszystkiego, co może go podkopywać i niszczyć.

- No cóż - westchnął Noirceuil - oby rząd powierzył ci zadanie, jakiego pragniesz. Wraz z tobą serdecznie cieszyłbym się jego rezultatem, jeśli oznaczałby on banicję z terytorium mego kraju odrażającej religii, której nienawidzę przynajmniej tak samo jak ty.

Ponieważ było już późno, udaliśmy się - po wyśmienitym i wystawnym obiedzie - na posiedzenie Stowarzyszenia.

Obowiązywał szczególnie zwyczaj związany z przyjęciem nowego prezydenta. Wyciągnięty na brzuchu na kanapie u stóp swej katedry, przyjmował, zanim zasiadł w fotelu, pocałunki w dupę od wszystkich członków Stowarzyszenia. Wreszcie zajmował należne mu z urzędu miejsce, wszyscy zaś zgromadzeni odczuwali satysfakcję ze złożonego hołdu.

- Bracia! - rozpoczął podniósłszy się uprzednio z fotela. - Obiecałem mówić dziś w

Stowarzyszeniu o miłości i jakkolwiek wykład ten kieruję właściwie do mężczyzn, to także kobiety, ośmielę się zapewnić, znajdą w nim wszystko, co niezbędne, ażeby uchronić się przed równie niebezpiecznym uczuciem.

Z kolei nakrywszy głowę odezwał się tymi słowy do zebranych, którzy słuchali go z najwyższą uwagą:

„Nazywamy miłością owo wewnętrzne uczucie, które porywa nas, by tak rzec, wbrew nam samym, ku jakiemuś innemu obiektowi, budzi w nas żywe pragnienie, by się z nim połączyć... wciąż się do niego przybliżać. .. mile nas drażni... oszołamia, gdy osiągamy ową jedność i wprawia w rozpacz... rozdziera, gdy jakieś nieprzychylnie okoliczności zmuszają nas do zerwania tej więzi. Gdyby ekstrawagancja ta przywodziła nas jedynie do rozkoszy, pochodnej tego żaru, tego upojenia, byłaby tylko zabawna. Ponieważ jednak wie, że ona do pewnej metafizyki, zwracając nas ku ukochanemu obiektowi, sprawiając, że jego działania, potrzeby, pragnienia stają się nam tak drogie jak nasze własne, okazuje się tym samym wyjątkowo niebezpieczna. Odrywa nas bowiem nadmiernie od siebie samych, kazać przedkładać interesy ukochanego obiektu nad własne. Utożsamiając nas, by tak rzec, z tym obiektem, skłania nas do przyswojenia jego nieszczęść, zgryzot i w konsekwencji dodaje nowe niedole do naszych własnych. Nieustannie dręczy nas przy tym obawa przed utratą tego obiektu lub jego zubożeniem; i od najbardziej spokojnego stanu istnienia przechodzimy niepostrzeżenie, przyjmując te okowy, do stanu niewątpliwie najbardziej okrutnego, jaki można sobie wyobrazić. Gdyby zadośćuczynieniem lub nagrodą za tyle trosk było coś innego niż zwykła przyjemność, być może gotów byłbym zaryzykować. Lecz przecież wszystkie strapienia, udręki, ciernie miłości przywodzą zawsze tylko do tego, co łatwo osiągnąć można i bez niej. Po cóż więc jej kajdany? Gdy oddaje mi się piękna kobieta i gdy się w niej zakochuję, nie osiągam nic innego niż ktoś, kto patrzy na nią i jej pożąda, nie ulegając porywowi miłości. Obaj chcemy się z nią przespać: on pożąda tylko jej ciała, ja zaś, wskutek fałszywej i niebezpiecznej metafizyki, sprawiającej, że nie potrafię dostrzec rzeczywistej pobudki, którą dzielę wszakże z moim konkurentem, przekonuję siebie, że pragnę tylko jej serca, że żadna idea rozkoszy nie wchodzi w moim przypadku w rachubę, i przekonuję siebie tak skutecznie, że chętnie umówiłbym się z tą kobietą, iż będę ją kochał tylko dla niej samej i zdobędę jej serce za cenę ofiary ze wszystkich innych fizycznych pożądań. Oto fatalna przyczyna mego błędu; oto, co wciągnie mnie w potworną otchłań niedoli, pozbawi me życie blasku. W tym momencie wszystko ulega zmianie: podejrzenia, zazdrość, niepokoje staną się przykrym uzupełnieniem mego nieszczęsnego istnienia; i im bliższy będę szczęścia, im bardziej będzie się ono utrzymywać, tym bardziej fatalna obawa przed jego utratą zatruwać

będzie me życie.

Nie sądzicie, że rezygnując z kolców tego niebezpiecznego uczucia, pozbawiam się jego kwiatów: zerwę je wówczas, nie ponosząc szkody. Zbiorę tylko nektar, nie będę zaś miał nic wspólnego z jakąkolwiek odrębną domeną; posiadę wszak ciało, jakiego pożądam, nie zawłaszczę zaś duszy, która do niczego nie jest mi potrzebna. Gdyby mężczyzna zastanowił się dobrze nad prawdziwymi korzyściami, jakie niesie mu rozkosz, oszczędziłby swemu sercu tej okrutnej gorączki, która go nęka i pozbawia siły. Gdyby zdołał się przekonać, że nie trzeba bynajmniej być kochanym, by dobrze się bawić, i że miłość szkodzi raczej porywom rozkoszy, niż im służy, zrezygnowałby z metafizyki zaślepiającego go uczucia, ograniczyłby się do prostej przyjemności ciała i oddaliłby na zawsze kłopot nieodłączny od tej niebezpiecznej tkliwości.

Tkliwość, jaką wnosimy do pożądania rozkoszy, jest przejawem rozumu, wrażeniem całkowicie urojonym. Może mieć ona pewną wartość w metafizyce miłości; jest tak w przypadku wszelkich złudzeń, które wzajemnie się pielęgnują. Jest ona jednak bezużyteczna, a nawet szkodliwa, w odniesieniu do tego, co dotyczy zaspokojenia zmysłów. Odtąd, jak widzicie, miłość staje się całkowicie zbędna, a człowiek rozumny powinien dojrzeć w obiekcie swej rozkoszy już tylko obiekt podrażniający nerwowy fluid; istotę całkowicie różną, która winna służyć czysto fizycznemu zaspokojeniu pożądań, rozpalanych wskutek rozjątrzenia tego fluidu, i która, zapewniwszy to zaspokojenie, powraca, w oczach rozsądnego mężczyzny, do kategorii, do jakiej uprzednio należała. Nie jest jedyną reprezentantką swej płci: mężczyzna znaleźć może inne, równie dobre, równie uległe. Żył całkiem inaczej, zanim ją poznał: dlaczego nie miałby żyć tak samo później? Dlaczego niewierność tej kobiety miałaby mu w czymkolwiek przeszkadzać? Czy nie skąpiąc wdzięków obcemu, pozbawia czegoś swego kochanka? Wziął on swoją część, dlaczego więc się skarży? Dlaczego inny nie miałby postąpić tak samo? I cóż utraci on w tej istocie, której nie mógłby natychmiast odnaleźć w innej? A zresztą, jeśli oszukuje go ona dla rywala, może tak samo oszukiwać rywala dla niego. Ten drugi kochanek nie będzie więc bardziej kochany niż pierwszy; dlaczego zatem pierwszy miałby okazywać zazdrość, skoro żaden z nich nie jest traktowany lepiej niż drugi? Żale te byłyby do wybaczenia tylko wówczas, gdyby ta droga kobieta była jedyną w świecie; trzeba uznać ich za dziwaków, skoro stratę tę można sobie powetować. Wchodząc na chwilę w skórę tego pierwszego kochanka, zapytam, cóż zatem owa kobieca istota ma w sobie takiego, by prowokować w ten sposób me cierpienia? Chodziłoby o trochę okazywanej mi uwagi, o jakiś odzew na moje uczucia? Padłem ofiarą złudzenia, naprawdę idzie tylko o pragnienie posiadania tej kobiety, to ciekawość upiększającą w mych oczach, i jeśli rozkosz nie

wyrwie mnie z zaślepienia, to albo dlatego, że nie dość jeszcze używałem, albo dlatego, że wskutek mych pierwotnych błędów przyzwyczailem się, przed zażyciem rozkoszy, bezwiednie zakładać sobie przepaskę na oczy. I bynajmniej jej nie zrywam! Wskutek słabości... bojaźni. Opiszmy dokładnie, jak prezentuje się po zaznanej rozkoszy ta zaślepiająca mnie wcześniej bogini... Weźmy pod uwagę moment spokoju i nasycenia, ażeby przyjrzeć się jej bezstronnie; rozważmy przez chwilę, jak powiada Lu-krecjusz, drugą stronę istnienia. No cóż! Zobaczymy ją, ów boski obiekt, który zawrócił nam w głowie, wyposażoną w te same pragnienia, potrzeby, cielesne kształty, skłonności... dotkniętą tymi samymi wadami, co wszystkie inne istoty jej płci. A wyzbywszy się, po owym bezstronnym przebadaniu, śmiechu wartego entuzjazmu, jaki pociągnął nas ku temu obiektowi całkowicie podobnemu do wszystkich innych obiektów tego samego gatunku, dostrzeżemy, że wyzbywając się go, tracimy tylko to, co łatwo możemy odzyskać. Nie włączajmy tu zalet charakteru: owe cnoty, których domeną jest przyjaźń, winny być cenione jedynie w przyjaźni. Co do miłości zaś, myliłbym się, gdybym uwierzył, że to one zaważyły na mojej decyzji. Kocham jedynie ciało i jedynie ciała żałuję, jakkolwiek mogę je przecież w każdej chwili znaleźć gdzie indziej. Jakże niedorzeczne jest więc w tej sytuacji moje ubolewanie!

Ośmielmy się powiedzieć, że w żadnym wypadku kobieta nie została stworzona dla wyłącznego szczęścia mężczyzny. Rozważając tę kwestię z punktu widzenia rozkoszy, stwierdzić należy, że z pewnością kobieta nie czyni jej pełną, ponieważ mężczyzna znajduje o wiele żywszą przyjemność w kontaktach z przedstawicielami własnej płci. Nie sposób uznać w kobiecie przyjaciela, jej dwulicowość, poddanie, czy raczej nikczemność, zaprzeczają bowiem doskonałości uczucia przyjaźni. Przyjaźń wymaga szczerości i równości; jeśli jeden z przyjaciół dominuje, przyjaźń się kończy. Tymczasem owa przewaga jednej płci nad drugą, zabójcza dla przyjaźni, istnieje jako coś nieuchronnego: kobieta nie jest więc stosowna ani jako kochanka, ani jako przyjaciółka. Znajduje ona w gruncie rzeczy właściwe dla siebie miejsce tylko w niewoli, na jaką skazują ją mężczyźni w krajach Orientu; nadaje się tylko do rozkoszy, poza tym, jak wyraził się dobry król Chiperyk, warto trzymać się od niej z daleka.

Ponieważ łatwo wykazać, że miłość jest tylko przesądem narodów, że trzy czwarte ludów na ziemi, które mają zwyczaj trzymać kobiety pod kluczem, nie doświadczyło nigdy tego imaginacyjnego szaleństwa, to docierając do źródła owego przesądu, bez trudu upewnimy się, że tak właśnie jest, i znajdziemy pewny środek wybawienia. Otóż jest oczywiste, że duch rycerskiej kurtuazji, który w zabawny sposób czyni przedmiotem naszych hołdów obiekt mający służyć tylko naszym przyjemnościom, wywodzi się z respektu żywionego przez naszych przodków do kobiet z racji zawodu profetek, jaki uprawiały w

miastach i we wsiach: dokonało się motywowane strachem przejście od respektu do kultu i z łona zabobonu zrodziła się kurtuazja. Respekt ten nie obo-wiązywał wszak nigdy w naturze, marnowalibyśmy czas, chcąc go tam odnaleźć. Podrzędność żeńskiej płci wobec naszej jest nadto dobrze ustalona, by mogła ona w ogóle pobudzać nas do okazywania jej szacunku. Miłość wiać, która rodzi się z tego ślepego respektu, jest, podobnie jak on sam, tylko przesądem. Szacunek dla kobiet wzrasta w miarę, jak duch rządzenia oddala się od zasad natury. Dopóki mężczyźni okazują posłuszeństwo jedynie tym pierwszym prawom, muszą suwe-rennie pogardzać kobietami. Stają się one boginiami, kiedy oni się poniżają. Męczyzna słabnie bowiem wówczas, a wtedy, gdy degraduje się silny, nieuchronnie zaczyna rządzić słaby. Dlatego też rząd zawsze jest chorowity, gdy kobiety mają wiele do powiedzenia. Proszenie powoływać się na Turcję; jeśli jej rząd jest słaby, to dopiero od momentu, gdy intrygi seraju zaczęły kierować jego poczynaniami: Turcy zniszczyli Konstantynopol wówczas, gdy poniewierali tą zniewoloną płcią i gdy Mahomet II, stanąwszy przed swą armią, ściał głowę Irenie, podejrzewanej o to, iż ma nad nim zbyt dużą władzę. Żywiec wobec kobiet najmniejszy kult to nikczemność i deprawacja; nie są go one godne nawet w chwili upojenia, jakże więc można darzyć je nim później? Gdyby to, do czego rzecz służy, miało być przyczyną jej uwznioślenia, należałoby wielbić krowę, osła i wychodek.

To, co zwie się miłością, nie jest więc, jednym słowem, niczym innym niż pragnieniem rozkoszy. Jak długo pragnienie owo istnieje, kult jest bezużyteczny; gdy zostaje zaspokojone, jest niemożliwy. Co dowodzi, że to z pewnością nie kult zrodził szacunek, lecz że wypływa on z szacunku. Spójrzcie na przykłady niegdysiejszego upodlenia tej płci oraz na jej współczesne poniżenie u znacznej części zamieszkujących ziemię ludów, a dojdziecie do przekonania, że metafizyczna namiętność miłości nie jest bynajmniej mężczyźnie wrodzona i stanowi tylko owoc jego przesądów i zwyczajów, oraz że obiekt wywołujący tę namiętność, powszechnie wszędzie pogardzany, nie powinien go zaślepić.

Pogarda ta osiąga takie rozmiary u Chorwatów, lepiej znanych geografom pod nazwą Uskoków i Morlaków, że gdy mówią oni o swych kobietach, używają tego samego wulgarnego wyrażenia, jakim posługuje się lud nazywając nikczemne zwierzę. Nie tolerują ich w swych łózkach; kobiety te śpią na ziemi, zobowiązane są do uległości na najłżejsze skinienie i ćwiczone bykowcem przy najmniejszym nieposłuszeństwie. Ich poddaństwo, dieta, codzienne zajęcia nie ustają nigdy, nawet podczas ciąży. Często zobaczyć je można rodzące w polu: podnoszą swe dziecko, myją je w strumieniu, zabierają do domu i wracają do zwykłych zajęć. Zauważono, że dzieci są w tym kraju o wiele zdrowsze, silniejsze, a kobiety o wiele bardziej wierne. Wydaje się, że natura godzi się utracić prawa, jakich w naszym klimacie

pozbawia ją właściwy nam luksus i fałszywa delikatność, tylko za cenę poniżenia naszej płci, upodobnienia jej do tej drugiej, którą stworzyła dla niewoli.

U Kozaków zaporoskich kobiety znajdują się całkowicie poza plemieniem. Te, które służą rozmnażaniu, odsyłane są na oddzielne wyspy i mężczyźni posługują się tam nimi stosownie do swych potrzeb, nie troszcząc się o wybór i nie różnicując. Działa tylko potrzeba; wiek, figura czy krew nie stanowią kryterium, tak że ojciec może mieć dzieci z własną córką, a brat z siostrą; i nie ma u tych szczepów innych praw poza tymi, jakie wywołuje potrzeba.

Istnieją kraje, w których kobiety traktowane są podczas swych periodów jak zwierzęta; bezwzględnie się je izoluje, a jedzenie rzuca z daleka, jak tygrysom lub niedźwiedzim. Czy sądzicie, że ludy te rozmiłowane są w swych kobietach?

W królestwie Luango, w Afryce, ciężarne kobiety traktowane są jeszcze gorzej. Gdy znajdują się w tym stanie, uważa się je za nieczyste, szpetne i odrażające. Bo w istocie, cóż bardziej odrażającego od kobiety w ciąży? Ażeby lepiej zgłębić całą potworność tej płci, należałoby pozbawić jej brzemiennie przedstawicielki wszelkiego stroju i w takim stanie oddać wielbicielom.

Murzyni z Barre handlują nimi dopiero w cztery lata po opuszczeniu przez nie połogu.

Gdy zwracają się do swych mężów, kobiety z Madure posługują się wyłącznie parafrazami, wyrażając w ten sposób głęboki szacunek dla rozmówców.

Rzymianie i Celtowie mieli prawo decydować o życiu i śmierci swych kobiet, i często zeń korzystali. Prawo to potwierdza natura: okazujemy brak posłuszeństwa i naruszamy jej własne prawa, gdy się do niego nie stosujemy.

Bezlitosne niewolnictwo kobiet spotykamy w całej niemal Afryce: w wielu tamtejszych krajach kobieta czuje się szczęśliwa, gdy mężczyzna raczy przychylnie ocenić jej wysiłki.

W królestwie Juidy kobiety są tak maltretowane, tak nieszczęśliwe, że te, które mają zasilić seraje, wołają, gdy tylko sposobność pozwala, raczej dać się zabić niż porwać. Książę bowiem, jak wieść niesie, rozkoszując się swymi wybrankami, zadaje im potworne męczarnie.

Czy nie wystarczy jeden rzut oka na wspaniałe ustronia Azji? Zobaczymy tam dumnych despotów, którzy swoje pragnienia każą brać za rozkazy, najczystsze piękności poddają najbardziej wyuzdanym kaprysom swej wyobraźni i sprowadzają do stanu skrajnego poniżenia te harde boginie, którym nasza nikczemność pali kadzidła.

Chińczycy suwerennie gardzą kobietami: powiadają, że należy koniecznie je odtrącić,



gdy tylko się nimi posłużymy.

Kiedy władca Golcondy zamierza odbyć przejażdżkę, tuzin naj-dorodniejszych i najbardziej jędrnych dziewcząt z jego seraju tworzy, łącząc odpowiednio swe ciała, „wielbłąda”; cztery najwyższe zastępują nogi; umieszcza się Jego Wysokość na lędźwiach tych dziewcząt i „dromader” zaczyna przechadzkę. Pozwalam wam się domyślać, jakie zwyczaje panują w haremie tego monarchy oraz w jakie popadłby on zdziwienie na wieść o tym, że istoty, którymi posługuje się, by zaspokoić swe potrzeby, są w Europie obiektami kultu.

Moskwianie nie chcą jeść mięsa zwierząt zabitych przez kobietę. Ach, uwierzcie mi, bracia! Natura nie po to nam właśnie dała siłę, ażeby poniżyć nas uczuciem równie nikczemnym, jak uczucie miłości. Otrzymaliśmy ją, przeciwnie, by władać tą słabą i zwodniczą płcią, zmuszać ją do służenia naszym pożądanom. I całkowicie zapominamy o intencjach natury, gdy zrzekamy się części władzy na rzecz istot, które nam podporządkowała.

Spodziewamy się znaleźć szczęście w czułości, której oczekujemy od kobiet. Ich postępowanie jest jednak zawsze udawane, dawkowane stosownie do korzyści, jakie same mogą odnieść, zależne od tego, jak dalece potrafimy schlebiać ich namiętnościom. Gdy się zestarzejemy lub odwróci się fortuna i nie zdołamy już zaspokajać ich przyjemności bądź schlebiać dumie, porzucą nas natychmiast i niejednokrotnie staną się naszymi śmiertelnymi wrogami. Nie mamy w każdym razie wrogów okrutniej szcych niż kobiety, łącznie z tymi, które szczerze nas wielbią. My się nimi rozkoszujemy, one nas tyranizują; my nimi pogardzamy, one się mszczą i działają bezwzględnie na naszą szkodę. Wynika stąd, że ze wszystkich ludzkich namiętności miłość jest najbardziej niebezpieczna i że z największą troską powinniśmy się przed nią chronić.

Czy trzeba powoływać się na coś więcej niż na właściwe miłości zaślepienie, by dostrzec całe jej szaleństwo? Czy nie wystarczy powołać się na owo fatalne złudzenie, które przydaje tyle uroku adorowanemu obiektowi? Nie ma wówczas wady, która nie stałaby się cnotą, ułomności, która nie byłaby pięknem, niezręczności, która nie uchodziłaby za przejaw wdzięku. Ach! Kiedy mija upojenie, czyż mężczyzna, który bez złudzeń dostrzeże wreszcie niegodny przedmiot swego uwielbienia, nie powinien przynajmniej, rumieniąc się z powodu swego godnego ubolewania błędu, powziąć mocnego postanowienia, by w przyszłości nie ulegać już zaślepieniu?

Niestałość i libertynizm, oto, bracia moi, dwie odtrutki na miłość. Obie, przyzwyczajając nas do frymarczenia tymi fałszywymi boginiami, niezauważalnie usuwają

iluzję: nie wielbi się już tego, co widzi się każdego dnia. Przyswoiwszy niestałość i libertynizm, serce uwalnia się niepostrzeżenie od tego subtelного niebezpieczeństwa, które czyni je podatnym na miłosne impresje; ucisza się, twardnieje, i rychło zdrowiejemy. Ach! Po cóż miałbym się zadrećzać okrucieństwami tej istoty, która stawia mi opór, skoro zastanowiwszy się chwilę stwierdzam, że za dwa ludwiki mogę sobie zapewnić posiadanie ciała równie ponętного jak tamto?

Nie zapominajmy, że kobieta, która zechce nas pozyskać, użyje wszystkich swoich wdzięków, aby ukryć przywary, które z pewnością zniechęciłyby nas od razu, gdybyśmy mogli je poznać. Obyśmy detale te dostrzegli mocą wyobraźni, zdołali je wytropić, zdemaskować; a czynność ta, wykonana w chwili narodzin miłości, być może pozwoli ją stłumić. Jest dziewczyną? Z pewnością wydziela jakiś przykry zapach; jeśli nawet nie czuję go teraz, to poczuję później: czy warto więc wpadać w zachwyt przed kloaką? Jest kobietą? Resztki po innym mogą, przy-znaie budzić przez chwilę nasze pożądanie... ale miłość? Cóż tu zresztą wielbić? Przepastną formę dla tuzina dzieci?... Wyobraźcie sobie w połogu t\$ boginią waszego serca. Zobaczycie, jak bezkształtna, mazista i zapowietrzona masa ciała wylania się, z miejsca, w którym zamierzaliście znaleźć szczęście. Rozbierzcie w końcu, niechby nawet w bardziej sprzyjającym czasie, tego idola waszej duszy: czy to te dwa krótkie i ka-błąkowate uda przyprawiają was o zawrót głowy? A może sprawia to ta brudna i cuchnąca otchłań, jaką one osłaniają? Ach! To zapewne ów pomarszczony fartuch, wylewający się fałdami na rzeczono uda, rozpala wasza, wyobraźnię... Albo te dwie rozmiękłe bryły zwieszające się aż do pępka' A może wolicie złożyć hołd odwrotnej stronie medalu? Oto dwa kawałki zwiędłego i pożółkłego mięsa, zwierające się nad zsiniałą dziurą, która niżej łączy się z inną. Och, tak! To z pewnością wyborna strawa dla waszego ducha! I po to, by rozkoszować się tymi wdziękami, zniżacie się do poziomu najgłupszych bydląt!... Mylą się jednak, bynajmniej nie to was pociąga! Upajają was o wiele ponętniejsze walory! Wredny i dwulicowy charakter, notoryczne zakłamanie i szelmstwo, zgryźliwy ton, dźwięk głosu przypominający kocie zawodzenie, albo to kurestwo tudzież pruderia (jako że skrajności te łączą się w każdej kobiecie), oszczerstwo... złośliwość... sprzeczność... niekonsekwencja... Tak tak! Oto powaby, w jakich gustujecie i niewątpliwie warte są one tego, by zawrócić wam **w głowach**!

Jeśli sądźcie, że popadam w przesadę. Jeśli wszystkie te ułomności nie występują w jednej istocie, to jednak ta, którą wielbicie, posiada ich zapewne sporo! Jeśli ich nie dostrzegacie, to dlatego, że je przed wami ukrywa; wszelako one istnieją. Jeśli toaleta czy wykształcenie skrywaj^o'co m°głoby napelnić was odrazą, nie wynika stąd, że wada jest mniej realna. Poszukajcie odpowiednio wcześniej, a znajdziecie ją bez trudu, i jeśli jesteście

mądrzy, nie poświęcajcie waszego szczęścia i spokoju dla rozkoszowania się obiektem, który z pewnością przyprawi was wkrótce o zgrozę.

O, bracia moi! Spójrzcie na ogrom kłopotów, w jakie wpędza mężczyzn ta nieszczęsna namiętność. Okrutne choroby, owoce udręk, jakich nam ona nie szczędzi, utrata majątku, chwil odpoczynku, zdrowia, wyrzeczenie się wszystkich innych przyjemności. Zdołajcie przewidzieć olbrzymie ofiary, jakich ona wymaga, i wykorzystując wszystkie te przykłady, postąpcie jak przezorny sternik omijający z daleka rafę, na którą raz już wpadł kierowany przez niego statek.

Czy życie nie oferuje wam innych przyjemności poza tymi, jakie wzbudza miłość?... Cóż mówię?... Daje wam takie same, lecz pozbawione cierni. Skoro libertynizm zapewnia wam identyczne rozkosze i żąda tylko tego, by oddzielić je od tej oziębłej metafizyki, która nie dodaje niczego do przyjemności, radujcie się, nie nakładając sobie więzów, wszystkimi obiektami oferowanymi waszym zmysłem. Czy trzeba kochać kobietę, by móc się nią posłużyć? Wydaje mi się, że wszyscy tutaj dowodzimy, iż korzysta się z niej o wiele lepiej, gdy się jej nie kocha, albo przynajmniej, iż nie trzeba wcale jej kochać, by użyć jej do wiadomych celów. Czy warto przedłużać te przyjemności oddając się szalonemu i śmiesznemu odurzeniu? Czy po pięciu lub sześciu godzinach nie uzyskaliśmy już od tej kobiety wszystkiego, czego nam trzeba? Jeszcze jedna noc, sto kolejnych nocy mogą jedynie dostarczyć tych samych przyjemności: inne obiekty przysporzą wam zaś nowych. Co takiego?! Podczas gdy oczekują was miliony piękności, wy bylibyście na tyle szaleni, by przywiązywać się do jednej? Czyż nie wyśmialibyście prostactwa biesiadnika, który podczas wytwornej uczytby raczyłby się tylko jednym daniem, gdy więcej niż sto pozostawałoby do jego dyspozycji? To właśnie różnorodność, zmiana warunkują szczęście i nie ma na ziemi takiego obiektu, który nie mógłby wam dostarczyć jakiejś nowej rozkoszy. Jakże można tak daleko posunąć się w dziwactwie, by dać się usidlić istocie, która obiecuje wam tylko jeden jej rodzaj?

To, co powiedziałem o kobietach, bracia, odnieść możecie też do mężczyzn. Nasze wady są równie wielkie jak wady kobiet, i nie zasługują na to, by się nimi szczycić. Wszelkie zniewolenie jest szaleństwem, wszelka więź jest zamachem na fizyczną wolność, jaką cieszymy się na tej planecie. I gdy marnuję czas, przestając z jakimś określonym bytem, wokół mnie więdnie sto tysięcy innych, które w o wiele większym stopniu zasługiwałyby na mój hołd.

Czyż kochanka może zresztą usatysfakcjonować mężczyznę? Czy stając się niewolnikiem kaprysów i pożądań swej bogini, dążąc tylko do jej zadowolenia, będzie on

mógł zająć się własnymi rozkoszami? Akt rozkoszy zakłada przewagę jednego z uczestników: ktoś, kto obdarza lub podlega, zostaje nieuchronnie wyłączony z przyjemności. Daleko nam do uznania tej niedorzecznej subtelności uczuć, która każe znajdować urok nawet w składaniu siebie w ofierze... Czyż przyjemności czysto intelektualne mogą się równać z przyjemnościami zmysłów? Z miłością do kobiet jest tak samo, jak z miłością do Boga: w jednym i w drugim przypadku żywimy się iluzjami. W pierwszym pragniemy kochać tylko ducha, abstrahując od ciała; w drugim przydajemy ciało duchowi; w obu wielbimy jedynie urojenia.

Używajmy! Takie jest prawo natury. A ponieważ jest absolutnie niemożliwe kochać długo obiekt, jakim się rozkoszujemy, podzielmy los wszystkich bytów, wobec których niesłusznie się wywyższamy i które podporządkowujemy sobie raczej za pomocą siły niż rozumu. Czy pies albo gołąb przejmie się swą towarzyszką, gdy używa jej dla własnej rozkoszy? Jeśli miłość na chwilę ogarnia go swym płomieniem, to jest ona jedynie potrzebą, i gdy potrzeba ta zostaje zaspokojona, pojawia się obojętność lub odraza, aż do momentu przyływu nowego pożądanego. Jego obiektem nie będzie już jednak ta sama samica: wszystkie, które się nawiną, staną się kolejno przedmiotem pragnień niestałego samca; a jeśli sprowokuje ona utarczkę, wczorajsza faworyta poświęcona zostanie tak samo, jak dzisiejszy rywal. Ach! Nie oddalajmy się od tych wzorów, bliższych naturze niż my sami! O wiele lepiej odpowiadają one jej prawom; a jeśli wyposażono nas w większą liczbę zmysłów niż zwierzęta, to jedynie po to, byśmy bardziej wyrafinowanymi czynić mogli własne rozkosze. Skoro samica ludzka różni się od zwierząt jedynie tym, że posiada obce im wady, dlaczegóż pragniemy w niej adorować tę właśnie część, która w poniżający sposób odróżnia ją od bydłęcia? Kochajmy ciało, jak czyni zwierzę; nie rozbudzajmy wszak uczucia wobec tego, co w naszym przekonaniu różni się od ciała, ponieważ właśnie ciało równoważy całą resztę, która może uczucie to wygasić. Dobrze sobie! Charakter kobiety, jej tępy umysł, perfidna dusza miałyby nieustannie studzić mą ochotę zabawiania się jej ciałem? I śmiałybym orzec, w metafizycznym ogłupieniu, że to bynajmniej nie ciała pragnę, lecz serca, czyli, ściśle mówiąc, czegoś, co mogłoby mnie tylko oddalać od jej ciała?! Ekstrawagancję tę trudno z czymkolwiek porównać. A zresztą, skoro piękno jest jedynie sprawą konwencji, miłość może być już tylko uczuciem arbitralnym, odkąd te cechy piękna, każące zrodzić się miłości, nie są już jednolite.

Stając się już tylko upodobaniem organów, miłość może być jedynie fizycznym ruchem, który z czułością nie będzie mieć nic wspólnego. Jako że od tego momentu jest jasne, iż kocham jakąś blondynkę, ponieważ ma ona w sobie coś, co rozbudza moje zmysły; ty zaś...

jakąś brunetkę - z tych samych powodów. I jeśli w ich przypadku materialny organ identyfikuje się z tym, co w nas najbardziej materialne, jakże uzgodnisz tkliwość i bezinteresowność z tym wyjątkowym organem, najniezbędniejszym i najbardziej użytecznym? Wszystko, co wywodzi się z metafizyki, będzie już tutaj jedynie złudzeniem, bardziej owocem waszej pychy niż natury, i najmniejsza weryfikacja sprawi, że ulotni się ono jak tchnienie. Czy nie uznalibyście za szaleńca człowieka, który utrzymywałby stanowczo, że w goździku lubi tylko zapach, kwiat jest mu zaś obojętny? Trudno sobie wyobrazić, jakie popełniamy błędy, dając się porwać zwodniczym blaskom metafizyki.

Ależ - zaprotestuje ktoś może - ów kult istniał zawsze: Grecy i Rzymianie uczynili boginiami Miłość i jej matkę. Odpowiem na to, że ów kult rządził się u nich takimi samymi zasadami, jak u nas. Również u Greków i u Rzymian kobiety przepowiadały przyszłość: stąd, bez wątpienia, zrodził się respekt i kult respektu, jak to już wcześniej wykazałem. Odwołanie do Greków i Rzymian w kwestii przedmiotów kultu nie jest zresztą zbyt fortunate; ludy, które adorowały ekstrementy pod imieniem boga Sterkuliusa, a ścieki pod imieniem bogini Kloacyny, mogły rzeczywiście wielbić i kobiety, zapachem tak często przypominające oba te antyczne bóstwa.

Zachowajmy więc rozsądek i uczynmy z tych śmiesznych idoli to, co Japończycy robią z własnymi, gdy nie otrzymują od nich tego, czego pragną. Adorujmy bądź, jeśli wolicie, udawajmy, że adorujemy-aż do uzyskania upragnionej rzeczy; pogardzajmy nią, gdy już do nas należy. Jeśli nas odrzuca, uraczmy idola setką batów, by nauczyć go, czym ryzykuje, lekceważąc nasze pragnienia; lub też, jeśli uznacie to za bardziej stosowne, naśladowmy Ostiaków, którzy bezlitośnie chłoszczą swe boginie, gdy tylko są z nich niezadowoleni. Zetrzeć należy na proch bóstwo, które do niczego się nie nadaje: zupełnie wystarcza, gdy sprawiamy wrażenie, że w nie wierzymy w chwili, w której mamy nadzieję je osiąść.

Miłość jest fizyczną potrzebą, wystrzegajmy się tego, by kiedykolwiek traktować ją inaczej?12 „Miłość - powiada Wolter -jest materią natury, którą wyobraźnia ozdobiła koronką”. Cel miłości, właściwe jej pragnienia, rozkosze, wszystko jest w niej fizyczne. Odrzućmy na zawsze obiekt, który pretendowałby do czegoś więcej. Nieobecność i zmiana są skutecznymi środkami na miłość: o osobie, której się nie widuje, wkrótce przestaje się myśleć, i nowe rozkosze wchłaniają wspomnienie wcześniej przeżytych; żal po tego rodzaju stratach zostaje wkrótce uśmierzony. Jedynie przyjemności, których nie sposób odzyskać, wzbudzać mogą rozgoryczenie: te zaś, które zastąpić można tak łatwo, te, które odradzają się co chwila... na rogach wszystkich ulic, niewarte są łez.

Ach! Gdyby miłość naprawdę była jakimś dobrem, gdyby rzeczywiście służyła naszemu szczęściu, czy byłoby do pomyślenia, że przez czwartą część życia nie możemy się nią cieszyć? Jakież mężczyzna może sobie pochlebiać, że poruszył serce kobiety przekroczywszy sześćdziesiątkę? Przez piętnaście lat może on wszak jeszcze zażywać rozkoszy, jeśli tylko szczęśliwie wyposażony został przez naturę. Miałby więc wyrzec się szczęścia w ciągu tych piętnastu lat? Wystrzegajmy się przyjęcia podobnego systemu. Jeśli wiek sprawia, że bledną żywe rumieńce, to nie usuwa pożądań, ani środków ich zaspokojenia. A przyjemności, w jakich gustuje starzec, przyjemności, o które coraz bardziej zabiega... które nieustannie doskonalili... oddziela od chłodnej metafizyki, prawdziwego grobu rozkoszy, owe przyjemności, powiadam - czerpane z rozpusty, łajdactwa i libertynizmu - będą tysiąc razy wyborniejsze niż te, jakich przysparzał niegdyś swej kochance: wówczas trudził się tylko dla niej, dzisiaj troszczy się zaś wyłącznie o siebie. Zwróćcie uwagę, jak wszystko się teraz wysubtelnia. Spójrzcie, jak boi się on utracić to, o czym wie, że da się pielęgnować tylko przez chwilę, ile szczegółów składa się na jego lubieżną rozkosz!... Teraz on jest najważniejszy, i jakże zabiega o to, by zajmowano się tylko nim! Nawet pozór rozkoszy u służącego mu obiektu zmaćliby mu jego własną przyjemność: żąda wyłącznie uległości. Płowowłosa Hebe odwraca wzrok, nie mogąc ukryć odrazy: jakież znaczenie ma to dla siedemdziesięcioletniego Filatresa? To nie jej służyć ma ta zabawa, lecz wyłącznie jemu; zgrozę, jaką wywołuje, odwraca on z korzyścią dla własnej rozkoszy; rzeczywiście świetnie potrafi ją wzniecać. Skazany jest na to, by wywierać przymus, musi uciekać się do gróźb, jeśli chce, by w jego cuchnących ustach znalazł się rozkoszny, zdrowy język, jaki poświęcona mu młoda piękność obawia się zbrukać w kontakcie z obrzydliwym ministrem. I oto dopełnia się piękna profanacja, dzięki czemu przyjemność Filatresa staje się podwójna. Czy jako dwudziestolatek doświadczał wszystkich tych przyjemności? Uprzedzano jego chęci, przytłaczano czułościami. Zaledwie miał czas, by ich pragnąć, a uśmierzona rozkosz nie pozwalała mu nigdy dosięgnąć szczytu. Czyż można zaspokoić pożądanie, zanim sieje wzbudzi? Czy więc opór nie jest jądrem pożądania? Gdzież więc pojawiać się ono może pełniej niż w łonie odrazy? Jeśli zatem przyjemność rozpala się tylko za sprawą oporu, i jeśli opór jest rzeczywisty jedynie wtedy, gdy rodzi go wstręt, to czymś wybornym może się stać samo jego wywoływanie, a wszystko, czego oczekuje się wówczas od kobiet, okazuje się bardziej zmysłowe i po stokroć bardziej atrakcyjne niż miłość... . miłość... najbardziej absurdalne ze wszystkich szaleństw, którego śmieszność i wszelkie niebezpieczeństwa dostatecznie wam, jak sądzę, wykazałem”.

Łatwo się domyślić, że rozprawa ta nie została z zachwytem przyjęta przez kobiety;

wszelako Belmor, który nie bardziej zabiegał o ich uznanie niż o uczucia, był wystarczająco pocieszony męską aklamacją dobiegającą ze wszystkich części sali. Przekazawszy na powrót prezydenturę swemu poprzednikowi, zstąpił z katedry, by podjąć wizytację serajów i zweryfikować tam swój autorytet. Noirceuil, Clairwil i ja dołączyliśmy doń i przeszliśmy do haremów. Sześćdziesięcioletni mężczyzna zatrzymał Belmora, gdy ten zamierzał wraz z nami opuścić salę, i by wyrazić mu wdzięczność za wygłoszony przed chwilą wykład, zaklinał go, aby użyczył mu swej dupy. Belmor, nie mogąc odmówić, przyjął stosowną pozę. Sześćdziesięciolatek przystąpił do dzieła i zwrócił nam Belmora dopiero wówczas, gdy spuścił mu się w tyłek.

- Oto wyrazy uznania, jakich nie oczekiwałem - rzekł hrabia.

- Zawdzięczasz je swej elokwencji - odparł Noirceuil.

- Będąc zwolennikiem fizyczności, o czym przed chwilą was przekonałem, wolałbym raczej zawdzięczać je mej dupie niż umysłowi.

Ubawieni tym dowcipem weszliśmy do haremu.

Prezydent rozkazał, by wszystko mu pokazano i podczas tego obchodu nikt oprócz nas, którym pozwolił się eskortować, nie mógł pojawić się w seraju. Domyślcie się, że obdarzony temperamentem, jaki przed chwilą objawił, znalazł on imponującą liczbę winowajców. Postępowało za nim czterech katów, dwóch oprawców, sześciu flagellatorów i czterech strażników. Najpierw odwiedzano seraj żeński. Na baty skazano trzydzieści dziewcząt w wieku od pięciu do dziesięciu lat, osiemnaście w wieku od dziesięciu do piętnastu, czterdzieści sześć w wieku od piętnastu do osiemnastu, sześćdziesiąt pięć w wieku od osiemnastu do dwudziestu jeden. Troje dzieci w wieku od sześciu do dziesięciu lat skazano na oćwiczenie do krwi; troje z tej samej grupy wiekowej otrzymało wyroki śmierci. W grupie od dziesięciu do piętnastu lat sześć dziewcząt skazano na pierwszą z tych kar, a cztery na drugą; w grupie od piętnastu do osiemnastu - sześć do oćwiczenia i osiem z wyrokami śmierci; w ostatniej - jedynie cztery z karą śmierci i pięć do oćwiczenia. Egzekucji nie przeprowadzono od razu. Skazane istoty przeszły do oddzielnych pokojów i jako pierwsze zostały oddane libertynom do dyspozycji. Cztery kobiece obiekty skazane zostały na karcer. Ponieważ poddano je flagellacji, wszystkie wystawione były na nasz widok. Przyprawiono nagą ofiarę prezydentowi; przez chwilę badał ją i obmacywał według uznania; następnie zawładnął nią jeden z flagellatorów; rzucił ją energicznie na kolana i gdy znalazła się w pozycji uniemożliwiającej jakikolwiek ruch, drugi flagellator, uzbrojony w różgi lub dyscyplinę, stosownie do życzenia prezydenta, serwował wskazaną przez tegoż liczbę razów. Belmor uczynił nam zaszczyt ustalania również tej liczby i łatwo się domyślcie, że nie

okazaliśmy się mniej od niego bezwzględni. Sześć z tych młodych dziewcząt otrzymało tak wielką ilość razów, że zmuszeni byliśmy je odtransportować na wpół martwe. Spleceni w uściskach brandzłowaliśmy się gorliwie podczas tych lubieżnych zabiegów i sperma lała się obficie.

Przeszliśmy do chłopców. Clairwil podbechtała Belmora, by nie był już dłużej litościwy. I ten, którego upodobanie polegało, jak powiedziałam, na masakrowaniu małych chłopców, nie potrzebował silniejszego stymulatora, by okazać swąsrogość. Czterdzieści dwoje dzieci w wieku od siedmiu do dwunastu lat otrzymało bezlitośnie wymierzone baty; było w tej grupie sześć wyroków śmierci i dziesięć wyroków oćwiczenia do krwi. Nie oszczędzono sześćdziesięciu czterech chłopców w wieku od dwunastu do osiemnastu lat; były tutaj trzy wyroki śmierci i osiem wyroków oćwiczenia. W ostatniej grupie, złożonej z chłopców w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, było pięćdziesiąt sześć wysmaganych dup, dwa orzeczenia śmierci i trzy oćwiczenia; sześciu skazano na karcer. Wśród wysmaganych znalazły się również dwie ma-trony, ukarane za naruszenie dyscypliny, i to Belmor obrobił je własną ręką, aż do zdarcia pierwszej skóry z ich tyłków.

Podczas wszystkich tych operacji nie przestawałam go brandzłować. Podniecał się wyjątkowo mocno; muszę jednak pochylić się z uznaniem nad siłą jego charakteru i przyznać, że nie spuścił się ani razu i nawet przez chwilę nie okazał litości.

- A zatem - rzekł doń Noirceuil - zajmijmy się teraz przyjemnościami. Zademonstruj nam swą namiętność, obiecałeś wszak to uczynić.

- Zgoda - odparł hrabia. - Jestem jednak wściekle rozpalony, jej skutki będą więc okropne.

- Wspaniale! Tym bardziej nas ona ucieszy.

Wówczas prezydent przyjrzał się wszystkim małym chłopcom. Wybrał spośród nich dziesięciu siedmiolatków. Potrzebował takiej samej liczby pięknych i dorodnych dziewcząt, ponieważ jednak sama pragnęłam zająć miejsce jednej z nich, ograniczył się w końcu do dziewięciu. Miały od osiemnastu do dwudziestu jeden lat. Zauważyłam coś szczególnego: dziewiątkę tę wyselekcjonowano z grupy, którą niegodziwy hrabia skazał niedawno na śmierć lub bezlitosne oćwiczenie. Zadaniem dziesięciu innych chłopców, wybranych podług kryterium wspaniałego członka, było pieprzyć hrabiego w trakcie jego działań. Oto w jaki sposób je rozpoczął.

Przywiązano najpierw dziecko do ramion jednej z dziewcząt. Przyglądałam się operacji, zanim sama wzięłam w niej udział. Dziecko było tak ściśle przytroczone, że wydawało się, iż dwa ciała tworzą jedno. Dziewczyna, z bagażem na plecach, oparła się na



sofie, cudownie eksponując pośladki. Hrabia badał, gitył, energicznie szczypał dupę dziecka i z równym wigorem okładał klapsami pośladki dziewczyny. Inna dziewczyna, wybrana spośród trzech dwunastolatek, wyciągnęła się na podłodze między nogami tej, która miała dziecko na plecach, a Belmor, przyklękawszy na poduszce, również między nogami dziewczyny z pakunkiem, pieprzył w usta tę znajdującą się poniżej. Równocześnie jebano go w dupę, Clairwil zaś szlifowała odbyt jebaki. Głowa hrabiego znajdowała się na wysokości pośladków dziewczyny wspartej o sofę. Dwu katów zawładnęło wówczas ciałem przywiązanego dziecka i, zadawszy mu wiele ran, sprawili, że krew ściekać zaczęła między pośladki, na wprost których znajdowała się głowa hrabiego.

- Jazda, sraj! - zawołał do dziewczyny, gdy spostrzegł pierwszą strugę krwi. - Sraj, kurwo, nasraj mi w usta!

Posłuchała i rozpustnik, przykleiwszy wargi do otworu, otrzymał w ten sposób jednocześnie i krew wylewającą się z ciała dziecka, i gówno wydobywające się z dupy dziewczyny. Nie życzył sobie żadnej zmiany, dopóki przywiązana ofiara nie wykrwawiła się do końca. Gdy dziecko wydało już ostatnie tchnienie, dziewczyna, która dzierżyła je na plecach, podnosiła się i nie pozbywając się ciężaru stawała obok w taki sposób, by tworzyć właściwe tło dla kontynuującego zabiegu hrabiego. Jako jedyną zwolniono mnie z tego asystowania. Byłam trzecia z kolei i dziecko zdjęto ze mnie, gdy tylko się podniosłam. Cała dziesiątka została w ten sposób zmasakrowana, podczas gdy dziewięć dziewcząt srało, a trzy obciążające zajmowały się hrabią na zmianę. Belmor spuszczał się za każdym razem i, nie czyniąc przerw, kontynuował swą operację. Clairwil była wyczerpana: zaordynowała jebakom hrabiego przynajmniej dziesięć tysięcy pchnięć. Jeśli chodzi o Noirceuila, przyglądał się wszystkiemu ze stosowną dozą zimnej krwi, usytuowany między dwiema urodzonymi szesnastolatkami, które kolejno brandzlowały go i ssały, podczas gdy on molestował ich tyłki.

- Cóż za urocza namiętność - rzekł do Belmora, gdy ten spuścił się po raz ostatni. - Za pozwoleniem, hrabio, chciałbym ci wszelako pokazać, iż można, jak mniemam, nadać tej samej fantazji nieco inny charakter. Przyprowadźcie mi dziesięć pięcio-sześćioletnich dziewcząt i dziesięciu szesnasto-osiemnastoletnich chłopców. Wydaje mi się, że jebaki hrabiego wciąż jeszcze są podnieceni: posłużę się dwoma. Oto, jak zabiorę się do zabawy.

Kazał stanąć prosto jednemu z szesnasto-osiemnastolatków i do jego piersi przytroczył dziewczynkę w taki sposób, że pizdą wdzierala się chłopcu w usta; więzy były tak zaciśnięte, że ten niemal się dusił.

- Widzicie - odezwał się Noirceuil - że w mojej operacji cierpią i tragarze, i ładunek, nie było zaś tak w operacji hrabiego, w której bagażowa nie doznawała żadnego bólu. A

wydaje mi się, że tego rodzaju przedsięwzięcia doskonala się tylko w miarę pomnażania cierpień.

Noirceuil przyklęknął przed tragarzem i ssał mu kutasa. Kaci zabrali się do oprawiania dziecka. Obciążaczki ssały kolejno członek Noirceuila i doprowadziły go do wytrysku. Krew ofiary spłynęła wkrótce na członek obciążany przez Noirceuila, który nasycił się w ten sposób jednocześnie i sperma, i krwią. Złożono daninę z ciała i owa barbarzyńska fantazja pochłonęła, jak się domyślacie, życie dwadzieściorga dzieci.

- Wolę ten sposób działania i gdyby nie było tak późno, natychmiast podjąłbym go na nowo.

Belmor, daleki od sprzeciwiania się opinii Noirceuila, wydawał się z nią zgadzać.

- Tym jednak, co sprawia, że nie zmienię mych upodobań, jest fakt, że Noirceuil poświęca dziewczęta, ja zaś nie mogę się wyrzec złego nawyku składania w ofierze jedynie chłopców.

- Ach! Oto, co sprawia, że pozostanę na zawsze pana stronniczką -wykrzyknęła Clairwił. - Nie ma nic wyborniejszego na świecie niż wybierać ofiary spośród męskiej populacji. Czymże jest tryumf siły nad słabością? Czymś zwyczajnym. Czy można się więc nim bawić? Jakże zaś pochlebne, jakże słodkie są zwycięstwa, jakie niższość odnosi nad wyższością!

Z kolei zwracając się do dwu przyjaciół, z wigorem, który czynił ją tak piękną, zawołała:

- Srodzy mężczyźni! Do woli znęcać się możecie nad kobietami... Jestem zadowolona, gdy pomścić mogę dziesięć ofiar mojej płci choćby jedną reprezentującą waszą.

Po tym oświadczeniu rozstaliśmy się. Noirceuil i Belmor przeszli do haremu dziewcząt, gdzie, jak się dowiedziałyśmy, uśmiercili jeszcze, stosując rozmaite metody, tuzin istot w różnym wieku. Clairwił i ja pozostałyśmy w seraju chłopców, gdzie kazałyśmy się wypieprzyć z sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt razy i skąd wyszłyśmy dokonawszy paru drobnych niegodziwości, których sami możecie się domyślić, uwalniając mnie od konieczności zdawania z nich sprawy.

Kilka dni po ekscesach, jakim oddawaliśmy się w Stowarzyszeniu wespół z hrabią Belmorem i jego przyjacielem, ów przemiły prezydent naszego zgromadzenia odwiedził mnie i przekonywał, iż Clairwił nie zwodziła mnie, zapewniając, że on bardzo pragnie się ze mną związać. Niewiarygodnie bogaty, hrabia zaproponował mi pięćdziesiąt tysięcy franków miesięcznie w zamian za dwie kolacje w tygodniu. Mogłam na to przystać, ponieważ Saint-Fond bynajmniej mnie nie krępował. Odpowiedziałam hrabiemu, że chętnie bym się z nim

związała, lecz pięćdziesiąt tysięcy franków, jakie mi oferował, nie wystarczyłoby nawet na pokrycie kosztów kolacji. Hrabia zrozumiał i podwoił kwotę, zobowiązując się pokryć wszystkie dodatkowe wydatki. Były one o tyle większe, że libertyn domagał się regularnie, przy każdej kolacji, trzech nowych okazałych kobiet, na których ciałach uśmiercałby, bądź kazał uśmiercić, trzech małych chłopców. Po dokonaniu tych zbrodni mielibyśmy ze sobą sypiać, niekiedy zaś brandzlować się jeszcze ze dwie lub trzy godziny, po upływie których on wracałby do siebie. Tak brzmiały jego warunki, które zaakceptowałam.

Nie wyłączając Noirceuila i Saint-Fonda, niewielu było mężczyzn równie zepsutych jak Belmor. Był taki z zasady... temperamentu... upodobania, a jego perfidna wyobraźnia podsuwała mu często pomysły, które przekraczały wszystko, co byłam w stanie pojąć... i o czym dotąd słyszałam.

- Owa wyobraźnia, którą we mnie chwalisz, Julietto - rzekł do mnie pewnego dnia - jest właśnie tym, co urzekło mnie w tobie; trudno byłoby znaleźć bardziej rozpustną... bogatszą... bardziej otwartą. I musiałś zauważyć, że najśłodszyimi rozkoszami, jakich mi dostarczasz, są te, podczas których, rozpalając nasze głowy, wymyślamy rzeczy tak lubieżne, że ich realizacja nie jest, niestety, możliwa. O, Julietto, jakże wyborne są rozkosze wyobraźni i jakąż radość sprawia nam przemierzanie wszystkich dróg, na jakie wprowadza nas jej błyskotliwy rozwój! Wiedz, aniele, że nie posiadamy idei tego, co wymyślamy, co imaginujemy sobie w tych boskich chwilach, kiedy nasze dusze utożsamiają się już całkowicie z nieczystą lubieżnością. Jakimi przyjemnościami możemy się cieszyć brandzlując się wzajemnie, gdy wokół unoszą się tylko fantomy! W jakim pieścimy je uniesieniu!... Jakże je pielęgnujemy! ... Jakże je wzmagamy tysiącem obscenicznych epizodów! W tych upojnych chwilach należy do nas cała ziemia. Żadna istota nie stawia nam oporu. Naszym zmysłem wszystko sprawia przyjemność, na miarę tej, jaką podsuwa rozpalona wyobraźnia. Pustoszymy świat... zaludniamy go nowymi obiektami, które znów wydajemy śmierci. Dysponujemy środkami pozwalającymi popełnić wszystkie zbrodnie, wszystkie je popełniamy, stokrotnie pomnażamy potworność, a nasze pragnienia z powodzeniem konkurować mogą, gdy chodzi o najbardziej szkodliwe skutki, z zamysłami najbardziej niegodziwych i potępieńczych umysłów...; „Szczęśliwi, po stokroć szczęśliwi - powiada La Mettrie - ci, u których żywa i lubieżna wyobraźnia daje wciąż zmysłom przedsmak przyjemności!...”. Doprawdy, Julietto, nie wiem, czy rzeczywistość warta jest urojeń i czy rozkosze tego, czego w ogóle nie ma, nie są warte sto razy więcej niż rozkosze tego, co posiadamy. Oto twoje pośladki, Julietto, mam je przed oczami, uważam, że są piękne, lecz moja wyobraźnia, zawsze bardziej błyskotliwa niż natura, i bardziej kunsztowna, tworzy, ośmielę się to

powiedzieć, pośladki o wiele piękniejsze. I czy przyjemność, jaką sprawia to złudzenie, nie jest warta więcej niż przyjemność, jaką daje prawda? To, co mi oferujesz, jest tylko piękne, to, co wymyślam, jest zaś wzniosłe. Będę z tobą robił tylko to, co robić mogą wszyscy, wydaje mi się zaś, że z tamtą dupą, dziełem mej wyobraźni, robiłbym rzeczy, jakich nie wymyśliliby bogowie.

Nic dziwnego, że rozumując w ten sposób, hrabia nie stronił od wybryków. Bez wątpienia niewielu mężczyzn zaszło tak daleko jak on i niewielu było zarazem tak ujmujących. Zamierzam wszak jeszcze tyle wam opowiedzieć, że nie mogę zatrzymywać się nad okropnościami, jakie wspólnie popełniliśmy. Niech wam wystarczy, gdy powiem, iż były one na miarę jego szczytowych osiągnięć i że to, co moglibyście o nich sądzić, byłoby zawsze skromniejsze niż rzeczywistość.

Minęło około czterech miesięcy, odkąd ojciec mój miał zaszczyt się ze mną przespać. Spotkaliśmy się w krytycznym dla mnie momencie i obawiałam się zająć w ciążę. Ta ponura obawa rychło okazała się prorocza; nie mogłam się już dłużej łudzić. Szybko podjęłam decyzję. Powiadomiłam o niej znanego akuszerza, który, pozbawiony wszelkich w tym względzie skrupułów, wprowadził zręcznie do mej macicy długą igłę, dotarł nią do embrionu i przekłuł go: dwie godziny później wydałam go, nie odczuwając najmniejszego bólu. Środek ten, pewniejszy i lepszy niż jałowiec, jako że nie szkodzi na żołądek, polecam wszystkim kobietom mającym, podobnie jak ja, dość odwagi, by przedłożyć figurę i zdrowie nad jakieś uporządkowane atomy spermy, które, osiągnąwszy dojrzałość, przywodzą częstokroć do rozpaczy istoty pielęgnujące je w swym łonie.

## OLBRZYM MIŃSKI

Należy się obawiać, czy pewnego dnia wszystkie wulkany otaczające Florencję nie wyrządzą w niej jakichś szkód: wstrząsy, jakie obserwuje się w tym regionie, szeroko uzasadniają te obawy. W tym miejscu przyszło mi do głowy kilka myśli opartych na porównaniu: czy nie jest bardzo prawdopodobne, powiedziałam sobie, że pożoga niszcząca miasta Sodoma, Gomora itp., z której robi się cud, by przerazić nas narodowym występkiem tych miast, czy nie jest prawdopodobne, powiedziałam, że ta pożoga nastąpiła tylko dlatego, że te miasta były położone na ziemi podobnej do tej: okolice jeziora Asfaltowego, gdzie były usytuowane, to uśpione wulkany, a to ziemia podobna do tej: dlaczego więc upierać się przy czymś nadnaturalnym, gdy to, co nas otacza, może zostać wytworzone tak zwyczajnymi środkami! Przyszły mi do głowy jeszcze inne myśli, zrodzone pod wpływem klimatu. Gdy dostrzegłam, że tak w Sodomie, jak i we Florencji, tak w Gomorze, jak i w Neapolu, tak w okolicach Etny, jak i Wezuwiusza, ludzie cenią i wielbią tylko szelmostwo, łatwo doszłam do przekonania, że nieprawidłowość kaprysów człowieka podobna jest do nieprawidłowości kaprysów natury, i że wszędzie, gdzie ona się deprawuje, deprawuje także swe dzieci: wówczas poczułam się jakby przeniesiona do tych szczęśliwych miast Arabii. Tam, gdzie znajdowała się Sodoma, powiedziałam sobie, oddajmy hołd obyczajom jej mieszkańców, i pochylając się nad brzegiem wulkanu, zaprezentowałam pośladki Sbriganiemu, gdy tymczasem na mych oczach Augustyna naśladowała mnie z Zefirem; potem zamieniliśmy się: Sbrigani zagłębił się w pięknym tyłku mojej subretki, a ja stałam się ofiarą mego służącego; w tym czasie Augustyna i ja, stojąc naprzeciw siebie, pieściłyśmy się.

- Oto niewątpliwie urocze zajęcie - usłyszeliśmy nagle przerażający głos, który, jak się wydawało, dobiegał z zarośli - nie przeszkadzajcie sobie, chcą raczej dzielić z wami rozkosze niż je zakłócać - ciągnął ów centaur, zbliżając się do nas i ukazując gigantyczną postać, jakiej jeszcze w życiu nie widzieliśmy. Osoba, która do nas mówiła, wysoka na siedem stóp i trzy cale, mająca ogromne podkręcane wąsy i twarz równie brązową jak przerażającą, przypominała nam naszą rozmowę o księciu ciemności.

Zdziwiony sposobem, w jaki mu się przyglądaliśmy, wykrzyknął:

- Jak to, nie znacie eremity z Apeninów!...

- Z całą pewnością, nie - odparł Sbrigani - nigdy nie słyszeliśmy o zwierzęciu równie przerażającym jak ty!

- Cóż! - powiedział eremita - chodźcie wszyscy czworo, pokaże wam rzeczy jeszcze

bardziej zadziwiająca; zajęcie, przy jakim was zaskoczyłem, przekonuje mnie, że jesteście godni obejrzeć to, co mam wam do pokazania, i wszystko dzielić ze mną.

- Olbrzymie - powiedział Sbrigani - uwielbiamy rzeczy nadzwyczajne i zapewne nie ma niczego, czego byśmy nie učinili, by je zobaczyć; czy jednak ogromna siła, jaką, jak mi się wydaje, posiadasz, nie zaszkodzi naszej wolności?

- Nie, ponieważ uważam was za godnych mego towarzystwa - powiedziała ta osobliwa postać - w przeciwnym razie zapewne by zaszkodziła; uspokójcie się więc i chodźcie za mną.

Zdecydowani na wszystko, by poznać ciąg dalszy tej przygody, uprzedziliśmy naszych ludzi, by oczekiwali na nasz powrót w oberży; powziąwszy te środki ostrożności, wyruszyliśmy pod przewodnictwem naszego olbrzyma.

- Nie obawiajcie się i oszczędzajcie siły - powiedział nasz przewodnik - mamy kawałek drogi, ale zostało nam jeszcze siedem godzin dnia i dotrzemy na miejsce, zanim zasłona nocy rozpostrze się nad światem.

Potem zapadło całkowite milczenie i miałam czas na przyjrzenie się drodze oraz okolicom, ku jakim nas prowadziła.

Opuszczając wulkaniczną równinę Pietra-Mala, przez godzinę wspinaliśmy się na wysoką górę usytuowaną po prawej stronie: z jej szczytu widzieliśmy głębokie na dwieście sążni przepaście, ku którym skierowaliśmy kroki. Cała ta część otoczona była lasem tak bujnym, tak wspaniale gęstym, że zaledwie było widać, dokąd się kierować; po zejściu ze szczytu, po blisko trzech godzinach dotarliśmy do brzegu obszernego jeziora; na wyspie usytuowanej na jego środku widać było donżon pałacu służącego naszemu przewodnikowi za schronienie; wysokości otaczających go murów nie można było dostrzec, widać było jedynie dach; szliśmy już sześć godzin, nie natrafiwszy na żadne domostwo. ..., nie pokazał się nam też żaden człowiek. Na brzegu jeziora czekała na nas czarna barka, niczym gondola w Wenecji; to z niej mogliśmy oglądać straszny zbiornik, na jakim się znajdowaliśmy: ze wszystkich stron był on otoczony górami, ciągnącymi się jak okiem sięgnąć, których szczyty i jałowe zbocza pokryte były sosnami, modrzewiami i zielonymi dębami: trudno zobaczyć coś równie dzikiego i równie mrocznego; można by uznać, że jest się na końcu świata: wsiedliśmy do barki, olbrzym sam nią kierował. Do bramy zamku było jeszcze trzysta sążni, pieszo dotarliśmy do żelaznych drzwi, umieszczonych w szerokim murze otaczającym zamek; tam ukazała się nam fosa szerokości dziesięciu stóp; przebyliśmy ją, idąc mostem, który został podniesiony, gdy tylko go przeszliśmy; wówczas ukazał się nam drugi mur; znów przekroczyliśmy żelazne drzwi i znaleźliśmy się przy tak gęsto zasadzonych krzewach, że pójście dalej wydawało się niemożliwe, i rzeczywiście tak było, gdyż owo podmurowanie,

utworzone z żywopłotu, ukazywało tylko szczyty i nie dawało żadnego przejścia: w jego wnętrzu znajdowało się ostatnie obwałowanie zamku, miało ono dziesięć stóp szerokości. Olbrzym unosi ogromnych rozmiarów kamień, który tylko on mógł udźwignąć; ukazują się kręte schody; kamień się zamyka i właśnie przez wnętrzości ziemi docieramy (wciąż w ciemnościach) do centrum piwnic tego domu, do którego wchodzi się przez otwór zawałony podobnym kamieniem. W końcu znajdujemy się w niskiej sali wyłożonej szkieletami; siedziska w tym pomieszczeniu zbudowane były z kości zmarłych, a siadało się na czaszkach, spod ziemi zaś, jak się wydawało, dochodziły straszliwe krzyki; wkrótce dowiedzieliśmy się, że w sklepieniu tej sali znajdowały się cele, w których jęczały ofiary tego potwora.

- Mam was - powiedział on, gdy usiedliśmy - jesteście w mojej mocy, mogę z wami zrobić wszystko, co mi się spodoba: nie obawiajcie się jednak; poczynania, jakim, jak widziałem, się oddawaliście, zbyt odpowiadają memu sposobowi myślenia, bym nie uważał was za godnych poznania i dzielenia ze mną przyjemności mego miejsca odosobnienia. Posłuchajcie, przed kolacją mam czas, by powiedzieć wam coś o sobie; przygotują ją, gdy będę opowiadał.

Jestem moskwianinem, urodzonym w małym miasteczku, które leży nad brzegiem Wołgi. Nazywają mnie Miński; mój zmarły ojciec pozostawił mi ogromne bogactwa, a natura dostosowała do tego zdolności fizyczne i upodobania, którym sprzyjała fortuna. Nie czując się stworzony do tego, by żyć na głuchej prowincji, na jakiej przyszedłem na świat, podróżowałem; cały świat nie wydał mi się dość obszerny w stosunku do moich pragnień; ukazywał ograniczenia, a ja tego nie chciałem. Jako urodzony libertyn, bezbożnik, krwiożerczy i dziki rozpustnik, przemierzałem świat po to, by poznać występki, a popełniałem je po to, by je wysubtelnić. Zacząłem od Chin, Mongolii i kraju Tatarów; odwiedziłem całą Azję; udając się w stronę Kamczatki, dotarłem do Ameryki przez słynną cieśninę Beringa. Przebyłem całą tę obszerną część świata, odwiedzając kolejno ludy cywilizowane oraz dzikie i naśladując zawsze tylko zbrodnie jednych oraz występki i okrucieństwa drugich. Przyniosłem do waszej Europy skłonności tak niebezpieczne, że zostałem skazany na stos w Hiszpanii, na łamanie kołem we Francji, na powieszenie w Anglii i na zatłuczenie we Włoszech; uchroniło mnie przed tym bogactwo. Udałem się do Afryki, i właśnie tam przekonałem się, że to, co w swym szaleństwie nazywacie deprawacją, zawsze jest tylko stanem naturalnym człowieka, a jeszcze częściej rezultatem ziemi, na jaką natura go rzuciła. Te odważne dzieci słońca naśmiewały się ze mnie, gdy chciałem im czynić zarzut z barbarzyńskiego sposobu, w jaki używali swych kobiet: „A czymże jest kobieta - odpowiadali mi - jeśli nie domowym zwierzęciem, jakie dała nam natura, by zaspokoić zarazem i nasze

potrzeby, i nasze przyjemności. Jakież mają one prawa, by zasłużyć się nam bardziej niż bydło z naszych zagród. Jedyna różnica, jaką dostrzegamy - mawiały te rozsądne ludy - polega na tym, że nasze zwierzęta gospodarskie mogą zasługiwać na pobłażliwość dzięki swej łagodności i uległości, natomiast kobiety, ze względu na ich stałą skłonność do oszustwa, niegodziwości, zdrady i perfidii, zasługują tylko na surowość i barbarzyństwo. Rżniemy je skądinąd, a cóż lepszego można uczynić z kobietą, którą się zerżnęło, niż posłużyć się nią jak wołem..., osłem lub ją zabić, by się nią pożywić?" Jednym słowem, właśnie tam oglądałem człowieka występnego z racji temperamentu, okrutnego z powodu instynktu, srogiego z wyrafinowania; taki charakter mi się spodobał, uznałem go za bardziej zbliżony do natury i przedłożyłem go nad zwykłą grubiańskość Amerykanina..., nad europejskie szelmstwo, nad lekki cynizm Azjaty. Zabijałem ludzi na polowaniu u tych pierwszych, piłem i kłamałem wraz z drugimi, często jebałem z trzecimi, z Afrykanami zaś jadałem ludzi. Zachowałem to upodobanie; wszystkie szczątki, jakie tu widzicie, są resztkami stworzeń, które pozeram; żywię się tylko ludzkim mięsem; sądzę, że będziecie zadowoleni z uczy, jaką chcę z niego dla was wydać; na kolację zabito piętnastoletniego chłopca, którego wczoraj zerżnąłem, a który musi być wyborny. Po dziesięciu latach podróży powróciłem spłatać figła w ojczyźnie; moja matka i siostra żyły; byłem naturalnym spadkobiercą obu: nie chcąc już wracać do kraju moskiewskiego, za ważne dla mych interesów uznałem połączenie tych dwóch spadków. Zgwałciłem je i tego samego dnia zmasakrowałem; moja matka była jeszcze dość ładna, mojego wzrostu; a chociaż siostra miała tylko sześć stóp wzrostu, było to najpiękniejsze stworzenie, jakie można ujrzeć w obu Rosjach. Pozbierałem wszystko, co mogło do mnie należeć z tych dwóch spadków, a mając blisko dwa miliony rocznie na utrzymanie, ponownie udałem się do Włoch z zamiarem osiedlenia się tam; chciałem jednak znaleźć miejsce szczególne, dzikie, tajemnicze, w którym mógłbym się oddawać wszystkim perfidnym wybrykom mej wyobraźni; a wybryki te, moi drodzy, to nie drobnostki, przekonacie się o tym, mam nadzieję, gdy spędzimy razem kilka dni; nie ma ni jednej liberyńskiej namiętności, która by nie była droga memu sercu, ni jednej zbrodni, która by mnie nie bawiła. Nie popełniłem większej ilości zbrodni wyłącznie z braku okazji; nie wyrzucam sobie, że pominąłem choćby jedną, a stymulowałem wszystkie te, które nie zaszły z dostateczną energią. Gdybym miał dość szczęścia, by podwoić sumę mych zbrodni, pozostałyby mi jeszcze wspanialsze wspomnienia; albowiem wspomnienia zbrodni są tak rozkoszne, że nie mogą być bardziej. Ten początek może ze mnie uczynić w waszych oczach zbrodniarza; to, co zobaczycie w mym domu, potwierdzi, mam nadzieję, tę reputację. Nie wątpię w obszerność tego budynku, jest ogromny, i gromadzi dwustu chłopców w wieku od



pięciu do szesnastu lat, którzy z mego łóżka zazwyczaj przechodzą do rzeźni, i niemal taką samą liczbę młodzieńców przeznaczonych do jebania mnie. Nieskończenie uwielbiam to doznanie; nie ma nic słodsze na świecie, niż mieć żywo piłowaną dupę, gdy sami zabawiamy się tak, jak mamy ochotę. Przyjemności, których, jak widziałem, zażywaliście nad kraterem wulkanu, przekonują mnie, że wy także lubicie ten sposób tracenia spermy, i oto dlatego rozmawiam z wami z taką szczerością; w innym przypadku po prostu uczyniłbym z was swe ofiary.

Mam dwa haremy: pierwszy obejmuje dwieście dziewcząt, w wieku od pięciu do dwudziestu lat; jadam je, gdy wskutek rozpusty poddane zostaną odpowiedniemu skruszeniu; dwieście kobiet, w wieku od dwudziestu do trzydziestu lat, znajduje się w drugim haremie; zobaczycie, jak je traktuję.

Pięćdziesięcioro służby obu płci służy jako obiekty rozpusty; a dla ich rekrutacji mam stu agentów rozproszonych we wszystkich wielkich miastach świata. Czy uwierzycie, że przy ogromnym ruchu, jakiego wszystko to wymaga, na moją wyspę prowadzi tylko jedna droga, ta, którą właśnie przybyliście. Nie ma żadnych wątpliwości co do ilości stworzeń, które kroczą tą tajemną ścieżką. A to nie dlatego, że miałbym się czegokolwiek obawiać; dotyczy to państwa wielkiego księcia Toskanii; znałam wszelkie nieprawidłowości mego postępowania; a pieniądze, jakich im nie skąpię, odsuwają ode mnie wszelkie podejrzenia. Ażebyście jeszcze lepiej mnie poznali, muszę wam teraz przedstawić kilka szczegółów dotyczących mojej osoby; mam czterdzieści pięć lat, moje zdolności lubieżne są takie, że nigdy nie udaję się na spoczynek, nie spuściwszy się dziesięć razy. To prawda, że ogromna ilość ludzkiego mięsa, jakim się żywię, mocno przyczynia się do wzmocnienia i zwiększenia ilości nasienia; ktokolwiek spróbuje tej diety, z pewno-ściąpotroi swe zdolności pożądliwe, niezależnie od siły, zdrowia, świeżości, jakie pożywienie to w nim podtrzyma; nie mówię o jego zaletach, gdyż wystarczy wam wiedzieć, że gdy się go raz spróbowało, nie można już jadać niczego innego, i że nie ma żadnego mięsa, zwierzęcia czy ryby, które mogłoby się z nim równać. Należy tylko przewyciężyć pierwszą odrazę, a pokonawszy hamulce, nie można się nim nasycić; co zaś do, mam nadzieję, wspólnego spuszczenia się, muszę was uprzedzić o przerażających symptomach tego przesilenia u mnie; poprzedzają je

towarzyszą mu okropne wrzaski, a bryzgi spermy, często w liczbie piętnastu lub dwudziestu, sięgają sufitu: wielość przyjemności nigdy mnie nie wyczerpuje; moje wytryski są równie gwałtowne, równie obfite za dziesiątym razem, jak za pierwszym, a nazajutrz nigdy nie odczuwam zmęczenia; co zaś się tyczy członka, z którego to wszystko wypływa, oto on - powiedział Miński, wyciągając sardelę długą na osiemnaście cali na szesnaście obwodu,

zakończoną grzybem, rumianym i obszernym jak spód kapelusza... - Tak, oto on: zawsze jest w takim stanie, w jakim go widzicie, nawet gdy śpię, nawet gdy idę...

- Och! Wielkie nieba - wykrzyknęłam, ujrawszy ten przyrząd... - Mój drogi gospodarzu, zabijasz zatem tyle kobiet i mężczyzn, ile widzisz...

- Niemalże - odparł Moskwianin - a ponieważ jem to, co pierdołę, pozwala mi to uniknąć kłopotu bycia rzeźnikiem. Trzeba wiele filozofii, by mnie zrozumieć..., wiem: jestem potworem, wyplutym przez naturę, bym współdziałał z nią w zniszczeniu, jakiego wymaga..., jestem istotą jedyną w swoim rodzaju..., jedyną... Och! Tak, znam wszystkie inwektywy, jakimi się mnie obrzuca; będąc jednak na tyle silny, by nie potrzebować nikogo..., na tyle mądry, by znajdować upodobanie w samotności, by gardzić wszystkimi ludźmi, by lekceważyć ich opinię i drwić z ich uczuć do mnie, dość wykształcony, by zetrzeć w proch wszelkie kultury, by szydzić ze wszystkich religii i mieć gdzieś wszystkich bogów, dość dumny, by nienawidzić wszelkich rządów, być ponad wszelkimi więzami, wszelkimi hamulcami, wszelkimi zasadami moralnymi, jestem szczęśliwy na moim małym terytorium; sprawuję tu wszystkie prawa suwerena, kosztuję wszelkich przyjemności despotyzmu, nie obawiam się nikogo i żyję zadowolony; niewielu składa mi wizyty, niemal nikt, chyba że podczas spacerów spotykam istoty, które, jak wy, w dostatecznym stopniu wydają mi się filozofami, by zabawić u mnie kilka dni; to jedyni, których zapraszam, a takich niewielu spotykam. Siły, jakimi obdarzyła mnie natura, pozwalają mi odbywać bardzo długie spacery: nie ma dnia, bym nie przeszedł dwanaście czy piętnaście mil... -1 dlatego kilka napadów - przerwałam.

- Napadów, porwań, podpaleń, zabójstw, czynię wszystko, co wydaje mi się zbrodnicze, ponieważ natura dała mi upodobanie i zdolność do popełniania wszelkich zbrodni, a nie ma pośród nich ani jednej, której bym nie miłował i która by mi nie przynosiła najśłodszych przyjemności.

- A sprawiedliwość?

- W tym kraju jest ona niczym; oto dlaczego w nim zamieszkałem: mając pieniądze, można czynić wszystko, czego się pragnie..., a ja nimi szastam.

Dwóch mężczyzn, niewolników Mińskiego, opalonych i o szkaradnych twarzach, przybyło uprzedzić, że podano kolację; padli na kolana przed swym panem, z szacunkiem ucałowali mu jaja i dziurę w dupie, i przeszliśmy do innej sali.

- Nie podjąłem żadnych przygotowań ze względu na was - powiedział olbrzym - choćby odwiedzili mnie wszyscy królowie ziemi, nie odstąpiłbym od mych zwyczajów.

Pomieszczenie i akcesoria pokoju, do którego weszliśmy, zasługują na opis.

- Meble, jakie tu widzicie - powiedział nasz gospodarz - są żywe; na najdrobniejszy znak wszystkie będą się poruszać.

Miński wykruje gest i stół się przybliżył; znajdował się on w rogu sali, przechodzi na jej środek; wokół niego ustawia się pięć foteli; dwa żyrandole schodzą z sufitu i lokują się na środku stołu!

- Mechanizm ten jest prosty - mówi olbrzym, pokazując nam z bliska budowę tych mebli. - Jak widzicie, ten stół, te żyrandole, te fotele złożone są z grup artystycznie ustawionych dziewcząt; ale gorące potrawy podawane są bezpośrednio na lędźwiach tych stworzeń, świece wetknięte są w ich pizdy, a mój tyłek, tak jak i wasze tyłki, zagłębiając się w fotelach, opierają się na słodkich twarzach lub białych cycach tych panienek. Właśnie z tego względu proszę was, panie, byście się podkasały, a wy, panowie, byście ściągnęli spodnie, gdyż, zgodnie ze słowami Pisma, ciało powinno spoczywać na ciele.

- Miński - zwróciłam się do naszego moskwianina - rola tych dziewcząt jest męcząca, zwłaszcza jeśli dłużej siedzisz przy stole.

- Najgorsze, co może się wydarzyć, to zdechniecie którejś - powiedział Miński - ale straty takie łatwo powetować, jeśli mogę się tym przez chwilę zająć.

W chwili, gdy się podkasałyśmy, a mężczyźni spuścili spodnie, Miński zażądał zaprezentowania mu pośladków, obmacał je, pokąsał, i zauważyliśmy, że wskutek wyrafinowania kaprysu, co łatwo przewidzieć w przypadku takiego człowieka, spośród czterech tyłków, najbardziej fetował tyłek Sbriganiego - brandzlował go blisko kwadrans. Po zakończeniu tej ceremonii zasiedliśmy na cycach i twarzach sułtanek czy raczej niewolnic Mińskiego.

Dwanaście nagich dziewcząt, w wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat, podawało półmiski na żywych stołach, a ponieważ naczynia były srebrne, potrawy zaś bardzo gorące, zaowocowało to ogromnie zabawnymi, konwulsyjnymi ruchami, przypominającymi ruch morskich fal. Stół wypełnił się ponad dwudziestoma przekąskami lub pieczywym, a na serwantkach, zbudowanych z czterech zgrupowanych dziewcząt, które zbliżały się na najdrobniejszy znak, umieszczone zostały wszelkiego rodzaju wina.

- Moi drodzy - powiedział gospodarz - uprzedzałem was, że tutaj żywimy się wyłącznie ludzkim mięsem; nie ma żadnego innego dania pośród tych, jakie widzicie.

- Skosztujemy ich - rzekł Sbrigani - odraza jest niedorzecznością, rodzi się ona wyłącznie z wad w obyczajach. Wszystko podsuwa nam w tym celu natura i nie jest niczym nadzwyczajnym jadać raczej człowieka niż kury - mówiąc to mój małżonek wbił widelec w poleć chłopca, która wydawała mu się dobrze przyrządzona i, wrzuciwszy na talerz

przynajmniej dwa funty, pożarł ją. Poszłam w jego ślady. Miński nas zachęcał, a ponieważ miał apetyt równy namiętnościom, wkrótce opróżnił ze dwanaście talerzy.

Miński pił tak jak jadł, toteż był już przy trzydziestej butelce wina burgońskiego, gdy podano przystawki, które zakropił szampanem, natomiast aleatyk, falerno i inne wyszukane wina włoskie zostały pochłonięte na deser.

Ponad trzydzieści kolejnych butelek wina znalazło się we wnętrzościach naszego ludożercy, zanim jego zmysły zostały dostatecznie odurzone tą fizyczną i duchową rozpustą, a łajdak oświadczył, że ma ochotę się spuścić.

- Nie chcę jebać nikogo z waszej czwórki - powiedział - ponieważ bym was zabił; niemniej jednak posłużycie moim przyjemnościom. ..., obejrzyście je; uważam was za godnych podniecania się nimi... Dalej, kogo chcecie, bym zerznął?

- Ja chcę - powiedziała do Mińskiego, który lubieżnie pochylał się nad moją piersią i, jak się wydawało, miał na mnie ochotę - chcę, byś na mych oczach zerznął w pizdę i w dupę siedmioletnią dziewczynkę.

Miński czyni znak i dziecko się pojawia.

Gwałtom tego libertyna służyła bardzo pomysłowa maszyna; był to swego rodzaju żelazny taboret, na którym ofiara opierała jedynie lędźwie lub brzuch, zależnie od części ciała, jaka miała być zaferowana; do czterech nóg, które krzyżując się sięgały do ziemi, przywiązywało się członki tej ofiary..., która wskutek pozycji ukazywała ofiarnikowi jak najszerzej rozwartą pizdę, jeśli wiązało się ją opartą na lędźwiach, lub dupę, jeśli przywiązana była leżąc na brzuchu. Nic równie ślicznego, jak to małe stworzenie, które miał poświęcić ów barbarzyńca, i nic nie bawiło mnie tak, jak ta niewiarygodna dysproporcja zachodząca między napastnikiem i ofiarą. Miński zerwał się od stołu jak szalony.

- Rozbierzcie się do naga - powiedział do naszej czwórki - a wy - ciągnął, wskazując Zefira i Sbriganiego - rznijcie mnie w dupę, gdy będę działał; wy zaś - dotknął Augustynę i mnie - podstawiajcie mi wasze tyłki do całowania.

Wszystko zostaje przygotowane, dziewczynkę przywiązują najpierw w pozycji na plecach; nie przesadzę, twierdząc, że członek, którym miała zostać przebita, był grubszy niż jej talia. Miński klnie, rzy jak zwierzę, obwąchuje otwór, który ma przebić; z przyjemnością skierowałam ten członek, nie trzeba było użyć żadnej sztuki, wystarczyło, że sama natura poniosła kosztą przedsięwzięcia; dziwka posłużyła nam tak, jak to czyni zawsze, gdy chodzi o zbrodnię, która ją bawi, służy jej lub sprawia przyjemność. Po trzech pchnięciach lędźwi przyrząd jest wewnątrz, ciało pęka, płynie krew, a dziewczica traci przytomność.

- Ach! Dobrze, dobrze - mówi Miński, który zaczął ryczeć jak lew - dobrze, tego

właśnie pragnąłem... Och! Moi drodzy, zbrodnia się dopełnia.

Mińskiego rznąli w dupę, a on całował, kąsał i brandzłował na przemian tyłek Augustyny i mój; przeraźliwy krzyk zapowiada jego ekstazę, rzuca on straszliwe przekleństwa... Zbrodniarz! Spuszczając się, zadusił swą ofiarę, nieszczęsna już nie oddychała.

- Wszystko jedno - mówi do nas - teraz nie będzie się bronila, nie trzeba jej przywiązywać.

I odwróciwszy martwą, libertyn ją sodomizuje, tak samo dusząc jedną z dziewcząt, która podawała do kolacji, a której kazał podejść...

- Cóż - powiedziałam, gdy tylko spuścił się po raz drugi - nigdy nie gustujesz w przyjemności, która nie kosztuje życia jakiegoś indywiduum?...

- Przynajmniej jedno ludzkie stworzenie - odparł olbrzym - powinno umrzeć, gdy pierdolę; nie spuściłbym się, gdyby mym oddechem w stanie podniecenia nie towarzyszyły ostatnie tchnienia śmierci, a wytrysk spermy zawdzięczam zawsze wyobrażeniu śmierci, do jakiej się przyczyniam.

- Przejdźmy do innego pomieszczenia - ciągnął ten ludożerca -czekają tam na nas lody, kawa i likiery - po czym dodał, zwracając się do dwóch towarzyszących nam mężczyzn.

- Przyjaciele - powiedział -doskonale mnie jebaliście, mój tyłek wydał się wam szeroki, prawda?

Nieważne, jestem pewien, że dostarczył wam przyjemności, przekonała mnie o tym sperma, jaką obaj w nim rozlaliście. Co do was, urocze panie, wasze tyłki sprawiły mi dużą przyjemność, i aby dowieść wam mej wdzięczności, na dziesięć dni oddam wam wszystkie piękności z mego seraju, byście do woli mogły pławić się w rozkoszy.

- Łaskawco - powiedziałam do olbrzyma - to wszystko, czego oczekujemy; rozkosz powinna ukoronować rozpusta, a rekompensata libertynizmu powinna być ofiarowana rękami samej lubieżności.

Weszliśmy, roznoszący się w tym miejscu zapach, jak wkrótce odgadliśmy, pochodził z podanych nam lodów: w pięciu białych porcelanowych miskach ułożonych było po dwanaście czy piętnaście kawalków gówna, najświeższych i o najpiękniejszych kształtach.

- Oto lody - powiedział olbrzym -jakie jadam po obiedzie, nic tak nie ułatwia trawienia, a zarazem nic nie sprawia mi takiej przyjemności. Gówno to pochodzi z najpiękniejszych tyłków w moim seraju i możecie je jeść bezpiecznie.

- Miński - powiedziałam - trzeba dużego przyzwyczajenia do takich potraw; być może moglibyśmy je przyjąć w chwili wybryku; ale z zimną krwią, to niemożliwe.

-I owszem - powiedział olbrzym, zabierając się za miskę i pożerając jej zawartość - róbcie, jak chcecie, nie zmuszam was. Proszę, oto likiery; ja napiję się później.

Trudno o coś równie wspaniałego, jak oświetlenie tej sali; było ono godne reszty. Dwadzieścia cztery głowy zmarłych składały się na lampę, której promienie wychodziły przez oczodoły i dziurki od nosa; nigdy nie widziałam czegoś do tego stopnia przerażającego. W tym momencie olbrzym ze stojącym kutasem zapragnął zbliżyć się do mnie; użyłam całej sztuki, by go uniknąć, i gdzie indziej skierowałam jego pragnienia. W tym pomieszczeniu usługiwali młodzieńcy, kazałam mu zerznąć jednego dwunastolatka, który wyszedłszy z jego ramion, padł martwy.

Miński dostrzegł w końcu, że wyczerpani i zmęczeni nie byliśmy już w stanie dotrzymać mu kroku, kazał więc niewolnikom odprowadzić nas do wspaniałej galerii, w której znajdowały się cztery wnęki z lustrami, jedna na wprost drugiej, a w nich łóżka, gdzie mogliśmy wypocząć. Taka sama liczba dziewcząt miała rozkaz czuwać nad nami, by podczas naszego snu odganiać owady i palić kadzidła.

Było późno, gdy się obudziliśmy; nasze strażniczki pokazały nam łazienki, gdzie, obsługiwani przez nie, zostaliśmy wspaniale odświeżeni; wprowadzając nas stamtąd do ustępów, pozwolili nam się załatwić w równie wygodny, jak lubieżny sposób, którego dotąd nie znaliśmy: zwilżały palce wodą różaną, potem wsuwały je w odbył, delikatnie i miękko wydobywały wszystko, na co natrafiły..., ale z taką sztuką i z tak niezwykłą zręcznością, że miało się całą przyjemność płynącą z tej operacji i żadnej z jej dolegliwości; po jej zakończeniu, wytarły wszystkie części językami, i to z niezrównaną lekkością i zręcznością.

O godzinie 11 Miński kazał nam przekazać, że zaszczyca nas zaproszeniem do odwiedzenia go w łóżku. Weszliśmy: jego sypialnia było bardzo obszerna; widać w niej było wspaniałe freski przedstawiające dziesięć libertyńskich grup, których układ doskonale mógł uchodzić za nec plus ultra lubieżności.

W głębi tego pomieszczenia znajdowała się obszerna alkowa, otoczona lustrami i ozdobiona szesnastoma kolumnami z czarnego marmuru, a do każdej z nich przywiązana była młoda dziewczyna, stojąca tyłem do obserwatora. Za pomocą dwóch sznurów, umieszczonych tak jak sznur od dzwonka, u wezłowia łoża naszego herosa, mógł on każdej z prezentujących mu się dup zadawać inne męki, które trwały doted, dokąd pociągał za sznur. Niezależnie od tych szesnastu dziewcząt było jeszcze sześć innych oraz dwunastu młodych chłopców, tak aktywnych, jak i pasywnych, którzy znajdowali się w dwóch sąsiednich gabinetach, na libertyńskie usługi ich pana, podczas nocy. Podczas jego snu nad wszystkim tym czuwały dwie duenie. Pierwsza rzecz, jaką uczynił, gdy się zbliżyliśmy, było pokazanie

nam, że mu stoi; a demonstrując nam swój monstrualny przyrząd, śmiał się on straszliwie szyderczo; zażądał naszych tyłków, usłuchaliśmy; obmacując dupę Augustyny, zapewniał, że ją zerznie przed upływem dnia; nieszczęsna zadrżała; mocno wybrandz-lował Sbriganiego i zabawiał się jego pośladkami: wzajemnie wybrandz-lowali sobie odbyty i znaleźli w tym największą przyjemność; zapytał, czy chcemy zobaczyć, w jaki sposób mógłby okaleczyć jednocześnie szesnaście dziewcząt przywiązanych do kolumn; zachęcałam go do pokazania nam tej osobliwej maszyny. Ciągnie on za te zgubne sznury, zadając inne rany każdej z szesnastu krzyczących naraz nieszczęśnic; jedne są klute, przypalane, chłostane, inne szarpane obcęgami, rozcinane, dżgane, drapane, i wszystko to jednym ruchem, a zewsząd płynie krew.

- Gdybym pociągnął mocniej - powiedział Miński - a zdarza mi się to niekiedy, zależnie od stanu mych jaj, gdybym w końcu pociągnął mocniej, szesnaście dziwek zginęłoby jednocześnie na mych oczach. Uwielbiam zasypiać z myślą, że mogę popełnić naraz szesnaście morderstw, wystarczy najłżejsze pragnienie.

- Miński - powiedziała do naszego gospodarza - posiadasz dostatecznie dużo kobiet, by złożyć tę drobną ofiarę: moi przyjaciele i ja prosimy cię, byś zechciał uczynić nas świadkami tej uroczej sceny.

- Zgoda - odparł Miński - ale chcę się spuścić przy tych czynaniach; pozwól mi zsodomizować swą towarzyszkę, jej dupa mi się podoba, a gdy w jej odbycie będę wylewał spermę, zobaczycie, jak ginie szesnaście moich kobiet.

- Razem to będzie siedemnaście - wykrzyknęła Augustyna, zaklinając nas, byśmy nie wydawali jej temu potworowi - jakże miałabym przetrzymać taką operację!

- Najlepiej w świecie - powiedział Miński i, każąc swym kobietom ją rozebrać, od razu przyjął pozycję odpowiednią do swych przyjemności. - Nie bój się - ciągnął - żadna kobieta mi się nie oparła, a codziennie pierdołę młodsze niż ty.

Widząc w oczach Mińskiego, że odmowa tylko by go rozwścieczyła, nie ośmieliliśmy się nawet okazać strachu, o jaki przyprawiło nas takie pragnienie.

- Pozwólcie mi działać - powiedział Miński szeptem - mówiłem wam, ta dziewczyna mnie podnieca, ma ona tyłek, który przyprawia mnie o wściekłość; jeśli ją zabiję lub okaleczę, oddam wam dwie inne nieskończenie piękniejsze.

Gdy to mówi, dwie spośród sześciu dziewcząt, które stanowiły służbę w tym pokoju, przygotowują drogi, zwilżają instrument i zbliżają do dziury; Miński był tak przyzwyczajony do wszystkich tych okropności, że dla niego była to kwestia chwili; dwa pchnięcia lędźwi zagłębiają sztylet w dupie ofiary z taką szybkością, że ledwo można było to dostrzec; w tym

czasie łądak się śmiał: Augustyna straciła przytomność, a po jej udął popłynęła krew; Miński od razu jeszcze bardziej się zapalił; cztery dziewczyny i tyłuż chłopców otaczają go; wszyscy oni są tak przyzwyczajeni do starań, jakie należy mu oddać w tym momencie, że w jednej chwili wszystko znajduje się na swoim miejscu; Augustyna zostaje przykryta, już jej nie zobaczymy; olbrzym klnie, jest bliski celu, spuszcza się, ciągnie za sznury, szesnaście różnych sposobów zabijania kończy życie szesnastu związanych stworzeń; wydają one tylko jeden krzyk i wszystkie oddają ducha w tej samej chwili, jedna od sztyletu, druga uduszona, inna jeszcze zabita kulą; jednym słowem, żadna nie została uderzona w taki sam sposób jak inna, a wszystkie umarły jednocześnie.

- Wasza Augustyna miała, jak sądzę, rację - powiedział chłodno Miński, wyjmując kutasa z jej dupy- tak, niewątpliwie, miała całkowitą rację, mówiąc, że będzie siedemnasta.

A my zobaczyliśmy nieszczęsną zarazem uduszoną i przebitą dziesięcioma pchnięciami sztyletu; nie wiem, jak zbrodniarz tego dokonał; nie było jednak co do tego wątpliwości.

- Niczego tak nie uwielbiam, jak dusić je podczas jebania - powiedział flegmatycznie ten przerażający libertyn... - Żadnych smutków, obiecałem wam dwie jeszcze piękniejsze i dotrzymam słowa... Ale ona musiała przez to przejść, jej pierdolona dupa zawróciła mi w głowie, a moje pragnienia są zawsze wyrokami śmierci dla obiektów mej rozpusty.

Duenie rzuciły trupa mojej przyjaciółki na środek pokoju, do niego dołączyły zwłoki szesnastu dziewcząt przywiązanych do kolumn, a Miński, przyjrawszy się przez chwilę temu stosowi i wymacawszy kolejno wszystkie, pokąsawszy kilka pośladków i cycków, wyznaczył trzy do swej kuchni; pomiędzy nimi znalazła się nieszczęsnica, którą właśnie utraciliśmy.

- Niech je przygotowują na obiad - powiedział - gdy tymczasem ja w jednej z sal spędzę chwilę sama na sam z Juliettą.

W tym momencie Sbrigani powiedział mi na ucho, że uważa za stosowne nie ufać takiemu potworowi, i lepiej uczynimy, prosząc go o zgodę na wyjazd z jego państwa najszybciej jak to możliwe. Ponieważ za równie niebezpieczne uznałam pozostanie, jak i prośbę o zgodę na wyjazd, to wchodząc wraz z Mińskim do sali, o której wspomniał, zadowolona się daniem mu do zrozumienia moją chłodną postawą, jak niegodziwość jego postępków dała mi podejrzenia co do tego, na co być może wkrótce pozwoli sobie wobec mnie.

- Posłuchaj - powiedział olbrzym, sadzając mnie na stojącym obok niego krześle - uważam cię w dostatecznym stopniu za filozofa, byś nie żałowała tej dziewczyny i była przekonana, że prawa gościnności nie mogą mieć dostępu do takiej duszy jak moja.

- Nie naprawisz więc tej straty?



- A dlaczego?

- Kochałam ją.

- Ach! Jeśli jesteś jeszcze tak głupia w rozpuście, by kochać służący ci obiekt, to z całą pewnością nie mam ci nic do powiedzenia; próżno szukałbym dowodów, by cię przekonać, nie ma żadnych przeciw głupocie.

- Cóż! To do mnie; boję się, ponieważ niczego nie szanujesz. Co mnie ustrzeże przed traktowaniem, jakie kazałeś znosić mojej przyjaciółce?...

- Nic, absolutnie nic - odparł Miński - a gdyby podniecało mnie zabicie cię, nie przeżyłabyś dłużej niż kwadrans; ale uważałem cię za taką zbrodniarkę jak ja; a ponieważ jesteś do mnie podobna, to wolę traktować cię jak współniczkę niż jako ofiarę: dwaj towarzyszący ci mężczyźni wydają mi się tacy sami; uważam ich za takich jak ty, mniej odpowiednich do tego, by służyć mej rozpuście, bardziej - by ją ze mną dzielić: twoja pewność musi polegać na tym założeniu. Wiele brakowało do tego, by znalazła się tutaj Augustyna; jestem dobrym fizjonomi-stą; bardziej urocza niż zbrodnicza, oddawała się temu, czego ty pragnęłaś, ale daleko jej było do tego, by czynić to, czego sama chce. Och,

Julietto! Nie ma dla mnie nic świętego: oszczędzenie waszej czwórki byłoby wiarą w prawa gościnności... Pozór..., samo wyobrażenie cnoty mnie przeraża; muszę gwałcić te prawa..., przynajmniej w jakiejś mierze: teraz jestem usatysfakcjonowany, możesz być spokojna.

- Miński, rozmawiasz ze mną ze szczerością, która i z mojej strony zasługuje na to samo. Przemawia przede mną raczej obawa o siebie niż żal za Augustyna. Poznaj nieco moje serce, by uznać je za niezdolne opłakiwać obiekt libertynizmu; wiele ich w życiu poświęciłam i przysięgam, że nigdy żadnej nie żałowałam.

Ponieważ olbrzym chciał wstać, to prosząc, by ponownie usiadł, powiedziałam:

- Nie, wytoczyłeś proces cnotie gościnności, Miński, kocham zasady; podsuń mi swoje w tym przedmiocie: chociaż żadna cnota nic jest dla mnie godna szacunku, nie pozbyłam się zasad gościnności, być może śmiem jeszcze uważać je za nienaruszalne, zniszcz je, pokonaj, wykorzeń, Miński, słucham cię.

- Niewątpliwie największą ze wszystkich ekstrawagancji - powiedział olbrzym, sprawiając wrażenie, że jest mi wdzięczny za to, iż pozwoliłam mu ujawnić swe poglądy - jest ta, która każe nam uważać za świętość kogoś, kogo ciekawość, potrzeba lub przypadek sprowadzają do naszego domu; do popełnienia tego błędu może nas skłonić tylko powód osobisty. Im bardziej lud zbliżony jest do natury, tym mniej zna prawa gościnności; mnóstwo dzikich, przeciwnie, przygotowuje zasadzki na podróżników, by ich sprowadzić do siebie, a

gdy ich pochwyci, składa w ofierze. Niektóre narody słabe i pospolite, postępując odmiennie, starają się ugościć tych, którzy ich odwiedzają; i w tym względzie uprzejmość posuwają tak daleko, że podsuwają im swój e żony i dzieci obojga płci. Nie dajmy się zwieść takim postępowaniem, ono także jest owocem egoizmu. Ludy, które w ten sposób postępują, pośród odwiedzających ich obcych poszukują oparcia, protekcji; uznając ich za silniejszych, bardziej urodziwych niż oni sami, pragną, by ci cudzoziemcy osiedlili się w ich kraju albo po to, by ich bronić, albo po to, by spotykając się z ich kobietami, spłodzić dzieci, które odrodzą naród: oto cel owej gościnności, która zwodzi, a którą głupcy ośmielają się wychwalać. Możesz więc mieć pewność, że żadne inne uczucie jej nie pobudza. Inne ludy oczekują przyjemności od gości, jakich przyjmują, i schlebiają im, by ich wykorzystać - pierdolą ich. Bądź jednak pewna, że żaden naród bezinteresownie nie respektuje gościnności: poczytaj historię ich wszystkich, a u wszystkich odkryjesz powód, które skłaniają ich do wspaniałomyślnego przyjmowania gości; a czy jest w istocie coś bardziej śmiesznego, niż przyjmowanie w domu kogoś, od kogo niczego sienie oczekuje? Na jakiej zasadzie człowiek czyni dobro innemu człowiekowi? Czy duchowe lub materialne podobieństwo jednego ciała do drugiego pociąga za sobą, w odniesieniu do jednego z nich, konieczność czynienia dobra? Szanuję ludzi o tyle, o ile mi służą; gardzę nimi, a nawet brzydę się nimi, gdy nie mogą być dla mnie dobrzy; ponieważ mogą mi przeciwstawić tylko wady i są niebezpieczni dla mych zamysłów, powinienem ich odpędzić jak dzikie bestie, które od tej chwili mogą mi tylko szkodzić. Gościnność była cnotą zalecaną przez słabego: nie mając schronienia, energii, oczekując dobrobytu tylko od innych, niewątpliwie musiał on wychwalać cnotę, która dawała mu obronę. Jaką jednak potrzebę takiego postępowania ma silny?... Gdyby zawsze ją stosował, a nigdy z niej niczego nie czerpał, to czyż nie byłby głupcem, gdyby się jej podporządkował? Otóż, pytam cię, czy jakiegokolwiek działanie rzeczywiście może uchodzić za cnotę, gdy służy ono tylko jednej z klas społecznych? Na jakie niebezpieczeństwa ci, którzy ją stosują, narażają goszczonych przez siebie nieszczęśliwych? Przyzwyczajając ich do próżniactwa, deprawują oni dyspozycje moralne tych leniwych gości, którzy w końcu siłą zamieszkają w ich domach, gdy wasza wspaniałomyślność nie otworzy już przed nimi drzwi, tak jak żebracy w końcu was okradną, gdy odmówicie im jałmużny: otóż, gdy analizujemy jakiegokolwiek postępowanie, to czym staje się ono, pytam cię, gdy z jednej strony widzisz je jako użyteczne, a z drugiej - jako niebezpieczne? Odpowiedz szczerze, Julietto, czy z tego rodzaju postępowania ośmielisz się uczynić cnotę? A jeśli chcesz być sprawiedliwa, to czy wnet nie zaliczysz tego postępowania do występków? Nie ma co do tego wątpliwości; gościnność jest równie niebezpieczna jak jałmużna; wszelkie działania, które biorą się z dobroczynności,

uczucia zrodzonego ze słabości i z dumy, wszystkie one pod każdym względem są szkodliwe; a człowiek rozsądny, uodporniwszy swe serce na wszystkie te małoduszne poruszenia, z największą starannością powinien się strzec przed zgubnymi następstwami, do jakich one prowadzą.

Mieszkańcy jednej z wysp Cykladów tak wrogo odnoszą się do gościnności, iż są całkowicie niedostępni dla obcokrajowców; obawiają się ich i się nimi brzydzą do tego stopnia, że nigdy nie biorą do rąk tego, co tamci im ofiarują; biorą to między dwa zielone liście, a następnie przymocowują na końcu kija. Jeśli przypadkiem jakiś obcokrajowiec dotknie ich skóry, natychmiast ją czyszczą, nacierając miejsce zielem.

Pewne plemię Brazylijczyków trzyma się od nich na sto kroków i zawsze z bronią w ręku.

Afrykanie z Zanzibaru są tak wrodzy gościnności, że bezlitośnie zabijają wszystkich, którzy zbliżą się do ich kraju.

Trakowie i mieszkańcy Taurydy od wieków łupią i zabijają wszystkich, którzy ich odwiedzają.

Arabowie jeszcze dzisiaj grabią i biorą w niewolę wszystkie stworzenia, które wiatry rzucą na ich wybrzeże.

Egipt długi czas był niedostępny dla obcych; rząd nakazał brać w niewolę lub zabijać tych, którzy zostaną złapani na całej długości wybrzeża.

W Atenach, w Sparcie gościnność była zabroniona; tych, którzy nią prosili, karano śmiercią.

Wiele rządów rości sobie prawa do obcych; karze ich śmiercią konfiskuje ich dobra.

Król Achem przywłaszcza sobie wszystkie statki, który rozbijają się u brzegów jego królestwa.

Aspołeczność znieczula serce człowieka i w ten sposób czyni go bardziej zdolnym do wielkich działań: od tej chwili kradzież i mord stają się cnotami; i u tych narodów, u których tak się dzieje, widać i wielkie cechy, i wielkich ludzi.

Na Kamczatce zabijanie obcokrajowców jest dobrym uczynkiem.

Murzyni z Luango jeszcze dalej posuwają odrazę do cnoty gościnności; nie mogą ścierpieć nawet pochowania obcego w swej ziemi.

Jednym słowem, cały świat, daje nam przykłady niechęci zamieszkujących go ludów do cnoty gościnności; z tych przykładów i tych przemyśleć powinniśmy wyciągnąć wniosek, że niewątpliwie nie ma niczego bardziej szkodliwego..., niczego bardziej sprzecznego z jego

własną energią i energią innych niż cnota, której obiektem jest skłanianie bogatego do udzielenia biednemu schronienia, z którego ten ostatni zawsze będzie korzystał z uszczerbkiem dla siebie i dla osoby, która mu je ofiarowuje. Tylko dwa powody przyciągają obcych do jakiegoś kraju: ciekawość lub chęć oszukiwania; w pierwszym przypadku powinni płacić; w drugim powinni być karani.

- O Miński! - wykrzyknęłam - przekonałeś mnie: od dawna miłosierdzie, dobroczynność traktuję z zasadami zbyt podobnymi do tych, jakie ty odnosisz do gościnności, by nie być tego samego zdania co ty w tym przypadku; jest jednak jeszcze jedna rzecz, co do której chcę, byś mnie oświecił: Augustyna, od pewnego czasu mocno do mnie przywiązana, ma rodziców w nieszczęściu, których przed naszą wyprawą mi poleciła, prosząc, bym miała o nich staranie, gdyby coś się jej przydarzyło w podróży; czy mam im dać jakieś zadośćuczynienie?..

- Z całą pewnością nie - odparł Miński - jakimż prawem miałabyś być cokolwiek winna rodzicom swej przyjaciółki? Jakie pretensje mogą oni zgłaszać do twej dobroczynności? Płaciłaś tej dziewczynie, utrzymywałaś ją dotąd, dokąd ci służyła; nie ma żadnego związku między nią a jej rodzicami; absolutnie nic nie jesteś winna jej rodzicom: jeśli twoje myślenie jest dostatecznie oświecone co do nicości braterskich więzów między ludźmi, jak głosi twoja filozofia, jeśli dobrze przemyślałaś te idee, to przede wszystkim powinnaś zrozumieć, że między Augustyna i usługami, jakie ci oddała, nie ma żadnego związku: gdyż usługi te są tylko działaniem minionym, a ta, które je oddała, nie podejmie już żadnego działania. Związek między tymi rzeczami jest tylko złudzeniem, urojeniem; jedynym uczuciem, jakie powinno w nas pozostać, jest uczucie wdzięczności; a wiesz, że wdzięczność nie mogłaby istnieć w duszy dumnej: ta, która odrzuca usługi innego, lub która, otrzymawszy je, uważa, że niczego nie jest winna, ponieważ działanie służyło tylko dumie dobroczyńcy, to, jak mówię, jest znacznie większy niż tamto, które, łącząc się z dobroczyńcą, zapewnia mu przyjemność uczynienia kogoś swym niewolnikiem, trymfalną ofiarą. Pójdę dalej, a być może już ci to mówiono: należy wręcz pragnąć śmierci dobroczyńcy, z którym się nie rozliczyliśmy, włącznie z zadaniem mu śmierci własnoręcznie, czemu bym się nie dziwił. Och! Julietto, jakże badania i namysł służą poznaniu serca człowieka; i jakże pragnie się stawiać czoło jego zasadom, gdy pozna się dobrze tych, którzy je stworzyli, gdyż wszystko należy do człowieka, wszystko pochodzi od człowieka, i jakim prawem chcesz, bym szanował coś, co jest tylko dziełem mego bliźniego. Tak, powtarzam, te pogłębione studia, pełne zbrodni, które głupcom wydawałyby się okropne, nam wydają się czymś zwyczajnym: niech mówią duszom pospolitym, że Piotr otrzymawszy w nagłej potrzebie od Pawła sto

ludwików, za całą wdzięczność wbił mu w pierś sztylet, głupcy się na to uniosą, będą krzyżeć o okrucieństwie, a dusza tego zabójcy będzie wszak większa niż dusza jego adwersarza, ponieważ jeden, wyświadczając przysługę, hołdował tylko własnej dumie, a drugi nie mógł patrzeć na upokorzenie bliźniego; oto więc niewdzięczność, piękny czyn. Słabi śmiertelnicy! Na ślepo przyjmujecie występki i cnoty, a najsłabsze ich zbadanie natychmiast jedne stawia na miejscu drugich; nie wyobrażasz sobie, Julietto, jak niezwykłą skłonność zawsze miałem do niewdzięczności; jest ona cnotą mego serca i czuję się wzburzony każdorazowo, gdy ktoś chce mi wyświadczyć przysługę: powiedziałem kiedyś komuś, kto chciał zaoferować mi swe usługi: „Ach! Strzeż się, bym cię nie trzymał za słowo, jeśli nie chcesz, bym tobą gardził”. Czy zresztą tego rodzaju miłosierdzie, jakie chcesz okazać nieszczęsnym rodzicom Augustyny, nie miałoby wszelkich wad jałmużny i litości, co do których wydałaś mi się tak przekonana? Julietto, miłosierdzie tworzy tylko głupców, dobroczynność - tylko niewdzięczników; bądź pewna tych systemów i uspokój się, ponieważ nie uczynię cię ich ofiarą. - Te zasady uszczęśliwiają mnie - powiedziałam do olbrzyma - cnota zawsze mnie odpychała, nigdy żadna przyjemność nie zrodziła się w jej łonie - i by przekonać o tym Moskwianina, opowiedziałam mu, skutkiem jakiej straszliwej katastrofy całe moje powodzenie zostało zniszczone, gdy pewnego dnia wykazałam cnotę.

- Nie mogę sobie czynić podobnych wyrzutów - powiedział Miński - i od najwcześniejszego dzieciństwa ani przez chwilę moje serce nie zostało pokonane przez te małoduszne uczucia, których skutki są tak niebezpieczne; nienawidzę cnoty tak jak religii, obie uważam za równie zgubne, i nikt nigdy nie zobaczy, bym zginał kark pod ich jarzmem; nie znam innych wyrzutów sumienia niż biorące się z tego, że nie popełniło się dostatecznej ilości zbrodni; jednym słowem, zbrodnia jest moim żywiołem, jako jedyna pozwala mi żyć i mnie inspiruje, żyję tylko dla niej, i mógłbym już tylko wegetować na ziemi, gdybym przestał je popełniać choćby przez godzinę...

- Przy takim sposobie myślenia - odparłam olbrzymowi - musiałeś się stać katem własnej rodziny.

- Niestety! Pomiąłem mego ojca, i to właśnie mnie martwi; byłem zbyt młody, kiedy umierał, ale cała reszta przeszła przez moje ręce; już ci mówiłem o śmierci mojej matki i siostry, chciałbym, by zmartwychwstały, bym miał przyjemność ponownie je zmasakrować; jestem teraz bardzo nieszczęśliwy, mogąc zabijać tylko zwyczajne ofiary, moje serce jest przesycone, już nie znam rozkoszy...

- O Miński! Jakże jesteś szczęśliwy! - wykrzyknęłam - ja, tak jak ty, także próbowałam tych przyjemności, ale nie w takim zakresie... Mój drogi, w najwyższym stopniu

rozpaliłeś mą głowę; wyświadcz mi łaskę: niech mi będzie wolno swobodnie uczestniczyć w twych nieprzeliczonych aktach posiadania; otwórz przede mną to szerokie pole zbrodni i lubieżności, niech je użyżnię spermą i trupami.

- Pragnę tego - powiedział Miński - ale stawiam jeden warunek. ..., nie proponuję, że cię zsodomizuję, rozerwałbym cię; ale żądam, byś oddała mi tego młodzieńca - dodał, myśląc o Zefirze.

Waham się; przez chwilę sztylet wznosi się nad mą pierś.

- Wybieraj - mówi ten srogi człowiek - między śmiercią a przyjemnościami, jakie może ci zapewnić mój dom.

Niestety! Mimo mego przywiązania do Zefira ustąpiłem..., czy zresztą mogłam postąpić inaczej?

## RZYMSKIE IGRASZKI

Choć nie brakowało mi rozrywek, nie mogłam przestać myśleć o księżnej de Grillo. Zaledwie dwudziestoletnia, od półtora roku zamężna z sześćdziesięcioletkiem, którego nienawidziła, Honorina de Grillo pozostawała u boku tego starego fauna tak samo dziewicą, jak była nią wtedy, gdy matka zabrała ją od Urszulank w Bolonii, aby mu ją oddać. Nie chodzi bynajmniej o to, że stary książę nie usiłował pokonać oporów małżonki. Owszem, starał się bardzo, ale darzony przez nią odrazą, niczego jeszcze nie wskórał. Byłam u księżnej zaledwie dwa razy, najpierw z wizytą ceremonialną, służącą przedstawieniu mych rekomendacji. Następnie po to, by sycić się nieco dłużej niewyobrażalną rozkoszą, jaką sprawiało mi towarzystwo Honoriny. Wreszcie wyprawiłam się po raz trzeci, zdecydowana objawić jej mą namiętność i tak samo stanowcza, gdy chodzi o wolę zaspokojenia mej żądy, niezależnie od tego, jak bardzo obwarowywałyby się cnota.

Znalazłam się u księżnej tuż po tym, jak zakończyła właśnie jedną z tych lubieżnych toalet, tak bardzo sprzyjających uwiedzeniu i tak mobilizujących dla serca. Los był dla mnie łaskawy, Honorina była sama. Po wstępnych komplementach pozwoliłam przemówić moim oczom... Zawstydzona unikała mego wzroku. Zamiast do miłości, odwołałam się więc do pochlebstw i uwodzenia. Ujmując dłoń księżnej, powiedziałam:

- Cudowna kobieto, jeśli istnieje Bóg i jeśli jest sprawiedliwy, to powinnaś być najszczęśliwszą istotą na ziemi, tak samo jak jesteś najpiękniejszą.

- Bardzo pani łaskawa, ale znam swoją wartość.

- Ach, gdybyś ją знаła, pani, powinna byś zająć miejsce na ołtarzu Boga. Ta, która godna jest hołdów całego świata, może mieszkać tyłków świątyni...

Mówiąc to, ścisnęłam jej dłonie i okrywałam je pocałunkami...

- Dlaczego tak mi schlebiasz? - spytała Honorina, rumieniąc się.

- Ach! Ponieważ cię uwielbiam.

- Czyż kobiety mogą lubić się w ten sposób?

- A dlaczegoż by nie? Im większa jest ich wrażliwość, tym większe mają prawo wielbić to, co piękne, bez względu na to, w jaką wcielałoby się płeć. Kobiety mądre unikają obcowania z mężczyznami: jest tak niebezpieczne... więz, jaką zawiązują one między sobą, jest zaś tak słodka... Ach, moja droga Honorino! Dlaczego nie miałabym być zarazem... twoją przyjaciółką... kochankiem... małżonkiem...?

- Szalona istoto! - zawołała księżna. - Mogłabyś więc być kiedykolwiek tym

wszystkim jednocześnie?

- Ach! Tak, tak - kontynuowałam w upojeniu, ściskając ją w ramionach - tak, zwłaszcza tym ostatnim, jeśli zechcesz, mój aniele...!

I mój gorący język wślizguje się do jej ust. Honorina bez gniewu przyjmuje pocałunek, a kiedy próbuję po raz drugi, zwraca mi go z miłością. Rzeński, cudowny język zaczyna wibrować na mych rozpalonych wargach. Staję się bardziej stanowcza. Odchyliwszy głowę skrywającą przed moimi oczyma najpiękniejsze w świecie piersi, obsypuję te alabastrowe półkule najczulszymi pieszczotami. Językiem łaskoczę delikatnie różane sutki, podczas gdy pożądanymi dłońmi rozchylam lilie. Honorina, wzruszona, pozwala mi działać, jej ogromne błękitne oczy, pełne najżywszego wyrazu, zaczynają lekko błyszczeć, pojawiają się w nich lzy rozkoszy, ja zaś... niczym bachantka... szalona... upojona rozkoszą... przekraczająca wszystkie granice, staram się, by odczuła żarliwość, jaka mnie opanowała...

- Co robisz! - woła Honorina. - Zapominasz więc o mojej płci i o własnej?

- Ach, moja miłości! - wykrzykuję. - Sprzeniewierzamy się niekiedy naturze, by tym większy złożyć jej hołd! Jakże byłybyśmy nieszczęśliwe, gdybyśmy nie potrafiły pomścić pewnych jej pomyłek.

Staję się coraz zuchwalsza, ośmielam się rozwiązać wstążki jej lekkiej sukni, co sprawia, że mojej władzy wydane zostają natychmiast wszystkie uroki, które tak żarliwie pragnęłam osiąść. Honorina, oszołomiona... podniecona moimi płomiennymi westchnieniami, w ogóle nie stawia już oporu. Kładę ją na kanapie, na jakiej siedziałyśmy, pożądanie rozchylam jej uda i obmacuję bez przeszkód małą, najkrągłą z dających się wyobrazić cipkę. Dłonią pieszczę jedną z różanych piersi księżnej, podczas gdy ustami muskam drugą. Moje palce przemykają już po jej clitoris; chciałam wypróbować jego wrażliwość... Wielkie nieba, jakże była niezwykła! Zdawało się, iż Honorina omdleje pod wprawnymi ruchami, za pomocą których potrafiłam tak skutecznie wieść ją ku rozkoszy. Na przekór obronnym reakcjom jej zamierającej cnoty kilka westchnień anonsuje mi jej porażkę. W odpowiedzi wzmagam me pieszczoty.

Nikt nie może równać się ze mną w wynoszeniu na szczyty rozkoszy. .. Czuję, iż moja przyjaciółka liczy na to, że ją wspomogę. Pompowaniem trzeba ułatwić wypływanie soków. Niewiele kobiet odczuwa, jak powinny, potrzebę wylizywania im pizd wówczas, gdy zaczynają się spuszczać: a nie można wszak oddać im wtedy bardziej boskiej przysługi. Zjakimż żarem wyświadczam ją mej przyjaciółce! Klęcząc między jej udami, unoszę dłońmi jej biodra, zagłębiam język w jej piździe, ssę, pompuję, a równocześnie mój nos, przyciśnięty do jej clitoris, przynagla ją do rozkoszy. Jakież pośladki obmacuję! Pośladki samej Wenus!



Poczułam, iż nadszedł czas wywołania wszystko ogarniającego pożaru. Nie sposób przesadzić w dostarczaniu tego rodzaju uniesień... żadnych ograniczeń! A gdyby kobietę, którą brandzujemy, natura wyposażyła w dwadzieścia ujść przedłużających lub doskonalących ekstazę, należałoby zaatakować je wszystkie, ażeby stokrotnie wzmóc jej rozwiąłość. Szukam więc jej ślicznego małego odbytu, by zagłębiwszy w nim palec, dołączyć łaskotki, na które anus jest tak wrażliwy, do wszystkich, jakie powodują moje operujące z przodu usta. Tak mała, tak ciasna jest ta dziurka, że ledwie zdołałam się jej doszperać. Znajduję ją wreszcie. Wsuwam w nią palec... Wyborny epizod! Ach! Rezultat nie zawiedzie was nigdy, jeśli macie do czynienia z kobietami wrażliwymi. Ledwie ten uroczy dołeczek zostaje muśnięty, Honorina wzdycha. .. rozplywa się... spuszcza, wpada w najbardziej boską ekstazę, i to mnie zawdzięcza swe upojenie!

- Ach! Uwielbiam cię, mój aniele! - rzecze do mnie ta gołąbka, otwierając oczy. - Sprawiałaś, że umieram z rozkoszy! Jakże ci się odwdzięczę. ..!

- Ach, tak oto! - wołam, rozbierając się i kładąc jej dłoń na mej piździe. - Brandzuj mnie, moja miłości, oddaję ci się cała... Sprawiedliwe nieba, cóż możemy zrobić więcej?!

Wszelako Honorina, niezręczna jak wszystkie poczciwe kobiety, rozpałała we mnie pożądania, żadnego nie mogąc ugasić. Musiałam udzielić jej lekcji.

liznąwszy wreszcie, że więcej zdziała z pomocą języka niż palców, kazałam jej umieścić się między moimi udami i podczas gdy ona mnie lizała, ja sama się brandzowałam. Wyśmienicie podniecona przez tę czarującą kobietę, spuszczałam się trzy razy w jej usta... Pożerana w końcu pragnieniem zobaczenia jej całkiem nagiej, podnoszę ją, uwalniam z ubrań... Och, wielki Boże! Poczułam się, jak gdybym ujrzała zaranną gwiazdę, gdy wyłania się, zwiastując wiosnę, z zimowych mgieł. Ach! Zaprawdę powiedzieć mogę, że nigdy jeszcze nie widziałam piękniejszego tyłka. Co za biel...! Jaka delikatna skóra...! Jakie wyżłobienie...! Jakie biodra...! Jakie cudowne pośladki...! Wzniosły ołtarzu miłości i rozkoszy! Nie ma prawdopodobnie dnia, bym we wspomnieniach nie składała wam wciąż hołdu! Nie mogłam już dłużej wytrzymać z powodu tej boskiej dupy. Jakież bardziej realne kadzidło mogłabym zapalić, chcąc pochlebić męskości obecnej zarówno w mych zmysłach, jak i w mych zasadach! Całując ją, rozwieram, zanurzam w niej język, i operując nim w tej boskiej dziurze, ponownie brandzuję clito-ris pięknej kobiety. Ona raz jeszcze się spuszcza. Im bardziej jednak podsycalam jej temperament, tym bardziej ubolewałam, że nie mogę silniej jeszcze go rozpalić.

- Och, moja miła! - rzekłam, doświadczając tego żalu. - Bądź pewna, że gdy spotkamy się ponownie, wyposażę się w instrument, którym zadam ci dotkliwsze pchnięcia. Chcę być

twoim kochankiem, małżonkiem, chcę rozkoszować się tobą jak mężczyzna.

- Ach, zrób ze mną co zechcesz! - odpowiedziała księżna z czułością. - Pomnóż świadectwa twej miłości, a ja podwając wciąż będę przy tobie najświętsze dowody własnej.

Honorina również pragnie zobaczyć mnie nagą. Ogląda mnie ze wszystkich stron. Jest jednak taką nowicjuską w dziedzinie rozkoszy, że nie potrafi mi jej dostarczyć... Ach! Czymże jest to dla mej płonącej duszy: kobieta patrzyła na mnie, badała mnie wzrokiem, pieprzyła swymi oczyma, ja zaś odczuwałam pełnię szczęścia. O, lubieżne kobiety! Jeśli kiedykolwiek znajdziecie się w mej sytuacji, będziecie ronić nade mną łzy, poznacie rozpacz, w jaką wprawiają zawiedzione pragnienia, i jak ja przeklinać będziecie naturę, że natchnęła was uczuciami, których, dziwka, nie potrafi zaspokoić... Znow podejmujemy nasze rozkoszne działania. Nie mogąc zaspokoić się tak, jak byśmy pragnęły, odwołałyśmy się przynajmniej do wszystkiego, na co było nas stać, i pożegnałyśmy się, solennie sobie obiecując, że wkrótce znow się spotkamy. [...]

- Bo też zbrodnia jest tak wyborna! - powiedziała Olimpia. - Nie znam niczego, co rozpalałoby mnie bardziej. Miłość jest przy niej tak trywialna. Ach, droga przyjaciółko! - kontynuowała w uniesieniu. - Doszłam do takiego momentu, że nie znajduję już zbrodni, które dostatecznie by mną wstrząsały. Te, jakich dopuszczałam się z zemsty, nie wydają mi się tak upojne jak zbrodnie popełniane z lubieżności, które poznałam dzięki tobie. Cenię je ponad wszystko.

- Masz rację - odpowiedziałam - najwyborniejsze są zbrodnie pozbawione motywu: ofiara musi być całkowicie niewinna; jej występki, uzasadniając nasz czyn, nie pozwoliłyby już nam bezinteresownie rozkoszować się naszą niesprawiedliwością. Trzeba wyrządzać zło, trzeba niegodziwie postępować: czy byłoby to możliwe, gdyby ofiara sama splamiła się złem? Uwielbiam pojawiającą się w takim wypadku niewdzięczność - kontynuowałam. - Wywołuje ona w duszy tego, kogo się znieważa, niewyraźne wyrzuty sumienia, które bardzo lubię wzbudzać. Zmuszamy go, by ubolewał nad tym, że sprawił nam przyjemność, i nie ma nic równie rozkosznego.

- Wyobrażam sobie - odparła Olimpia - i miałbym w związku z tym do zrobienia coś bardzo obiecującego. Mój ojciec jeszcze żyje, obsypuje mnie bogactwami i czułościami, uwielbia mnie, ja zaś dwadzieścia razy spuszczałam się na samą myśl, że mogłabym zerwać te więzy. Nie znoszą wdzięczności, jej ciężary zbytnio mnie przytłaczają, myślę tylko o tym, by się od niej uwolnić. Twierdzi się zresztą, że ojco-bójstwo jest najgorszą zbrodnią, płonę, by się nią splamić... Posłuchaj więc, Julietto. Wiesz, dokąd sięga moja perfidna wyobraźnia. Musisz wystąpić wobec mnie w nowej roli. Gdyby ktoś inny uczynił ci podobne wyznanie,

zlekceważyłabyś, w celu dodania mu odwagi, ową domniemaną zbrodnię. Dowodziłabyś, że nie ma nic złego w zabiciu własnego ojca, a jako że masz wiele polotu, twoje argumenty wkrótce okazałyby się przekonujące. Błagam cię, byś tym razem postąpiła zupełnie inaczej. Znajdźmy jakieś ustronne miejsce. Będziesz mnie brandzłować, a równocześnie każesz mi odczuć całą zgrozę zbrodni, o jaką chodzi. Obrazowo przedstawiś mi kary, jakie czekają ojcobójców... Przerazisz mnie. Później postarasz się odwieść mnie od mego zamiaru, z kolei ja się w nim umocnię, i z tej walki, z której wyjdę zwycięsko, wynikną dla mnie wzruszenia tak lubieżne i gwałtowne, że moje szaleństwo nie będzie już miało granic.

- By spektakl, j aki zamyślasz, uczynić wyborniej szym - odpowiedziałam - musimy doń wprowadzić osoby trzecie, ja zaś w jego trakcie nie powinnam cię brandzłować, lecz zadbać o twą poprawę... Będę musiała cię wychłostać...

- Och! Masz rację, po tysiącokroć! - zawołała Olimpia. - Twoje pomysły są subtelniejsze od moich. Kogo jednak proponujesz dołączyć?

- Moje dwie kobiety. Podczas mej przemowy będącąc rozkosznie ssały i brandzłowały, ja zaś cię wychłuszczę.

- Czy potem zrealizujemy mój zamiar?

- Dysponujesz odpowiednimi środkami? -Tak.

-Co to jest?

- Trzy lub cztery rodzaje trucizn: owe artykuły są w Rzymie w powszechnym użyciu, nikomu się ich nie odmawia.

- Działają gwałtownie?

- Nie, na rezultat trzeba dość długo czekać.

- Nie tego ci potrzeba. By móc się w takich wypadkach dobrze uraczyć, ofiara musi cierpieć, jej męczarnie muszą być straszne. Gdy będziesz brandzłowana, ona równocześnie powinna gasnąć: a jakże się spuścić, jeśli cierpienia nie będą przerażające! Proszę - kontynuowałam, wręczając Olimpui jedną z najgwałtowniej działających trucizn Durand - zaaplikuj to sprawcy swego życia. Jego męki potrwać czterdzieści godzin, będą nie do zniesienia, a jego ciało rozpadnie się na twych oczach w kawałki.

- Och, do diabła! Pospieszmy się, Julietto, pospieszmy się, bo już jestem mokra. Nie mogłabym słuchać cię dłużej, nie popadając w obłęd.

Weszły Eliza i Rajmunda. Olimpia pochyliła się nad nimi, wystawiając ku mnie swe wspaniałe pośladki. Chłuszczę ją wprawą, najpierw łagodnie, później z całej siły, a w trakcie tej ceremonii przemawiam do niej w taki mniej więcej sposób:

- Jeśli istnieje w świecie jakaś przerażająca zbrodnia, to z pewnością ta polegająca na

pragnieniu pozbawienia życia istoty, która sprawiła, że my sami możemy cieszyć się życiem. Byliśmy jedynym obiektem jej czułości, jej starań. Jakąż więc winniśmy jej wdzięczność! Czyż mamy jakiś świętszy obowiązek niż obowiązek przedłużania jej życia? Wszystko, co sprzeniewierza się tej idei, może być tylko zbrodnią, za jaką istota, która ją popełnia, winna być natychmiast obłożona najwyższą karą, a żadna nie jest dostatecznie ciężka dla pomszczenia takiej okropności. [...] Potwór, który może do tego stopnia zapomnieć o wszystkich naturalnych uczuciach, zasługuje na to, by zgotowano mu tortury, a wszelkie dające się wyobrazić okrucieństwa są, moim zdaniem, jeszcze zbyt łagodne, by mogły zrównoważyć takie bestialstwo. Czyż można byłoby nadmiernie kaźnić kogoś, kto podnosi barbarzyństwo, nieprawość, wyzbycie się wszelkiej powinności i wszelkich zasad do takiego poziomu, iż waży się targnąć na życie istoty, która dała mu życie? Furie Tartaru, wychyńcie z waszej kryjówki, przybądźcie same obmyślić tortury odpowiednie dla równie bulwersującej zniewagi, a jakkolwiek byłyby one potworne, nigdy nie okażą się na miarę popełnionej zbrodni! I nie żałowałam różeg w trakcie tego kazania. Wygarbowałam skórą nikczemnej kurwy, która upojona lubieżnością, zbrodnią i rozkosznymi doznaniem, spuszczała się bez końca pod wprawnie obrabiającymi ją palcami.

- Nie mówisz mi nic o religii - odezwała się. - Pragnęłabym, abyś przedstawiła mi moją zbrodnię od strony zniewagi, jaką stanowi ona jakoby dla boskości... Chciałabym, abyś mówiła mi o Bogu i o tym, jak bardzo go obrażam... Abyś roztoczyła przed moimi oczyma widok stosu, jaki zostanie dla mnie przygotowany, gdy ludzie zmasakrują już moje ciało...

- Ach! - wykrzyknęłam wówczas. - Nie dostrzegasz więc bezmiaru obrazy, jakiej dopuszczasz się wobec Najwyższej Istoty, ważąc się na ten szkaradny czyn?! Czy ów potężny Bóg, obraz wszystkich cnót, ów Bóg, który sam jest na tym świecie naszym ojcem, nie musi być wstrząśnięty zniewagą, dotykającą równie ciężko jego samego? Ach! Bądź pewna, że najwymyślniejsze męki piekła zarezerwowane są dla odrażającej zbrodni, jaką zamýślasz, i że niezależnie od wyrzutów sumienia, jakie nękać cię będą na tym świecie, zaznasz jeszcze, w tamtym siedlisku zgrozy, wszystkich fizycznych udręków, którymi rozszarpywać cię będzie sprawiedliwy gniew Boga...

- To nie wszystko - rzekła liberynka. - Powiedz mi teraz i o czekających mnie cielesnych udrękach, i o hańbie, jaka spaść musi zarówno na mnie, jak na mą rodzinę.

- Nieszczęsna! - zawołałam wówczas. - Niczym jest więc dla ciebie wieczna hańba, jaką twa odrażająca zbrodnia okryje cały twój ród? Pomyśl o swych potomnych, którzy nie ośmielą się podnieść czoła zbrukanego takim potwornym czynem. Z otchłani grobu, do jakiego strącają cię twe zbrodnie, usłyszysz ich skargę z powodu ohydnych piętna, jakim ich

naznaczyłaś. Pomyśl o tym tak wspaniałym nazwisku splamionym twymi okropieństwami. A straszliwa męka, jaką sobie gotujesz - czy jesteś w stanie ogarnąć ją swą wyobraźnią? Czujesz, jak zaciskają się na tobie kleszcze pomsty? Jak, powodując niewyobrazalny ból, odrywają tę piękną głowę od reszty plugawego ciała, którego odrażająca lubieżność mogła ją rozpalić do tego stopnia, byś ważyła się popełnić taką zbrodnię? Cierpienia te będą straszne. Odczuwać je będziesz jeszcze długo po tym, jak twoja głowa oddzielona zostanie od korpusu. Gdyby jednak to nie nastąpiło, wiedz, że natura, tak srogo przez ciebie znieważona, odpowie cudem, który, przedłuży twe męki poza samą wieczność. W tym momencie Borghese znalazła się u szczytu tak gwałtownej rozkoszy, że zemdląca... Przywiodła mi na myśl Donis z Florencji, spiskującą przeciw swej córce i matce.

- Och, co za głowy spotkać można wśród Włoszek! - zawołałam. - Dane mi więc było przybyć do tego kraju, by ujrzeć równe mi potwory?!

- Och, do diabła! Jakiej doznałam rozkoszy! - rzekła Olimpia, odzyskując świadomość i zabierając się do obmywania spirytusem ran, jakie moje różgi wyłobiły na jej pośladkach. - Teraz, kiedy jestem już spokojna, porozmawiajmy przez chwilę o faktach. Czy sądzisz, że zabicie własnego ojca jest rzeczywiście zbrodnią?

- Z pewnością daleka jestem od tego, by tak mniemać - odparłam. I przywołując w tej kwestii wszystko, co usłyszałam od Noirceuilu wówczas, gdy Saint-Fond chciał pozbyć się własnego ojca, tak skutecznie ukołam w tej czarującej kobiecie obawy, jakie jeszcze w niej pozostały, że całą rzecz postanowiłyśmy przeprowadzić już nazajutrz. Osobiście przygotowałam z nią dawki, jakie połknąć miał jej ojciec, i ze stokroć większą odwagą, niż zademonstrowała kiedykolwiek Bri-nvilliers, Olimpia Borghese uśmierciła sprawcę swego życia, obserwując z rozkoszą straszliwe męczarnie wywołane fatalną trucizną, do zastosowania której ją nakłoniłam. Zamach dokonany, ona wraca.

- Brandzłowałaś się? - pytam.

- Wątpisz w to? - odpowiada zbrodniarka. - Doprowadziłam się przy jego łóżku do stanu wyczerpania... Nigdy Parki nie zostały tak zalane spermą, a wycieka ona ze mnie wciąż jeszcze, gdy przypominam sobie jego gładzenie i konwulsje. Och, Julietto! Zechciej przedłużyć mą rozkosz! Przyszłam zaznać nowych uciech w twych ramionach. Spraw, bym znów się spuściła. Spermą tłumić należy wyrzuty sumienia po zbrodni...

- Wyrzuty sumienia! Czy to możliwe, byś ich doznawała?

- Nigdy, nigdy... Nieważne, brandzłuj mnie. Muszę się odurzyć, muszę się spuścić...

Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak ożywionej. Ach, przyjaciele! Jakże zbrodnia zdoła kobietę! Olimpia była zaledwie ładna; gdy tylko dopuściła się swego czynu, odnalazłam ją

wszakże piękną niczym anioł. Wówczas właśnie doświadczyłam, jak intensywna jest rozkosz otrzymywana od istoty, która wynosi się ponad wszystkie przesady i wszelką zbrodnię. Gdy brandzlowała mnie Grillo, doznawałam tylko zwykłych wrażeń; gdy powierzyłam się dłoniom Olimpii, zakręciło mi się w głowie i straciłam władzę nad zmysłami.

Tego samego dnia, w którym rozpałała swoje zmysły największą ze zbrodni, łajdaczka poprosiła mnie, bym udała się z nią do burdelu nieopodal Cours, gdzie zaproponowała mi uczestnictwo w bardzo oryginalnym seansie. Przybywamy. Przyjmuje nas kobieta w sile wieku.

- Czy dziś wieczór będzie wielu klientów? - spytała ją Olimpia.

- Mnóstwo, księżno - odpowiada maman. - Wie pani przecież, że w niedziele nigdy ich nam nie brakuje.

- Rozgościmy się więc - rzekła Olimpia.

Wprowadzono nas do przytulnego wnętrza, wyposażonego w niskie kanapy, rozlokowane w taki sposób, że mogliśmy widzieć, co dzieje się w sąsiednim pokoju, w którym znajdowały się trzy czy cztery kurwy.

- O co chodzi? - szepnęłam do Borghese. - Jakąż to osobliwą przyjemność mi przygotowałaś?

- Przyglądaj się wszystkiemu uważnie - rzekła Olimpia. - W ciągu siedmiu czy ośmiu godzin, jakie tutaj spędzimy, kohorty mnichów, księży, kapłanów, młodzieńców przejdą przez ręce tych dziewcząt. Klientela będzie rym liczniejsza, że ja pokrywam dziś wszystkie koszty, i ci, którzy będą tu przyjmowani, bawić się będą za darmo. Gdy tylko te kurwy dobiorą się do kutasa, dyskretnie nam go pokażą. Jeśli jakiś nie będzie nam odpowiadał, przekona je o tym nasze milczenie. Gdy zaś się nam spodoba, damy im to poznać za pomocą tego dzwoneczka. Właściciel pożądanego członka trafi natychmiast tutaj i uraczy nas tym, co ma najlepszego.

- Wybornie - odpowiedziałam - to dla mnie nowość, i czuję, że mi się spodoba. Oprócz rozkoszy, jaką obiecujesz mi z mężczyznami, którzy przypadną mi do gustu, czeka nas jeszcze bardzo pikantna przyjemność podglądania, jak zabawiać się będą z tymi dziwkami ci, których nie wybierzemy.

- Z pewnością - odparła Borghese. - Będziemy też mogły patrzeć, jak oni się pieprzą, same się spuszczać.

Ledwie Olimpia umilkła, gdy zjawił się rosy seminarzysta. Był to dwudziestolatek o pięknej figurze. Złożył w dłoniach dziewcząt członek mierzący siedem cali w obwodzie i dwanaście długości. Ów tak wspaniały klejnot został nam niezwłocznie zaprezentowany i, jak

łatwo odgadniecie, nie miałyśmy bynajmniej ochoty go odrzucić.

- Przejdź do pokoju obok - rzekła kurwa, usłyszawszy dzwonek.

- Załatwisz, tam swoją sprawę lepiej niż tutaj.

Osilek wchodzi ze sterczącym kutasem. Olimpia ujmuje narząd i mierzy nim w mą pizdę. - Poużywaj sobie! - mówi do mnie. - Ja też nie pozostanę długo beczynna.

Posłuchałam jej rady. Zaledwie mój hultaj się spuścił, gdy jeden zjago konfratrów, przywołany dzwonkiem przez Olimpię, zjawia się, by wypełnić ją tak, jak mnie tamten.

Po seminarzystach przychodzą policyjni agenci, po agentach au-gustianie, po nich rekolektanci, zastąpieni znów przez kapucynów. Stangreci, tragarze, lokaje przewijają się tabunami. Było ich już wreszcie tyłu i w dodatku tak monstrualnie wyposażonych, że musiałam błagać o litość. Zmagałam się bodaj ze sto dziewięćdziesiątym, gdy poprosiłam mą towarzyszkę, by kazała powstrzymać ten potop spermy, jaka zalewała mnie z jednej strony niemal tak samo silnie, jak z drugiej. Uważacie mnie, mam nadzieję, za dość sprawiedliwą, by przypuszczać, że fetując moją pizdę, nie zapomniałam bynajmniej o dupie.

- Och, do diabła! - rzekłam do Borghese, z trudem się podnosząc. - Często zabawiasz się w ten sposób?

- Siedem lub osiem razy w miesiącu - odpowiada Olimpia. - Jestem przyzwyczajona, w ogóle mnie to nie męczy.

- Gratuluję, bo ja jestem wykończona. Spuszczam się coraz szybciej, to mnie zabija.

- Chodźmy się wykapać i zjeść kolację - odpowiedziała Olimpia.

- Jutro będziesz w świetnej formie.

Księżna zabrała mnie do siebie. Po dwugodzinnej kąpieli zasia-dfyśmy do stołu, niezdolne przedsięwziąć niczego oprócz lubieżnej kon-wersacji.

- Kazałaś sobie wsadzać w dupę? - spytała Olimpia.

- Oczywiście! - odpowiedziałam. - Jakże, do diabła, mogłabym znieść tyle szturmów przypuszczonych w jedno miejsce?!

- Jeśli o mnie chodzi - odparła Borghese - to kazałam się jebać tylko w pizdę. Nie sadziłam, że przerwiesz tak szybko. Gdy zjawiam się w tym burdelu, spędzam tam dwadzieścia cztery godziny i oferuję jeba-kom mój tytek dopiero wówczas, gdy rozedrą mnie od przodu. Owszem, gdy mnie rozedrą... Chcę, by jebali mnie aż do krwi.

## ROZPRAWA PAPIEŻA O ZBRODNI

Już od pięciu miesięcy przebywałam w Rzymie, a jeszcze nie doszło do wizyty u papieża, na co nadzieję dali nam, mnie i Borghese, kardynałowie Bernis i Albani, gdy oto kilka dni po tamtej przygodzie otrzymałam wreszcie elegancki bilecik od Bernisa, zapraszającego mnie do siebie nazajutrz rano, ażeby przedstawić mnie Jego Świątobliwości, który, choć już od dawna pragnął mnie zobaczyć, nie mógł wszak wcześniej sprawić sobie tej przyjemności. Zalecono mi najzwyklejszą, choć zarazem najelegantszą toaletę i żadnych perfum. „Braschi - pisał kardynał - tak jak Henryk IV, pragnie, by wszystko miało taki zapach, jaki mieć powinno; czuje wstręt do sztuczności i ogranicza się do natury. Koniecznie zrezygnuj nawet z bidetu”. Posłuszna w każdym punkcie, przed dziesiątą rano stawiałam się w pałacu Bernisa. Pius oczekiwał nas w Watykanie.

- Ojciec Święty - zwrócił się doń Bernis, przedstawiając mnie -oto młoda Francuzka, której pragnęłaś. Ogromnie zaszczycona łaską, jaką jej okazałaś, przyrzeka ci ślepe posłuszeństwo we wszystkim, co Waszej Świątobliwości spodoba się jej rozkazać.

- Nie pożałuje swej uprzejmości - rzekł Braschi. - Zanim oddamy się sprośnościom, o jakie mi chodzi, mam ochotę zostać z nią sam na sam... Odejdź, kardynale, i powiedz pokojowym, że dzisiaj drzwi będą zamknięte dla wszystkich.

Bernis wyszedł, a Jego Świątobliwość wziął mnie pod rękę i, wiodąc przez ogromne apartamenty, zaprowadził do odosobnionego gabinetu, który, choć przepysznie urządzone w ciemnych barwach religii i skromności, zapewniał wszak rozpuście to wszystko, co najbardziej mogło dogadzać papieskim skłonnościom. Wszystko się tam ze sobą mieszało. Obok Teresy w ekstazie widać było jebaną w dupę Mesalinę, a pod obrazem Chrystusa znajdowała się Leda...

- Siądź - powiedział Braschi. - W tym miejscu zapominam o podziałach i, witając łaskawie występki, gdy jest on równie uroczy jak ty, pozwalam mu zasiąść obok cnoty.

- Dumna maro - odrzekłam temu staremu despocie - twój zwyczaj oszukiwania ludzi sprawia, że starasz się oszukać samego siebie. Gdzie, do diabła, szukasz cnoty, skoro sprowadziłaś mnie tutaj, by splamić się występkami?

- Ktoś taki jak ja nigdy się nie splami, moja droga - odparł papież. - Jako że jestem spadkobiercą uczniów Boga, otaczają mnie cnoty Wiekuistego, nie jestem nawet mężczyzną, gdy na chwilę przejmuję jego wady.

Wybuchłam niepohamowanym śmiechem i wykrzyknęłam:



- Biskupie Rzymu! Odrzuć tę bezczelną butę, będąc z kobietą, która jest na tyle mądra, by cię ocenić. Posłuchaj i pozwól, że wraz z tobą zastanowię się pokrótce twą władzą i twymi uroszczeniami.

W Galilei powstaje religia, której podstawy stanowią ubóstwo, równość i nienawiść do bogaczy. Zasada tej świętej doktryny brzmi, że nie prędzej bogacz wejdzie do królestwa niebieskiego, niż wielbłąd prze-ciśnie się przez ucho igielne..., że bogaty jest potępiony z tego tylko powodu, że jest bogaty. Uczniom tego kultu zabronione jest branie zapłaty. Jezus, ich przywódca, mówi: „Nie przyszedłem po to, by mi służyli, lecz bym sam służył; nie będzie pośród was ani pierwszego, ani ostatniego... Ten z was, kto będzie chciał się wywyższyć, zostanie poniżony; ten, kto będzie chciał być pierwszy, będzie ostatni”. Pierwsi apostołowie tej religii pędzili życie w pocie i znoju. Czy to wszystko prawda, Braschi?

- Tak, bez wątpienia.

- Dobrze, a teraz pytam cię, jak do tych pierwszych instytucji mają się ogromne bogactwa, jakie każesz sobie ofiarowywać we Włoszech? Czy posiadanie przez ciebie takich dóbr zgodne jest z Ewangelią, czy raczej z oszukaństwem twych poprzedników? Biedaczko! I jeszcze chcesz nam tym zaimponować!

- Ateistko, uszanuj przynajmniej pochodzenie od świętego Piotra.

- Wcale od niego nie pochodzisz: święty Piotr nigdy nie postawił stopy w Rzymie. Biskupi pierwszych wieków Kościoła zaczynają być znani, a ich istnienie można jakoś potwierdzić, dopiero pod koniec drugiego wieku naszej ery. Jakże więc śmiesz twierdzić, że ów Piotr był w Rzymie, podczas gdy pisał w Babilonie?

Czy uważasz, że umkniesz tej krytyki mówiąc, że Rzym i Babilon to to samo... ? Nieszczęsny głupcze! Nikt ci już nie wierzy, gardzą tobą. Czy Piotr był podobnym typem...? Czy twego przodka nie odmalowano nam jako biedaka, który nauczał biedaków? Zgodzisz się, Bra-schi, że w takim razie podobny jest on do twórców zakonu, którzy żyli w ubóstwie, a których następcy pławią się w złocie. Wiem, że ci, którzy poszli za Piotrem, bądź zyskali, bądź stracili; niemniej prawdą jest, że przesąd i łatwowierność są tak potężne, że masz na ziemi jeszcze trzydzieści czy czterdzieści milionów niewolników. Czy jednak sądzisz, że pochodnia filozofii nie rozjaśni im wkrótce widzenia? Czy sądzisz, że długo jeszcze będą się godzić na uległość wobec pana znajdującego się o trzysta lub czterysta mil od nich? Że długo jeszcze zechcą myśleć, osądzać, postępować zgodnie z twą wolą? Posiadać dobra tylko pod warunkiem, że zapłacą ci haracz? Nie zawierać związków małżeńskich zgodnie z własnym wyborem, lecz wyłącznie za twym przyzwoleniem? Ech! Nie, nie! Nie wyobrażaj sobie, że jeszcze długo będą tkwić w błędzie! Wiem, że te śmiechu warte prawa sięgały niegdyś

jeszcze dalej; wynosiliście się ponad bogów, gdyż bogowie ci pojawiali się tylko po to, by rządzić imperiami, a faktycznie rządiliście wy. Powtarzam ci jednak, Braschi, wszystko to się wyczerpuje, zanika. Jakże w istocie się nie dziwić, mój drogi papieżu, widząc, do jakiego stopnia przesąd może wynaturzyć rzeczy najprostsze! Zgodzisz się, że nie wiadomo, czemu bardziej należy się dziwić: czy ślepecie ludu, czy przerażającej beczelności tych, którzy go oszukują. Jak to możliwe, że zważywszy na rozwiązłość, jaką splamiliście się przed światem, można jeszcze, jak to ma miejsce, darzyć was szacunkiem? I jak to możliwe, że macie jeszcze jakichś gorliwych wyznawców? To wyłącznie głupota książąt i ludu umacniała wielkość papieży i pozwalała wam w niezrozumiały i zuchwały sposób rościć sobie pretensje równie sprzeczne z duchem religii, co oburzające dla rozumu i szkodliwe dla polityki. Ci, którzy znają moc przesądu, powinni wszak być zdziwieni ich powodzeniem; nie ma takiego wybryku, takiego głupstwa, o jakie nie można by podejrzewać dewocji. Zresztą niektóre pobudki polityczne utrwały skutki przesądu. W okresie schyłku Cesarstwa wodzowie zajęci kosztownymi, w odległych krajach prowadzonymi wojnami musieli was oszczędzać, gdyż wiedzieli, jaki macie wpływ na ludzkiego ducha; przymykając oczy na wasze poczynania, mimowolnie przyczynili się do zniszczenia własnego imperium. Wskutek ciemnoty barbarzyńskie hordy przejęły system polityczny cesarzy i w ten oto sposób powoli staliście się panami części ludów Europy.

Depozyt nauk pozostał w rękach mnichów, waszych czcigodnych obrońców; nikt nie mógł objaśniać wszechświata; ulegano temu, czego nie znano, i ci wojownicy, którzy przewędrowali świat, uznali za rzecz prostszą oddawać wam cześć niż was oceniać. Zmiana nastąpiła w piętnastym wieku: świt filozofii zapowiedział upadek przesądu; rozproszyły się chmury, ośmielono się wam spojrzeć w twarz. A wówczas zobaczono w was i waszych popiecznikach tylko oszustów i łotrów: kilka narodów, pozyskanych jeszcze przez waszych księży, pozostało wiernych, ale pochodnia rozumu zapłonnie wkrótce i dla nich. Och, mój drogi, twoja rola jest skończona! Ażeby przyśpieszyć doniosłą rewolucję, która na zawsze obali podstawy twego na przesądzie zbudowanego imperium, wystarczy spojrzeć na historię twych poprzedników. Nakreślę ją, Braschi; moja erudycja pokaże ci, że skoro kobiety mojej narodowości są do tego stopnia wykształcone, naród ten, któremu jestem wierna, już niedługo zrzuci z siebie to śmiechu warte jarzmo.

Cóż widzę w początkach chrześcijańskiej doby? Wojny, zawieruchy, bunty, masakry, owoce chciwości i ambicji zbrodniarzy, którzy ubiegali się o papieski tron; już to rydwany ciągnęły w Rzymie dumnych arcykapłanów twego przerażającego Kościoła; już to plamiły ich zbytek i lubieżność; już to okrywali się purpurą. Aby cię przekonać o słuszności

postawionych wam zarzutów, nie odsyłam cię bynajmniej do twych wrogów, lecz do wyznawców, do samych Ojców Kościoła; posłuchaj Hieronima i Bazy lego: Gdy byłem w Rzymie, mówi ten pierwszy, chciałem usłyszeć język litości i cnoty; strapiłem się widząc otaczających papieża faryzeuszy; opuściłem pałac Rzymu, by powrócić do groty Jezusa. W ten sposób określili już was siłą nakłonieni do prawdy wasi poddani. Z jakąż energią ten sam Hieronim gdzie indziej zarzuca wam skandale wywoływane waszą rozpustą, szelmostwem, intrygami mającymi na celu wyciągnięcie pieniędzy od bogaczy, znalezienie się w testamentach wielkich Rzymian, a zwłaszcza dam, które niegodziwie wykorzystywaliście. Odsyłam cię do edyktów cesarzy. Zobacz, z jaką mocą Walentynian, Walens i Gracjan próbowali w swych edyktach położyć kres waszemu skąpstwu, libertynizmowi i ambicjom. Dodajmy jednak do naszego szkicu kilka grubych kresek. Czy sądzisz, Braschi, czy sądzisz, że nie można wątpić w twą świętość..., twą nieomyślność, gdy widzi się:

Liberiusza, z powody strachu i słabości wciągającego cały Kościół w arianizm.

Grzegorza, usuwającego nauki i sztuki, ponieważ twierdzi on, że jedynie niewiedza może sprzyjać nedorzecznosciom odrażającej religii..., i ośmiela się posunąć bezczelność tak daleko, że schlebia królowej Brunhildzie, temu potworowi, za którą Francja jeszcze dziś się czerwieni.

Stefana VII, który swego poprzednika, Formozę, uznaje za tak splamionego zbrodniami, że w barbarzyński i śmieszny sposób czuje się zmuszony wydać na męki jego trupa.

Sergiusza, splamionego wszelkiego rodzaju rozpustą, którym zawsze rządziły kurwy.

Jana XI, syna jednej z tych łajdaczek, który sam żył w kazirodczym związku z Marozją, swą matką.

Jana XII, czarnoksiężnika i bałwochwalcę, który z bożej świątyni uczynił miejsce haniebnej rozpusty.

Bonifacego VII, któremu tak spieszo było do tiary, że zamordował Benedykta VI, by zająć jego miejsce.

Grzegorza VII, który, będąc większym despotą niż wszyscy królowie razem wzięci, kazał im prosić o łaskę u bram..., który wyłącznie z powodu własnej dumy i ambicji przelał w Niemczech morze krwi..., który twierdził, że każdy papież jest nieomylny i święty, i że wystarczy zasiąść na tronie świętego Piotra, by stać się równie potężnym jak sam Bóg.

Pascala II, który, zgodnie ze swymi odrażającymi zasadami, śmiało uzbroić cesarza przeciw własnemu ojcu.

Aleksandra III, który Henryka II, króla Anglii, haniebnie kazał wychłostać za

morderstwo, jakiego ten monarcha nigdy nie popełnił..., który zwołał krwawą krucjatę przeciw Albigenom.

Celestyna III, który, pod wpływem ambicji i skłonności do tyranii, ośmielił się postawić stopę na głowie korzającego się przed nim Henryka VI, a następnie kopnąć ją, by pokazać cesarzowi, czego powinien się spodziewać, jeśli nie okaże papieżowi należnego szacunku.

Innocentego IV, który otruł cesarza Fryderyka podczas nie kończących się wojen między Gwelfami i Gibelinami, jakie wywołały wasza duma i namiętności, i jakie tak długo demoralizowały Włochy.

Klemensa IV, który kazał ściąć młodego księcia tylko za to, że ten domagał się sukcesji po swych ojcach.

Bonifacego VIII, sławnego z powodu sporów z królami Francji, bezbożnika, ambitnego autora tej świętej farsy znanej pod nazwą odpustu zupełnego, służącego wyłącznie napełnianiu papieskich skrzyń.

Klemensa V, tak zbrodniczego, że kazał otruć cesarza Henryka VI za pomocą hostii.

Benedykta XII, który za cenę srebra kupił siostrę słynnego Petrar-ki, by uczynić z niej swą kochankę.

Jana XXIII, sławnego z powodu swej ekstrawagancji..., który potępił jako heretyków wszystkich utrzymujących, że Jezus Chrystus żył w ubóstwie, który rozdawał korony, który sprawiedliwość zmienił w niesprawiedliwość i który swój obłęd posunął do ekskomunikowania aniołów.

Sykstusa IV, który ciągnął ogromne zyski z burdeli, jakie otworzył w Rzymie, który wysłał Szwajcarom czerwoną flagę, zachęcając, by wzajemnie się powyrzynali dla chwały Kościoła rzymskiego.

Aleksandra VI, którego imię wystarczy wymienić, by wywołać oburzenie i odrazę wszystkich mających jakiegokolwiek pojęcie o jego dziejach; zbrodniarza, który nie miał ani uczciwości, ani honoru, ani dobrej wiary, ani litości, ani religii i którego lubieżna rozpusta, okrucieństwo, trucicielstwo przekraczają wszystko, co Swetoniusz opowiada o Tyberiuszu, Neronie i Kaliguli; jednym słowem, libertyna, który sypiał ze swą córką Lukrecją, który lubił nakazywać piętnastu dziwkom biegać nago na czworakach i w ten sposób rozpałał swą wyobraźnię różnymi pozami, jakie zmuszone były przyjmować.

Leona X, który dla powiększenia deprawacji swych poprzedników wymyślił sprzedawanie odpustów, a jako że był niedowiarkiem, kardynałowi Bempo, swemu przyjacielowi, gdy ten zacytował mu fragment z Ewangelii, tak odpowiedział: Ech! Po diabła

opowiadasz mi tutaj bajki o Jezusie Chrystusie?

Juliusza III, prawdziwego sardanapala, który tak daleko posunął swą bezczelność, że swego fagasa kształcił na kardynała; który stanął pewnego dnia nago w swym pokoju, zmusił kardynałów, którzy tam weszli, by także się rozebrali, i rzekł do nich: „Przyjaciele, jeśli w ten sposób przebiegniemy ulicami Rzymu, nikt nie okaże nam należytego szacunku. Jeśli tylko nasze habity skłaniają do okazywania go, to zatem tylko dzięki nim mamy obowiązek być kimś”.

Piusa V, szanowanego niczym święty; fanatyka i okrutnika, który był sprawcą wszystkich prześladowań protestantów we Francji; podżegacza okrucieństw księcia Alby; zabójcę Palearia, którego jedyną zbrodnią były słowa, że Inkwizycja wymierzyła swój sztylet w ludzi pióra; i który w końcu stwierdził, że nigdy nie był tak niepewny zbawienia, jak wówczas, gdy był papieżem.

Grzegorza XIII, obrzydliwie wychwalającego noc świętego Bartłomieja, który w prywatnych listach gratulował Karolowi IX, że ten sam strzelał do protestantów.

Sykstusa Kwintusa, który oświadczył, że w Rzymie podczas kanikuły, jeśli tylko taka wola, można pierdolić w dupę, i który w tym wielkim mieście wprowadził porządek i policję, zraszając je krwią.

Klemensa VII, autora słynnego spisku prochowego.

Pawła V, który wywołał wojnę w Wenecji, ponieważ cywilny magistrat chciał ukarać mnicha za zgwałcenie i zamordowanie dwunastolatki.

Grzegorza XV, który napisał do Ludwika XIII: „Morduj, zabijaj tych wszystkich, którzy mnie nie znają”.

Urbana VIII, sprawcę masakr w Irlandii, w których zginęło sto pięćdziesiąt tysięcy protestantów itd., itd.

Oto, mój drogi, ci, którzy cię poprzedzają! I ty chcesz, byśmy nie czuli sprawiedliwej odrazy do bezczelnych lub zepsutych przywódców podobnej sekty? Ach! Oby wszystkie ludy mogły wnet uznać swój błąd co do tych papieskich bożyszcz, które dotychczas wpędzały je tylko w kłopoty, biedę i nieszczęście! Niech wszystkie narody ziemi, drżąc od straszliwych skutków wywoływanych od tylu wieków przez podobnych zbrodniarzy, szybko zdeponizuj ą tego, kto nastał po tamtych, i zarazem obalą głupią, barbarzyńską, bałwochwalczą, krwawą i bezbożną religię, która mogła przyjąć ich na swe łono i wynieść na szczyty!

Gdy skończyłam, Pius VI, który słuchał mnie bardzo uważnie, zaczął mi się przyglądać z najwyższym zaskoczeniem.

- Braschi - powiedziałam - dziwisz się, że jestem tak wykształcona, wiedz zatem, że

teraz w taki właśnie sposób wychowuje się w mej ojczyźnie wszystkie dzieci: wieki błędów przeminęły. Zdecyduj się więc, stary despoto, połam krzyż, spal hostię, zdepcz wizerunki i relikwie; po zwolnieniu ludów z przysięgi złożonej ich władcom, uwolnij teraz swych popleczników od błędu, w jakim ich utrzymywałeś. Uwierz mi, ustąp z tronu, jeśli nie chcesz lec pod gruzami: lepiej ustąpić miejsca silniejszemu niż patrzeć, jak sam je sobie bierze. Wszystkim w świecie rządzi opinia, a ona zmienia się na twą niekorzyść i na niekorzyść wszystkich twoich maskarad: zmień się wraz z nią. Kiedy topór zostaje wzniesiony, roztropniej jest uchylić głowę niż czekać na cios. Masz za co żyć, znów będziesz rzymskim mieszczaninem. Zmień okrywającą cię żalobną szatę tej kanalii, rozpuść swych mnichów, otwórz klasztory, przywróć zakonnicom swobodę wychodzenia za mąż, nie siej już ziarna stu pokoleń. Zdziwiona Europa będzie cię wielbić, twe imię wyryte zostanie na kolumnach świątyń pamięci, do których nawet się nie zbliżysz, jeśli wątpliwego zaszczytu bycia papieżem rychło nie zamienisz na autentyczny zaszczyt bycia filozofem.

- Julietto - rzekł Braschi - mówiono mi, że posiadasz nieprzeciętny umysł, ale nie wierzyłem w to; taki stopień znajomości zagadnień idei jest rzeczą niespotykaną u kobiety. Widzę, że przy tobie nie ma co udawać, zrzucam więc maskę: widzisz oto mężczyznę, widzisz kogoś, kto za wszelką cenę chce się tobą rozkoszować.

- Posłuchaj mnie, stara małpo - odparłam - nie przyszłam tutaj, by odgrywać rolę westalki, i skoro pozwoiliłam się zaprowadzić do naj-sekremniej szych apartamentów twego pałacu, możesz być pewien, że nie mam zamiaru ci się opierać. Zamiast jednak mieć we mnie kobietę miłą, kobietę gorącą, uprzedzającą twe upodobania i je wielbiącą, będziesz mieć zimną boginię, jeśli nie zgodzisz się spełnić czterech rzeczy, jakich od ciebie żądam.

Przede wszystkim, jako pierwszej oznaki zaufania żądam, byś dał mi klucze do najbardziej sekretnych pokoi; chcę zobaczyć wszystko, nie chcę, by mej uwadze uszedł choć jeden gabinet.

Drugą rzeczą, jakiej żądam, jest filozoficzna rozprawa o morderstwie. Często plamiłam się tym czynem, chcę wiedzieć, czego się w tym względzie trzymać. To, co mi powiesz, na zawsze utwali mój sposób myślenia. Nie dlatego że wierzę w twą nieomyślność, lecz mam zaufanie do studiów, jakie poczyniłeś, a pewna jestem, że widząc we mnie filozofa, nie ośmielisz się mnie oszukiwać.

Trzeci warunek, który miałby mnie przekonać o głębokiej pogardzie, w jakiej powinienes mieć wszystkie święte maskarady chrześcijańskiego kultu, to ten, że będziesz mógł się mną rozkoszować wyłącznie na ołtarzu świętego Piotra, po odprawieniu przez kapelanów mszy na tyłku fagasa i wetknięciu mi w odbyt twym świętym kutasem małego

Boga chlebowego, rezultatu tej odrażającej ofiary. Setki razy dopuszczałam się wszystkich tych szaleństw, podnieca mnie jednak myśl, że właśnie ty ich dokonasz, inaczej nawet mnie nie dotkniesz.

Czwartym warunkiem jest wydanie w ciągu kilku dni wielkiej uczty z udziałem Albaniego, Benisa i mojej przyjaciółki Borghese, uczty przepelnionej większym zbytkiem i libertynizmem niż kiedykolwiek uczynili to twoi poprzednicy: chcę, by w niegodziwości po tysiąckroć przerosła ona ucztę, jaką Aleksander VI wydał na cześć swej córki Lukrecji.

- To niewątpliwie osobliwe warunki! - rzekł Braschi.

- Albo wszystkie je przyjmiesz, albo nigdy mnie nie posiądziesz.

- Czy nie sądzisz, że jesteś tutaj w mojej mocy i że wystarczy jedno słowo...

- Wiem, że jesteś tyranem, że jesteś zbrodniarzem: nie posiadając tych cech, nie zajmowałbyś miejsca, jakie zajmujesz, ale jako że tak jak ty jestem łajdaczką, uszanujesz mnie, polubisz. Masz ochotę zobaczyć, do jakiego stopnia zbrodnicość może opanować, wypełnić umysł kobiety; z tego powodu, Braschi, polubisz mnie... i zadowolisz.

- O, Julietto! - rzekł Pius VI, ściskając mnie -jesteś naprawdę, niezwykłym stworzeniem; twój wpływ bierze górę, jestem twym niewolnikiem; skoro masz taki umysł, oczekuję od ciebie najbardziej pikantnych przyjemności... Weź, oto klucze..., oglądaj..., oddaję ci wszystko; gdy już okażesz mi oczekiwane względy, obiecuję ci rozprawę, jakiej jesteś ciekawa. Możesz liczyć na ucztę, jakiej żądasz, a tej samej nocy dokona się profanacja, jakiej się domagasz. Nie bardziej niż ty, mój aniele, daję wiarę tym duchowym maskaradom, ale wiesz, że musimy je urządzać dla słabych. Jestem niczym szarlatan, który rozdziela swe leki: jeśli chcę je sprzedać, muszę sprawiać takie wrażenie, że w nie wierzę.

- Dowodzi to, że jesteś łajdakiem - przerwałam Braschiemu. -Gdybyś był uczciwy, wolałbyś oświecać ludzi niż ich oszukiwać, zdzierałbyś opaski przesłaniające im oczy, zamiast je zaciskać.

- Ale umarłbym z głodu.

- A po co miałbyś żyć? Czy po to, byś jadł, pięćdziesiąt milionów ludzi musi tkwić w błędzie?

- Tak, ponieważ moje istnienie jest dla mnie wszystkim, a te pięćdziesiąt milionów ludzi niczym..., ponieważ pierwszym prawem natury jest zachowanie siebie..., obojętne czym kosztem.

- Zdemaskowałeś się, arcykapłanie, to wszystko, czego pragnęłam. Podajmy więc sobie ręce, oboje bowiem jesteśmy szelmami i odtąd nie ma między nami tajemnic.

- Zgadzam się - rzekł papież - zajmujmy się wyłącznie przyjemnościami.

- Dobrze - odparłam - zacznij od wywiązania się z pierwszej obietnicy, daj przewodnikowi klucze pałacowe, chcę zobaczyć wszystko.

- Sam będę twym przewodnikiem - powiedział Braschi. - Ten wspaniały dom - ciągnął, gdy szliśmy - zbudowany został w miejscu, w którym Neron zabawiał się oświetlaniem ogrodów płonącymi ciałami pierwszych chrześcijan; umieszczał je w pewnych odstępach, by służyły mu za pochodnie.

- Och! Mój drogi - przerwałam - byłabym godna tego spektaklu; bardzo bym chciała go zobaczyć; moja nienawiść do tej nikczemnej sekty sprawia, że z przyjemnością bym go obejrzała.

-Nie zapominaj, łajdaczko - powiedział Ojciec Święty - że mówisz do zwierzchnika tej religii...

- Kocha on ją nie bardziej niż ja - odparłam - i właściwie ją ocenia; poszanowanie, jakie ma dla niej, oparte jest wyłącznie na ciągniętych z niej zyskach. Ech! Mój drogi, gdybyś był władcą, tak samo traktowałbyś wrogów tej religii, na której się tuczysz.

-Niewątpliwie, Julietto. Nietolerancja jest pierwszą zasadą Kościoła; bez najwyższego rygoryzmu jego świątynie szybko ległyby w gruzach; gdy prawo już nie działa, musi spaść miecz.

- O, Braschi! Jakimż jesteś despotą!

- Jakże książęta mieliby rządzić bez despotyzmu? Ich władza zależy od opinii: gdy ta się zmienia, oni są zgubieni. Jedyne zachowanie władzy polega na budzeniu strachu, przesłanianiu oczu opaską błędu, by Pigmeje okazali się olbrzymami.

- Braschi, ludzie przeglądają na oczy; wkrótce zginą wszyscy tyrani, a berła, jakie dzierżą, i kajdany, w jakie zakuwają, spadną u stóp ołtarzy wolności, tak jak cedr łamie się pod podmuchami miotającego nim północnego wiatru. Zbyt długo despotyzm gwałcił należne ludziom prawa, teraz muszą je oni odebrać, całą Europę musi ogarnąć rewolucja, a zabawkom religii i tronu, na zawsze pogrzebanym, niezwłocznie przeciwstawiona zostanie energia obu Brutusów i cnota obu Katonów.

Cały czas szliśmy.

- Przejście całego pałacu nie jest drobnostką - powiedział Braschi. - Składa się on z czterech tysięcy czterystu dwudziestu dwóch pokoi, dwudziestu dwóch podwórców i ogromnych ogrodów. Zacznijmy od obejrzenia tego - powiedział papież, prowadząc mnie do galerii położonej nad przedsionkiem kościoła Świętego Piotra. - Stąd - ciągnął arcykapłan - udzielam światu błogosławieństwa..., stąd wyklinam królów..., zwalnięm ludy z przysięgi wierności, jaką winne są swym książętom.



- Godny pogardy szalbierzu - powiedziałam dobitnie - twój teatr, zbudowany na głupocie narodów ziemi, chwieje się! Filozofia go unicestwi.

Stamtąd przeszliśmy do słynnej galerii. Żadne pomieszczenie w Europie, nawet galeria w Luwrze, nie jest tak długie jak to, żadne też nie posiada tak wspaniałych dzieł malarskich. Podziwiając Świętego Piotra z trzema kluczami, ostatni obraz w tym wspaniałym pomieszczeniu, powiedziałam:

- Arcykapłanie, oto więc kolejny pomnik twej dumy?

- To znamię bezgranicznej mocy - odparł papież -jakąprzypisywali sobie Grzegorz VII i Bonifacy VIII.

- Ojciec Święty - powiedziałam do starego biskupa - zmień te znamiona, włóż bat w rękę odźwiernego i wystaw swój stary tyłek na jego razy: będziesz miał zasługę profety.

Stamtąd przeszliśmy do biblioteki mającej kształt litery T. Było w niej wiele szaf, ale niewiele książek.

- U ciebie wszystko jest fałszywe - powiedziałam do Braschie-go. - Zakryjcie połowę tych półek, by nie domyślano się, że są puste. Waszą stałą dewizą jest pragnienie imponowania i oszukiwania.

W tym przybytku Muz z przyjemnością ujrzałam rękopis Teren-cjusza, w którym na początku każdej części narysowane są maski służące aktorom komedii. Z satysfakcją dostrzegłam też oryginalne listy Henryka VIII do Anny Boleyn, jego córki, w której był zakochany i którą wbrew papieżowi poślubił. Pamiętna epoka reformy w Anglii.

Następnie przeszliśmy do ogrodów, gdzie zobaczyłam najpiękniejszą plantację pomarańczy, najwspanialsze krzewy mirtowe, fontanny z najświeższą wodą.

- Druga część tego pałacu, do której teraz dochodzimy - powiedział Ojciec Święty - służy za lokum dla kilku obiektów rozpusty jednej i drugiej płci, jakie trzymam w zamknięciu. Pojawia się one na uczcie, jaką ci przyrzekłem. Chodźmy dalej.

- Ach! Braschi - powiedziałam z entuzjazmem - trzymasz je więc w klatkach...! Mam przynajmniej nadzieję, że nie mają z tobą lekkiego życia... Chłószczesz je?

- Gdy jest się starym, trzeba dojść i do tego - powiedział prawy Braschi. - To najśłodsza rozkosz ludzi w moim wieku i naprawdę najlepsza.

- Jeśli chłószczesz, to jesteś okrutny; dla libertyna chłosta jest tylko podniętą jego okrucieństwa. Gdy już się do tego posunie, jego sprawą jest dać sobie upust. Jeśli się ośmieli, uczyni coś innego.

- Tak! Ośmielam się - rzekł w zabawny sposób Ojciec Święty -tak, niekiedy się ośmielam, zobaczysz, Julietto, zobaczysz.

- Mój drogi - powiedziałam do papieża - pozostaje mi zbadanie twych skarbów. Musisz mieć złoto, wiem, że jesteś skąpy, ja także, niczego w świecie nie kocham bardziej niż złota: choć przez chwilę chcę się pławić wraz z tobą w stosach tego metalu.

- Znajdujemy się niedaleko miejsca, w którym je trzymam - powiedział papież, prowadząc mnie mrocznym korytarzem do niewielkich okutych żelazem drzwi, które otworzył. - To wszystko, co posiada Stolica Apostolska - ciągnął mój przewodnik, wprowadzając mnie do małej sklepionej sali, pośrodku której leżało około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu milionów w talarach i w cekinach. - Więcej wydałem niż dołożyłem. Pierwszym, kto zaczął zapełniać ten zbudowany na głupocie chrześcijan skarbiec, był Sekstus Kwintus.

- Dopóki wasza korona nie podlega dziedziczeniu - powiedziałam - głupotą jest gromadzenie bogactw; będąc na twoim miejscu, wszystko to bym roztrwoiła. Obdarowuj przyjaciół, mnoż przyjemności, nie odmawiaj sobie żadnej rozkoszy: to lepsze niż gromadzenie tych sum dla zdobywców, zostaniesz bowiem pobity. Arcykapłanie, przepowiadam ci, kilka wolnych narodów, które zerwą monarchiczne więzy, weźmie się za ciebie i będziesz, ośmielę się być tego pewna, ostatnim papieżem Kościoła rzymskiego. W każdym razie, ile można stąd wziąć?

- Tysiąc cekinów.

- Stary draniu - odparłam - a to ci zapłata. Zważ mnie, gdy napelnię kieszenie, i wiedz, że chcę wziąć trzy razy więcej niż ważę: do ciebie należy rozstrzygnięcie, czy kobieta taka jak ja nie zasługuje na tak śmieszłą cenę.

Mówiąc to zaczęłam napychać kieszenie.

- Zrezygnuj z tego rachunku - rzekł Braschi - byłby niewykonalny. Weź, oto bon na dziesięć tysięcy cekinów płatny za okazaniem przez mego skarbnika.

- Taki akt hojności niezbyt ujmuje; za pieniądze zapłacone Wenus nie odczuwam najmniejszej wdzięczności.

Wychodząc zaś z tego pokoju, wzięłam, tak jak postanowiłam, woskowy odcisk zamka. Braschi niczego się nie domyślił i wróciliśmy do apartamentu, w którym mnie przyjął.

- Julietto - powiedział wówczas - choć spełniłem dotąd tylko jeden warunek, powinnaś, jak sądzę, być ze mnie zadowolona. Zobaczmy teraz, czy ja będę zadowolony z twojej uprzejmości.

I łajdak zaczął rozwiązywać wstążki mych spódnic.

- A reszta? - spytałam.

- Skoro dotrzymałem słowa wobec pierwszego warunku, masz, Julietto, podstawy

sądzić, że wypełnię wszystkie pozostałe...

I stary łajdak już się do mnie zabierał. Byłam pochylona na sofie, podczas gdy hultaj, klęcząc na jednym kolanie, całkiem wygodnie, badał do woli tę część ciała, która go tak interesowała.

- Wspaniała! - wykrzyknął. - Albani wyrażał się o niej pochlebnie, ale nic sądziłem, że jest aż tak wspaniała...

Pocałunki arcykapłana stawały się powoli coraz gorętsze: jego język wniknął do wnętrza, a ręka, jak zauważyłam, skierowała się ku jego wątlej męskości. Płonęłam ciekawością ujrzenia papieskiego kutasa: odwróciłam się, lecz niczego nie dostrzegłam.

- Jeśli zechcesz - powiedziałam - potrudzić się chwilę, przyjmimy wygodniejszą pozycję, mogłabym ułatwić ci realizację zamiaru, nie zmieniając obiektu twoich hołdów.

Następnie pomogłam mu się położyć na otomanie, zbliżyłam pośladki do jego twarzy i, pochyliwszy się, zaczęłam mu brandzlować kutasa, gdy tymczasem drugą ręką błędziłam po jego pośladkach i łaskotałam mu odbyt. Te poczynania pozwoliły mi przyjrzeć się Ojcu Świętemu i zaraz odmaluję go najlepiej, jak potrafię.

Braschi jest otyły, pośladki ma krągłe, jędrne i pulchne, ale skutkiem przyzwyczajenia do chłosty tak twarde i mocne, że szpilka wchodzi w nie równie trudno jak w skórę psa morskiego; dziura w dupie jest nadzwyczaj szeroka (a jakże mogłoby być inaczej, skoro zgodnie ze swym zwyczajem każe się on pierdolić dwadzieścia pięć czy trzydzieści razy dziennie?); jego kutas nie jest pozbawiony urody, gdy stoi, jest suchy, żyłasty, z dobrze odsłoniętą główką, może mieć osiem cali długości na sześć obwodu. Nie uniósł się on zbyt szybko, dopiero wówczas, gdy papieskie namiętności wyraziły się z całą energią: twarz przykleił do moich pośladków, poczułam jego zęby, a następnie paznokcie. Ponieważ była to tylko zabawa, nie odezwałam się ani słowem, gdy jednak Ojciec Święty zaczął się zapominać, odwróciłam się doń i powiedziałam:

- Braschi, zgadzam się na rolę twojej współpracownicy, ale nie ofiary.

- Gdy mi staje i gdy płacę - odparł papież - przestaję dostrzegać tę różnicę... Cóż! Sraj..., sraj..., Julietto, to mnie uspokoi; ubóstwiam gównem i jeśli zechcesz mi je dać, na pewno się spuszczę...

Wróciłam do poprzedniej pozycji, a będąc w stanie usłuchać, tak też uczyniłam. Pontyfikalny kutas stwardniał do tego stopnia, że poczułam, iż Braschi zaraz się spuści.

- Dalej, przygotuj się - ciągnął wieprz-muszę cię zerznąć w dupę...

- Nie, nie - stwierdziłam - straciłbyś wigor, straciłyby też na tym nasze nocne orgie.

- Mylisz się - powiedział papież, przysuwając sobie mój tyłek - często pierdole

trzydzieści lub czterdzieści razy nie tracąc spermy... Nadstaw się, mówię ci, muszę cię zerznąć.

Nie mając powodu, by robić przeszkody, których nie mógłby pokonać w stanie, w jakim go widziałam, oddałam mu tyłek. Braschi przebił go bez żadnych przygotowań. To zderzenie bólu i przyjemności, podrażnienie duchowe wynikające z faktu, że w mojej dupie tkwił kutas papieża, wszystko to szybko sprawiło mi rozkosz i zlałam się. Gdy sodomita to spostrzegł, uściskał mnie gorąco, ucałował i wybrandzlował. W pełni jednak panując nad swymi namiętnościami, łotr tylko je podrażnił, nie dając im ujścia, i po kwadransie się wycofał.

- Jesteś czarująca - powiedział - nigdy nie jebałem rozkoszniej -szej dupy. Siądźmy do stołu; wydam rozkazy w celu przygotowania sceny, która, jak żądasz, ma się rozegrać na ołtarzu świętego Piotra; galeria tego pałacu prowadzi do kościoła, przejdziemy tam po odejściu od stołu.

Braschi siedział na wprost mnie i podczas posiłku dopuściliśmy się tysiąca ekstrawagancji. Niewielu ludzi w świecie jest równie lubieżnych jak Braschi; nikt nie posuwa się dalej niż on w poszukiwaniu rozpusty. Często musiałam rozcieńczać potrawy, jakie chciał zjeść; nasycalam je śliną i podawałam mu je do ust; przepłukiwałam sobie usta winem, które chciał wypić; kilkakrotnie wstrzykiwał mi je w dupę, a potem połykał i był w siódmym niebie, jeśli przypadkiem znalazł się w nim kawałek gówna.

- O, Braschi! - wykrzyknęłam w chwili szczeroci. - Cóż powiedzieliby ludzie, którym chcesz imponować, gdyby zobaczyli, jak oddajesz się tym bezecnościom!

- Mieliby mnie w takiej pogardzie, jak ja ich - odparł Braschi -i mimo swej dumy, przyznaliby się do własnej głupoty. To zresztą bez znaczenia, nadal musimy utrzymywać ich w niewiedzy: panowanie błędu nie będzie trwać długo, trzeba się więc nim nacieszyć.

- Ech! Tak, tak - wykrzyknęłam - wprowadzajmy ludzi w błąd, to jedna z największych przysług, jakie możemy im oddać... Braschi, poświęćmy kilka ofiar w świątyni, do której mamy się udać?

- Niewątpliwie - rzekł Ojciec Święty - ażeby orgie były udane, musi popłynąć krew. Siądź na tronie Tyberiusza, ja będę go naśladował w mych rozkoszach, a nie znam rozkoszniej szego wytrysku niż ten, przy którym oddechy mieszają się z żalonymi odgłosami śmierci.

- Często oddajesz się takim rozkoszom?

- Nie ma dnia, Julietto, bym się w nich nie pławił! Nie ma dnia, bym nie splamił się krwią...

- Skąd jednak bierze się to potworne upodobanie?

- Z natury, moje dziecko. Morderstwo jest jednym z jej praw. Każdorazowo, gdy czuje ona jego potrzebę, wpaja nam do niego upodobanie, a my bezwolnie jesteśmy jej posłuszni. Wkrótce użyję żywszych argumentów, by dowieść ci nicości tej rzekomej zbrodni; jeśli ty jej pragniesz, to ja jej dokonam. Dawni filozofowie podporządkowali człowieka naturze, by przystosować się do obiegowych wyobrażeń; gdy się rozkręcę, dowiodę ci, jeśli zechcesz, że człowiek wcale od niej nie zależy.

- Mój drogi - powiedziałam - przypominam ci o obietnicy: rozprawa, jak wiesz, jest jednym z warunków naszego paktu, spełnij ją, mamy czas.

- Zgoda - rzekł noszący infułę filozof- posłuchaj: wymaga to najwyższej uwagi.

Ze wszystkich ekstrawagancji, do jakich mogła popchnąć człowieka duma, najbardziej nedorzeczną jest niewątpliwie uczynienie z własnej osoby czegoś wyjątkowego. Otoczony stworzeniami wartymi tyleż samo lub więcej niż on, uznał, że wolno mu bezkarnie targnąć się na życie tych istot, które, jak sobie wyobraził, są mu podporządkowane, i wymyślił, że zbrodni tego, kto dybałby na jego życie, nie zmyje żadna kara, żadna męka. Do tego pierwszego szaleństwa, w jakie wciągnęła go ta sama duma, do oburzającej głupoty przekonania, iż ma on boskie pochodzenie, nieśmiertelną duszę, niebiańskie dzieło jakiejś wprawnej ręki, do tej przerażającej ślepoty musiał jeszcze dodać drugie szaleństwo, przekonanie, że na ziemi jest on kimś bezcennym. Ech! Jakże w istocie to drogie dzieło owej dobroczynnej boskości, jakże ten wybraniec niebios mógłby w ten sposób nie myśleć: na tego, kto zniszczyłby tak piękną maszynę, niezaprzeczalnie powinny być nałożone najsurowsze kary. Maszyna ta jest święta, i maszynę tę, której popsucie musi być najstraszliwszą zbrodnią, jaką tylko można popełnić, ożywia dusza, wspaniała obraz jeszcze wspanialszej boskości. I rozumując w ten sposób, łagodnego i spokojnego barana, stworzenie będące dziełem tej samej ręki, nad którym góruje on jedynie inną konstrukcją, wbił na rożen, by zaspokoić swe łakomstwo, wrzucił do garnka, by zaspokoić głód. Przy choćby nieznacznym namyśle okazuje się on jednak znacznie mniej godny szacunku; zaprawiony nieco filozoficzny rzut oka na tę naturę, której nie znał, przekonuje go, że on, słaby i bezkształtny wytwór rąk tej ślepej matki, podobny jest do wszystkich innych stworzeń, że nieuchronnie związany jest ze wszystkimi innymi, równie konieczny jak one, z pewnością wiać nie został zrodzony po to, by uważać się za kogoś lepszego.

Żaden byt tu na ziemi nie jest stworzony przez naturę, umyślnie, żaden nie jest zrodzony specjalnie; wszystkie są rezultatem jej praw i procesów, toteż w naszym świecie z koniecznością powinny istnieć takie stworzenia, jakie widzimy; tak samo jest niewątpliwie na

innej planecie, na całym mrowiu planet, jakimi wypełnione są przestworza. Ale istoty te nie są ani dobre, ani piękne, ani wyjątkowe, ani stworzone: są pianą, rezultatem ślepych nakazów natury, są niczym opary, jakie unoszą się nad rozrzedzoną cieczą w naczyniu stojącym na ogniu, którego działanie wypycha z wody cząstki powietrza, jakie ta woda zawiera. Opary te nie są stworzone, są pochodne, są czymś odmiennym, biorą swe istnienie z obcego żywiołu i same z siebie nie mają żadnego znaczenia; mogą istnieć lub nie, a żywioł, z jakiego się wydzielają, na tym nie ucierpi; nic nie są mu winne i żywioł ten też im niczego nie zawdzięcza. Niech żywioł ten przekształca inne drgania, różne od drgań powodowanych gorącym, zawsze zaistnieje on w innej postaci, a te opary, występujące przy pierwszym przekształceniu, nie powstaną z drugiego. Niech natura podporządkowana zostanie innym prawom, a stworzenia, które są wynikiem praw obecnych, nie będą istnieć przy nowych prawach, choć natura istnieć będzie zawsze, mimo że podporządkowana innym prawom. Związki człowieka z naturą lub natury z człowiekiem są więc żadne; natura nie może spętać człowieka żadnym prawem; człowiek w żadnej mierze nie podlega naturze; niczego sobie wzajemnie nie zawdzięczają i nie mogą ani na siebie nastawać, ani sobie służyć; ona mimowolnie wytwarza: od tej chwili nie istnieje żaden rzeczywisty związek; on mimowolnie jest wytworem, a zatem nie istnieje żaden związek. Raz rzucony w świat, człowiek nie jest już zależny od natury; gdy natura raz rzuciła go w świat, nie może już na niego wpływać; wszystkie jej prawa są jednostkowe. Przy tym rzuceniu w świat człowiek otrzymuje bezpośrednie prawa, od których nie może odejść; są to prawa zachowania siebie..., rozmnażania, prawa, które dotyczą jego..., które podlegają jej, które jednak wcale nie są naturze konieczne, gdyż on nie ma już związku z naturą, jest od niej oddzielony. Jest czymś całkowicie od niej odrębnym, do tego stopnia, że wcale nie jest jej potrzebny do funkcjonowania..., że nie jest konieczny dla jej kombinacji, że mógłby pomnożyć swój gatunek lub całkowicie go unicestwić, a świat nie odczułby najdrobniejszej zmiany. Jeśli siebie niszczy, źle postępuje, ale zawsze zgodnie z własną decyzją. W oczach natury natomiast wszystko to wygląda inaczej. Jeśli się rozmnaża, źle postępuje, gdyż odbiera naturze zaszczyt stworzenia nowych zjawisk, skutków jej praw, będących nieuchronnie stworzeniami. Gdyby te, które zostały rzucone w świat, nie rozmnażały się, rzuciłaby ona nowe istoty i cieszyła się zdolnością, jakiej już nie posiada. Nie oznacza to, że nie może ich mieć, jeśli zechce, lecz że nigdy nie tworzy niczego bezużytecznego, i o ile pierwsze rzucone w świat byty rozmnażają się dzięki zdolności, jaką posiadają same przez się, ona już nie powoduje rozmnażania: nasze rozmnażanie, będące już tylko jednym z właściwych nam praw, wyraźnie więc szkodzi zjawiskom, do tworzenia których zdolna jest natura. Toteż to, co uznajemy za cnoty, w jej oczach staje się zbrodnią. I

na odwrót, jeśli istnienia niszczą siebie, ze względu na naturę postępują właściwie, wówczas bowiem przestają postępować zgodnie z otrzymaną zdolnością, ale nie z narzuconym prawem, i przywracają naturze konieczność rozwijania jednej z jej najwspanialszych zdolności, którą utraciła z powodu jej bezużyteczności. Zarzucicie temu, być może, że gdyby ta możliwość rozmnażania, jaką pozostawiła ona swym stworzeniom, szkodziła jej, to by jej im nie dała... Zauważcie zatem, że nie jest ona panem, lecz pierwszym niewolnikiem własnych praw..., że jest nimi związana, że niczego nie może w nich zmienić, a jednym z jej praw jest pęd życiowy raz zrodzonych stworzeń i właściwa tym rzuconym w świat stworzeniom możliwość rozmnażania się. Gdyby jednak stworzenia te się nie rozmnażały lub niszczyły siebie, wówczas natura odzyskałaby pierwsze prawa, których nic nie zdołałoby zniszczyć, podczas gdy rozmnażając się i nie niszcząc, wiążemy ją prawami wtórnymi i pozbawiamy najaktywniejszej mocy. Toteż wszystkie prawa, jakie stworzyliśmy, czy po

to, by zwiększać populację, czy po to, by karać zniszczenie, nieuchronnie przeczą jej własnym prawom: i każdorazowo, gdy stosujemy się do tych praw, bezpośrednio godzimy w jej pragnienia. I na odwrót, każdorazowo, gdy uparcie wyrzekamy się tego rozmnażania, którego ona nie znosi, lub gdy przykładamy rękę do morderstw, którymi się rozkoszuje i które jej służą, z pewnością się jej przypodobamy.... postępujemy bowiem zgodnie z jej planami. Ech! Czyż nic wykazuje nam ona, do jakiego stopnia nasze rozmnażanie jej przeszkadza..., jak gdyby miała ochotę raz jeszcze się rozpędzić, niszcząc je?... Czyż nie dowodzi tego klęskami, jakie stale na nas zsyła, niezgodą, sporami, jakie między nami zasiewa..., skłonnością do morderstwa, jaką cały czas nam wpaja? Te wojny, te klęski głodu, jakimi nas gnębi; te dżumy, jakie od czasu do czasu zsyła na ziemię, by nas zniszczyć; ci zbrodniarze, jakich mnoży, ci Aleksandrzy, Tamerlani, Dżingisi, wszyscy ci bohaterowie, którzy pustoszą ziemię; czy wszystko to, jak powiedziałem, nie dowodzi w sposób niepodważalny, że wszystkie nasze prawa są sprzeczne z jej prawami i że zmierza ona wyłącznie do ich zniszczenia? Toteż te morderstwa, które nasze prawa karzą z taką surowością, te morderstwa, które uważamy za największą dla niej obrazę, nie tylko, jak wiecie, nie wyrządzają jej żadnej szkody i żadnej wyrządzić nie mogą, lecz wręcz stają się niejako użyteczne dla jej planów, skoro, jak widzimy, naśladuje je tak często, i pewne jest, że czyni to tylko dlatego, że pragnęła całkowitego unicestwienia rzuconych w świat stworzeń, by rozkoszować się posiadaną zdolnością rzucenia weń nowych. Największy zbrodniarz na ziemi, najbardziej odrażający, najstraszliwszy, najbardziej barbarzyński morderca jest tylko głosem jej praw..., podniętą jej woli i najpewniejszym realizatorem jej kaprysów.

Idźmy dalej. Morderca ów sądzi, że niszczy, sądzi, że pochłania, i stąd rodzą się w

nim niekiedy wyrzuty sumienia: uspokójmy go więc całkowicie w tym względzie, a jeśli system, jaki właśnie rozwinąłem, nie jest dlań jeszcze zrozumiały, dowiedzmy mu, odwołując się do faktów, jakie ma on przed oczami, że unicestwienie, co do którego łądzi się, gdy jest zdrowy, lub na myśl o którym drży, gdy jest chory, jest niczym, i że niestety nie może się on do niego przyczynić.

Niewidzialny łańcuch łączący wszystkie trzy byty fizyczne, ta absolutna wzajemna zależność trzech królestw dowodzi, że wobec natury wszystkie trzy są w takiej samej sytuacji, że wszystkie trzy wynikają z pierwszych praw, nie są jednak ani stworzone, ani konieczne. Prawa tych królestw są jednakie. Wszystkie trzy odtwarzają się i mimowolnie giną, ponieważ wszystkie trzy złożone są z tych samych żywiołów, które łączą się ze sobą w taki lub inny sposób; ale prawa te nie są niezależne od praw natury; ona tylko raz na te królestwa wpłynęła, rzuciła je w świat; odkąd istnieją, działają same z siebie; działają poprzez właściwe sobie prawa, z których pierwszym była wieczna metempsy-choza, zmiana, wieczne przekształcanie.

Zasada życia wszystkich bytów jest tym samym, co zasada śmierci; otrzymujemy je i podtrzymujemy, obie naraz. W chwili, którą nazywamy śmiercią, wszystko, jak się wydaje, ulega rozpuczczeniu; sądzimy tak z powodu ogromnej odmienności tej części materii, która wydaje się już nieożywiona; ale śmierć ta jest tylko czymś wymyślonym, istnieje tylko w sensie przenośnym i nie posiada żadnej realności. Materia, pozbawiona tej subtelnej części, która przekazywała jej ruch, nie ulega z tego powodu zniszczeniu, lecz tylko zmienia formę, ulega zepsuciu, a to już dowód, że zachowuje ruch; dostarcza ziemi soków, użyźniają i służy odrodzeniu się innych królestw, podobnie jak własnego. Nie ma ostatecznie żadnej zasadniczej różnicy między tą pierwszą postacią życia, jaką otrzymujemy, i drugą, którą nazywamy śmiercią. Pierwsza bowiem powstaje przez ukształtowanie materii w samiczej macicy, a druga, tak samo, jest z materii, która się odnawia i przekształca we wnętrzościach ziemi. Toteż ta osłabiona materia w nowej macicy staje się znów sobą, zarodkiem cząsteczek eterycznej materii, które bez niej pozostałyby w swym pozornym bezwładzie. I oto cała nauka o prawach tych trzech królestw, prawach niezależnych od natury, prawach, jakie otrzymały w chwili pierwszego rzucenia w świat, prawach, które ograniczają właściwą naturze wolę wytwarzania nowych pędów: oto jedyne sposoby, dzięki którym działają wewnętrzne prawa tych królestw. Pierwsze pokolenie, które nazywamy życiem, stanowi dla nas swego rodzaju przykład. Prawa te odnoszą się do tego pierwszego płodzenia tylko na drodze wyczerpania; do drugiego tylko na drodze niszczenia. Pierwszemu potrzebny jest rodzaj materii zepsutej, drugiemu materii zgniłej. I oto jedyna przyczyna tego ogromu następujących po sobie kreacji: w obu przypadkach prawa są tylko pierwszymi zasadami wyczerpania lub unicestwienia, co



pokazuje nam, że śmierć jest równie konieczna jak życie, że nie ma wcale śmierci i że wszystkie klęski, o których mówiliśmy, okrucieństwo tyranów, czyny zbrodniarza, są równie konieczne dla praw tych trzech królestw, jak akt, na nowo je ożywiający; że gdy natura zsyła je na ziemię z zamiarem unicestwienia tych królestw, pozbawiających ją zdolności tworzenia nowych pędów, dokonuje tylko aktu bezsilności, gdyż pierwsze prawa otrzymane przez te królestwa wraz z pierwszym pędem odcisnęły w nich tę wytwórczą zdolność, która trwać będzie zawsze i którą natura unicestwi tylko wówczas, gdy całkowicie zniszczy siebie, czego uczynić nie jest w mocy, gdyż sama podlega prawom, których władzy nie jest w stanie się wymknąć i które trwać będą wiecznie. Toteż zbrodniarz swymi morderstwami nie tylko pomaga naturze w realizacji planów, których wszak nigdy nie zdołałby zrealizować, ale pomaga też prawom, jakie królestwa otrzymały wraz z pierwszym porywem życiowym. Mówię „poryw życiowy”, by ułatwić zrozumienie mego systemu, skoro bowiem nigdy nie było stworzenia, a natura jest wieczna, to o ile istnieją byty, poryw życiowy jest wieczny; przestałby być wieczny, gdyby ich nie było, i wówczas wzmocniłby drugi poryw życiowy, którego pragnie natura, a co może osiągnąć tylko poprzez całkowite zniszczenie, cel, do którego prowadzą zbrodnie. Wynika z tego, że najlepiej służyłby naturze przestępca, który potrafiłby wstrząsnąć trzema królestwami naraz, unicestwiając zarazem i te królestwa, i ich zdolności twórcze. Przymierzcie teraz swe prawa do tej zdumiewającej prawdy, a dostrzeżecie jej słusność.

Żadnego zniszczenia, żadnego pokarmu dla ziemi i dlatego większa możliwość, by człowiek mógł się reprodukować. To niewątpliwie smutna prawda, skoro w sposób nieodparty dowodzi, że występki i cnoty naszego systemu społecznego są niczym, a nawet że występki są bardziej konieczne niż cnoty, skoro występki są twórcze, a cnoty tylko stworzone lub też, jeśli kto woli, że są przyczynami, cnoty zaś tylko skutkami..., że nazbyt doskonała harmonia byłaby znacznie bardziej niedogodna niż chaos; i że gdyby wojna, niezgoda i zbrodnie znikły z powierzchni ziemi, imperium trzech królestw, stając się wówczas nazbyt potężne, zniszczyłoby wszystkie inne prawa natury. Stałyby wszystkie ciała niebieskie, wzajemne oddziaływania zostałyby zawieszane przez zbyt wielką moc jednego z nich; nie byłoby ani grawitacji, ani ruchu. Właśnie zbrodnie człowieka, wprowadzając zamęt we wzajemne związki trzech królestw, nie pozwalają tym związkom na osiągnięcie takiego stopnia potęgi, który wprowadziłby zamęt we wszystkie inne, zachowując we wszechświecie tę doskonałą równowagę, zwaną przez Horacego *rerum concordia discors*. Zbrodnie jest więc w świecie konieczna. Ale najbardziej użyteczne są niewątpliwie te, które wprowadzają największy zamęt, takie jak odrzucenie rozmnażania lub niszczenie; wszystkie inne są niczym

albo raczej tylko te dwie zasługują na miano zbrodni: oto więc zbrodnie istotne dla praw królestw i dla praw natury. Pewien starożytny filozof nazwał wojnę matką wszystkich rzeczy. Istnienie morderców jest równie konieczne jak istnienie tej klęski; bez nich cały wszechświat popadłby w zamęt. Głupotą jest więc je ganić lub karać, a jeszcze śmieszniej jest przeciwstawiać się całkiem naturalnym skłonnościom, które wbrew nam samym popychają nas do takiego czynu, ze względu bowiem na gorące pragnienie, jakie odczuwa natura, na ziemi nigdy nie dokonuje się dość morderstw. Ech! Nieszczęsny śmiertelniku, nie pochlebiaj więc sobie, że posiadasz moc niszczenia, ten czyn przerasta twe siły; możesz zmieniać formy, ale nie potrafisz ich unicestwić; nie potrafisz zniszczyć żywiołów materii: jakże mógłbyś je zniszczyć, skoro są wieczne? Zmieniasz ich formy, przekształcasz; to rozpraszenie służy jednak naturze, gdyż te zniszczone części ona odtwarza. Wszelka więc dokonana przez człowieka zmiana w tej zorganizowanej materii znacznie bardziej służy naturze, niż się jej przeciwstawia. Cóż mówię? Niestety! Ażeby jej służyć, trzeba by znacznie większych zniszczeń..., potężniejszych niż te, jakich możemy dokonać; w zbrodniach pragnie ona okrucieństwa, ogromu; w im większym stopniu zniszczenia będą mieć tego rodzaju charakter, tym dla niej będą wspanialsze. Ażeby jeszcze lepiej jej służyć, należałoby móc się przeciwstawić odradzaniu, jakiemu podlega trup, którego zakopujemy. Osobie, którą ugodziliśmy, morderstwo odbiera tylko pierwsze życie. Ażeby być jeszcze bardziej użytecznym dla natury, należałoby móc jej odebrać drugie, gdyż natura pragnie właśnie unicestwienia: nadanie naszym morderstwom zakresu, jakiego pragnie, leży jednak poza naszymi możliwościami.

O Julietto! Nigdy nie trać z oczu tego, że nie ma wcale rzeczywistego zniszczenia, że śmierć nie jest czymś określonym, że z fizycznego i filozoficznego punktu widzenia jest ona tylko odmiennym ukształtowaniem materii, w której zasada aktywna czy, jeśli kto woli, zasada ruchu działa zawsze, choć w sposób mniej jawny. Narodziny człowieka nie bardziej więc są początkiem jego istnienia niż śmierć końcem, a matka, która go rodzi, nie bardziej daje mu życie niż morderca, który go zabija, zadaje mu śmierć: pierwsza wytwarza rodzaj zorganizowanej w pewien sposób materii, drugi stwarza okazję dla odrodzenia materii odmiennej, i oboje tworzą.

Zasadniczo nic się nie rodzi, nic nie ginie, wszystko jest tylko akcją i reakcją natury; to fale morskie, które w każdej chwili wznoszą się i opadają, podczas gdy w masie wód nie ma ani utraty, ani wzrostu; jest to wieczny ruch, który był, który zawsze będzie i którego stajemy się niewątpliwie głównymi czynnikami ze względu na nasze występki i nasze cnoty. To nie kończąca się zmiana; tysiące, tysiące różnych porcji materii, które jawią się we

wszelkiego rodzaju formach, ulegają rozpadowi i objawiają się w innych, by ulec zniszczeniu i znów powrócić. Zasada życia jest rezultatem czterech żywiołów; każdy wchodzi w sferę śmierci, nie ulegając zniszczeniu, i gotów ponownie się złożyć w całość, gdy wymaga tego prawo królestw; tylko całość zmienia formy, części zaś pozostają sobą, i z tych części złożonych w wielką całość w każdej chwili odtwarzają się nowe byty. Ale zasada życia, jedyny owoc kombinacji żywiołów, nie ma niczego, co istnieje samo z siebie, byłaby niczym w tym połączeniu, i staje się czymś całkiem innym, gdy ta mniej lub bardziej doskonała kombinacja ustępuje ze względu na nowe dzieło utworzone ze szczątków dawnego. Otóż, jako że byty te są całkowicie obojętne i dla siebie wzajem, i dla natury, i dla praw królestw, jakież znaczenie ma zmiana, jaką wprowadzam w postaci materii? Jakież znaczenie, jak mówi Monteskiusz, ma to, że z kuli zrobię kwadrat? Jakież znaczenie ma to, że z człowieka zrobię kapustę, rzepę, motyla lub robaka? W tym przypadku postępuję zgodnie z prawem, jakie zostało mi dane, i w ten sposób mogę naruszyć lub zniszczyć wszystkie byty, nie mogąc jednak twierdzić, że przeciwstawiam się prawom królestw i w konsekwencji prawom natury. Przeciwnie, służę im, tak jednym, jak i drugim; pierwszym, dając ziemi odżywczy sok, który ułatwia im powoływanie innych wytworów, który jest im nieodzowny i bez którego ich wytwory uległyby unicestwieniu; drugim, działając zgodnie z odwiecznymi planami zniszczenia, jakie głosi natura, a których powodem jest chęć rozwijania nowych pędów, do czego traci ona zdolność wskutek przeszkody, jaką stanowią te pierwsze.

Czy możecie uwierzyć, że ten kłos, ten robaczek, wreszcie ta trawa, w jakie przekształcił się ten trup, którego pozbawiłem życia, mogą być w różnej cenie dla praw królestw, bo one, obejmując wszystkie trzy, nie mogą mieć słabości do żadnego? Czy w oczach natury, która jednakowo wypuszcza wszystkie pędy, ten lub inny wytwór tych pędów może być cenniejszy? Należałoby raczej uznać, że z milionów liści składających się na ten stary dąb, żaden nie jest bardziej faworyzowany przez pień za to, że jest, powiedzmy, nieco węższy. „To duma - mówi Monteskiusz - nie pozwala nam uznać naszej małości i wbrew niej sprawia, że chcemy być zaliczani do wszechświata, istnieć w nim, stanowić ważny obiekt. Wyobrażamy sobie, że utrata bytu tak doskonałego jak my byłaby degradacją dla całej natury, i nie pojmujemy, że jeden człowiek mniej czy więcej w świecie, że wszyscy ludzie razem, że sto milionów takich planet jak nasza to tylko delikatne i subtelne atomy, obojętne naturze”. Psujcie więc, unicestwiajcie, niszcźcie, masakrujcie, palcie, ścierajcie w proch, rozpuszczajcie na sto tysięcy sposobów wszystkie wytwory trzech królestw, a tylko będziecie im służyć, będziecie im użyteczni. Wypełniając ich nakazy, spełniacie nakazy natury, gdyż jednostka jest zbyt ograniczona, zbyt słaba, byście mogli czynić cokolwiek innego niż uczestniczyć w

ogólnym ładzie, a to, co nazywacie chaosem, jest niczym innym, jak tylko jednym z praw ładu, którego nie znacie, a który mylnie nazwaliście chaosem, ponieważ jego skutki, choć dobre dla natury, wam szkodzą lub są dla was przeszkodą. Ach! Gdyby zbrodnie te nie były konieczne dla praw ogólnych, to czy zostałyby nam wpojone? Czy w sercach naszych odczuwalibyśmy i konieczność ich popełniania, i zachwyty wywołany postępkiem? Czemu ośmielamy się sądzić, że natura może w nas odcisnąć skłonność do działań, które się jej sprzeciwiają? Ach! Uwierzmy, że potrafiła uchronić przed naszymi ciosami to, co rzeczywiście mogłoby jej przeszkadzać lub szkodzić. Spróbujmy unicestwić promienie gwiazdy, która nam świeci, spróbujmy zmienić cykliczny ruch gwiazd..., planet, które płyną w przestworzach: oto zbrodnie, które naprawdę by ją znieważyły; a jak widzicie, potrafiła je usytuować poza naszym zasięgiem. Nie obawiajmy się o resztę; jest całkowicie do naszej dyspozycji; wszystko, co jest w naszym zasięgu, należy do nas; siejmy zamęt, niszczy, zmieniamy, bez obawy, że jej szkodzimy. Przeciwnie, uwierzmy, że jesteśmy dla niej użyteczni i że im bardziej nasze ręce mnożą tego rodzaju czyny, które mylnie zwiemy zbrodniami, tym lepiej spełniamy jej wolę.

Czy jednak nie ma różnicy w obrębie gatunku, czy nie można popełniać morderstw tak okrutnych, że wzburzyłyby naturę? Jakąż głupotą byłoby takie założenie! Czy ten byt, który zgodnie z lichymi ludzkimi konwencjami wam wydaje się święty, może być w jej oczach cenniejszy? W czym ciało waszego ojca, syna, matki z jej punktu widzenia może być cenniejsze niż ciało waszego niewolnika? Rozróżnienia takie nie mogą dla niej istnieć; ona nawet ich nie widzi i dostrzec nie może. I to tak cenne zgodnie z waszymi prawami ciało będzie się odtwarzać, przekształcać, tak jak ciało heloty, którym tak pogardzacie. Możecie być pewni, na odwrót, że to okrucieństwo, którego się obawiacie, jej się podoba; chciałyby, byście posunęli je dalej w tym, co nazywacie niszczeniem, chciałyby, byście przeciwstawili się wszelkiemu reprodukowaniu, byście mogli unicestwić trzy królestwa, ażeby ułatwić jej wypuszczenie nowych pędów. Nie możecie tego uczynić. Cóż! Skoro to okrucieństwo, jakiego ona pragnie, nie może dotknąć tego, czego ona chce, wymierzcie je w to, co w waszym zasięgu, a będziecie mieć przynajmniej satysfakcję w tym, co od was zależy. Nie możecie się jej przypodobać dzięki okrucieństwu całkowitego zniszczenia, przypodobajcie się jej więc przynajmniej okrucieństwem ograniczonym i dokonujcie morderstw z całą wyobraźnią podłością, ażeby z największą uległością wypełnić nakazy, jakie wam narzuca; nie mogąc uczynić tego, co ona chce, czyńcie przynajmniej wszystko, co możecie.

W tym sensie dzieciobójstwo okazuje się czynem, który najlepiej uzgadnia się z jej planami, gdyż przerywa łańcuch potomstwa, grzebie największą liczbę zarodków. Syn

zabijając ojca, nie dokonuje zerwania, przecina łańcuch powyżej; ojciec zabijając syna, dokonuje poważniejszego zerwania, przecina łańcuch poniżej, uniemożliwia fi-liację: to gałąź unicestwiona; nie zostaje ona unicestwiona w przypadku zniszczenia ojca przez syna, gdyż ten ostatni pozostaje i to on stanowi pień. Albo to, albo młode matki, zwłaszcza wówczas, gdy są w ciąży, oto dwa rodzaje morderstw najlepiej realizujących cel królestw, a zwłaszcza cel natury; oto morderstwa, ku jakim powinien zmierzać każdy człowiek, który chce się przypodobać tej macosze rodzaju ludzkiego.

Ech! Czyż nie widzimy, czyż nie czujemy, że okrucieństwo w zbrodni podoba się naturze, gdyż właśnie w stosunku do niego ustala ona dozę rozkoszy, jakiej nam dostarcza, gdy popełniamy zbrodnię? Im jest bardziej przerażająca, tym bardziej rozkoszna; im jest bardziej mroczna, tym milej nas łechce. W czynach, do jakich nas popycha, ta niewytłumaczalna natura chce więc podłości..., okrucieństwa; chce byśmy wkładali w nie ich tyle, ile ona dołącza do klęsk, jakie na nas sprowadza. Oddajmy się więc im bez żadnych obaw; przestańmy w tym przedmiocie widzieć coś świętego; gardźmy pustymi ludzkimi prawami..., głupimi instytucjami, które nas krępują: słuchajmy tylko świętego głosu natury..., możemy mieć pewność, że zawsze będzie się on sprzeciwiał niedorzecznym zasadom ludzkiej moralności i haniebnej cywilizacji. Wierzycie więc, że cywilizacja czy moralność uczyniły człowieka lepszym? Nie łudźcie się..., brońcie się przed takim przypuszczeniem; jedno i drugie służyło tylko osłabieniu go, sprawieniu, by zapomniał o prawach natury, które uczyniły go wolnym i okrutnym. Od tego momentu cały gatunek uległ degradacji, dzikość zmieniła się w szelmstwo, a zło, jakie człowiek wyrządzał, stało się tylko bardziej niebezpieczne dla jego bliźnich. Skoro powinien czynić zło, skoro jest ono konieczne, skoro dla natury jest czymś wspaniałym, pozwólmy je więc ludziom czynić w taki sposób, by się nim najpełniej delectowali, i przedkładajmy w nim dzikość nad zdradę: to pierwsze jest mniej niebezpieczne niż to drugie.

Powtarzamy to bezustannie: nigdy żaden mądry naród nie śmiał z morderstwa uczynić zbrodni. Ażeby morderstwo było zbrodnią, należałoby założyć możliwość zniszczenia, a jak widzieliśmy, jest to nie do przyjęcia. Powtórzmy raz jeszcze, morderstwo jest tylko zmianą formy, wskutek czego ani prawa królestw, ani prawa natury niczego nie tracą, a nawet przeciwnie, i jedne, i drugie ogromnie zyskują. Dlaczego więc karać człowieka za to, że nieco wcześniej oddał żywiołom porcję materii, która i tak musi do nich powrócić i której te żywioły, gdy do nich powraca, używają do innych kompozycji? Czy zatem mucha jest cenniejsza niż basza lub kapucyn? Nie jest więc żadnym złem to, że kosztem kilku uncji krwi zawróconej z pierwotnych kanałów u nieco większego zwierzęcia, które przyjęto nazywać

człowiekiem, oddaje się żywiołom zasoby wynagradzające szkodę tysiącom owadów. Wprost trudno sobie wyobrazić, jak potężne imperium zbudowała nedorzecznosc na kajdanach cywilizacji.

Jednym słowem, mordercy są w naturze czymś takim jak wojna, dzuma i klęska głodu; są jednym z środków natury, tak jak wszystkie klęski, jakimi nas ona dotyka. Toteż gdy ośmielamy się twierdzić, że zabójca obraża naturę, wypowiadamy nedorzecznosc tak wielką, jakbyśmy powiedzieli, że wojna lub klęska głodu rozdrażniają naturę lub popełniają zbrodnię; to dokładnie to samo. Dżumy czy klęski głodu nie możemy łamać kołem ani spalić na stosie, a jedno i drugie możemy uczynić z człowiekiem: oto dlaczego słusznosc nie jest po jego stronie. Niemal wszędzie spotkasz się z błędami, dla których miarą nie jest wielkosc obrazy, lecz słabosc agresora; i właśnie dlatego bogactwo i znaczenie zawsze mają rację przed ubóstwem.

Co do okrucienstwa, które prowadzi do mordu, ośmielmy się wyraźnie powiedzieć, że to jedno z najbardziej naturalnych uczuć człowieka; to jedna z najslodszych skłonności, jedna z najżywszych, jakie otrzymał od natury; jednym słowem, to jego pragnienie sprawdzenia swych sił. Pojawia się ono we wszelkich jego czynach, we wszelkich słowach, we wszelkich zabiegach; wychowanie je niekiedy maskuje, ale zawsze się ono ujawnia. Zapowiada się wówczas we wszelkich możliwych postaciach. Gwałtowne łaskotanie, jakie każe odczuwać, czy to na myśl o zbrodni, jaką podsuwa, czy to skutek jej popełnienia, dowodzi niezbitości, że urodziliśmy się po to, by służyć jako ślepe narzędzie praw królestw i praw natury, a gdy tylko się na to zgodzimy, natychmiast rozkosz obdarzy nas swymi pieścotami.

Ech! Wynagrodźcie tego mordercę, zatrudnijcie go zamiast karać! Uznajcie, że nie ma zbrodni, choćby o małej wadze, która nie wymaga wszak wiele żywości i siły, wiele odwagi i filozofii. W tysiącach przypadków oświecony rząd powinien się posługiwać zabójcami... Julietto, ten, kto potrafi uciszyć głos swego sumienia do tego stopnia, by z życia innych uczynić sobie zabawę, zdolny jest do rzeczy największych. Na świecie jest wielu ludzi, którzy stają się zbrodniarzami na własny rachunek, gdyż rząd nie pojmuje, ile są wari, i ich nie zatrudnia, wskutek czego ci nieszczęśnicy kończą na stryczku, podczas gdy inni o tej samej profesji okrywają się sławą i chwałą. Aleksandrzy, Sa-sowie, Turennowie staliby się, być może, przydrożnymi złodziejami, gdyby urodzenie i przypadek nie zapewniły im laurów na drodze chwały, a tacy, jak Cartouche, Mandrin, Desrue byliby z pewnością wielkimi ludźmi, gdyby rząd potrafił ich zatrudnić.

Och! Jakaż przerażająca niesprawiedliwość! Istnieją dzikie zwierzęta, które żyją tylko mordem, takie jak wilk, lew, tygrys; zwierzęta te żyjąc w ten sposób nie naruszają żadnego

prawa; my zaś ośmielamy się twierdzić, że jeśli inne spotykane na ziemi zwierzęta oddają się podobnym ekscesom dla zaspokojenia innych pragnień niż głód, to popełniają zbrodnie. Cóż za nedorzecznosc!

Skarżymy się często na takie czy inne zwierzę, którego postać lub jakiś aspekt jawią się nam jako przerażające lub które jest dla nas dokuczliwe, i aby się uspokoić, stwierdzamy tyleż przytomnie co mądrze: zwierzę to jest przerażające, szkodzi nam, ale jest pożyteczne, natura niczego nie stworzyła na próżno; niewątpliwie wchłania ono szkodliwe dla nas powietrze albo zjada insekty, które byłyby dla nas jeszcze bardziej niebezpieczne... Przyjmijmy więc tę samą filozofię we wszystkich przypadkach i dopatrujmy się w mordercy tylko ręki prowadzonej przez nieodparte prawa, ręki, która służy naturze i która zbrodniami, jakie popełnia, bez względu na ich charakter, realizuje pewne plany, jakich nie znamy, lub uprzedza jakieś zdarzenia, być może po tysiącokrotnie bardziej przykre niż te, jakie sama powoduje.

Sofizmaty! Sofizmaty! - wykrzykną w tym miejscu głupcy. To prawda, że morderstwo obraża naturę, że ten, kto je popełnia, mimowolnie się wzdraga... Głupcy! Morderca nie wzdraga się bynajmniej dlatego, że czyn jest zły sam z siebie, gdyż w kraju, w którym morderstwo jest nagradzane, z pewnością nie będzie się wzdragał... Czy wojownik wzdraga się nad ciałem wroga, którego złożył w ofierze? Jedyłą przyczyną zamętu, jaki wówczas odczuwamy, jest zakaz czynu; wszyscy wiedzą, że całkiem zwyczajny czyn, w pewnych okolicznościach zabroniony, wywołuje w nas ten sam strach, co u kogoś, kto stał się go winny. Napiszcie nad drzwiami, że zabrania się je przekroczyć: nikt tego nie uczyni bez pewnego rodzaju drżenia, a faktycznie czyn ten nie będzie niczym złym. A zatem doznawany strach rodzi się z zakazu, nie zaś z samego czynu, który, jak widać, może wywołać tę samą obawę, choć nie ma w nim nic zbrodniczego. Ta bojaźliwość, która towarzyszy mordercy, ta krótka chwila trwogi zależna jest więc znacznie bardziej od przesądu niż od rodzaju czynu. Niech na miesiąc los się odwróci, niech miecz Temidy spada na to, co nazywacie cnotą i niech prawa nagradzają zbrodnię: zobaczycie zaraz, że cnotliwy zadrży, a zbrodniarz będzie spokojny, gdy obaj oddadzą się swym ulubionym czynom. Natura więc milczy, a głos, który w was przemawia, nie jest wcale jej głosem, lecz głosem przesądu, który przy pewnym wysiłku możemy stłumić na zawsze. Jest on wszak świętym głosem, który dźwięczy w nas, zanim przemówi głos błędu lub wychowania; ale ten głos, nakładający nam jarzmo żywiołów, zmusza nas tylko do tego, co przyczynia się do zgodności tych żywiołów i ich kombinacji przekształconych w formy, którymi posługują się same owe żywioły w celu skomponowania nas.

Głos ten jest jednak słaby, nie popycha nas ani do poznania Boga, ani do poznania obowiązków wobec rasy czy społeczeństwa, gdyż wszystkie te rzeczy są urojone. Głos ten nie nakazuje nam także nie czynić innym tego, czego byśmy nie chcieli, by nam uczyniono: jeśli zechcemy go posłuchać, znajdziemy w nim faktycznie coś całkiem przeciwnego.

Pamiętaj, mówi zamiast niego natura, tak, pamiętaj, że to wszystko, czego nie chciałbyś, by tobie uczyniono, a co bliźniemu wyrządza poważną krzywdę i z czego powinienes ciągnąć korzyść, jest właśnie tym, co powinienes czynić, by być szczęśliwy; z moimi prawami zgodne jest bowiem to, byście się wzajem zniszczyli; a prawdziwym sposobem na to, by się to udało, jest krzywdzenie bliźniego. Oto skąd bierze się dana ci przeze mnie najżywsza skłonność do zbrodni; oto dlaczego moją intencją jest to, byś był szczęśliwy, obojętne czyim kosztem. Niech twój ojciec, matka, syn, córka, bratanica, żona, siostra, przyjaciel nie będą ci ani bliżsi, ani drożsi niż ostatni robaczek, który pełza po powierzchni ziemi; gdyż to nie ja utworzyłam te więzi, są one wyłącznie dziełem twej słabości, wychowania i przesądów; nijak mnie one nie obchodzą; możesz je zrywać, niszczyć, nienawidzić ich, odtwarzać je, wszystko mi jedno. Rzuciłam cię w świat tak, jak rzuciłam wołu, osła, kapustę, pchlę i karczocha; wszystkiemu dałam mniejsze lub większe zdolności; użyj ich; gdy już wyszedłeś z mego łona, nie obchodzi mnie, co chcesz uczynić. Jeśli zechcesz siebie zachować i się rozmnażać, uczynisz dobrze ze względu na siebie; jeśli zechcesz siebie lub innych zniszczyć, nawet jeśli przy użyciu zdolności odpowiednich do rodzaju bytu możesz unicestwić..., zniszczyć niezawisłe imperium trzech królestw, uczynisz coś, co spodoba mi się nieskończenie; gdyż ze swej strony użyję najsłodszeo efektu mej mocy, czyli tworzenia, odnawiania bytów. ..., którym ty szkodzisz swym przeklętym potomstwem. Przestań płodzić, zniszcz całkowicie wszystko, co istnieje, a nijak nie zakłócisz mego przemarszu. Czy niszczysz, czy tworzysz, to niemal to samo w mych oczach, posługuję się jedną i drugą z tych metod, nic nie ginie w mym łonie; liść, który spada z krzaka, służy mi tak samo, jak cedry, które pokrywają Liban, a robak, który rodzi się ze zgnilizny, nie jest w mych oczach mniej cenny ani mniej wspaniały niż najpotężniejszy monarcha ziemi. Twórz więc lub niszc, według własnego uznania: słońce tak samo wstanie; wszystkie planety, które zawiesiłam, którymi kieruję w przestrzeni, zachowają swój kurs. A jeśli zniszczysz wszystko, to jako że te trzy królestwa, unicestwione twą niegodziwością, są koniecznymi rezultatami mych kombinacji, nie stworzę niczego więcej, ponieważ królestwa te zostały stworzone wraz ze zdolnością wzajemnego odtwarzania się, a więc gdy zniszczysz je swą zdradziecką ręką, odtworzę je, znów rzucę na powierzchnię planety. Toteż twa największa, najpotężniejsza, najpotworniejsza zbrodnia sprawi mi tylko przyjemność.



Julietto, oto prawa natury; jedyne prawa, jakie kiedykolwiek dyktowała, jedyne, jakie są jej miłe i drogie, jedyne, jakich nigdy nie zdołamy naruszyć. Jeśli człowiek stworzył inne, możemy tylko ubolewać nad jego głupotą, ale nie dajmy się nimi krępować; nie stańmy się ofiarami jego niedorzecznych praw, lecz je naruszajmy; i wolni od wszelkich przesądów, gdy będziemy to mogli uczynić bezkarnie, za odrażający przymus jego praw zemścimy się najcięższymi obelgami. Żałujmy, że nie możemy uczynić dostatecznie wiele, żałujmy, że otrzymaliśmy tak mierne zdolności, których śmieszne ograniczenia do tego stopnia przeciwstawiają się naszym skłonnościom. I nie dziękując bynajmniej niekonsekwentnej naturze za tę odrobinę wolności, jaką nam daje dla realizacji skłonności będących efektem jej podszeptów, przeklinajmy ją z całego serca za to, że tak ograniczyła drogę, na której spełniają się jej plany; obrażajmy ją, niszczy za to, że tak niewiele zbrodni pozwala nam popełniać, dając zarazem tak gwałtowne pragnienie ciągłego ich popełniania.

O ty! Powinniśmy ci to powiedzieć, ty, ślepa i bezrozumna siło, której jestem mimowolnym rezultatem, ty, która rzuciłaś mnie na tę planetę przepojonego pragnieniem zaatakowania ciebie, a która wszak nie możesz dostarczyć mi ku temu środków, technij więc w mą rozpaloną duszę kilka zbrodni, które posłużą ci lepiej niż te, jakie pozostawiłaś do mojej dyspozycji. Chcę przestrzegać twych praw, skoro wymagaj ą zbrodni i skoro ja sam najgoręcej ich jestem spragniony, ale dostarcz mi innych niż te, jakie podsuwasz mi w swej słabości. Gdybym zgładził z powierzchni ziemi wszystkie zamieszkujące ją stworzenia, byłbym jeszcze daleki od celu, gdyż wciąż służyłbym tobie..., wyrodna matko...!, a jedynym moim pragnieniem jest zemścić się za twą głupotę czy też za niego-dziwość, jaką dajesz odczuć ludziom, nigdy nie dostarczając im środków oddania się najstraszliwszym skłonnościom, jakie im podsuwasz!

- Teraz, Julietto - ciągnął kapłan - chciałbym przedstawić kilka przykładów, ażeby dowieść ci, że człowiek zawsze czerpał przyjemności z niszczenia, a natura z zezwalania mu na nie. [...]

Do morderstwa odnoszono się z szacunkiem i dopuszczano się go na całej ziemi: od bieguna do bieguna składa się ofiary z ludzi. Egipcjanie, Arabowie, Kreteńczycy, Cypryjczycy, Rodyjczycy, Focenowie, Grecy, Pelagowie, Scytowie, Rzymianie, Fenicjanie, Persowie, Hindusi, Chińczycy, Massageci, Getowie, Sarmaci, Irlandczycy, Norwegowie, Suewowie, Skandynawowie, wszystkie ludy Północy, Galowie, Cim-browie, Germanowie, Bretończycy, Hiszpanie, Murzyni, wszyscy oni..., w ogóle wszyscy podrzynali gardła ludziom na ołtarzach swych bogów. Człowiek zawsze znajdował przyjemność w rozlewaniu krwi swych bliźnich, a dla zapewnienia jej sobie skrywał tę namiętność bądź za zasłoną

sprawiedliwości, bądź religii. Istotą rzeczy, celem była jednak niewątpliwie zdumiewająca przyjemność, jaką w tym znajdował.

Julietto, czy wobec takich przykładów, wobec tylu uderzających argumentów jesteś przekonana, że nie ma w świecie czynu zwykłej sze-go niż morderstwo, że żaden nie jest bardziej uprawniony, a dziwactwem byłoby odczuwanie najłżejszych wyrzutów sumienia z powodu tych wszystkich, jakim mogłaś się oddać, lub powzięcie nikczemnego postanowienia, by ich już nie popełniać?

- Godny uwielbienia filozofie! - wykrzyknęłam, rzucając się Bra-schiemu na szyję. - Nikt nigdy nie wypowiedział się w tej znaczącej materii z taką precyzją, jasnością, tak przekonująco, nigdy nie przedstawiono tylu ciekawych anegdot, tak uderzających przykładów. Ach! Rozwiałeś wszystkie moje wątpliwości, jestem wykończona, nie ma już dla mnie w tym przedmiocie nic świętego, chciałabym, jak Tyberiusz, by rodzaj ludzki posiadał głowę, ażebym mogła sprawić sobie przyjemność ścięcia jej jednym ciosem.

- Chodźmy, późno już, czyż nie powiedziałaś, że jutrenka powinna nas zastać pławiących się w nieczystościach...? Udaliśmy się do kościoła.

## EPIZOD Z AMELIĄ

Biegnę do Steno.

- Moja żona cię zdradziła - mówię doń - to potwór; wszystkiego się dowiedziałem, dostała pieniądze za tęnikczemność, kosztowało mnie to nakaz opuszczenia Szwecji; tak uczynię, ale przed wyjazdem chcę ją zgubić: panuje spokój, nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy się spotkali wieczorem, zrobmy tak i, zaklinam cię, ukarzymy tę zbrodniarkę.

Steno się zgadza. Na spotkanie towarzystwa zabieram Emmę, nie mającą pojęcia o celu tego zgromadzenia. Wszyscy mężczyźni, wszystkie kobiety wściekli na tę, którą oskarżam, jednogłośnie skazują ją na najokrutniejsze męki. Emma, zaskoczona takim oskarżeniem, chce świadczyć przeciwko mnie, ale każą jej zamilknąć, i nieszczęsna, zdana na mą łaskę, gdy wokół szafotu wzniesionego, by zadawać jej męki, odbywają się lubieżne sceny, jest żywcem obdzierana ze skóry, a potem wszystkie miejsca na jej ciele, które dokładnie oczyściłem z włosów, są przypiekane na wolnym ogniu. W tym czasie ssą mi kutasa, a moi czterej przyjaciele, z których każdy rznął fagasa, zostają wychłostani przez swe małżonki, brandzlowane w dupę przez młode dziewczyny. Nigdy w życiu równie wspaniale się nie spuściłem. Po zakończeniu poczynań towarzystwo zaczęło się wymieniać, i właśnie wówczas podeszła do mnie Amelia, żona Wolfa.

- Uwielbiam twą nieugiętość - powiedziała. - Już dawno dostrzegłam, że ta kobieta nie była stworzona dla ciebie, ja bardziej do ciebie pasuję, Borchamps. Ale zadziwię cię: przyrzeknij mi, że pewnego dnia stanę się twoją ofiarą. Moja wyobraźnia cię zaskoczy, mój drogi, w każdym razie nie mogę ukrywać przed tobą mego szaleństwa; odkąd skończyłam piętnaście lat, mój a głowę zaprzęta tylko jedna myśl: chcę stać się ofiarą okrutnych namiętności libertynizmu. Z całą pewnością nie chcę umrzeć jutro, moja ekstrawagancja nie sięga aż tak daleko, ale chcę umrzeć właśnie w taki sposób, a oddając ducha, dać okazję do zbrodni, oto myśl, która zawróciła mi w głowie, i jeśli przyrzekniesz mnie zadowolić, jutro wraz z tobą opuszczę Sztokholm.

Żywo poruszony równie niezwykłą propozycją, oświadczam Amelii, że ją zadowolę. Wszystko zostaje przygotowane, tego samego dnia ona się wymyka i opuszczamy miasto tak, że nikt nie wie o tym uprowadzeniu.

## Z WIZYTĄ U BORCHAMPSA

- Och Julietto! - wykrzyknęła Clairwil, gdy tylko jej brat przestał opowiadać - c/y nie uważasz, że taki człowiek jest mnie godny?...

- Jest najbardziej godny spośród wszystkich filozofów - odparłam - spośród tych wszystkich, którzy mają dość dowcipu, by wiedzieć, że pierwszym prawem jest zabieganie o własne szczęście, niezależnie od tego, co mogą powiedzieć lub pomyśleć inni.

Borghese rzuca się w nasze ramiona, a uściskom nie ma końca. Borchamps, któremu nie nadaliśmy innego imienia, i Sbrigani sprawiają wrażenie równie zachwyconych tym, że się poznaliśmy. Eliza i Rajmunda gratulują sobie szczęśliwego zakończenia przygody, której początek tak bardzo je przeraził,

Gdy wzajem okazywaliśmy sobie oznaki czułości i przyjaźni, uprzedzono kapitana, że jego kawalerzyści prowadzą wóz, na którym znajduje się pewna rodzina i dużo pieniędzy.

- Oto dwie wspaniałe rzeczy - rzekł uroczy brat Clairwil - te stworzenia w naturalny sposób posłużą naszym rozkoszom, co zaś się tyczy pieniędzy, nie mogły się pojawić we właściwszym momencie, gdyż aby je kontynuować, możemy kilka miesięcy spędzić w Neapolu.

- Taki mamy zamiar - powiedziała Clairwil, ściskając moją dłoń.

- Doskonale! - rzekł Borchamps - poświęcam na tę podróż wszystkie pieniądze, jakie przyniesie ten napad.

Na te słowa pojawili się więźniowie.

- Kapitanie - powiedział Carl-Son, który dowodził bandą - dziś mamy dzień spotkań; to moja rodzina, oto moja żona - ciągnął, przedstawiając nam bardzo piękną osobę w wieku trzydziestu czterech lat -te dwie dziewczynki (nadal kontynuował, wskazując najpierw na jedną, trzynastoletnią, piękną jak miłość, a potem drugą, piętnastoletnią, której urody pozazdrościłyby same Gracje) są rezultatem mych jaj; a oto mój syn - dorzucił, prezentując szesnastoletniego młodzieńca o bardzo pociągającej twarzy. - Powiem wam dwa słowa na temat tych tarapatów, moja żona zaś zechce wyjaśnić resztę. Rozyna jest Dunką, poślubiłem ją przed siedemnastu laty podczas podróży do Kopenhagi, jaką wówczas odbywałem. Ten uroczy chłopiec, któremu nadałem imię Franciszek, był pierwszym owocem naszej miłości; ta oto Krystyna - ciągnął, wskazując piętnastoletnią dziewczynę - była drugim, a Ernelinda ostatnim. Kilka spraw wagi państwowej zmusiło mnie do wyjazdu na Syberię, skąd uciekłem, zanim związałem się z Borchampsem w Tif-flis. Odnajduję mą drogą rodzinę i przedstawiam

wam, prosząc, byście czynili z nią absolutnie wszystko, na co macie ochotę: pragnę dowieść memu kapitanowi, że nie bardziej niż on respektuję więzy krwi.

- Pani - powiedział Borchamps do Rozyny - bądź tak dobra i wyjaśnij nam resztę.

- Niestety, panie! - powiedziała piękna Rozyna - porzucona przez tego wiarołomcę, pierwsze lata jego nieobecności spędzałam tak, jak potrafiłam, gdy oto przypadł mi w spadku wspaniały legat. Część pieniędzy wydałam na szukanie męża we Francji, we Włoszech, gdzie, jak mnie zapewniano, go nie ma: pragnęłam tylko szczęśliwie odnaleźć dla dzieci ojcowskie łono. Jakież było moje zaskoczenie, gdy ujrzałam go na czele bandy zbrodniarzy... Potwór! Oto więc wykonuje on niegodną profesję, podczas gdy ja, obarczona obowiązkami, wskutek jego nieobecności byłam niemal pozbawiony podstawowych środków do życia.

- Ach! Ach! Ależ to patetyczne - wykrzyknęła Olimpia - mam nadzieję, że nasz przyjaciel Borchamps wyciągnie z tych okoliczności wszelkie korzyści.

- Pani - powiedziała Clairwil do tej nieszczęsnej - w tym, co mówisz nie ma niczego, co mogłoby cię uchronić przed losem, jaki czeka wszystkich więźniów żołnierzy mego męża... Powiedz, proszę, jaką fortunę wieszysz?

- Sto tysięcy talarów - odparła urocza małżonka Carl-Sona.

- To nie tak wiele - stwierdziła Clairwil, a potem zwróciła się do mnie - Zaledwie wystarczy na opłacenie domu w Neapolu.

- Mój drogi - powiedziała Rozyna do Carl-Sona - przywożę ci je z całym sercem, a także te delikatne owoce żaru twego serca.

- Och! o tym nie ma mowy - powiedział porucznik - nie dałbym złamanego grosza za ten podarunek.

- Byłabym bardziej wspaniałomyślna niż ty - powiedziałam do Carl-Sona, któremu zaczęłam się przyglądać z dużym zainteresowaniem. - Przyjemności, jakich spodziewamy się po tych czterech uroczych obiektach, warte są, jak sądzę, dużych pieniędzy.

- Wkrótce je ocenimy, pani - odparł Carl-Son, który dostrzegł już mój wzrok - pewne jest natomiast to, że niewiele jest rozkoszy tyle wartych, ile te, jakich oczekuję od pani...

- Tak pan uważa - odparłam, ściskając dłoń tego uroczonego chłopca.

- Idę o zakład, pani - powiedział Carl-Son, składając na mych ustach pocałunek, zwiastun jego umiejętności postępowania - tak, idę o zakład i jestem gotów dać tego dowód.

- Zjedzmy obiad - rzekł kapitan...

- W gronie rodziny! - dodał porucznik.

- Niewątpliwie - dorzuciła Clairwil - chcę ją zobaczyć tutaj, zanim ją przeniesiemy gdzieś indziej.

Rozkazy zostały wydane i podano najwspanialszy obiad. Siedzący obok Carl-Son miał, jak się wydawało, wielką ochotę mnie pościć, a przyznam, że w tym względzie w niczym mu nie ustępowałam. Jego dzieci były ciche..., zmartwione..., małżonka zapłakana i piękna, cała zaś reszta wesoła i mocno libertyńska.

- Dalej - rzekł Borchamps, wskazując Carl-Sona i mnie - nie pozwólmy dłużej czekać tym dwojgu zakochanych; widzę, że płoną uczuciem do siebie.

- Tak - powiedziała Borghese - ale scena musi być publiczna.

- Ona ma rację - powiedziała Clairwil. - Carl-Son, towarzystwo pozwala ci zerznąć Juliette, ale ma się do odbyć na naszych oczach.

- Co na to powiedzą moja żona i dzieci.

- Słowo daję, a niech mówią, co chcą- powiedziałam, ciągnąc za sobą Carl-Sona w stronę kanapy i wyciągając z jego spodni olbrzymi narząd. - Choćby znajdowali się tutaj wszyscy święci, mój drogi, to i tak bym się z tobą pieprzyła. - Wybacz, pani - zwróciłam się do Rozy-ny -jeśli ci odbieram rozkosze, które powinny należeć tylko do ciebie, ale, do diabła, twój mąż już od dawna mnie podnieca.

Zaledwie wypowiedziałam te słowa, a straszliwy kutas Carl-Sona był już w mojej macicy.

- Patrzcie - rzekł kapitan, opuszczając spodnie - zapomniałem wam powiedzieć, że mój przyjaciel ma najpiękniejszą w świecie dupę.

Mówiąc to, szelma rżnie go, gdy tymczasem Clairwil całuje mnie w usta, brandzluje łechtaczkę, a Borghese trzy palce zagłębia w dupie.

- Kapitanie - mówi Sbrigani, który podniecił się tym spektaklem - czy chcesz, bym cię zerznął; jak widzisz, pochlebiam sobie, mój kutas jest w stanie cię zadowolić.

- Pierdol, panie, pierdol, oto moja dupa - to była odpowiedź kapitana - ale, proszę cię, jednocześnie obmacuj pośladki.

- Już się zabrałem za tyłki Elizy i Rojmundy - odparł Sbrigani -a przed oczami umieściłem ci, dla rozweselenia, i tyłek małżonki tego, którego pierdolisz, i tyłki trójki jego dzieci.

Zaledwie grupa odpowiednio się ustawiła, a już wszyscy się spuścili; postanawiając już więcej nie tracić spermy na takie dziecinady, jednogłośnie zdecydowaliśmy przejść do orgii poważniejszych. Wydaje mi się, że dla ich zrozumienia ważne jest przedstawienie wszystkich osób.

Razem było nas dwanaścioro: Borchamps, Sbrigani, Carl, Clairwil, Borghese i ja - to sześć osób pełniących role aktywne; Eliza, Rajmunda, Rozya, Franciszek, Erelinda i

Krystyna - oto ci, którzy mieli pełnić role skazańców.

- Carl - powiedział Borchamps, zdejmując spodnie młodemu Franciszkowi - oto dupa, która może się równać z twoją, mój drogi, a czuję, że złożę je hołdy równie czyste, jak te, na jakie twoja tak długo z mej strony zasługiwała - mówiąc to, obmacywał, całował najpiękniejszy, najbielszy i najbardziej jędrny tyłek, jaki można ujrzyć.

- Nie zgadzam się na taki układ - powiedziała Clairwil - to grzech przeciw wszelkim prawom boskim i ludzkim, by zabraniać Carlowi roz-dziewiczyć syna; to dziecko ma mnie wyjechać w dupę, jego matka ma mnie brandzłowac, a ojciec niech rżnie go w dupę, gdy tymczasem Liza i Rajmund będą go chłostać, on zaś z lewej i z prawej strony będzie obmacywał pośladki Borghese i Julietty, one natomiast będą chłostać dwie młode córki Carla na wprost Borchamps, jebanego przez Sbriga-niego i pomagającego w chłostaniu dwójki dzieci swego przyjaciela.

Scena zostaje zaaranżowana, młody Franciszek, doskonale zerżnięty przez swego ojca, w najlepsze sodomizuje mą przyjaciółkę. Ale Rozyna ze łzami godzi się na nieprzyzwoitości, które wydają się tak odległe od jej zwyczajów. W tym czasie kapitan, nie czując się dostatecznie związany z taką kompozycją obrazu, wciąż jebany przez Sbri-ganiego, zabiera się za młodszą córkę Carla i bez najmniejszego przygotowania, klnąc, łajdak rżnie ją w dupę; dziewczyna mdleje; nic jednak nie zraża kapitana, który, wbijając się głębiej niż kiedykolwiek, gdyż nie natrafia na opór, jakby chciał rozłupać na dwoje tę nieszczęsną. Wkrótce jednak traci na nią ochotę i zabiera się za drugą dziewczynę; ta, choć ma piętnaście lat, jest tak wątła, tak drobna, tak delikatna, że wprowadzenie ogromnego członka Borchmpsa sprawia je ból i rozrywa równie mocno, jak to było w przypadku Ernelindy; nic jednak nie może powstrzymać nadzwyczajnych wysiłków tego łotra; ten prze, naciska, jest w środku...

- O Carl! - wykrzykuje w uniesieniu - oto dupy godne ciebie; uwolnij mnie od tych pizd, jeśli możesz, a przedłożę je nad twoją.

W tym czasie Clairwil zostaje zroszona spermą Franciszka, i szelma kręci się jak bachantka, wyrzuca go z siodła i za jednym podskokiem wsadza sobie jego kutasa od przodu, gdy tymczasem ojciec, który sodomizuje tego, co podrzuca ją jak piłkę, wcale nie cierpi na podskokach. Carl traci w końcu spermę, a gdy tyłek Franciszka jest wolny, kapitan, znudzony dziewczętami, natychmiast wciska w niego swego kutasa, gdy tymczasem ja, porwana najbardziej wyuzdaną rozpustą, liże dupę tego pięknego mężczyzny, którą czym prędzej chciałabym wymacać. Carl widząc, że obie jego córki są wolne, jedną rżnie w pizdę, całując pośladki drugiej i każąc się chłostać Elizie, którą w tym czasie brandz-luje Rajmunda, rżnięta w dupę przez Sbriganiego. Nowe bryzgi spermy zmuszajądo dokonania zmian; ja zostaję w

końcu zerznęta w dupę przez kapitana, podczas gdy jego siostra mnie brandzluje, a Carl, jebany przez Sbriganiego, sodomizuje swą małżonkę, całując tyłki trojga swych dzieci, trzymany przez Elizę i Rajmundę, którym łajdak brandzluje pizdy starannie rozchylane przez Borghese.

- O Borchamps! - wykrzykuję podczas tej sceny -jakaż przyjemność sprawia mi twój kutas i jakże go pragnęłam!

- Nie tylko ty będziesz jebana - mówi kapitan, chwytając Broghese i ją sodomizując. - Wybacz, Julietto - mówi - ale ten piękny tyłek również sprawia, że mi staje, odkąd jesteśmy nadzy; myślałem o nim, jebiąc twój, a pociąga mnie twój, gdy sodomi/uję ten.

Widząc, że Franciszek jest wolny, wybieram jego; moje upodobania są tak osobliwe, a młodzieniec tak piękny, że nie wiem, jaką rolę przyjąć wobec niego: ssę mu kutasa, gryzę tyłek, podstawiam mu mój, on mnie sodomizuje, a pizdę umieszczam na twarzy Rozyny. W końcu nowe wytryski koją umysły, a kapitan stwierdza, że skoro zajmowaliśmy się mężczyznami, w dalszych poczynaniach należy mieć na względzie rozkosze kobiet.

- Ponieważ przyjemności fizyczne z takimi dziećmi - mówi kapitan - są dla kobiet czymś miernym, powinniśmy, jak sędzę, doradzić im rozkosze duchowe. Julietto! Ty zaczniesz; niech Carl, wpół leżąc na sofie, podsunie ci swego twardego kutasa, ty delikatnie na nim usiądziesz, przyglądając się, jak wchodzi w twoją dupę; Clairwil i Borghese będą cię brandzlować, jedna pizdę, druga lechtaczkę; by nie oszczędzały się w tej uprzejmości, same też będą miały przyjemność; podczas gdy ty będziesz się w taki sposób rozkoszować, na wprost ciebie Eliza i Marcelina będą mi sprawiać przyjemność, przybierając najróżniejsze, najbardziej lubieżne pozy; ofiary zaprezentują się na kolanach, jedna za drugą, obok ciebie: najpierw droga małżonka Carla, która przybyła z tak daleka, by dać mu zarazem złoto i dzieci, następnie jej syn, a na końcu obie córki; poprowadzi je sam ojciec. Ty wybierzesz mękę dla każdej z tych osób, początkowo jednak zwykłą i delikatną: mamy wiele czasu na rozkosze i dlatego będziemy je stopniować. Ja przyjmę te rozkazy, a zostaną one wykonane, gdy tylko się spuścisz.

Wszystko zostaje przygotowane, ale niezbyt staramy się oczekiwać, aż ogranie mnie upojenie, by mi zaprezentować ofiary; Rozyna pojawia się jako pierwsza; nakazuję, by ją przybliżyć; oglądam ją dokładnie, a uznawszy, że ma wspaniałe piersi, jako karę wybieram wy-chłostanie jej po nich; podchodzi Franciszek, oglądam jego piękny tyłek - właśnie po pośladkach zostanie wychłostany; zbliża się Krystyna, skazuję ją na zjedzenie gówna tego spośród nas, kto pierwszy odczuje potrzebę srania; a młoda Ernelinda, której urocza buzia mnie podnieca, otrzyma dwa policzki od każdego z nas.



- Spuszczasz się, Julietto? - pyta Borghese, gdy moje dwie try-badki w pełni dostarczają mi rozkoszy.

- Tak, do diabła, spuszczałam się, och! do licha, już nie mogę... Ach! Carle-Son, jakże wspaniały jest twój kutas!

- Dalej - mówi kapitan - wykonajmy pierwszą turę kar; Borghese będzie następna.

Wszystkie moje wyroki zostają wykonane, ale wskutek bardzo roztropnego wyrafinowania kat miał zostać wybrany spośród kobiet, które nie ferują wyroków. Ponieważ Clairwil, która tym razem wykonuje me rozkazy, ma ochotę oddać rozlaną w jej tyłku spermę, to właśnie jej kupę zjada Krystyna. Och! z jakimż zapałem dziwka zabiera się następnie za chłostanie pięknych cycków Rozyny i po trzydziestu uderzeniach sprawia, że spływają krwią, a szelma całuje rany, dzieło jej okrucieństwa; potem zbrodniarka zabiera się za wspaniały tyłek Franciszka i zdiera go z nie mniejszą wściekłością.

- Dalej, Borghese - mówi kapitan - twoja kolej. Spodziewam się - ciągnie - że Sbrigani, świadom, jak bardzo potrzebujemy jego oręża, odczuł konieczność, by nie stępić go zbyt wcześnie.

- Patrzcie - mówi Sbrigani, wyciągając z mego tyłka twardego i sztywnego kutasa, którym natychmiast przebija dupę Borghese. - Z nią zachowam taką samą ostrożność; możecie być pewni, że spuszcze się dopiero na końcu.

Borghese wydaje rozkazy, a ja zostaję katem.

- Wzmocnij je - mówi kapitan - pamiętaj o stopniowaniu, by powoli dojść do śmierci...

- Do śmierci! - wykrzykuje Rozyna - och wielkie nieba! Cóż uczyniłam, by na nią zasłużyć?

- Gdybyś zasłużyła - mówi Carl-Son, rżnąc kapitana, który lokuje się w dupie Rajmundy i brandzluje tyłek Elizy - tak, do licha, gdybyś, dziwko, zasłużyła, nie skazano by cię; marny tutaj największy szacunek dla występku i najżywsze oburzenie wobec wszystkiego, co choć podobne do cnoty; ten sposób myślenia utrwalaj ą mocne zasady, i zapewne pochwalisz, moja droga, to, że bez względu na wszystko nie odstępimy od nich.

- Dalej, Borghese, rozkazuj - powiedział kapitan, energicznie jebany przez swego najbliższego przyjaciela.

- Rozyna - powiedziała porywcza Olimpia - od każdego otrzyma sześć ukłuć igłą; piękny Franciszek będzie miał pośladki pokąsane przez ojca, a kutasa przez wszystkie kobiety; następnie kat wymierzy Krystynie dwadzieścia batów po lędźwiach, a Ernelindzie złamie dwa palce u dłoni.

Zaczynam egzekucję: wymierzywszy sześć mocnychukłuć w tłściutkie łono Rozyny,

oddaje oręż mym przyjaciółom, którzy zostawiają swe ślady na najbardziej wrażliwych częściach tego pięknego ciała; jej straszliwy małżonek się wyróżnia i łajdak wbija jej igłę we wnętrze waginy; reszta jest moim dziełem, a wykonuję ją z taką zręcznością i pewnością, że wszystkich przyprawiam o wytrysk. Clairwil zastępuje Borghese.

- Wzmocnij, moja siostrze - mówi kapitan - nie zapomnij o zasadzie proporcji...

- Bądź spokojny - odpowiada ta harpia - wkrótce poznasz, że płynie we mnie twoja krew.

Tym razem to Carl-Son rżnie w dupę siostrę kapitana, a nie był to dlań pierwszy krok; Borghese i ja jąbrandzujemy, i ogłoszony zostaje wyrok:

- Chcę - mówi ona - by rozpalonym żelazem przypalono oba cycki małżonki tego, kto mnie rżnie w dupę; chcę - ciągnie łajdaczka, która traci głowę, gdy tylko kutas zaczyna łaskotać jej tyłek - by nożem odcięto cztery kawałki z pięknych pośladków młodzieńca, którego mój brat, jak mi się wydaje, w międzyczasie rżnie w dupę; chcę, by przypalono pośladki Krystynie i by na piękną dupę Erelindy rozlano wrzący olej, niezależnie od wszelkich pieszczot, jakimi, jak widzę, obsypuje ją Borghese.

W tym miejscu wydarzyło się jednak coś bardzo zabawnego: młoda dziewczyna tak się bała przeznaczonego jej mycia, że natychmiast zrobiła pod siebie i zalała pokój gównem.

- Do diabła - powiedział Borchamps, wymierzając dziewczynce tak mocnego kopniaka w tyłek, że ta myślała, iż wyleci przez okno, które właśnie otworzono, by przewietrzyć pokój. - Do licha! Jak w jednej chwili nie zarznąć takiej małej dziwki?

- Diabeł w ciebie wstąpił? - powiedziała Clairwil do swego brata - to tylko gówno, a ty je lubisz; wolisz gówno Julietty? Chodź, dostaniesz, moje palce je wyczuwają, zaraz złoży ci je w ustach...

- Och! Jacyż stajemy się nieprzyzwoici - powiedział kapitan, zbliżając wargi do otworu w mym tyłku i pobudzając to, na co robiono mu nadzieje. Sperma jest już bliska, gdy wypowiada się podobne słowa; sram: aż trudno uwierzyć, on także sra, i to wprost w usta Krystyny, którą kazał umieścić pod swymi pośladkami; łajdak oddaje salwę, pozerając dostarczoną mu przeze mnie kupę.

- Twoje przyjemności są bardzo sprośne - mówi Clairwil, każąc Franciszkowi, by wykonał podobną operację na jej nos...

- Ach! Pieprzona łajdaczko - wykrzykuje jej brat -jesteś bliska utracenia spermy, widzę to po twych niegodziwościach.

- Do diabła! - mówi ona - chcę, by mnie położono na ziemi..., chcę, by mnie wytarzano w odchodach tej dziewczynki...

- Oszalałaś? - mówi Olimpia.

- Nie, chcę tego.

Są jej posłuszni, i właśnie tutaj, właśnie tarzając się w gównie, łajdaczka spuszcza się, umierając z rozkoszy. Wykonane zostają kolejne kary; to Borghese ma działać.

- Poczekajcie - mówi kapitan, widząc, jak uzbraja się ona w żelazo, którym ma przypalić cycki Rozyny - chcę tę dziewczynę rznąć w dupę, gdy będziesz ją dręczyć.

Sodomizuje ją; podejmują działania:

- Och! do diabła! - wykrzykuje Borchamps -jakże słodko jest jebać w dupę. osobę cierpiącą! Nieszczęsny, kto nie zna tej przyjemności! To coś najwspanialszego w naturze.

Mimo strachu, Ernelinda przyjmuje z rąk ojca, który wcześniej ją zerznął, lekarstwo uśmierzające, zalecone przez Clairwil; reszta postępuje tak samo, my zaś, zmieniawszy postawy, przechodzimy do nowych okropności.

Carl-Son, wściekły i wciąż zapalony do mego tyłka, który, jak sam mówi, zawrócił mu w głowie, chwyta swe dzieci, bije je, chłosz-cze, pierdoli, gdy tymczasem kobiety wzajem się brandzlują, oglądając spektakl, dający nam wyobrażenie wściekłego wilka pośród cichych owieczek.

- Dalej, ładaczniczo - mówi do Rozyny Borchamps, który rżnie mnie w dupę, obmacując pośladki Olimpii i Rajmundy - dalej, dziwko, masz swe dzieci poddać mękom; Carl-Son, trzymaj sztylet wzniesiony nad piersią tej odpychającej kreatury i wbij jej w serce, jeśli zawaha się uczynić to, co jej rozkażemy.

Rozyna zalewa się łzami.

- Powstrzymaj te skargi - mówi do niej Olimpia - wzmagają one nasze okrucieństwo; każemy ci cierpieć właśnie z powodu wylewanych przez ciebie łez.

- Złap swą starszą córkę za włosy - krzyczy do niej Borchamps -a ty, Clairwil, wydawaj rozkazy, Borghese będzie następna, a ostatnia Julietta.

- Chcę - mówi moja przyjaciółka - by ta brudna łajdaczka pogryzła aż do krwi cycki swej córki.

Rozyna waha się; Carl-Son dotykają ostrzeni sztyletu; nieszczęsna matka ulega...

- Olimpio, co ty rozkazujesz? - pyta Borchamps.

- Chcę, by na pośladki swej córki rozlewała gorący lak... Kolejna odmowa, kolejne ukłucia ostrzem sztyletu..., kolejna uległość nieszczęsnej Rozyny.

- A ty, Julietto, czego pragniesz?

- Chcę, by została wychłostana po całym ciele rękami matki, i to tak, by popłynęła krew...

Ileż trudów trzeba włożyć w tę egzekucję! Początkowo są to delikatne uderzenia, które nawet się nie odciskają na tyłku, ale sztylet Carl-Sona, który niezwłocznie nim grozi, do tego stopnia przeraża Rozynę, że nie ośmiela się ona oszczędzać: dupa jej córki spływa krwią. Takim samym mękom poddani zostają inni, a każdy przechodzi jeż przerażeniem. Gdy nadchodzi moja kolej, jedną z kar jest zerżnięcie w dupę przez Franciszka starszej z sióstr i zadanie matce ciosów sztyletem. A Borchamps, który mnie rżnie w dupę, gdy wydaję ów rozkaz, nie może już powstrzymać wytrysku, do którego pobudza go ta niegodziwość.

- Dalej, do licha - mówi kapitan, wyciągając z mej dupy wciąż stojącego kutasa - dalej, pora przejść do czynów. Zaczniemy od związania tych czterech osób, brzuchem do brzucha, tak, żeby, by tak rzec, uformowały jedno ciało. - Dobrze. - A teraz niech każdy z naszej ósemki, uzbrojony w dyscyplinę zakończoną rozpalonym żelazem, potrudzi się przez chwilę na tych zwłokami...

Po godzinie ostrej flagelacji kapitan mówi szorstko:

- Rozyno, weź ten sztylet, zatop go w sercu twego syna, którego trzyma ojciec...

- Nie, barbarzyńco! - wykrzykuje zrozpaczona matka - nie, niech trafi w moje.

I byłaby się przebiła, gdybym nie chwyciła jej ramienia.

- Ach! Ladacznico, posłuchasz mnie - wykrzyknął wściekły Carl-Son, i chwytając dłoń swej małżonki, sam kieruje sztylet w pierś syna.

Clairwil, zazdrosna, że bez jej udziału przystępują do zabijania tego młodzieńca, ona, która oddycha tylko po to, by zabijać mężczyzn, chwytając drugi sztylet i dziurawi tego nieszczęśnika po tysiakkroć bardziej krwawymi pchnięciami; wówczas Rozyna zostaje złożona na drewnianej, bardzo wąskiej ławie, a Borchamps chce, by Ernelinda otworzyła skalpelem brzuch swej matki; dziecko się wzdraga, grożą mu: przerażona, zmartwiała, pobudzona nadzieją uratowania własnego życia, jeśli się zgodzi, i wreszcie jej dłoń, prowadzona ręką Carl-Sona, ulega pod naciskiem barbarzyńskich impulsów.

- Oto, gdzie otrzymałaś życie - mówi ten okrutny ojciec, gdy dokonują otwarcia - musisz wrócić do macierzy, z której wyszłaś.

Związują ją, z taką sztuką składają, że żywa trafia do łona, które niegdyś ją wydało.

- Co do tej - mówi kapitan, mając na myśli Krystynę - należy ją przywiązać do pleców matki. Patrzcie - mówi, gdy rzecz zostaje wykonana - jak można zredukować trzy kobiety do tak małej objętości!

- A Franciszek! - mówi Clairwil.

- Dajemy ci go - odpowiada Borchamps - możesz odejść na bok i według swego uznania wysłać go na tamten świat...

- Chodź ze mną, Julietto - mówi Clairwil, zabierając młodzieńca do sąsiedniego gabinetu... A tam, niczym rozhukane bachantki, sprawiamy, by ten nieszczęsny młodzian wyzionął ducha w najpotworniejszych i najbardziej wyrafinowanych mękach, jakie okrucieństwo może wymyślić.

Carl-Son i Borghese uznają, że po wyjściu stamtąd jesteście tak piękne, iż obaj chcą nas zerznąć, ale zazdrosna Borghese wykrzykuje, że nie należy ani pozwolić, by ofiary opadły z sił, ani odwlekać oczekiwanych z racji mąk przyjemności; wszyscy zgadzają się z tym zdaniem, a ponieważ jest późno, postanawiamy, że jednocześnie będzie podawana kolacja.

- W takim razie - mówi Borghese, która otrzymała prawo wydawania rozkazów, a zatem nie miała prawa uczestniczyć w pastwieniu się nad Franciszkiem - należy te ofiary umieścić na stole; pierwsza z naszych przyjemności będzie płynęła ze stanu, w jakim one się znajdują, a ten, jak sądzę, bardzo im urąga; druga - z razów, jakie będziemy im tutaj zadawać.

- Tak, niech je umieszczą- mówi Clairwil - ale chcę się pieprzyć przed kolacją.

- A z kim - pytam moją przyjaciółkę - wszyscy są wycieńczeni?

- Mój brat - odpowiada to nienasycone stworzenie - każe nam sprowadzić dziesięciu najprzystojniejszych żołnierzy ze swego oddziału, a my się im oddamy jak dziwki.

Pojawia się oddział; Borghese, Clairwil i ja rzucamy się na nich, stawiając czoło grożącym nam kutasom, na podłodze, na rozłożonych w tym celu poduszkach: Eliza i Rajmunda wzmagają nasze przyjemności. Sbrigani, kapitan i Carl-Son, przyglądając się nam, wzajem się so-domizują, i podczas wspaniałych czterech godzin, pośród lamentów naszych ofiar, wszystkie trzy pieprzymy się jak największe w świecie łajdaczki: nasi czempioni, zmęczeni, zostają odesłani.

- Do czego służy mężczyzna, któremu już nie staje? - spytała Clairwil - Mój bracie, proszę cię, byś natychmiast na naszych oczach kazał poderznąć gardła tym dziesięciu mężczyznom.

Z rozkazu kapitana dwudziestu innych zabiera się wnet za tych i masakrują ich, podczas gdy my, Borghese, Clairwil i ja, się brandzlu-jemy; i by tak rzec, to na ich ciałach podana nam zostaje najwspanialsza kolacja; a w jej trakcie, nagie, ubrudzone spermą i krwią, pijane rozpustą, doprowadzamy okrucieństwo do takiego stopnia, że z potrawami mieszamy kawałki ciała odcięte własnymi rękami z ciał nieszczęśników znajdujących się na stole. Przepojeni zbrodnią i bezeceństwami, padamy wreszcie pośród trupów i zalewu win, likierów, gówna, spermy i kawałków ludzkiego ciała. Nie wiem, co czyniliśmy; przypominam sobie tylko, że gdy ujrzałam światło dzienne, leżałam między dwoma martwymi ciałami, z nosem w tyłku Carl-Sona, który gardło wypełnił mi gównem, a sam zapomniał wyjąć kutasa z

dupy Borghese. Kapitan, który zasnął z głową opartą o zasrane poślądki Raimondy, trzymał jeszcze kutasa w moim tyłku, a Sbrigani chrapał w objęciach Elizy; pokawałkowane ofiary wciąż jeszcze leżały na stole.

W takim stanie znalazła nas dzienna gwiazda, która, nie dziwiąc się bynajmniej naszym ekscesom, od czasu, gdy oświećła świat, nigdy, jak sądzę, nie wstała piękniejsza. To zatem nieprawda, że Niebo potępia ludzkie wybryki! Niedorzeczne jest więc przekonanie, że się za nie obraża! Czy okazywałoby względy tak zbrodniarzom, jak i ludziom uczciwym, gdyby było zagniewane ich zbrodniami?...

- Ech! Nie, nie - powiedziałam do mych przyjaciół, którzy nazajutrz z zimną krwią wysłuchiwali mych przemyśleń - nie, nie, nikogo nie znieważamy, oddając się zbrodni. Boga? Jak go znieważać, skoro nie istnieje?... Naturę?... W jeszcze mniejszym stopniu - ciągnęłam, przypominając sobie doskonałą moralność, jaką byłam karmiona:

Człowiek nie jest wcale zależny od natury; nie jest nawet jej dzieckiem; jest jej pianą, rezultatem; nie ma innych praw niż prawa nadane minerałom, roślinom, zwierzętom, a gdy się uwiecznia, realizuje prawa właściwe sobie, bynajmniej jednak nie konieczne dla natury..., bynajmniej przez nią nie chciane: tę uniwersalną matkę znacznie bardziej zadowala niszczenie, ponieważ prowadzi do oddania jej mocy, jaką traci ona wskutek naszego rozmnażania. Toteż nasze zbrodnie się jej podobają, moi drodzy, a nasze cnoty ją znieważają; toteż okrucieństwo w zbrodni jest czymś, czego pragnie ona najgoręcej; niezaprzeczalnie bo wiem najlepiej służyłby jej ktoś, kto wielością zbrodni, których okrucieństwo niszczyłoby wręcz możliwość odradzania, uwieczniałby się w trzech królestwach, tym samym odbierając jej zdolność do drugiego poruszenia. Jakaż byłam głupia, Clairwil! Zanim się rozstałyśmy, trzymałam się jeszcze natury, a nowe systemy, przejęte przeze mnie od tego czasu, wyrwały mnie z niej i oddały zwykłym prawom królestw. Ach! Jakże bylibyśmy naiwni, moi drodzy, gdybyśmy, przyjąwszy te systemy, odrzucili cokolwiek z naszych namiętności, skoro stają się one motorem naszego bytu i nie możemy nie iść za ich poruszeniami, tak jak nie możemy się nie narodzić lub pozostać w nicości!... Cóż mówię? Te namiętności są tak nierozłącznie z nami związane, tak konieczne dla rządzących nami praw, że stają się niczym pierwsze potrzeby, które strzegą naszego istnienia. Jak dalece, moja droga Clairwil - ciągnęłam, ściskając dłoń mej przyjaciółki - jestem teraz niewolnicą tych namiętności! Niezależnie od ich charakteru poświęciłabym im wszystko!... Ech! Jakież znaczenie ma ofiara, jaką bym im złożyła! Żadna nie będzie dla mnie więcej warta niż inna. Gdyby, zgodnie z powszechnymi przesadami, istniała choć jedna, która by zasługiwała na wyjątkowe traktowanie, to moje rozkosze musiałyby ulec zwiększeniu z powodu samego zerwania tych ograniczeń; ten

nadmiar rozkosznego łaskotania wzięłabym za głos, który mi to nakazuje, a moja dłoń wnet posłużyłaby moim pragnieniom.

Moje rozumowanie wsparł uderzający przykład nagrody, niemal zawsze przyznawanej przez los wielkim przestępcom.

Zaledwie opuściliśmy przed chwilą opisaną scenę okropności, gdy żołnierze Borchampsza przyprowadzili sześć wozów złota i srebra, które republika wenecka wysłała cesarzowi. Tylko stu ludzi eskortowało tę wspaniałą przesyłkę, gdy podczas przemarszu przez góry Tyrolu dwustu kawalerzystów naszego kapitana po godzinnej walce zawładnęło tym skarbem i przywiozło go dowódcy.

- I oto będę bogaty przez całą resztę życia - powiedział szczęśliwy brat Clairwil... - Zobaczcie, w jakim momencie zdarza się to szczęście! Właśnie w ręce splamione żonobójstwem, dzieciobójstwem, sodomią, mordami, prostytutką, niegodziwością niebo składa te bogactwa; właśnie by wynagrodzić mnie za te okropności, oddaje je do mej dyspozycji, a wy chcecie, bym nie wierzył, że naturze zaszczyt przynoszą tylko zbrodnie? Ach! Moje systemy nigdy nie zmieniają się w tym przedmiocie i bezustannie będę się im oddawał, gdyż ich następstwa są tak szczęsne. Carl-Son - powiedział kapitan - przed policzeniem weź sobie z tych wozów sto tysięcy talarów; daję ci je na dowód wielkiego zadowolenia z twej odwagi i stanowczości w scenie, do której dostarczyłeś nam aktorów. Widzicie, panie - kapitan zwrócił się do nas - nie ukrywam przed wami krańcowej skłonności, jaką mam dla tego chłopca, a gdy się kocha, należy tego dowieść pieniędzmi; sądziłem, że rozkosz mnie ostudzi, a oto wręcz przeciwnie, im częściej spuszcza się za sprawą tego uroczego chłopca, tym bardziej go kocham: wybaczenie, panie, po tysiakkroć, ale z wami to jednak nie to samo.

U Borchampsza spędziliśmy jeszcze kilka dni. Pod koniec pobytu, widząc, że postanowiliśmy wyjechać, powiedział on nam:

- Sądziłem, moi drodzy, że będę mógł wam towarzyszyć aż do Neapolu, pohulać tam, chcąc jednak porzucić zawód, jakim się param, muszę uporządkować moje sprawy; moja siostra zaprowadzi was do tego pięknego miasta, a oto osiem tysięcy franków, jakie daję wam na koszty podróży. Po przybyciu tam wynajmijcie wspaniałą rezydencję i podawajcie się za siostry, łączy was bowiem pewnego rodzaju podobieństwo, które sprawia, że można dać temu wiarę. Sbrigani nadal będzie czuwał nad waszymi sprawami, gdy tymczasem wy będziecie się oddawać wszelkim przyjemnościom, jakie oferuje to wspaniałe miasto.

Eliza i Rajmunda będą waszymi damami do towarzystwa. Jeśli będę mógł, przybędę się z wami spotkać, bawcie się wszystkie trzy, a w waszych przyjemnościach nie

zapominajcie o mnie.

Wyruszyliśmy. Żałowałam, przyznam, Carl-Sona. Podczas pobytu u brata Clairwil byłam wspaniale jebana przez tego pięknego chłopca, którego miał wspaniałego kutasa, i rozstałam się z nim nie bez przykrości. W moim przypadku nie chodziło o miłość, nigdy nie służyłam temu bogu, chodziło tylko o dobre jebanie, a nikt mnie tak nie zaspokajał, jak Carl-Son. Konieczność ukrywania się, aby nie narazić się Bor-champsowi, bardzo zazdrosnemu o tego pięknego chłopca, przydawała jego rozkoszy tego rodzaju pieprzu, jakiego nie znajdowałam u innych; i nasze ostatnie pożegnanie zostało przypieczone obopólnym rozlaniem spermy.



## WYCZYNY W KRÓLESTWIE NEAPOLU

Niepostrzeżenie dochodzi się do plaży. I jest się oto w miejscu, gdzie wznosiło się ongiś sławne miasto Baia, centrum rozrywek i rozkoszy. To tutaj właśnie przybywali Rzymianie, by oddawać się najbardziej wyszukanej rozpuście. [...] Niezależnie od wszystkich wstrząsów, jakich zaznała ta piękna kraina, oddycha się tu jeszcze słodkim i lubieżnym powietrzem, trującym dla obyczajów i cnoty, a łagodnym dla występku i wszystkich domniemyanych zbrodni rozwiązłości. [...]

Na miejscu tego świetnego niegdyś miasta stoi dzisiaj tylko nędzna chatka rybaków, a po jego dawnej świetności pozostały tylko ruiny,, które z zainteresowaniem obejrzałyśmy.

Wybraną boginią miasta tak zepsutego powinna być Wenera. Znajdują się tam szczątki jej świątyni, ich stan jest wszakże tak opłakany, iż na podstawie teraźniejszości nie sposób wnosić o przeszłości. Zobaczyć można tam jednak jeszcze podziemia, mroczne i tajemnicze korytarze, dowodzące, iż miejsce to służyło nader sekretnym ceremoniom. Krew zaczęła żywiej krążyć w naszych żyłach, gdy tam weszłyśmy. Olimpia pochyliła się nade mną i dostrzegłam wówczas płomienie w jej oczach.

- Rafaelu - powiedziała - musimy złożyć ofiarę w tej świątyni.

- Wyczerpałyście mnie - odparł nasz cicerone - a wędrówka dopełniła zmęczenia. Znam jednak czterech czy pięciu okolicznych rybaków, którzy nie życzyliby sobie niczego bardziej niż was zadowolić.

Nie minęło pięć minut, a sprowadził nam najbardziej podejrzaną, a przy tym dość liczną kompanię. Zamroczone żądzą nie zdawałyśmy sobie sprawy z grożącego nam niebezpieczeństwa. Cóż mogły, w tym mrocznym i odludnym miejscu, trzy kobiety przeciwko dziesięciu mężczyznom, którzy zuchwale się ku nim zbliżali?

Ukojone inspiracjami bóstwa, które chroni występki i pozwala mu rozkwitać, bynajmniej się nie przestraszyłyśmy.

- Przyjaciele! - odezwała się po włosku Olimpia. - Nie chciałyśmy zwiedzać świątyni Wenus, nie złożywszy bogini ofiary. Czy zgodzicie się wystąpić w roli kapłanów?

- Czemu nie! - odparł jeden z tych nieokrzeszańców, bez ceregieli podkasując oratorkę.

- Jazda, jazda, zerżnijmy je! - zawołał inny, rzucając się na mnie. Ponieważ jednak mogłyśmy przyjąć tylko trzech, siedmiu, którzy nie zostali wybrani, wdało się w taką kłótnię, że nie obeszłoby się bez noży, gdybym nie pospieszyła ich przekonać, że przy odrobinie starań każda z nas będzie się mogła zająć trzema jednocześnie. Daję przykład: jeden rżnie

mnie w pizdę, prezentuję tyłek drugiemu i ssę trzeciego. Moje towarzyski mnie naśladowa. Rafael, wyczerpany, przygląda się nam pieprzonym jak kurwy. Trudno sobie wyobrazić grubość kutasa Neapo-litańczyka: mimo że obiecałyśmy ssać trzeciego, musiałyśmy go brandz-lować, nie mogąc zmieścić go w ustach. Gdy tylko poharcowali trochę w dziurach, jakie wybrali, zamieniali się miejscami, także wszyscy rznęli nas w pizdy i w dupy, spuszczać się przynajmniej trzy razy. Mrok panujący w tym miejscu, misteria, jakie tam odprawiano, rodzaj ludzi, z jakimi miałyśmy do czynienia, a być może też niebezpieczeństwo, jakie wyzywałyśmy, wszystko to rozpałiło nam głowy i pragnęłyśmy rzeczy najgorszych... Jakże jednak, słabe istoty, miałyśmy je zrealizować?

- Czy masz drażetki? - spytałam szeptem Clairwil.

- Tak - odpowiedziała - bez nich nigdzie się nie ruszam.

- Podaj je więc naszym przyjaciółom.

Olimpia wyjaśnia chwat, że cukierki te przywrócą im wigor, i zachęcamy ich, by je spożyli. Ja nimi częstuję: w takich przypadkach zawsze ubiegam się o ten zaszczyt; nasi nicponie wszystko połykają.

- Jeszcze jedna kolejka dla każdego - mówi Clairwil tak cicho, by jej nie usłyszeli. - Teraz kiedy śmierć już w nich zamieszkała, nakłońmy ich, by po raz ostatni trysnęli spermą, jaką mogą jeszcze otrzymać od natury.

- Z rozkoszą - odpowiadam. - Czy nie powinnyśmy się jednak obawiać, że przekażą nam truciznę, jaka płynie w ich żyłach?

- Chrońmy usta, oddajmy jednak bez obawy resztę - rzekła Clair-wil. - Nie ma żadnego niebezpieczeństwa; sto razy uczestniczyłam w tej zabawie i widzisz, w jakiej jestem formie...

Rozpałił mnie potworny charakter tej kobiety: nigdy jeszcze nie smakowałam żywszych rozkoszy. Owa perfidna pewność, że wskutek mej przewrotności mężczyzna, którego trzymałam w ramionach, uwolni się z nich tylko po to, by wpaść w ramiona śmierci, owa barbarzyńska myśl tak pikantnie doprawiła mą rozkosz, że zemdlałam w trakcie orgazmu.

- Pospieszmy się - rzekłam do mych przyjaciółek, odzyskawszy świadomość. - Wynieśmy się z tych podziemi, zanim bóle chwycą naszych zapaśników.

Wyszłyśmy jako pierwsze. Rafael, który nie uczestniczył ani w tych swawolach, ani w ich okrutnych następstwach, w dalszym ciągu służył nam za przewodnika. Nie poznałyśmy nigdy rezultatów okropieństwa, którego środki były wszakże nazbyt pewne, by mogły budzić wątpliwości, co do oczekiwanego przez nas powodzenia.

- No cóż! - rzekłam do Clairwil. - Wychodzi więc na to, że do tego stopnia przeżarta jesteś zbrodniczością, iż nie możesz już pieprzyć się z mężczyzną, nie pragnąc jego śmierci?

- To aż nazbyt pewne - odpowiedziała moja przyjaciółka. - Trudno sobie wyobrazić, droga Julietto, czym jest dojrzewanie w zbrodni. Zapuszcza w nas ona tak straszliwe korzenie, utożsamia się do tego stopnia z naszym istnieniem, że, ściśle biorąc, oddychamy już tylko dla niej. Czy uwierzysz, że żałuję wszystkich chwil mego życia, w których nie splamiłam się potwornościami? Ich tylko pragnęłabym się dopuszczać. Chciałbym, żeby wszystkie moje myśli ciążyły ku zbrodniom i żeby mogła natychmiast realizować to, co przysłoby mi na myśl. Och, Julietto! Jakże rozkoszna jest zbrodnia, jakże głowa rozpala się na myśl o bezkarnym przekraczaniu wszystkich śmiechu wartych barier krępujących ludzi! Jaką zdobywamy nad nimi przewagę, rozbijając, jak my faktycznie to czynimy, wszystko, co ich krępuje, przekraczając ich prawa, profanując ich religię, negując, znieważając, wyszydając ich ohydneho Boga, gardząc wreszcie ich odrażającymi przykazaniami, w których ośmielają się twierdzić, że natura wpaja nam jakieś niezbywalne obowiązki! Ach! Moje obecne zmartwienie polega na tym, że nie znajduję, jak wiesz, niczego dostatecznie mocnego. Bez względu na to, jak straszliwa byłaby zbrodnia, wydaje mi się ona wciąż poniżej zamysłów powstających w mej głowie. Ach! Gdybym mogła podpalić uniwersum, przeklinałabym jeszcze naturę, że oferuje mym rozpętanyim pożądaniami jedynie wszechświat! [...]

Przed powrotem do Neapolu pospiesznie zwiedziłyśmy trzy wyspy, Procidę, Ischię i Nicetę, podziwiając ruiny antycznych budowli i pięknie położone wiejskie domy.

Ferdynand chciał znać nowiny. Opowiedziałyśmy mu o wrażeniach, jakie wywarły na nas regiony sąsiadujące z jego stolicą. Zaproponował, że zabierze nas wkrótce na kolację do księcia Francavilli, najbogatszego pana Neapolu i największego chwata zarazem.

- Trudno sobie wyobrazić - mówił - czego się on dopuszcza. Kazałem mu powiedzieć, by w ogóle się nami nie krępował i że odwiedzimy go jedynie w celu zaznajomienia się jak filozofowie z jego wyczynami.

Zgodziłyśmy się. Dołączyła też do nas królowa.

Nikt w całych Włoszech nie może równać się z Francavillą, gdy chodzi o przepych i wspaniałość. [...] Młodzi, niemal nadzy chłopcy w liczbie około trzystu przechadzali się to tu, to tam po całym terenie. Na szczycie kwietnego ołtarza pojawił się Francavilla przebrany za Pria-pa, boga świątyni, do jakiej wstąpiliśmy. Przybywające grupami dzieci składały hołd temu bóstwu.

- Ponieważ szanowany jesteś w tym regionie - odezwała się królowa - przybyliśmy,

aby uczestniczyć w twoich przyjemnościach i dostąpić twoich tajemnic, nie mając bynajmniej zamiaru ci przeszkadzać. Rozkoszuj się hołdami, jakie będą ci składane. Pragniemy być tylko ich świadkami.

Usiedliśmy na ukwieconych ławkach znajdujących się naprzeciw ołtarza; bóg zstąpił nieco niżej, wypiął się i ceremonia się rozpoczęła.

Francavilla zademonstrował nam najpiękniejszy w świecie tyłek. Zadaniem dwóch młodych chłopców było go rozwierać, wycierać i kierować ku dziurze monstrualne członki, które nadciągały tuzinami i systematycznie zagłębiały się w sanktuarium. Dwanaścioro innych dzieci przygotowywało do ataku kolejne narządy. Nigdy jeszcze nie widziałam tak zręcznej obsługi. Owe sposobione w ten sposób piękne instrumenty przechodziły z rąk do rąk, aż wreszcie trafiały do rąk tych dzieci, które miały je wprowadzać. Znikały rychło w otworze penitenta, po czym wysuwały się stamtąd i zastępowane były przez kolejne. A wszystko to z łatwością i w tempie tak błyskawicznym, że aż trudnym do wyobrażenia. W niecałe dwie godziny trzysta kutasów przenicowało w ten sposób dupę Francavilli. Wchłonawszy wszystko odwrócił się ku nam na koniec i trysnął, za sprawą gwałtownego szturmu przypuszczonego przez dwu Ganimedesów, kilkoma kroplami spermy, której emisja wyrwała mu z gardła kilka okrzyków i przyniosła wreszcie ukojenie.

- Moja dupa jest w strasznym stanie - rzekł, zbliżając się do nas. - Jako że pragnęliście zobaczyć ją tak potraktowaną, dałem wam po temu okazję. Założę się, że żadna z was, moje panie, nie została jeszcze nigdy wyjebana tak jak ja przed chwilą,

- Zaiste nie! - odpowiedziała oszołomiona wciąż Clairwil. - Ale przyjmuję zakład. I jeśli będę mogła posłużyć się dupą i pizdą, sądzę, że pierwszy zaczniesz błagać zmiłowania.

- Nie rób tego, moja droga - odezwała się Charlotta. - Mój kuzyn zademonstrował tylko próbkę swoich możliwości. Naprawdę jednak nie ulęknie się nawet dziesięciu batalionów. Dlatego, wierz mi, lepiej się nie zakładać.

- Niektórzy zaprawdę mają się dobrze - odpowiedziała rozbijająca Clairwil. - Czy jednak twój kuzyn, panie - zwróciła się do króla - sądzi, że zadowolimy się tylko patrzeniem?

- Tutaj na pewno - odparł Ferdynand, - Jakkolwiek bowiem jesteście piękne, nie ma wśród tych chłopców żadnego, który zgodziłby się choćby was dotknąć.

- Przecież my też mamy dupy! I chętnie je im oddamy...

- Żaden nie zechce nawet spróbować - wtrącił się Francavilla. -A gdyby uległ takiej słabości, nie chciałbym go więcej widzieć.

- Oto co znaczy być wyznawcą swego kultii! - rzekła Clairwil. -Zresztą wcale ich nie potępiam. Zjedźmy więc coś przynajmniej, skoro nie możemy się pieprzyć. I - o ile to

możliwe - niechaj Komuś zrekompensuje nam okrutne wyrzeczenia, do jakich zmusiła nas Cypris...

- Świetna myśl! - zgodził się Francavilla.

I zaraz młodzieńcy zaczęli podawać najbardziej wykwinną kolację [...]. [...] wskutek zbytku, jakiego nigdy jeszcze nie widziałam, potrawy i wina z całego świata pojawiały się i zaraz znikwały ze stołu, zrzucane do srebrnych kuwet, z których z kolei wszystko wypadało lub wylewało się wprost na ziemię.

- Resztki dla biedaków... - skomentowała rzecz Olimpia.

- Co mnie obchodzą biedacy, kiedy sam żyję! - odparł Francavilla. - Nie cierpię nawet myśli o tym, że to, co mnie już niepotrzebne, mogłoby posłużyć innym!

- Jego dusza jest tak twarda jak przepastna jest jego dupa - spuentował Ferdynand.

- Nie znam takiej rozrzutności, ale ją lubię - rzekła Clairwil. - Oddawanie resztek innym psuje wyobraźnię. Trzeba podczas takich orgii rozkoszować się myślą, że jest się samemu na ziemi.

- Ach! Po co zawracać sobie głowę biedakami, kiedy niczego mi nie brakuje - ciągnął książę. - Ich niedostatki wzmagają moje rozkosze. Byłbym mniej szczęśliwy, gdybym nie wiedział, że inni wokół mnie cierpią. Z tego korzystnego dla nas porównania czerpiemy połowę życiowych przyjemności.

- Porównanie to - wtrąciłam - jest dość okrutne.

- Ale jest czymś naturalnym. Nic nie jest tak okrutne jak natura, a ci, którzy ściśle stosują się do jej wskazań, zawsze będą katami lub łotrami.

- Mój drogi - odezwał się znów Ferdynand - wszystkie te systemy są, owszem, bardzo dobre, szkodzą jednak stanowczo twojej reputacji. Gdybyś wiedział, co mówi się o tobie w Neapolu...

Ach, kąpię sobie z tych potwarzy! - odpowiedział książę. - Reputacja jest czymś tak mało istotnym i tak godnym pogardy, że nie gniewam się wcale, kiedy inni używają sobie na mnie z powodów, dla których i ja używam sobie na innych.

- Och, panie! - zwróciłam się wówczas do tego niebywałego libertyna, przyjmując ton dogmatyczny. - Dałeś się zaślepić swoim namiętnościom. Anie są one przecież - wbrew temu, co utrzymujecie, wy, ludzie zepsuci - głosem natury. To owoce Bożego gniewu. Możemy, owszem, zostać uwolnieni od tego przytłaczającego jarzma, błagając Wiekuistego o zesłanie łask. Lecz trzeba go właśnie o to prosić. Nic zdołasz zapomnieć o swych winach ani ich odkupić, każąc sobie wkładać w dupę trzysta lub czterysta kutasów dziennie, nie przystępując nigdy do świętej spowiedzi, nie czerpiąc nigdy ze świętego skarbcza eucharystii [...]. Och,

panie! Jakże boleję nad tobą, jeśli zamierzasz trwać w tej postawie! Pomyśl o losie, jaki czeka cię po śmierci! Jak mógłbyś sądzić, że Bóg, który obdarzył cię wolną wolą i pozwolił wybierać między dobrem i złem, nie ukarze cię za zły użytek, jaki zrobiłeś z tego daru?! Czy mniemasz, przyjacielu, że wiekuiste cierpienia nie są warte chwili namysłu i że możliwość oddalenia tych cierpień nie waży więcej niż nędzne skłonności, które, nawet jeśli dostarczają ci w tym życiu ograniczonych rozkoszy, to kosztują cię zarazem wiele starań, kłopotów, trosk i wyrzutów sumienia?... Czy, jednym słowem, Najwyższy Byt powołał cię do istnienia po to, byś dawał się dymać na okrągło?

Francavilla i król patrzyli na mnie zdumieni i sprawiali przez chwilę wrażenie, jakby sądzili, że zwariowałam.

- Julietto - oprzytomniał wreszcie Ferdynand -jeśli masz jeszcze w zanadrzu drugą część tego kazania, uprzedź nas, abyśmy zdążyli się położyć, zanim zaczniesz je głosić. [...]

- Jestem teraz do tego stopnia bezbożny i tak stanowczo odrzuciłem wszelki religijny sentyment - rzekł Francavilla - że nie mógłbym nawet spokojnie słuchać gadania o tym boskim widmie, wymyślonym przez księży, którzy uczynili się jego zarządcami: samo jego imię sprawia, że dygoczę z odrazy. We wszystkich zakątkach ziemi - kontynuował - wieszczą, że Bóg się objawił. Czegóż nauczył on ludzi? Czy wykazał im, że istnieje? Czy oznajmił, kim jest, na czym polega jego istota? Czy wyłożył jasno swoje intencje... swoje zamiary...? Czyż to, co, jak się nas zapewnia, powiedział o swych planach, zgadza się z obserwowanymi przez nas rezultatami? Nie, bez wątpienia! Uczy tylko, że jest tym, który jest, że jest Bogiem ukrytym, że jego wyroki są niezbadane..., że wpada w złość, gdy zuchwale zgłębiajmy jego dekrety i odwołujemy się do rozumu, by ocenić jego samego bądź jego dzieła. Czy objawione działanie tego ohydneho Boga odpowiada wzniosłym ideom o jego mądrości, dobroci... sprawiedliwości... miłosierdziu, najwyższej władzy, jakie chciano by nam wpoić? Bynajmniej! Zawsze widzimy w nim tylko byt stronniczy, kapryśny, złośliwy, despotyczny, niesprawiedliwy, odpowiedni co najwyżej dla faworyzowanego przezeń ludu, będący zaś nieprzejednanym wrogiem wszystkich innych. Jeśli raczy pokazać się jakimś ludziom, troskliwie zabiega o utrzymanie wszystkich innych w kompletnej niewiedzy odnośnie swych boskich intencji. Czyż wszelkie objawienia nie prezentują waszego szkaradnego Boga w taki właśnie sposób? Czy wola manifestowana przez tego Boga nosi znamiona rozsądku i mądrości? Czy ma ona na względzie szczęście ludu, o które ta baśniowa boskość jakoby zabiega? Badając owe boskie pragnienia dostrzegam wszędzie jedynie dziwaczne prawa, śmieszne przepisy, ceremonie, których sensu niepodobna dociec, infantylne praktyki, etykiety niegodne prawdziwego monarchy, ofiary, celebracje, ekspiacje, użyteczne rzeczywiście dla

slug tego pospolnego Boga, bardzo jednak nieprzyjemne dla ludzi. Stwierdzam, co wiecej, ze owe prawa maja bardzo czesto na celu uczynienie ludzi aspoiecznymi, wynioslymi, nietolerancyjnymi, klottliwymi, niesprawiedliwymi, nieludzkimi wobec wszystkich, ktorzy nie otrzymali ani takiego objawienia, ani takich praw, ani takich obietnic przyszlych korzyści... Czy o takim obrzydliwym Bogu mi mówisz, Julietto? I chciałabyś, abym wielbil tego upiora...? [...]

- Kuzynie - rzekł król - moja małżonka nie może już dłużej czekać.

- Nic dziwnego - wtręciła Clairwil. - Ja też nie mogę. Widzieć jak inni się pieprzą i samemu nie móc się pieprzyć to okrucieństwo, o ile ma się temperament...

- Chodźmy więc - odparł książę. - Znajdziemy może w tych ogrodach coś, co uśmierzy ich zapąły.

Wszystkie ogrody były oświetlone. Drzewa oferowały nam lśniące pomarańcze, brzoskwinie, morele i figi. Zdejmowaliśmy je wprost z gałęzi, przemierzając wspaniałe aleje, które dowiodły nas do świątyni Ganimedesa. Światło znajdowało się w niej pod samym sklepieniem; choć więc starczało go do tego, by zajmować się rozkoszą, to nie męczyło ono wzroku. Konstrukcję podtrzymywały zielone i czerwone kolumny oplecione girlandami z mirty i lilii, które tworzyły też między kolumnami miłe dla oka festony.

Zaledwie weszliśmy, gdy dobiegła naszych uszu wspaniała muzyka. Charlotta, upojona żądzą i bardzo już rozgrzana winem i likierami, podeszła do kanapy. Postąpiłyśmy za nią.

- Teraz ich kolej - rzekł Francavilla do króla. - Niech się wykażą. Zastrzegam jednak, że tutaj oferować można tylko dupę. Jedynie dupa jest tutaj przedmiotem adoracji. Wszelkie odstępstwo od tej zasady byłoby zbrodnią, za popełnienie której trzeba by je usunąć ze świątyni. A zresztą urzędnicy, z jakich przyjdzie im tutaj korzystać, łatwo zdemaskowałyby oszustki.

- Co za różnica?! - zawołała Clairwil, rozbierając się jako pierwsza. - O wiele bardziej wolimy szafować dupami niż pizdami i jeśli tylko będzie się nas przy tym brandzlować, obiecujemy nie składać żadnych reklamacji.

Wówczas Francavilla zdejmuje różową draperię z atlasu okrywającą otomanę... Och! Co za siedzizcze się tam znajdowało! Każde miejsce, a były cztery, wykonano w taki sam sposób. Wypinając tyłek i rozchylając uda, kobieta przyklękała na ławeczce o podłożu wypchanym bawełną obitej, jak cały mebel, czarnym atlasem. Wyprostowawszy ramiona kładła dłonie na podbrzuszach dwu mężczyzn, którzy umieszczali w nich swe monstualne członki: tylko one były widoczne, gdyż resztę ciała okrywały czarne draperię. Mężczyźni stali

na przemyślnie skonstruowanych zapadniach; gdy tylko doznali orgazmu, znikali, a ich kutasy natychmiast zastępowane były nowymi.

Inny, nader szczególnie mechanizm działał pod brzuchem kobiety. Umieszczając się na tej części konstrukcji, jaka była dla niej przeznaczona, kobieta nadziewała się, by tak rzec, niezależnie od swej woli, na przyjemny, elastyczny godmisz, który, odpowiednio napędzany, piłował ją bez przerwy, wtryskując co kwadrans do jej waginy strugi ciepłego i lepkiego likieru; zapach i konsystencja kazały go brać za najczystsza i najświeższą spermę. Ukryta za draperiami dziewczyna ukazywała tylko piękną głowę i, z brodą opartą na wspomnianym godmi-szu, brandzlowała językiem clitoris pochylonej kobiety; dzięki specjalnej zapadni również zmieniana była natychmiast, gdy się zmęczyła. Na wysokości głowy kobiety umieszczone były na okrągłych taboretach, zmieniających się według życzenia, bądź pizdy, bądź kutasy; w taki sposób, że kobieta mogła pochwycić ustami issać, zależnie od swego upodobania, albo członek, albo clitoris. Skutek wprowadzenia w ruch całej tej maszyny był taki, że kobieta, ulokowana na sofie, która sama również się obracała, była najpierw łagodnie układana na brzuchu, następnie zaś penetrowana przez godmisz i ssana przez dziewczynę; sama z kolei każdą ręką brandzlowała kutasa, wystawiała dupę na pchnięcia całkiem innego, który śpieszył ją sodomizować, issała na przemian, zależnie od ochoty, bądź kutasa, bądź pizdę, względnie też dupę.

- Nie sądzę - rzekła Clairwil, lokując się całkiem naga na tym siedziszczu - by można było wymyślić coś bardziej lubieżnego. Rozpala mnie sama ta pozycja... spuszcza się, gdy tylko ją przyjmuję.

Przygotowałyśmy się wszystkie. Cztery szesnastolatki, nagie i anielsko piękne, pomagały nam się ulokować. Zwilżały esencją god-misze, by łatwiej w nas wnikały; doglądały wszystkiego skrupulatnie; następnie, rozchylając nasze pośladki, namaściły nam tak samo odbyty i czekały w pogotowiu, by obsługiwać nas w trakcie operacji. Wówczas Francavilla dał znak. Cztery piętnastoletnie dziewice przywiodły za kutasy taką samą liczbę wspaniałych chłopców, których członki wprowadzono nam od razu w dupy. Gdy jeden zespół się wyeksploatował, był natychmiast zastępowany przez następne. Doglądała nas analogiczna ilość dziewcząt. Członki były natomiast wprowadzane przez coraz to nowe panięskie czwórki, które wetknawszy nam przywiedzione kutasy, tworzyły wokół nas lubieżny taneczny krąg, przy dźwiękach czarującej muzyki, jaka dobiegała z oddali. Tancerki spryskiwały nasze ciała jakimś nieznanym likierem, którego krople podniecająco drażniły skórę i niewiarygodnie podsycaly nasze namiętności: miał zapach jaśminu i całe zostałyśmy nim zalane.



Trudno sobie zresztą wyobrazić, z jaką swobodą... i w jak zawrotnym tempie dopełniały się wszystkie warianty tego spektaklu: nie odpoczywałyśmy ani chwili. Przed naszymi ustami pizdy, kutasy, dupy zmieniały się równie szybko jak pragnienia. Z kolei ledwie spuściły się kutasy, które brandzlowałyśmy, a już pojawiały się nowe. Dziewczeta liżące nam łechtaczki zmieniały się równie szybko, a nasze dupy także nawet przez moment nie pozostawały puste. Przez co najmniej trzy godziny, w trakcie których bezustannie pławiliśmy się w rozkoszy, każdą z nas zerżnięto w dupę sto razy, a nasze pizdy bez przerwy sondowane były przez godmisze. Byłam wyczerpana! Olimpia poczuła się źle i musiała się wycofać; tylko Clairwil i Charlotta z bezprzykładną dzielnością zniosły wszystkie ataki. Całe zalane byłyśmy spermą, likierem wy-tryskującym z godmiszy i krwią: nurzałyśmy się w ich strugach. [...]

Z Pompei udaliśmy się do Salerno. Nocleg zaś przewidziany był w położonym dwie mile za miastem sławnym domu wariatów, w którym straszliwą władzę sprawował Yespoli.

Yespoli, pochodzący z jednego z największych rodów w królestwie Neapolu, piastował niegdyś na dworze funkcję Wielkiego 'Jałmużnika. Król, któremu zapewniał rozkosze i którego był spowiednikiem, powierzył mu despotyczne zarządzanie zakładem poprawczym, a osłaniając go własną potęgą, pozwalał mu oddawać się tam wszystkiemu, co mogłoby najlepiej schlebiać zbrodniczym namiętnościom tego libertyna. To z uwagi na okrucieństwa, jakich Yespoli się dopuszczał, Ferdynand chętnie nas do niego wysłał.

Yespoli, pięćdziesięciolatek o wyrazistych i surowych rysach, wysoki, silny jak tur, przyjął nas z oznakami najwyższego szacunku. Jako że przybyłyśmy bardzo późno, zaproponował, spojrzawszy na nasze listy polecające, byśmy niezwłocznie zjadły kolację i udały się na spoczynek. Nazajutrz sam przyniósł nam czekoladę i przychylając się do naszego pragnienia, towarzyszył nam podczas wizyty, jaką bardzo pragnęłyśmy złożyć w zarządzanym przez niego domu. Każda z sal, do jakich wkraczałyśmy, dostarczała nam w nadmiarze pretekstu do zbrodniczych lubieżności, toteż byłyśmy już strasznie rozpalone, gdy dotarłyśmy do cel, w których trzymano obłąkanych.

Gospodarz, który dotychczas wykazywał tylko lekkie wzburzenie, podniecił się niewiarygodnie, gdy znaleźliśmy się w tej części domu, a ponieważ rozkosze szaleńców rozpałały najbardziej jego zmysły, zapytał, czy chciałybyśmy ujrzeć go w akcji.

- Oczywiście - odpowiedziałyśmy.

- Ponieważ ekscesy, jakich dopuszczam się z tymi istotami, są tak niezwykle, ponieważ, moje postępowanie jest tak dziwaczne, a okrucieństwa tak niesłychane, z pewnym zakłopotaniem pozwalani innym oglądać mnie w tym miejscu.

- Niechby twoje kaprysy były tysiąc razy bardziej niestosowne -rzekła Clairwil - chcemy je zobaczyć! I prosimy cię, co więcej, abyś działał w taki sposób, jak gdybyś był sam; abyś zwłaszcza nie krył przed nami cennych porywów, objawiających i twoje upodobania, i twoją duszę...

I okazało się, że uwaga ta bardzo go rozpałała, skoro wysłuchując jej, nie mógł się już powstrzymać przed pocieraniem sobie kutasa.

- Dlaczego nie miałybyśmy również zabawić się z tymi wariatami?! - zawołała Clairwil. - Twoje fantazje nas podniecają, chcemy cię naśladować. Jeśli oni są niebezpieczni, co najwyżej nas przestraszą; jeśli zaś nie są, będziemy się ekscytować razem z tobą. Pospieszmy się, płonę z ciekawości, by zobaczyć, jak działasz.

W tym miejscu cele otaczały wielki podwórzec obsadzony cyprysami, których żalobna zieleń nadawała okolicy cmentarny wygląd. Pośrodku stał krzyż, z jednej strony najeżony kolcami; przywiązywano do niego ofiary zbrodniczych postępów Yespoliego. Czterech strażników uzbrojonych w żelazne pręty, którymi uśmiercić można by wołu, troskliwie nas eskortowało. Yespoli, który nie obawiał się ich spojrzeń, przywykł bowiem do zabawiania się w ich obecności, powiedział im, by posadzili nas na jednej ze stojących na podwórku ławek. Dwóch zostać miało z nami, dwaj inni otworzyć zaś mieli cele wariatów, których Yespoli potrzebował.

Przywiedziono mu zaraz młodego mężczyznę, nagiego i pięknego jak Herkules, który, gdy tylko poczuł się wolny, zaczął się oddawać niezliczonym ekstrawagancjom. Jedną z pierwszych polegała na tym, że zrobił u naszych stóp kupę. Yespoli nie zmarnował okazji i stanąwszy obok przyglądał się z uwagą tej czynności. Brandzłował się, dotykał kupy, nurzał w niej swego kutasa i wprawiając się następnie w taneczny trans, wykonując takie same pąsy jak ów pomyleniec, schwycił go niespodzianie, popchnął w stronę krzyża, do którego strażnicy natychmiast go przywiązali. Yespoli w uniesieniu klęka przed tyłkiem, rozwiera go, wylizuje, raczy pieszczotami, a chwyciwszy po chwili bat, okłada nim przez godzinę nieszczęsnego wariata, który wydaje przeraźliwe wrzaski. Gdy poślądki są już całkiem zdarte, rozpustnik przystępuje do sodomizowania i w ogarniającym go uniesieniu zaczyna bredzić jak j ego ofiara.

- Och, do diabła! - wykrzykuje od czasu do czasu. - Jakże rozkoszna jest dupa wariata! I ja też jestem wariatem, pieprzonym wariatem. Obrabiam wariatom dupy, spuszczałem się w nie. Obląkani przyprawiają mnie o zawrót głowy i nie chcę pieprzyć nikogo oprócz nich...

Ponieważ jednak Yespoli nie chciał stracić wigoru, każe odwiązać młodzieńca. Przybywa inny... Ten uważa się za Boga...

- Będę pieprzył Boga - woła Yespoli - popatrzcie na to! Zanim jednak wyjebię go w dupę, muszę złoić mu skórę. Jazda - kontynuował - jazda, chwacki Boże... dawaj dupę... dawaj dupę!

I Bóg, postawiony przez strażników pod ścianą, zostaje wkrótce wysmagany do krwi przez swe marne stworzenie, które, gdy pośladki przypominają już marmoladę, rżnie go w dupę. Po nim zjawia się piękna osiemnastolatka. Ta znów uważa się za błogosławioną Dziewicę: nowy pretekst do bluźnierstw dla Yespoliego, który chłoszcze do krwi świętą matkę Boga, później zaś przez kwadrans ją sodomizuje.

Clairwil wstaje bardzo podniecona.

- Ten widok mnie rozpala- mówi. - Pójdźcie w moje ślady, przyjaciele, ty zaś, zbrodniarzu, każ swym strażnikom rozebrać nas do naga i zamknąć w celach. Uznaj nas za obłąkane, będziemy je naśladować. Każ następnie przywiązać nas do krzyża od strony pozbawionej kolców. Niech twoi wariaci nas wychłoszczą, a później zerzną nas w dupy...

Pomysł wydawał się wyśmienity. Yespoli przystępuje do jego realizacji. Szczuje nas kolejno dziesięcioma wariatami. Paru nieźle nam dokłada, inni brutalnie powstrzymywani są przez Yespoliego. Wszyscy jednak nas chłoszczą i, nadzorowani przez gospodarza, wnikają w nasze tyłki. Dołączają się też strażnicy i sam mistrz ceremonii. Sprostaliśmy wszystkim.

- Spuść się wreszcie! - woła Clairwil do nadzorcy. - Zrobiliśmy wszak wszystko, czego mogłeś sobie życzyć. Naśladowaliśmy twoich głupków. Pokaż nam teraz, jak zachowujesz się u szczytu swego uniesienia.

- Chwileczkę - odpowiada indagowany. - Jest tutaj jeden, który decyduje o mych rozkoszach. Nie wychodzę stąd nigdy, uprzednio go nie zerznąwszy.

Na dany znak strażnicy wprowadzają ponad osiemdziesięcioletniego starca, któremu siwa broda sięga aż do pępka.

- Chodź tu, Jasiu - mówi Yespoli, chwytając go za brodę i wlokąc przez cały podwórzec. - Chodź, bym mógł włożyć ci kutasa w dupę.

Starzec zostaje przywiązany i bezlitośnie oćwiczony. Jego dupa, stary pomarszczony pergamin, jest całowana, lizana, jebana. Wycofując się, bliski wyrzucenia spermy, Yespoli woła:

- Ach! Chcecie zobaczyć, jak się spuszczam? Czy wiecie jednak, że osiągam orgazm tylko za cenę życia dwojga lub trojga tych nieszczęśników?

- Tym lepiej - odpowiadam. - Mam wszakże nadzieję, że w trakcie swych jatek nie zapomnisz ani o Bogu, ani o Dziewicy. Sądzę, że spuściłabym się wybornie, widząc, jak jedną ręką mordujesz dobrego Boga, drugą zaś jego wybranekę.

- Muszę jednocześnie rznąć w dupę Jezusa Chrystusa - rzecz niegodziwiec. -  
Wszakże go tutaj mamy! Cały raj znaleźć można w tym piekle!

Strażnicy wprowadzają ą pięknego trzydziestolatka uznającego się za Bożego Syna,  
którego Yespoli każe natychmiast umieścić na krzyżu. Chłoscze nieszczęśnika z całych sił.

- Odwagi, mężni Rzymianie! - woła ofiara. - Zawsze mówiłem, że zjawiłem się na  
ziemi po to, by cierpieć. Błagam, nie oszczędzajcie mnie. Dobrze wiem, że muszę umrzeć na  
krzyżu. Zbawię jednak ludzkie plemię.

Yespoli nie może się już dłużej powstrzymać. Sodomizując Chrystusa, chwyta dwa  
sztylety, by uraczyć nimi Świętą Dziewicę i Boga.

- Dalej - woła - otoczcie mnie, pokażcie mi swoje dupy! A skoro ciekawe jesteście  
mego orgazmu, spójrzcie, jak go osiągam!

Jebie. Nigdy Syn Boży nie był tak dobrze jebany. Każdemu wyrzutowi lędźwi,  
przybliżającemu ofiarnika do rozkoszy, towarzyszą wszelako ciosy spadające na wszystkie  
części ciał wydanych z prawa i lewa jego wściekłości. Najpierw rani ręce, pachy, ramiona,  
boki. W miarę jak zbliża się przełom, barbarzyńca wybiera części coraz bardziej delikatne.  
Pierś Dziewicy spływa krwią. Ramiona ofiarnika, na przemian zadające ciosy, przywodzą na  
myśl wahadło zegara. Po wzrastającej delikatności wybieranych przez niegodziwca części  
ciała można było wnosić o naciągającym kryzysie. Okropne przekleństwa oznajmiają nam  
wreszcie najwyższe wloty tego frenetyka. Jego furia zwraca się wówczas ku twarzom ofiar.  
Nikczemnik rozdziera je, a przy ostatnich bryzgach spermy jego ciosy dosięgają oczu.

Niepodobna sobie wyobrazić, jak bardzo ożywił nas ów spektakl. Pragniemy  
naśladować tego potwora. Ofiar dostarczają nam w obfitości; każda z nas morduje trzy.  
Clairwil, upojona rozkoszą, wybiega na środek podwórca, ciągnąc za sobą Yespoliego.

- Zerznij mnie, zbrodniarzu! - woła. - Na chwałę pizdy kobiety, która jest ciebie  
godna, okaż niewierność swym skłonnościom.

- Nie mogę - odpowiada Włoch.

- Nalegam...

Podniecamy Yespoliego, zaczyna mu stawać. Nakłaniamy go, by wniknął w pizdę  
Clairwil. Pokazujemy mu nasze dupy. Kapryśnik żąda wariatów. I dopiero wówczas, gdy  
każe jednemu z nich nasrać sobie na twarz, niegodziwiec, przynaglany przeze mnie i przez  
Olimpie, zalewa wreszcie Clairwil swoją spermą. Opuszczamy w końcu to odrażające  
miejsce, nie wątpiąc, że przez trzynaście godzin nurzałyśmy się tam w okropnościach. [...]

Wkrótce po naszym powrocie król zaproponował, byśmy z balkonu jego pałacu  
przyglądali się obchodom jednego z najbardziej osobliwych świąt, jakie odbywały się jego

królestwie. Chodziło o święto obfitości. Często słyszałam o tym szaleństwie, wszelako to, co zobaczyłam, różniło się znacznie od moich wyobrażeń.

Charlotta i Ferdynand czekali na nas w buduarze, którego okno wychodziło na plac, gdzie oddawano się świętowaniu. Oprócz nas zaproszeni zostali jedynie książę de Gravines, mężczyzna pięćdziesięcioletni, zawołany libertyn, oraz La Riccia.

- Jeśli nie widziałyście dotychczas takiego spektaklu - rzekł król, gdy tylko podano czekoladę - uznacie go pewnie za nader barbarzyński.

- To właśnie nam odpowiada, sir - odparłam. - Wyznaję, że od dawna marzę o podobnych igrzyskach lub nawet o walkach gladiatorów we Francji. Energię narodu zachować można tylko dzięki krwawym spektaklom. Naród, który z nimi nie obcuje, słabnie. Kiedy zidiociały imperator, wynosząc chrześcijańskie głupstwo na tron, nakazał jednocześnie zamknąć rzymski cyrk, kto stał się wówczas panem świata?... Księża, mnisi i księżęta.

- Tak samo o tym myślę - rzekł Ferdynand. - Chciałbym przywrócić tutaj walki ludzi ze zwierzętami, a nawet pojedynki między ludźmi. Pracuję nad tym. Gravines i La Riccia mi pomagają, mam więc nadzieję, że się nam powiedzie.

- Czy życie tych żebraków znaczy cokolwiek, gdy w grę wchodzi nasze przyjemności? - zapytała Clairwil. - Jeśli mamy prawo kazać ich zabić w imię naszych interesów, to powinniśmy również móc to uczynić w imię naszych rozkoszy.

-No cóż, piękne panie, wydajcie rozkazy. Dzięki stosownej organizacji i dyscyplinie mogę kazać zabić podczas tych orgii z sześćset osób. Powiedzcie mi więc, czego żądacie.

- Najgorszego, najgorszego! - zawołała Clairwil. - Im więcej tych łajdaków wymordujesz, tym większą sprawisz nam przyjemność.

- Do dzieła zatem! - rzekł król, wydając po chwili dyskretny rozkaz jednemu ze swych oficerów.

Wkrótce usłyszeliśmy armatni wystrzał. Podeszliśmy do balkonu. Na placu kłębił się tłum. Widzieliśmy wszystko jak na dłoni.

Na wielkim rusztowaniu ozdobionym w ludowym stylu znajdowała się ogromna ilość wiktuałów rozmieszczonych w taki sposób, że same stanowiły część dekoracji. Były tam bezlitośnie porozwieszane gęsi, kury, indyki, które, żywcem przybite do żerdzi, bawiły lud swymi konwulsjami; bochny chleba, sztokfisz, ćwiartki wołu; barany skubiące trawę w części dekoracji wyobrażającej pole strzeżone przez tekturowych pastuchów w naturalnych strojach; kawałki płótna upięte w taki sposób, by imitowały fale morza, na którym można było dostrzec statek wylądowany inwentarzem bądź drobnymi przedmiotami codziennego użytku; oto przynęta, kunsztownie i ze smakiem przygotowana dla tego nieokrzesanego

narodu, schlebiająca jego żarłoczności i wyjątkowemu zamiłowaniu do kradzieży. Jako że po obejrzeniu tego spektaklu, trudno byłoby się nie zgodzić, iż bardziej jest on szkołą rabunku niż rzeczywistym świętem.

Zaledwie mieliśmy czas przyrzeć się owemu podium, gdy rozległ się drugi wystrzał armatni. Na ten sygnał łańcuch wojska powściągający tłum nagle się rozrywa. Lud rzuca się do przodu i błyskawicznie wszystko jest zabierane, zrywane, grabione, z szybkością... i zapalem, jakie trudno sobie wyobrazić. Owa potworna scena, kojarząca się z rzucaniem psom patrochów, ma zawsze mniej lub bardziej tragiczny finał, ponieważ dochodzi do kłótni, każdy chce coś zdobyć i przeszkodzić w grabieży sąsiadowi, a w Neapolu tego rodzaju zmagania kończą się bez wyjątku pchnięciem noża. Tym razem jednak, jako że, stosownie do naszych pragnień i okrutnych zabiegów Ferdynanda, rusztowanie było przeładowane - przypuszczalnie znajdowało się na nim jakieś siedemset czy osiemset osób - wszystko nagle runęło, masakrując więcej niż czterystu ludzi.

- Ach, do diabła! - wykrzyknęła Clairwil, padając zemdlna na sofę. - Ach, przyjaciele, nie uprzedziliście mnie! Umieram!

I zwracając się do La Riccii dziwka zawołała:

- Zerznij mnie, mój aniele! Jestem bliska szczytu. Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś, co sprawiłoby mi większą rozkosz.

Wycofaliśmy się. Zamknięto drzwi i okna, i najwyborniejsze sceny lubieżności dopełniły się, by tak rzec, na prochach nieszczęśników uśmierconych przed chwilą wskutek potwornego łotrostwa.

Cztery piętnasto- lub szesnastoletnie dziewczyny, piękne jak dzień, ubrane w czarne krepki osłaniające dyskretnie ich nagość, czekały na nas w milczeniu. W innej części komnaty zobaczyliśmy cztery ciężarne, całkiem nagie kobiety w wieku dwudziestu-trzydziestu lat, tak samo pogrążone w milczeniu i bólu, czekające na nasze rozkazy. Wyciągnięci na kanapie, w głębi pokoju, czterej wspaniali osiemnasto-dwudzie-stoletni chłopcy grozili nam zaciskanymi w dłoniach kutasami, a kutasy te, przyjaciele, były monstrialne: dwanaście cali w obwodzie na osiemnaście długości. Czegoś podobnego nigdy dotychczas nie widzieliśmy: wszyscy czworo osiągnęliśmy orgazm jedynie się im przyglądając.

- Te cztery kobiety i te cztery młode osoby - powiedział Ferdynand - są wdowami i córkami pozostałymi po kilku nieszczęśnikach zgładzonych przed chwilą w waszej obecności. Byli to ci, którzy narażeni zostali najbardziej i których śmierci jestem pewien. Poleciałem tym ośmiu damulkom przybyć tutaj o świcie i życzyłem sobie, by, zamknięte w osobnym pomieszczeniu, przyglądały się przez okno dramatowi swych ojców i małżonków.

Teraz zostawiam je wam ku uciechu i przekazuję moje do nich prawa. Tam - kontynuował monarcha, otwierając drzwi wychodzące na mały ogród - znajduje się dół przeznaczony na ich przyjęcie, gdy, u kresu potwornych cierpień, zasłużą wreszcie na chwilę spokoju... Widzicie ich groby. Zbliźcie się, kobiety, wy też musicie je zobaczyć...

Barbarzyńca kazał im zstąpić w czeluść i ułożyć się na dnie. Zadowolony z właściwych wymiarów, zwrócił z kolei naszą uwagę na czterech młodych mężczyzn.

- Jestem przekonany, moje panie, że nigdy dotąd nie widziałyście czegoś podobnego.

Chwylił te kutasy twardsze niż żelazne sztaby, kazał nam je ścisnąć, unosić, całować i nimi potrząsać.

- Wigor tych młodzieńców - kontynuował król - równy jest co najmniej okazałości ich członków. Nie ma wśród nich takiego, który nie odpowiedziałby kolejno piętnastoma czy szesnastoma wytryskami i nie wyrzucił dziesięciu czy dwunastu uncji spermy przy każdej ejakulacji. To elita mego królestwa. Ci czterej chłopcy pochodzą z Kalabrii; w całej Europie nie ma prowincji, która wydałaby członki o takich rozmiarach. Korzystajmy teraz z uciech i niczym się nie krępujemy. Cztery bu-duary sąsiadują z tym, w którym się znajdujemy; są do naszej dyspozycji, wyposażone we wszystko, co służy lubieżności. Do dzieła! Pieprzmy, każmy sobie pieprzyć, znieważajmy, dręczmy, torturujmy! I niech nasze głowy, rozpalone ujrzanym przed chwilą spektaklem, wysubtel-niż zarazem okrucieństwo i rozpustę...

- Och, do diabła! Mój przyjacielu! - zwróciłam się do Ferdynanda. - Jakże wybornie opanowałeś sztukę ożywiania naszej wyobraźni!

Opadły wkrótce wszystkie suknie, halki, spodnie i okazało się, że przed przystąpieniem do zasadniczych seansów każdy miał ochotę zamknąć się na chwilę w osobnym gabinecie. La Riccia wziął ze sobą jedną młodą dziewczynę, jedną ciężarną i jebakę; Gravines zniknął z Olimpią i z kobietą w ciąży; Ferdynand zabrał zaś Clairwil, jebakę, ciężarną i dwie dziewczynki; Charlotta wybrała mnie, a do dwu chwatów, na jakich się zdecydowałyśmy, dołączyła jeszcze dwie dziewczynki i kobietę w ciąży.

- Julietto - odezwała się królowa Neapolu, gdy znalazłyśmy się w naszym buduarze - nie mogę już ukrywać uczuć, jakie wzniewasz w moim sercu. Uwielbiam cię! Znadto jestem kurwą, by obiecywać ci wierność. Wiesz wszakże, że ów trywialny sentyment nie jest nam potrzebny. Oddaję ci nie serce, lecz pizdę... pizdę, która zalewa się spermą, ilekroć jej dotykasz. Zgaduję w tobie mój umysł, mój sposób myślenia i stanowczo przedkładałam cię nad twe siostry. Twoja Olimpią jest skromniejszą temperament porywa ją niekiedy, lecz w gruncie rzeczy jest nieśmiała i tchórzliwa: grzmot pioruna wystarczyłby do nawrócenia takiej kobiety. Clairwil to wspaniała istota, niezwykle inteligentna, bez wątplenia różni się jednak

smakiem. Ona lubi znęcać się tylko nad mężczyznami i jakkolwiek ja również chętnie składam w ofierze przedstawicieli tej płci, to jednak przelewanie krwi mej własnej rasy sprawia mi większą przyjemność. Clairwil demonstruje zresztą poczucie przewagi nad nami wszystkimi, co wyjątkowo rani mą dumę. Posiadając wszystkie te zalety, a może nawet przewyższając Clairwil, nie masz, Julietto, tyle pychy. To uspokaja. Odkrywam w tobie łagodniejszy charakter, tyleż samo łośtrostwa, lecz więcej stałości niż u twych przyjaciółek. Koniec końców wolę ciebie, a ten diament, wart pięćdziesiąt tysięcy talarów, który zechciej łaskawie przyjąć, wystarczy być może, aby cię o tym przekonać.

- Charlotta - rzekłam, odmawiając przyjęcia klejnotu - mogę dopuszczać się z tobą występków, twoje uczucia robią na mnie wrażenie i zapewniam, że żywię wobec ciebie podobne. Wyznaję jednak, moja droga, że, przez kaprys, nie robię sobie nic z tego, co dostaję, cenię tylko to, co sama biorę, i jeśli się zgodzisz, nic nie będzie łatwiejsze niż zadowolenie mnie w tej mierze.

- Cóż miałabym więc uczynić?

- Przysięgnij najpierw na twoją do mnie miłość, że nie wyjawisz nigdy nikomu dręczącego mnie pragnienia.

- Przysięgam.

- No cóż, chcę zawładnąć skarbami twego męża. Pragnę, byś pomogła mi osiągnąć ów cel.

- Mów cicho - rzekła królowa - ci ludzie mogliby usłyszeć... Zaczekaj, zamknę drzwi... Pomówmy teraz swobodnie - podjęła po chwili. - Czy przystajesz na to, co ci proponuję? To jedyny sposób przekonania mnie o prawdziwości deklarowanych przez ciebie uczuć. O, Julietto! - dodała - zaufanie, jakim mnie obdarzasz, warte jest wzajemności... Ja również obmyślałam zbrodnię: czy mogę liczyć na twoje wsparcie?

- Choćby tysiąc razy ryzykować trzeba było życiem! Mów!

- Gdybyś wiedziała, jak bardzo znużona jestem mym mężem!

- Mimo jego upodobań?

- A czyż dla mnie robi on to wszystko? Prostytuuje mnie powodowany swym libertynizmem, zazdrością. Sądzi, iż zaspokajając w ten sposób moje namiętności, przeszkodzi w narodzinach mych pragnień, i woli, bym była pieprzona z mocy jego, a nie mego własnego wyboru.

- Urocza polityka.

- To polityka zitalianizowanego Hiszpana. Nie ma na świecie nic gorszego niż osobnik tego pokroju.



- Czego więc byś pragnęła?...

- Otruć tego wstrętnego człowieka, stać się regentką... Lud mnie lubi, ubóstwia moje dzieci. Rządziłabym sama, ty stałabyś się moją faworytą, zapewniając sobie szczęście.

- Nie, nie zostałam z tobą, nie lubię roli, jaką mi proponujesz. Kocham zresztą moją ojczyznę i chcę wkrótce do niej wrócić. Pomogę ci jednak. Widzę, że brak ci środków. Ferdynand, który posiada różnego rodzaju trucizny, z pewnością je przed tobą ukrywa; dostarczę ci stosownej. Jednakże przysługa za przysługę, Charlotto. Pamiętaj, że dostaniesz to, co ci obiecuję, tylko za cenę skarbów twego męża. Ile są one warte?

- Przynajmniej osiemdziesiąt milionów.

- W jakich walorach?

- W sztabach, plastrach, uncjach i cekinach.

- Jak to zrobimy?

- Widzisz to okno? - Charlotta wskazała okno sąsiadujące z tym, przy którym siedzieliśmy. - Niech zaprzęzony wóz czeka pod nim pojutrze. Ukradnę klucz, wyrzucę przez okno na wóz wszystko, co zdobędę.

- A strażę?

- Nie ma ich z tej strony.

- Posłuchaj - rzekłam do Charlotty, której zgubę skrycie już planowałam. - Aby zdobyć niezbędną ci truciznę, przedsięwziąć muszę pewne działania, a nie zabiorę się do tego, nie mając pewności, że osiągnę własny cel. Podpisz to oświadczenie - kontynuowałam, podsuwając jej przygotowany błyskawicznie bilecik - a działać będę odtąd bez obaw i obie będziemy spokojne.

Zaślepią mi miłością do mnie i stanowczym pragnieniem uwolnienia się od męża Charlotta, podpisując wszystko, czego sobie życzyłam, dowiodła, że przezorność rzadko towarzyszy wielkim namiętnościom. Oto, co ratyfikowała:

„Zamierzam ukraść -wszystkie skarby mego męża i przekazać je jako zadośćuczynienie osobie, która dostarczy mi truciznę niezbędną do wysłania go na tamten świat”.

Podpisano: C. de L., k. N.

- Teraz jestem spokojna - powiedziałam. - Pojutrze o umówionej porze możesz spodziewać się wozu. Wspomagaj mnie, Charlotto, a zrewanżuję ci się tym samym. Zabawmy się teraz...

- Och, droga przyjaciółko! - zawołała Charlotta, obsypując mnie pocałunkami. - Ileż ci zawdzięczam i jakże cię Kocham!...

Idiotka! Jak wiele brakowało, bym odwzajemniała jej uczucie! Och, niepodobna było dłużej się łudzić! Wylałyśmy już razem dość spermy! Upajałam się tylko myślą o złożeniu Charlotty w ofierze, a owo nierozważne pismo pieczętowało jej zgubę.

- Wyliźmy się nawzajem-zaproponowała-zanim przywołałyśmy obiekty rozpusty...

I nie czekając na odpowiedź, kurwa rzuca mnie na łóżko, przyklęka między moimi nogami i liże mi z zapalem pizdę i odbyty. Wówczas właśnie dowiedziałam, jak łatwa dla kobiety jest niewierność. To Charlottcie zawdzięczałam rozkoszne doznania, zalewana byłam jej śluzem, obsypywana jej pocałunkami, a jednak myślałam tylko o tym, by ją zdradzić.

Takie właśnie jesteście, cudzołożne kobiety. Małżonkom oddajecie jedynie ciało, rozkoszne zaś wrażenia, jakie oni wzbudzają, zawsze należą tylko do kochanka. Mężowie dają się zwodzić, we własnym działaniu widzą przyczynę waszego upojenia, podczas gdy, głupcy, sami nie mają z tego pożaru nawet iskry. Czarowna płci, nie ustawaj w tym zwodzeniu, należy ono do twojej natury. Dowodzi tego elastyczność kobiecej wyobraźni. Przedstawicielki tej płci, powetujcie sobie w ten sposób, skoro nie możecie inaczej, trwanie w śmiesznych okowach wstydu i hymenu, i pamiętajcie, że jeśli natura wyposażyła was w pizdy, byście mogły pieprzyć się z mężczyznami, to jej ręka stworzyła zarazem serca, służące temu, byście ich zwodziły.

Charlotta upajała się moją spermą i przyznając, że łała się ona strumieniami za sprawą prawdziwie podniecającej myśli, by na zawsze pogрузić istotę, która była sprawczynią tej wilgotnej obfitości. Rzuca się w me ramiona, ściskamy się żarliwie, ssie moje usta i piersi, a jako że brandzluję ją rozkosznie, lesbijka omdlewa ze dwadzieścia razy. Kładziemy się na sobie w odwrotnych pozycjach, w taki sposób, by móc wzajemnie się lizać. Nasze języki laskoczą clitoris, a palce muskają i odbyty, i pizdy. Zalewamy się spermą. Naturalnie każda pograżona w odmiennych myślach.

Rozpalona Charlotta dopomina się w końcu libertynizmu. Daje sygnał; chce, abym wszystkim pokierowała. Czekająca po mej prawicy ciężarna kobieta staje się obiektem moich szykan. Jedna z dziewczynek, siedząc okrakiem na moich piersiach, wystawia mi do całowania zarazem najświeższą pizdę i najbardziej uroczy tyłek. Charlotta stymuluje kutasy i sama mnie na nie nadziewa.

- Dostaję obłędu na myśl, że mam królową za stręczycielkę. Dalej, kurwo, zabieraj się do dzieła!

Jednakże zapewnione przez Ferdynanda narządy o monstualnych rozmiarach niełatwo jest wchłonać, i jakkolwiek utworowane same powaby, nie mogę bez przygotowania wytrzymać równie niesamowitego naporu. Charlotta zwilża wejścia i tłok, naciera brzegi mej

pizdy i członek jebaki esencją, która przy pierwszym pchnięciu pozwala monstrum wnikać niemal do połowy. Wszelako ból jest tak dotkliwy, że wydając okrzyk odtrącam gwałtownie dziewczynkę usadowioną na mych piersiach; chcę się uwolnić od rozdzierającego mnie grotu. Charlotta się temu sprzeciwia, przyciska nas do siebie, a ów zabieg, sprzyjający memu nowemu championowi, wprowadza w jednej chwili jego narząd w głąb mej macicy. Nigdy tak nie cierpiałam. Jednakże owe kolce zmieniają się wkrótce w róże. Mój zręczny kawaler zabiera się do rzeczy z takim kunsztem, wdziera się z taką siłą, że przy czwartym pchnięciu zalewam go całego. Wszystko ulega wówczas zmianie; wzmagając męski wigor poprzez łaskotanie jąder i odbytu mego jebaki, Charlotta podsuwa pod mą lewą rękę swe pośladki, które molestują przynajmniej z taką samą siłą, jak pośladki ciężarnej kobiety, a lizana przeze mnie dziewczynka zalewa mi twarz swym słodkim nektarem. Ileż energii ma ten Kalabryczyk! Piłuje mnie przez ponad dwadzieścia minut, traci wreszcie spermę i pieprzy znowu trzy razy pod rząd, bynajmniej nie wiotczając. Używam tak sobie przez godzinę. Zastępuje go drugi. Gdy się z nim pieprzę, Char-lotta nabiera ochoty, by rozkoszować się widokiem ich obu w mym ciele. Sama aranżuje pozycję. Spoczywam w ramionach jednego i to ja go pieprzę; pozwala na to. Prawą ręką macam, molestuję pizdę, lewą so-kratyzuję dupę, a językiem pobudzam clitoris. Drugi osiłek, wspomagany przez królową, lokuje się przy mym odbycie. Chociaż mam pewne doświadczenie w smakowaniu tego rodzaju rozkoszy, zmagamy się przez kwadrans, a otwór pozostaje niemal nie muśnięty. Wszystkie te działania wywołują we mnie niewiarygodne rozjątrzenie: zgrzytam zębami, pienie się, gryzę wszystko, co mnie otacza, zalewam spermą chuj a, który rozorywuje mą pizdę; to na nim biorę odwet za to, że dupą nie mogę wchłonąć drugiego. Dzięki fortelowi i cierpliwości czuję w końcu, jak mnie przenika. Ten, który mnie rozpizdza, zadaje cios dostatecznie gwałtowny, by umożliwić atak swego towarzysza. Wydaję potworny okrzyk, kutas wdziera się wreszcie do mego odbytu... Nigdy nie doświadczyłam czegoś podobnego...

- Co za spektakl - woła Charlotta, brandzlując się naprzeciw nas i od czasu do czasu całując mnie w usta. - Do diabła, cóż za uwertura!... Och, Julietto! Jakże jesteś szczęśliwa!...

Osiągnęłam orgazm..., czułam się jak oszalała; niczego już nie widziałam, niczego nie słyszałam, wszystkie moje zmysły skupiły się w regionach rozkoszy; do niej wyłącznie należałam. Nie zmieniając pozycji, obaj atleci powtórzyli swoją akcję i kiedy się od nich uwolniłam, moje uda całkowicie zalane były spermą... wyciekała ze mnie oboma otworami.

- Twoja kolej dziwko! - zwróciłam się do Charlotty. - Zrób to samo, jeśli chcesz zaznać rozkoszy.

Nie musiałam jej ponaglać, żwawo nadziana przez obu wyczynowców, łotryca

przekonuje mnie, że jeśli małżonek pozwala jej na pewne przyjemności w intencji uśmierzenia libertynizmu, który mógłby stać się dla niego niebezpieczny, to ma stanowczo rację. Okrutna w rozpuście, łajdaczka poleca, bym molestowała ciężarną kobietę, podczas gdy ona, pieprzona w pizdę i w dupę, liże wybraną dziewczynkę. Nieszczęsna brzemienna rzuca mi się do stóp. Pozostaję głucha na jej lamentsy. Upojona wściekłością i rozpustą, powalam ją ciosem w żołądek i wskakuję jej na brzuch. Leżącą na podłodze okładam razami i duszę. Charlotta podjudza mnie, wypluwając z siebie potworności. Wreszcie nikczemnica, równo wyjebana z obu stron, oddała mężczyzn i wstaje. Wypijamy dwie butelki szampana i przechodzimy do salonu. Zgromadziło się już tutaj całe towarzystwo. Każdy opowiadał o swych bohaterskich wyczynach. Łatwo było zgadnąć, że nie tylko w naszym buduarze znęcano się nad ciężarnymi. Żadna nie zdołała się wybronić, zwłaszcza ta, którą zajął się Gravines... Była już gotowa rodzić... Zbrodniarz utopił ją we krwi.

Obiad był niezwykle wystawny. Młode dziewczyny obsługiwały przy stole, a ciężarne, ułożone u naszych stóp, odbierały zniewagi, jakimi z ochotą obrzucaliśmy. Siedząc obok Clairwil, miałam okazję opowiedzieć jej o figlu, jakiego się dopuściłam. Moja dusza wypełniała się radością, gdy relacjonowałam szczegóły przedsięwzięcia, i jakkolwiek można było o nich tylko napomknąć, Clairwil zrozumiała mnie, złożyła mi gratulacje, zapewniając, że jestem najbardziej zmysłową i przedsiębiorczą ze znanych jej kobiet.

Ożywieni wykwintnym jedzeniem i wybornym winem, jakim nas podjęto, przeszliśmy, zataczając się, do wspaniałej sali, przygotowanej do zamierzonych przez nas orgii. Oprócz mnie ich uczestnikami byli Ferdynand, Gravines, La Riccia, Clairwil, Charlotta i Olimpia. Ofiary: cztery ciężarne kobiety, cztery młode dziewczyny, które obsługiwały nas przy stole, i ośmioro pięknych dzieci obojga płci, z których odbytów serwowane były likiery. Z lancami w pogotowiu zjawilo się czternastu krzepkich championów, przynajmniej równie okazałych i unerwionych, jak ci, których spożytkowałyśmy tego ranka. Wszyscy byli nadzy... drżący i oczekiwali, w milczeniu i pełni respektu, dyspozycji, jakie zapragnęlibyśmy im wydać. Ponieważ posiłek bardzo nas ożywił, stało się czymś istotnym dobre oświetlenie miejsca ceremonii. Pięćset świec osłoniętych zieloną gazą rzucało na tę salę najbardziej delikatny i przyjemny blask.

- Dość już zabaw na stronie, dość już zabaw parami - rzekł król. - Działać powinniśmy teraz w taki sposób, byśmy byli wzajemnie dla siebie widoczni.

Rzuciliśmy się więc na chybił trafił na pierwsze z brzegu obiekty: pieprzyliśmy, kazaliśmy sobie pieprzyć; okrucieństwo dominowało wciąż jednak nad tak chaotyczną lubieżnością. Tutaj ściskano gardła, tam chłostano tyłki; na prawo rozdierano pizdy, na lewo

każniono brzemiennie. Jęki bóleści lub westchnienia rozkoszy, zmieszane już to z lamentami, już to z potwornymi bluźnierstwami, stanowiły długo jedyne słyszalne w komnacie odgłosy. Wkrótce odróżnić można było bardziej energiczne okrzyki sygnalizujące orgazm: najpierw rozległ się wrzask Gravinesa. Niestety! Obwieścił nim swe upojenie dopiero w chwili, gdy u jego stóp, w środku otaczającej go grupy, zobaczyliśmy kobietę z poderżniętym gardłem. Wyrwany z jej łona owoc leżał obok niej, skąpany, jak matka, w strugach krwi.

- Nie tak się do tego zabiorę - rzekł La Riccia, rozkazując przywiązać do ściany jedną z tych rozdętych macior. - Przypatrzcie się uważnie.

Zakłada but uzbrojony w żelazne kolce, opiera się na dwu mężczyznach i wymierza z całej siły kopniaka w brzuch niedoszłej matki, która, przedziurawiona, rozdarta, skrwawiona, zwisa na krępujących ją sznurach i wydaje nikczemny owoc, zalewany natychmiast przez rozpusznika strugami spienionej spermy. Jako że stałam nieopodal, brandzlując dwie cipy, pieprzona jednocześnie z przodu i z tyłu, z członkiem młodego chłopca w ustach, który właśnie się spuszczał, nie mogłam nie podzielić przyjemności księcia i zalałam się spermą za jego przykładem. Rzuciłam okiem na Clairwil. Jebano ją w dupę, mała dziewczynka lizła jej pizdę, ona sama zaś chłostała małego chłopca: poszła w moje ślady. Charlotta, rżnięta od przodu, ssła małego chłopca, brandzlowała dwie dziewczyny i przyglądała się chłostanym po brzuchu kobietom w ciąży. Ferdynand zajmował się jedną dziewczyną; rozszarpywał ją rozpalonymi do czerwoności kleszczami; obciążano mu kutasa, a gdy poczuł zbliżający się orgazm, niegodziwiec, uzbrojony w skalpel, odciął piersi swej ofiary i rzucił je nam w twarz.

W ten właśnie sposób przebiegały nasze zabawy, gdy Ferdynand zaproponował, byśmy przeszli do sąsiedniego gabinetu, gdzie odpowiednio przygotowana maszyna pozwoli nam rozkoszować się nadzwyczajną udręką, jaką zadaje ona ciężarnym kobietom. Zabieramy dwie, jakie zostały. Przywiązujemy je do dwu żelaznych płyt umieszczonych jedna nad drugą w taki sposób, aby brzuchy ułożonych na nich kobiet znajdowały się dokładnie naprzeciw siebie... Obie płyty dzieli odległość dziesięciu stóp.

- A zatem przygotujcie się na doznanie przyjemności - rzekł król. Wszyscy go otaczają i po kilku minutach - za sprawą mechanizmu uruchomionego na rozkaz Ferdynanda - obie płyty, jedna unosząc się, druga opuszczając, zderzają się z taką siłą, że dwie kobiety, zgniatając się nawzajem, zostają w jednej chwili, wraz z owocami swego łona, starte na proch. Sądzę, że z łatwością możecie sobie wyobrazić, iż nie było wśród nas nikogo, kto na ów widok nie zalałby się spermą i nie wyraził uznania dla tego wybornego spektaklu.

- Przejdźmy do drugiej komnaty - rzekł Ferdynand. - Posmakujemy tam być może innych przyjemności.

Owa olbrzymia komnata była czymś w rodzaju teatru. Wszystko tutaj przygotowane zostało do zadawania siedmiu różnych tortur. Czterech katów, nagich i pięknych jak Mars, zadawać miało męki, z których pierwszą była tortura ognia, drugą - bat, trzecią - powróż, czwartą - koło, piątą - pal, szóstą - ścięcie, siódmą - ćwiartowanie. Każde z nas miało do dyspozycji wygodne miejsce, z którego widzieliśmy pięćdziesiąt portretów przedstawiających najbardziej urocze dzieci obojga płci. Zajęliśmy przeznaczone dla nas łóże, każdy osobno, w towarzystwie świty złożonej z jebaki, małej dziewczynki i małego chłopca, którzy podczas egzekucji służyć mieli naszym przyjemnościom. Obok każdego z portretów, jakimi byliśmy otoczeni, znajdował się sznur od dzwonka.

- Niech każdy wybierze kolejno jedną ofiarę, wskazując na któryś z otaczających go portretów. Niech pociągnie za sznur odpowiadający obiektowi swego wyboru: ofiara, jaką wskaże, natychmiast zostanie mu dostarczona; niech przez chwilę się nią nacieszy... W każdej z zajmowanych przez was łóż znajduje się winda. Każcie umieścić tam swą ofiarę i przeznaczcie ją torturze, jaka najbardziej was podnieca. Następnie działajcie sami, jeśli przyjdzie wam na to ochota, lub dajcie znak karu zadającemu wybrany rodzaj męki, a ofiara, pochwycona natychmiast przez oprawcę, poświęcona zostanie w waszej obecności. Wszelako, w trosce o własną przyjemność, działajcie jedno po drugim. Jesteśmy panami naszego czasu, nic nas nie przynagla, a najlepiej wykorzystane są zawsze te godziny, które odbieramy innym.

- Do diabła! - zawołała Clairwil. - Nigdy nie miałam do czynienia z wyobraźnią bogatszą niż twoja.

- Pomysł ten nie mnie przyczynia chwały - odparł neapolitań-czyk. - Wszystkie te fantazje ekscytowały poprzedzających mnie tyranów Syrakuz. Znalazłem w archiwach ślady tych potworności; rozpały mi one głowę; będę się nimi cieszył, dzieląc je z przyjaciółmi.

Gravines dzwoni jako pierwszy. Jego wybór pada na pięknego szesnastolatka. Chłopiec się zjawia i Gravines może się nim uraczyć wedle swego upodobania. Chłoscze go, ssie, odgryza mu kutasa, miażdży jądra, rżnie w dupę, na koniec zaś poleca wrzucić w płomienie.

- To sodomita - orzeka zbrodniarz. - Oto więc stosowna dlań kara!

Z kolei dzwoni Clairwil i domyślać się zapewne, że ona również wybiera chłopca. Miał zaledwie osiemnaście lat; był piękny niczym Adonis. Łajdaczka ssie go, brandzluje, chłoscze, każe sobie lizać pizdę i odbyć. Następnie wjechawszy wraz z nim na scenę, dzielna łotrzyca osobiście wbija go na pal polecając, by w tym samym czasie rżnął jaw dupę jeden z katów.

Czas na Olimpie. Decyduje się na trzynastoletnią dziewczynę. Pieści ją, a potem każe powiesić.

Następny jest Ferdynand. Podobnie jak Clairwil wybiera młodego mężczyznę.

- Lubię udrękę kobiet - stwierdza. - Jeszcze więcej radości sprawia mi jednak znęcanie się nad przedstawicielami mojej płci...

Zjawia się młodzieniec: dwadzieścia lat, figura Amora, członek jak u Herkulesa. Ferdynand każe go sobie włożyć, odwzajemnia się chłopcu, chłoscze go i osobiście wiedzie na mękę. Łamie mu członki i umieszcza go na kole; tak rozciągniętego eksponuje się w głębi sali.

La Riccia wybiera szesnastolatkę, piękną jak Hebe, i dopuściwszy się na niej wielu potworności, każe w końcu porąbać ją żywcem.

Charlotta przyzywa dwudziestolatkę, a kiedy już się nią nacieszyła, każe ściąć jej głowę, sama zaś oddaje się dwu mężczyznom.

Zażądałam przybycia wspaniałej osiemnastoletniej dziewczyny. Nigdy dotąd nie widziałam piękniejszego ciała. Wycalowałwszy ją, obmacawszy, wylizawszy, wiodę ją na mękę. Współpracując z katami, zrywam z niej, za pomocą silnych uderzeń rzemieniem, kawałki skóry większe od dłoni: dziewczyna umiera, a jej kaci pieprzą mnie na trupie.

Zabawa ta nadto nam się spodobała, byśmy nie przedłużyli tych ekscesów. Zadręczyliśmy tysiąc sto siedemdziesiąt sześć ofiar, co daje siedemdziesiąt osiem na osobę. Było wśród nich sześćset dziewcząt i pięciuset siedemdziesięciu sześciu chłopców.

Charlotta i Borghese były jedynymi, które poświęciły tylko dziewczęta. Ja wyprawiałam na tamten świat tyle samo indywidualności każdej płci. Podobnie La Riccia; Clairwil zaś, Gravines i Ferdynand zabijali wyłącznie mężczyzn i niemal zawsze czynili to osobiście. Przez cały czas nie przestawano nas pieprzyć, a nasi atleci zmieniali się kilkakrotnie. Na spoczynek udaliśmy się po czterdziestu pięciu godzinach, nieprzytomni wskutek upojenia boskimi rozkoszami.

- Pani - szepnęłam do Charlotty, gdy się z nią rozstawałam - pamiętaj o bilecie, jaki podpisałaś...

- Ty zaś - odpowiedziała Charlotta równie cicho - o spotkaniu, jakie wyznaczyłam ci pojutrze... Bądź tak gorliwa jak ja, nie żądam od ciebie więcej.

Udałyśmy się do łóżek. Nie omieszkałam wprowadzić natychmiast Clairwil w sprawę, którą wcześniej mogłam jej tylko zasygnalizować.

- Ten projekt jest wyborny - powiedziała.

- Owszem. Czy nie widzisz jednak, dokąd zamierzam go doprowadzić?

- Mianowicie?

- Nie znoszę Charlotty.

- Och! Pocałuj mnie, moja miłości... Jak bardzo dzieliłam twe uczucia!

- Nic nie drażni mnie bardziej niż te preferencje: to, że kocha mnie do szaleństwa i pragnie, bym wciąż przyprowadzała ją o rozkosz. Tobie jednej, mój aniele, tobie jednej na świecie wybaczam, że mnie kochasz.

- Jakże wspaniały masz umysł, Julietto!

- Bądź pewna, że godzin jest twojego!

- Och! tak, mój aniele!... Cóż więc zamierzasz począć z Charlottą?

- Nazajutrz po otrzymaniu skarbu wyślę ten bilet małżonkowi i mam nadzieję, że gdy przeczyta: „Zamierzam ukraść wszystkie skarby mego męża i przekazać je jako zadośćuczynienie osobie, która dostarczy mi truciznę niezbędną do wyprawienia go na tamten świat”, mam nadzieję, powiadam, że gdy drogi małżonek zapozna się z tym tekstem, skaze Charlottę na śmierć lub przynajmniej na okrutne więzienie.

- Skazana Charlottą wyda jednak współników. Powie, że to nam przekazała owe skarby.

- Czyż można by przypuścić, że je otrzymałyśmy, skoro to my wysłałyśmy bilet królowi?

- Tak czy inaczej, Ferdynand rozpocznie poszukiwania.

- Sprawię, by wszystko zostało zakopane w naszym ogrodzie. Sama udam się do króla, by z nim porozmawiać. Gdyby powziął wobec nas podejrzenia i chciał się zemścić, zagrozę, iż wyjawię zbrodnię, jakiej się dopuścił podczas przedwczorajszego święta obfitości. Słaby i głupi, Ferdynand przestraszy się mych grózb i zamilknie... A zresztą, kto zwycięża nie ryzykując, tryumfuje bez chwały. By stać się bogatą, trzeba trochę zaryzykować. Nie sądzisz, że pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt milionów warte są odrobiny fatygi?

- Jeśli jednak zostaniemy schwytane, umrzemy.

- I cóż z tego? Bynajmniej nie boję się powieszenia. Czyż nie wiadomo, iż umierając w ten sposób doznaje się orgazmu? Szafot nigdy mnie nie przerażał. Gdyby kiedykolwiek mnie skazano, przekonasz się, że wstąpię nań z podniesionym czołem... Uspokój się jednak, Clairwil, zbrodnia nas kocha i będzie nam sprzyjać. Gwarantuję ci, że i tym razem odniesie zwycięstwo.

- Czy wyjawiałaś nasze plany Olimpij?

- Nie, jej również nie lubię.

- Och, do diabła, ja też jej nie znoszę!



- Trzeba się od niej uwolnić możliwie jak najszybciej.
- Czyż nie wybieramy się jutro na Wezuwiusza?
- Racja. Niech wnętrzności wulkanu posłużą jej za grób... Co za śmierć!
- Pomyślałam o takim jej rodzaju tylko dlatego, że wydaje mi się potworny.
- Życzyłabym jej czegoś jeszcze bardziej okrutnego.
- Ach! Gdy obie nienawidzimy, nienawidzimy głęboko.
- Należy postępować z nią tak, jak gdyby nic nie zaszło.
- A nawet jej schlebiać.
- Pozwól mi się tym zająć, wiesz, że obłuda harmonizuje z moim obliczem i charakterem.

- Dzisiejszej nocy musimy ją wypieścić.
- Bezsprzecznie.
- Och, mój aniele, jakże będziemy bogate!
- Gdy ze wszystkim się uporamy, trzeba będzie opuścić Neapol.
- I Włochy... Wrócimy do Francji, kupimy ziemię i razem spędzać będziemy czas...

Jakie czekają nas rozkosze! Jedynie pragnienia będą nimi rządzić.

- Nie będzie choćby jednego, którego nie mogłybyśmy zaspokoić natychmiast. Och, droga miłości, ile szczęścia dają pieniądze! Jakże głupi jest ten, kto nie używa wszystkich środków, legalnych czy bezprawnych, by je zdobyć. Och, Clairwil! Niech raczej tysiąc razy pozbawią mnie życia, niżby usunąć mieli moją skłonność do kradzieży! To jedna z moich największych przyjemności, to życiowa potrzeba! Kradnąc, doświadczam tego samego, co normalna kobieta odczuwa, kiedy się ją brandzluje. Wszystkie zbrodnie wywołują we mnie nerwowe podrażnienia w świątyni rozkoszy - tak samo, jak sprawiają to palce lub kutasy; do tego, by się spuścić, wystarczy, że je knuję... Spójrz, oto diament oferowany mi przez Charlotte. Wart jest pięćdziesiąt tysięcy talarów. Nie przyjął go: ofiarowany, byłby mi niemiły, ukradziony, sprawia mi rozkosz.

- Ukradłś go?

- Tak. Nie dziwi mnie bynajmniej, że istnieją ludzie oddający się tej namiętności jedynie z uwagi na wywoływaną przez nią rozkosz. Poświęciłabym jej życie i powiadam ci, że miałabym dwa miliony renty, gdybym mogła kraść pobudzana libertynizmem.

- Ach, moja miłości! - westchnęła Clairwil. - Nie sposób wątpić, że natura stworzyła nas dla siebie!... Będziemy nierozłączne.

Zjadłyśmy obiad z Olimpią. Zgodnie zaplanowałyśmy na następny dzień wyprawę na Wezuwiusza. Wieczór spędziłyśmy w Operze. Król przyszedł do naszej łoży, co sprawiło, że

wszyscy skupili na nas uwagę. Po powrocie zaproponowałyśmy Olimpii, by spędziła z nami część nocy na konsumpcji tostów w zalewie z cypryjskiego wina i na rozpuście. Przystała na to. Podniosłyśmy obłudę do tego stopnia, że wywołałyśmy u tej kobiety, skazanej wskutek naszego łotrostwa, siedem czy osiem orgazmów i same spuściłyśmy się przynajmniej tyle razy w jej objęciach. Z kolei pozwoliłyśmy jej się oddalić i razem spędziłyśmy resztę nocy. Każda z nas trzy lub cztery razy osiągnęła jeszcze orgazm, myśląc o jutrzejszym zdrażliwym zamachu, jakim zamierzałyśmy odwzajemnić zaufanie i przyjaźń. Wiem, że po to, by pojąć tego rodzaju zboczenie, potrzeba umysłów takich jak nasze. Nieszczęsny wszakże ten, kto nic o nim nie wie! Pozbawia się wielkich przyjemności. Śmiem twierdzić, że nie ma pojęcia o rozkoszy.

Wstałyśmy bardzo wcześnie. Nie śpi ten, kto zamierza zbrodnię. Jedna idea opanowuje wszystkie zmysły; rozważa się ją na wszystkie sposoby, smakuje we wszystkich przejawach i, z wyprzedzeniem, tysiącokrotnie raduje rozkoszą, o której dobrze wiadomo, że zacznie topnieć, gdy tylko występek zostanie popełniony.

Sześciokonną kolaską przybyłyśmy do stóp wulkanu. Wynajęłyśmy tam przewodników, którzy przytroczyli nas sobie do specjalnych pasów ułatwiających wspinaczkę. W dwie godziny dotrzeć miałyśmy na szczyt. Nowe buty założone na tę wyprawę ulegają przepaleniu u jej kresu. Wchodziliśmy w rozigranych nastrojach, kpiłyśmy sobie z Olim-pii i niewiele brakowało, aby nieszczęsna pojęła dwojaki sens, równie zdradziecki co bałamutny, naszego sarkazmu.

Zdobywanie tej góry to straszliwa harówka: wciąż w popiele po szyję; zyskując cztery kroki, tracisz sześć i ciągle obawiasz się, że lawa pochłonie cię żywcem. Dotarłyśmy tam wyczerpane i usiadłyśmy u krawędzi krateru. W podnieceniu kontemplowałyśmy uśpioną czelusć wulkanu, który w chwilach wściekłego ożywienia przyprawiał o drzenie królestwo Neapolu.

- Czy sądzicie - zwróciłyśmy się do przewodników - że będzie on dziś niebezpieczny?

- Nie - odpowiedzieli - wyrzuci może parę kawałków bituminu, trochę siarki czy kamieni, najpewniej nie będzie jednak erupcji.

- No cóż, przyjaciele - rzekła Clairwil - zostawcie nam kosze z napojami i zejście do wioski. Zamierzamy spędzić tutaj dzień. Chcemy rysować, zdejmować plany.

- A jeśli coś się wydarzy?

- Czyż nie uznaliście, że nic nam nie grozi?

- Nie możemy za to ręczyć.

- No cóż, jeśli pojawi się niebezpieczeństwo, same szczęśliwie dotrzemy do wioski,

którą stąd widzimy...

Trzy czy cztery uncje, jakie im wręczyliśmy, szybko skłoniły ich do odejścia.

Zaledwie oddalili się o czterysta kroków, gdy nachyliliśmy się ku sobie.

- Użyjemy podstępów? - zwróciłam się szeptem do mej przyjaciółki. -Nie, siły...

Obie natychmiast rzuciłyśmy się na Olimpie:

- Dziwko! Znudziliśmy się tobą. Przyciągnęliśmy cię tutaj tylko po to, by cię zabić...

Strącimy cię żywą w otchłań wulkanu.

- Och, moje drogie, czymże zawiniłam!

- Niczym. Nudzisz nas, czy to nie wystarczy?...

Mówiąc to zakneblowałyśmy jej usta chusteczką, by położyć kres jej wrzaskom i jęknieniom. Clairwil skrępowała jej ręce jedwabnymi wstążkami, jakie w tym celu zabrała. Podobnie postąpiłam z przegubami jej nóg i gdy była już całkiem bezbronna, przyglądałyśmy się jej z lubością. Łzy ciekące z jej ślicznych oczu spadały jak perły na jej biust. Rozebrałyśmy ją, obmacywałyśmy, znieważałyśmy wszystkie części jej ciała. Molestowałyśmy jej piękne piersi, chłostałyśmy zachwycającą dupę, kłułyśmy pośladki, pozbawiłyśmy łonowych włosów. Kąsałam jej clitoris aż do krwi.

Wreszcie po dwóch godzinach tych straszliwych zniewag uniosłyśmy ją, chwytając za więzy, i zepchnęłyśmy w głąb wulkanu, skąd przez ponad sześć minut dobiegał odgłos jej odbijanego od ostrych występów ciała, które spadało, rozdzierając się na strzępy. Stopniowo hałas zanikał... i wreszcie wszystko ucichło.

- Zrobione - rzekła Clairwil, która nie przestawała się onanizować, odkąd strąciłyśmy ciało. - Och, do diabła, moja miłości! Wyładujmy się teraz obie jednocześnie nad krawędzią wulkanu! Przed chwilą popełniłyśmy zbrodnię, jedną z tych wybornych czynności, jakie ludzie wazą się uznawać za okrutne. No cóż, jeśli jest prawda, że działanie to znieważa naturę, niechże się ona zemści, wszak może to uczynić. Niech zaraz nastąpi erupcja, niech wypłynie lava i nas pochłonie...

Nie byłam już w stanie odpowiedzieć. Upojona, po stokroć zwróciłam mej przyjaciółce polucje, jakimi mnie ona uraczyła. Nic już nie mówiłyśmy. Splecione w uścisku, brandzlując się zapamiętałe, sprawiałyśmy wrażenie istot, które za pomocą rozpalonych tchnień zespolić pragną swe dusze. Od czasu do czasu wyrwały się nam tylko jakieś lubieżne słowa lub bluźnierstwa. Złorzeczyłyśmy naturze, prowokowałyśmy ją, obrażały. Wydawało się, iż dumne z bezkarności, jaką zapewniała nam jej słabość i brak zainteresowania, wykorzystujemy jej pobłażliwość do tego, by jeszcze bardziej ją drażnić.

- Możesz więc ocenić, Julietto - rzekła Clairwil, która oprzytomniała jako pierwsza -

czy natura gniewa się z powodu domniemanych zbrodni człowieka. Mogła nas unicestwić, mogliśmy umrzeć, sycąc się rozkoszą... Czy doprowadziła do tego? Ach, bądź spokojna! Nie ma takiej zbrodni, która mogłaby na nas ściągnąć złość natury. Wszystkie zbrodnie jej właśnie służą, wszystkie są dla niej użyteczne, a jeśli nas nimi nie inspiruje, to tylko dlatego, że nie odczuwa aktualnie ich potrzeby. Clairwil jeszcze nie skończyła, gdy grad kamieni wytrysnął z wulkanu i spadł wokół nas.

- Ach! ach! - westchnęłam, nie racząc się nawet podnieść. - To zemsta Olimpii! Te kawałki siarki i bituminu są znakiem pożegnania. Ona powiadamia nas, że dotarła już do wnętrza ziemi.

- To zjawisko łatwo wytłumaczyć - powiedziała Clairwil. - Ilekroć coś ciężkiego spada do wulkanu, poruszając materię kipiącą bez przerwy w jego łonie, wywołuje to lekką erupcję.

- Nie przejmujemy się tym i zjedzmy śniadanie. Mylisz się jednak wskazując na powód tego deszczu kamieni. Chodzi o żądanie Olimpii; musimy jej zwrócić zagrabione bogactwa.

Wydobywszy złoto i klejnoty, sporządziłyśmy pakunek, który wrzuciłyśmy do tej samej otchłani, jaka przyjęła niedawno naszą nieszczęsną przyjaciółkę. Następnie zjadłyśmy śniadanie. Nie dobiegł już nas żaden hałas. Zbrodnia została popełniona, a natura usatysfakcjonowana. Zeszliśmy z góry i u jej podnóża spotkałyśmy naszych przewodników.

- Zdarzył się potworny wypadek - wołałyśmy ze łzami w oczach. - Nasza nieszczęsna przyjaciółka za bardzo zbliżyła się do krawędzi... Niestety, runęła w dół... Ach, dzielni ludzie! Czy można jeszcze coś zrobić?

- Bynajmniej - odpowiedzieli jednym głosem. - Powinniśmy byli z wami zostać, wówczas by do tego nie doszło. Ona z pewnością zginęła, nigdy już jej nie zobaczycie.

Nasze nieszczere łzy popłynęły dwa razy obficie, gdy usłyszałyśmy tę straszną wiadomość. Wsiadłyśmy do kolaski i po trzech kwadransach dotarłyśmy do Neapolu.

Od tego dnia rozgłaszałyśmy nasze nieszczęście. Ferdynand przybył, aby wyrazić nam współczucie. Uważał, że faktycznie byłyśmy dla Olimpii jak siostry i przyjaciółki. Jakkolwiek był zdeprawowany, nigdy myśl o zbrodni, jaką właśnie popełniłyśmy, nie zaświtałaby mu w głowie. Wysłałyśmy wkrótce do Rzymu ludzi księżnej Borghese z dowodami poświadczającymi wypadek. Jej rodziną prosiliśmy o wskazówki dotyczące pozostawionych przez Olimpię, klejnotów i złota, wartych, jak napisałyśmy, trzydzieści tysięcy franków. Faktycznie zostawiła ona jeszcze sto tysięcy, którymi, jak słusznie się domyślacie, skrzętnie zawładnęłyśmy. Nie było nas już jednak w Neapolu, gdy dotarła tam odpowiedź od książęcego rodu, dzięki czemu, przez nikogo nie nękanie, radowałyśmy się

owocami grabieży dokonanej na naszej przyjaciółce.

Olimpia, księżna Borghese, była kobietą ujmującą, skłoną do miłości, gwałtownie oddającą się rozkoszy, o libertyńskim temperamentem, bogatej wyobraźni, niezdolną jednak do pogłębienia swych zasad. Lękliwa, trzymająca się jeszcze dawnych przesądów, podatna na to, by zawrócić z obranej drogi z okazji pierwszego nieszczęścia, jakie by się jej przytrafiło, nie była godna kobiet tak zepsutych jak my.

Wkrótce miało się wydarzyć coś ważniejszego: nazajutrz wypadał ustalony z Charlottą dzień kradzieży skarbów jej męża. Resztę wieczoru Clairwil i ja spędziłyśmy na przygotowaniu tuzina ogromnych kufrów. Wydałyśmy też polecenie wykopania, w wielkiej tajemnicy, obszernego dołu w naszym ogrodzie. Zrobił to człowiek, któremu potem palnęłyśmy w łeb, jako pierwszego grzebiąc go w tym tajemnym dole. „Zrezygnuj ze współników - powiada Machiavelli - albo pozbądź się ich, gdy już się nimi posłużysz”.

Nadszedł wreszcie moment podstawienia pod właściwe okna wypełnionych kuframi wozu. Przebrane za mężczyzn zrobiliśmy to osobiście, a nasi ludzie, częściowo wtajemniczeni w przedsięwzięcie, nie starali się dociec nic ponadto. Charlottą była punktualna: łajdaczka zbyt mocno pragnęła obiecanej trucizny, jaką otrzymać miała pod warunkiem ścisłego przestrzegania umowy, ażeby czegokolwiek zaniedbać. Przez cztery bite godziny zносиła worki, które natychmiast ładowaliśmy do kufrów. Wreszcie zapewniła nas, że przyniosła już wszystko.

- Do jutra - pożegnałyśmy ją.

Pośpiesznie wróciliśmy do naszej siedziby, szczęśliwie, że podczas całej tej ekspedycji nie spotkałyśmy żywej duszy. Gdy dotarliśmy na miejsce, inny mężczyzna pomógł nam zakopać kufry... i sam został z nimi pogrzebany, gdy nie był już nam potrzebny.

Niespokojne, zmęczone, zatroskane o nasze bogactwa, położyłyśmy się, nie myśląc tym razem o rozkoszach. Nazajutrz wieść o ograbieniu króla rozeszła się po mieście. Strzegąc naszej tajemnicy, wykorzystaliśmy ten dogodny moment, by przekazać mu bilet królowej. Zaledwie go przeczytał, gdy w przystępie okropnej złości zjawia się u małżonki, by osobiście ją aresztować. Powierzą kapitanowi straży z rozkazem natychmiastowego przeniesienia jej do fortu Saint-Elme, gdzie korzystać będzie tylko z najbardziej zgrzebnego ubioru i najprostszego pożywienia. Nie widzą się przez osiem dni. Królowa nalega na spotkanie z małżonkiem. Ten wreszcie przybywa. Nikczemna istota wszystko mu wyznaje, straszliwie nas kompromitując. Ferdynand zjawia się wściekły w naszym pałacu, gdzie dochodzi do rozmowy, którą z uwagi na to, iż jest interesująca odtworzę w całości.

Ferdynand: Dopuściłyście się potwornej zbrodni. Czyż mogłem podejrzewać o nią

istoty, które uważałem za przyjaciółki?

Clairwil: O co chodzi?

Ferdynand: Królowa oskarża was o kradzież skarbów.

Julietta: Nas?

Ferdynand: Owszem.

Clairwil: Na jakiej podstawie?

Ferdynand: Przyznała, że przez chwilę uczestniczyła w wymierzonym we mnie spisku i zapewnia, że obiecałyście jej truciznę, niezbędną do pozbawienia mnie życia, w zamian za daninę z mych skarbów.

Clairwil: Czy znalazłeś u niej truciznę, za którą, jak twierdzi, zapłaciła tak drogo?

Ferdynand: Nie.

Julietta: Jakże więc wytłumaczyć, że zgodziła się uiścić zapłatę, zanim otrzymała obiecaną truciznę?

Ferdynand: Nad tym właśnie się zastanawiam.

Clairwil: Panie, twoja małżonka jest łajdaczką, lecz łajdaczką nader nieudolną. Sądziła, że ukryje ów haniebny czyn, obarczając nas nikczemnością swego odrażającego zamysłu. Intrygę uknuła jednak zbyt niezręcznie.

Ferdynand: Któż zatem mógł mi przysłać ów bilet?

Julietta: Zapewne ci, którzy mają twoje skarby. Bądź jednak pewien, że są już daleko. Kiedy przekazywali ci list, byli dobrze ukryci, a twoja małżonka oskarżyła nas, by ich chronić.

Ferdynand: Dlaczego jednak Charlotta miałaby teraz chronić tych, którzy ją zdradzili?

Clairwil: Posiada truciznę i chce, abyś nie wiedział, że ją posiada. Rzuciła więc podejrzenie na te, które nie mogą potwierdzić, że ją ma. Ale ma jaz pewnością i niechybnie umrzesz, jeśli zostanie ci podana.

Ferdynand: Sądzicie więc, że zachowałem się właściwie.

Julietta: Trudno byłoby postąpić lepiej.

Ferdynand: Uważacie, że jest winna?... (Na twarzy Clairwil pojawił się wzgardliwy uśmiech). Ten grymas daje mi do myślenia. Wbijcie do końca sztylet w moje serce... Czy o czymś wiecie?

Clairwil: Powiadam ci, że twoja żona jest potworem, nienawidzi cię. Zrobisz najlepiej, odnosząc do niej natychmiast najsurowsze przepisy prawa.

Ferdynand: Och, moje drogie! Czy naprawdę nie wiecie, kto ukradł moje skarby?

Julietta i Clairwil: Przysięgamy.

Ferdynand: Dobrze więc! Niech zdechnie w więzieniu... niech skona tam z głodu i nędzy... Wy zaś raczcie mi wybaczyć, iż powziąłem wobec was podejrzenia. Pojmuję teraz, jak bardzo były niesłuszne.

Julietta: Sam fakt, że je miałeś, panie, wystarcza, byśmy cię prosiły o pozwolenie natychmiastowego opuszczenia twego królestwa.

Ferdynand: Nie, nie, błagam was! Teraz, kiedy uwolniłem się od tej wstrętnej kobiety, jestem o wiele spokojniejszy. Dokonamy jeszcze razem wielkich rzeczy.

Julietta: Twój spokój nie przywraca nam naszego. Przyzwoite kobiety nie pocieszą się nigdy, gdy ich honor doznał uszczerbku.

- Ach! Nie podejrzewam żadnej z was! - zawołał król, padając nam do stóp. - Nie opuszczajcie mnie, stałyście mi się niezbędne do życia, nigdy się nie pocieszę, jeśli was utracę!

Clairwil: Jak wielkie są twoje straty?

Ferdynand: Czterdzieści milionów. To połowa tego, co posiadam. Zbrodniarka przyznała, że obiecała wszystko, lecz nie ośmieliła się wszystkiego oddać.

- Niegodziwa istota! - zawołałam (ożywiona wszak całkiem innym uczuciem niż to, na jakie mógł liczyć król; jedynie wściekłość, że nie zdołałyśmy zawładnąć wszystkim, kazała mi przeklinać Charlotte). - Potwór! Co za hardość, co za zuchwalstwo! Oszukać w ten sposób najlepszego z mężów! Człowieka, który był do niej tak przywiązany, który poświęcił wszystko dla jej przyjemności! Och! Czy podobna sobie wyobrazić większą niegodziwość?! Najbardziej nawet okrutna kara nie mogłaby jej zrównoważyć!

W tym momencie Eliza i Rajmunda, wystrojone jak boginie, zjawiły się, aby podać księciu czekoladę. Ferdynand dotychczas ich nie widział.

- Kim są te piękne kobiety? - zapytał poruszony.

- Naszymi towarzyszkami - odpowiedziałam.

- Dlaczego dotąd ich nie poznałem?

- Czy mogłyśmy przypuszczać, że ci się spodobają?

- Zapominając od razu o więźniarce i o kradzieży, rozpustnik żąda, aby obie kobiety oddać natychmiast do jego dyspozycji. W okolicznościach, w jakich się znajdowałyśmy, tego rodzaju pragnienie zabrzmiało dla nas jak rozkaz. Ferdynand wchodzi do buduaru i zamyka się tam z naszymi towarzyszkami. Wraca po dwu godzinach, przywiódłszy kobiety na skraj wyczerpania.

- Moje dobre przyjaciółki - zwraca się do nas - błagam, nie opuszczajcie mnie! Zapomnijmy o zarzutach. Uroczyście oświadczam, że widzę w was już tylko uosobienie

cnoty i uczciwości...

To powiedziawszy zniknął.

Ktoś inny niż ów słaby władca Neapolu otrulby Charlotte natychmiast. Z pewnością powiedziałyśmy dość, by popchnąć Ferdynanda do takiego czynu. Czyż jednak ów człowiek, pozbawiony sił i charakteru, zdolny był działać stanowczo? Dlatego też nie zrobił nic. Cała Europa, nie znając przyczyn, wiedziała i o tym uwięzieniu, i o jego krótko-trwałości. Jeśli o nas chodzi, zdecydowane nie czekać na koniec tej awantury, podjęłyśmy natychmiast przygotowania do wyjazdu. Czterdzieści milionów stanowiło dla nas pewien problem. Ponieważ kupiłyśmy sporo posągów, mozaik, antycznych marmurów i kamieni z Wezuwiusza, umieściłyśmy nasze złoto w podwójnych dnach skrzyń służących do ich transportu: fortel ten powiódł się znakomicie. Zanim zamknęłyśmy skrzynie, zwróciłyśmy się do króla z prośbą, by zechciał zbadać ich zawartość. Bynajmniej nie zamierzał tego czynić. Zapieczętowałyśmy je więc. Transportowało je dziesięć wozów, za którymi zdążyły dwie karoce. Jedna służyła nam, druga naszym ludziom. Na chwilę przed odjazdem przybyłyśmy pożegnać się z Ferdynandem, który robił jeszcze, co w jego mocy, by nas zatrzymać, a niczego nie osiągnąwszy, osobiście wręczył nam paszporty, niezbędne do przekroczenia granic jego państwa.



## ROZRYWKI TRYBADEK

Wszystko zostało przygotowane. Durand zatrzymała tylko pokojówkę, do której była szczególnie przywiązana. Zwolniła pozostałych i przeniosła się do Clairwil.

Ze sposobu, w jaki ta kobieta pożerała mnie wzrokiem, łatwo było wnosić, że niecierpliwie oczekiwała aż w rewanżu ja również nie poskapię jej względów. Nie pozwoliłam schnąć jej pragnieniu. Po wystawnym obiedzie wyciągam ku niej ramiona; odwzajemnia mój gest. Pełne entuzjazmu przenosimy się do mego pokoju. Zamykamy drzwi... i z niewysłowioną rozkoszą oddaję się najbardziej wyuzdanej i lubieżnej kobiecie. Pięćdziesięcioletnia Durand wciąż warta była grzechu. Jej kształty zachowały wdzięk; usta były świeże, skóra delikatna i nieznacznie tylko pomarszczona; wspaniała dupa, piersi wciąż strzeliste i białe, oczy pełne blasku, szlachetność rysów i żywa dyspozycja do uniesień z rozkoszy... upodobania nader wyszukane...! Wskutek kaprysu natury, w której przemyślność Clairwil i ja nigdy nie wątpiliśmy, Durand nie mogła doznawać zwykłych rozkoszy: była szczelnie zamknięta, jednakże (i powinniście to sobie przypominać) jej clitoris, długi jak palec, wzniecał w niej najbardziej żarliwą skłonność do kobiet. Pieprzyła je, rznąła w dupę. Miała również do czynienia z chłopcami: niezwykle rozległy otwór jej dupy pozwolił mi się wkrótce przekonać, że jeśli chodzi o wkładanie, to nawykła ona właśnie do takiego. Przystąpiłam do działania i stwierdziłam, że Durand umierała z rozkoszy, gdy tylko czuła moje dłonie na swym ciele.

- Rozbierzmy się - powiedziała. - Dobrze zabawimy się tylko wówczas, gdy będziemy nagie. Mam zresztą wielką ochotę zapoznać się z twymi wdziękami, Julietto! Płonę, by się nimi nasycić...

W minutę pozbywamy się naszych ubrań. Pocałunkami żarliwie pokrywam to piękne ciało. I być może mniejszą odczuwałabym przyjemność, gdyby Durand była młodsza. Moje upodobania zaczęły się deprawować i jesień natury dostarczała mi wrażeń żywszych niż jej wiosna. Jako wybrany obiekt zainteresowania tej ognistej kobiety byłam obdarowywana lubieżnymi pieścotami. Trudno sobie wyobrazić, dokąd posunęła się w swych poszukiwaniach. Och! Jakże zmysłowe są zbrodnicze kobiety! Jakże wyszukana jest ich rozwiązłość!

Wstydlive, niemrawe i zimne, nieznośne skromnisie, które nie śmiecie nawet dotknąć wnikającego w was członka i purpurowiejecie, gdy przychodzi się spuścić w trakcie pieprzenia, przybądźcie, przybądźcie, by stąd czerpać przykład! To w szkole Durand

przekonacie się o waszej głupocie!

Po pierwszych pieszczotach, Durand, mniej skrępowana niż wówczas, gdy towarzyszyła nam Clairwil, powiedziała mi o swych fantazjach, błagając, bym zechciała im się poddać. Klęczącą przede mną miałam obrzucać wyzwiskami i skłonić, by nosem pocierała kolejno o mą pizdę i dupę; gdy będzie ocierała się o mnie od przodu, miałam jej naszczać na twarz. Z kolei powinnam ją uraczyć kopniakami i ciosami pięści, po czym, wyposażywszy się w pęk różeg, wychłostać do krwi. U szczytu tych udręk miałam ją rozciągnąć na podłodze i, z głową między jej udami, przez kwadrans wylizywać jej cipę, sokratyzując ją jedną ręką, drugą zaś miętosząc jej piersi; gdy w następstwie tych zabiegów będzie już rozpalona, powinnam pozwolić, by wydupczyła mnie swą łechtaczką, jednocześnie pieszcząc moją.

- Wybacz, że proszę cię o tyle rzeczy - rzekła libertynka, wszystko mi wyjaśniewszy. - Gdybyś jednak wiedziała, dokąd prowadzi przesy...!

- Po trzydziestu pięciu latach rozpusty nie powinno się usprawiedliwiać swych upodobań - odpowiedziałam. - Wszystkie godne są szacunku, wszystkie są naturalne; najlepsze zaś jest to, które schlebia nam najbardziej.

Zabrawszy się do działania, usatysfakcjonowałam ją tak skutecznie, iż sprawiała wrażenie umierającej z rozkoszy. Nic nie może się równać z orgazmem przeżywanym przez Durand. Nigdy jeszcze nie widziałam kobiet spuszcających się w taki sposób: nie tylko tryskała spermą jak mężczyzna, lecz jej ejakulacji towarzyszyły ponadto tak szalone wrzaski, tak energiczne bluźnierstwa, tak gwałtowne spazmy, że można było sądzić, iż doznała ataku epilepsji. Zostałam wyjebana w dupę, jak gdybym miała do czynienia z mężczyzną, i doznałam takiej samej rozkoszy.

- No i co? - spytała, podnosząc się. - Czy jesteś ze mnie zadowolona?

- Och, do diabła! - wykrzyknęłam. - Jesteś wspaniała, jesteś prawdziwym wzorem rozpusty! Twoje namiętności mnie rozpalają. Zrewanżuj mi się teraz wszystkim, co ci zaoferowałam.

- Co takiego?! Chcesz, żeby cię zbić? -Tak.

- Spoliczkować, wychłostać?

- Naturalnie.

- Chcesz, żebym naszczała ci na twarz?

- Oczywiście, i żebyś się pospieszyła, bo jestem podniecona i chcę się spuścić.

Durand, bardziej ode mnie nawykła do tego rodzaju usług, zabiera się do rzeczy tak żwawo, wykazuje się taką zręcznością, że doświadczając lubieżnych wibracji jej bezwstydnego języka, wpadam natychmiast w uniesienie.

- Jakże ty się spuszczasz, moja miłości! - rzecze. - Z jaką mocą doznajesz rozkoszy! Ach, w niczym mi nie ustępujesz!

- Muszę wyznać, Durand - odpowiadam - że nadzwyczajnie zawróciłaś mi w głowie. Jestem dumna, wiążąc się z kobietą taką jak ty. Gdybyśmy obie zawładnęły światem, nasz związek wyniosłby nas ponad samą naturę. Och! Ileż zbrodni popełnimy! Iluż dopuścimy się niegodziwości!

Durand, pragnąc wykorzystać moją ekstazę, poleciwszy mi pochylić się na kanapie, brandzlowała mnie trzema palcami ze skutkiem, jakiego nigdy jeszcze nie zaznałam. Zrewanżowałam się jej czymś podobnym; ssałam jej clitoris; gdy zaś zobaczyłam jej odbyt, rozchylający się i znów zaciskający jak kielich kwiatu pod wpływem łagodnych kropel rosy, chwyciłam godmisz i wsuwałam go jej w dupę, kontynuując brandzlowanie. Nigdy nie widziałam tak obszernej dziury. Mój przyrząd miał osiem cali w obwodzie i stopę długości: cały został wchłonięty, zaledwie go przyłożyłam. Wówczas kurwa zaczęła przeklinać i podrygiwać jak oszalała; ja zaś przekonałam się, że jeśli natura odebrała jej możność doznawania zwykłych przyjemności, to całkowicie powetowała jej tę stratę, zastępując tamte wrażenia o wiele bardziej subtelnymi. Jeden z największych talentów mojej nowej przyjaciółki polegał na tym, że potrafiła dawać rozkosz, jednocześnie jąprzyjmując. Była tak gibka... tak zręczna, że wówczas, gdy ja jebałam ją w dupę, ona przybrała pozę pozwalającą jej całować mnie w usta i brandzlować mi odbyt. Kiedy od czasu do czasu rezygnowała ze wszystkich tych manewrów, by poddać się tylko swym doznaniom, wyrzucała z siebie bluźnierstwa z energią, jakiej u nikogo jeszcze nie obserwowałam. Pod jakimkolwiek kątem patrzyłoby się na tę nadzwyczajną kobietę, było wi-doc/ne, że jako dziecko zbrodni, rozpusty i niegodziwości nie miała choćby jednej cechy fizycznej czy moralnej, która nie wynosiłaby jej do rangi najwybitniejszej liberynki tamtej doby. Durand chciała mi odpłacić wszystkim, co jej zaoferowałam. Lubieżnie przez niąbrandzlowana, przyjęłam jeszcze wyjętego z jej dupy godmisza i trzy razy spuściłam się pod jego naporami. I powtarzam, nigdy dotąd nie widziałam kobiety tak bieglej w sztuce dostarczania rozkoszy.

Znów zabraliśmy się do picia, a gdy nieźle już kręciło się nam w głowach, Durand powiedziała:

- Wyjdźmy na ulice, zbrukajmy się łajdactwem. Pójdźmy zobaczyć przygotowania do pogrzebu pięknej piętnastolatki, otrutej przeze mnie wczoraj z polecenia jej ojca, który, solidnie ją zerznąwszy, chciał się zemścić za popełnioną przez nią niedyskrecję.

Wyszliśmy, ubrane jak tutejsze kurtyzany. Zapadła noc.

- Chciałabym przede wszystkim - rzekła moja przyjaciółka -byśmy udały się do portu

w celu wybrandzlowania marynarskich kutasów. Z pewnością są tam niezłe okazy. Nie uwierzyłybyś, jaką rozkosz odczuwam wyciskając sok z tych kielbas...

- Ach, dziwko! - zawołałam, całując ją. - Jesteś pijana!

- Może trochę. Nie sądź jednak, że po to, by ożywić w sobie płomień rozpusty, potrzebuję wsparcia Bachusa. Wiem, że to, co mu zawdzięczamy, jest boskie, i nie czuję się nigdy w trakcie lubieżnych ekscesów tak dobrze, jak wówczas, gdy zjem coś wykwińskiego i popiję mocnego wina. Nie potrzebuję go jednak tak bardzo, bym bez tego stymulatora nie mogła przekroczyć wszystkich granic przyzwoitości i barier wstydu. Zaraz się o tym przekonasz.

Gdy tylko znalazłyśmy się w porcie, wyległ nam naprzeciw tłum tragarzy i ludzi morza.

- Podejdźcie, przyjaciele! - zawołała Durand. - Bądźcie spokojni, uprzejmi i grzeczni, wszystkich was zadowolimy. Spójrzcie na tę piękną dziewczynę, jest Francuzką. Dopiero wczoraj rozpoczęła pracę w zawodzie. Zobaczycie ją zaraz podkasującą się na słupie i oferującą waszym chuciom tę stronę, która spodoba się wam najbardziej. Co do mnie, będę was brandzlować na tych wdziękach...

Piętnastu zebrało się wokół nas, przyjmując oklaskami propozycję Durand. Pierwszy chce zobaczyć moje nagie piersi. Ucierpiałoby niewątpliwie wskutek jego brutalnego naporu, gdyby moja towarzyszka nie wzbroniła mu wszelkiego gestu. Musiał się więc ograniczyć do zalania ich spermą; całe w niej pływały. Drugi chce, abym siedząc na słupie, możliwie najszerzej rozchyliła uda, tak by mógł być brandzlowany na mej łechtaczce. Nie mogę nad sobą zapanować w kontakcie z okazałym członkiem, którym Durand potrząsa u wejścia do mej waginy, i mimowolnie wchłaniam go aż po nasadę. Gdy tylko właściciel się zorientował, chwyta mnie w ramiona, unosi, ponownie zadziera mi suknie i demonstruje mój tytek całemu zgromadzeniu. Jeden z tych pojebańców rzuca się na mą dupę, obmacuje ją, nadziewa, i oto unoszona jestem przez dwu tragarzy, stając się obiektem ich karesów i hołdów.

- Zaczekajcie - mówi Durand - pozwólcie jej się na czymś oprzeć! (i w każdą dłoń wtyka mi olbrzymiego kutasa)... Jaka wspaniała grupa! - woła łajdaczka, prezentując piątemu swój tyłek. - Proszę, przyjacielu, oto moja dupa, dołączmy ją do obrazka, utwórzmy jeden z jego epizodów. Nie mogę, niestety, dać ci nic innego, nie pozwala mi na to natura. Bądź jednak pewien, że żar i rozległość mego odbytu szczerze zrekompensują ci niemożność spenetrowania mej pizdy.

Po tych następują kolejne figury. Więcej niż pięćdziesięciu obwiesiów przewinięło się w ten sposób przez moje ręce. Dzięki esencji, jaką moja towarzyszka nacierała kutasy, zanim

we mnie wniknęły, mogłam przyjmować wszystkie, niczego się nie obawiając, i w ciągu trzech godzin zostałam wyjebana przynajmniej czterdzieści pięć razy. Durand jedynie je sponosiła; przekazywała mi je następnie i kończyły one swą pracę, zależnie od wyboru libertynki, albo w mej piździe albo w mej dupie. Dziwka ssała niemal wszystkie: była to jedna z jej największych przyjemności. I, jak łatwo się domyślacie, łajdaczka nie odmawiała sobie niczego, co mogło rozpać jej głowę. Kiedy zaspokoiliśmy już naszych chwatów, trzeba było się z nimi napić.

- To kocham najbardziej - szepnęła do mnie Durand. - Nie wyobrażasz sobie, jak lubię oddawać się, w złym towarzystwie, ekscesom najobrzydliwszego pijaństwa i najwulgarniejszej rozpusty.

Nie tak dawno odeszliśmy od stołu, po posiłku, który nie zostawił w nas z pewnością uczucia głodu. Pochłonęliśmy rym niemniej ogromne ilości jedzenia, za które ci nicponie mieli ochotę płacić. Dwudziestu wzięło udział w składce: każdy uiścił dwa cekiny, co dało razem niemal pięćset franków. Piłyśmy, jadłyśmy, pozwalałyśmy się obmacywać, pieprzyć, zeszmaciłyśmy się, jednym słowem, do tego stopnia, że, rozciągnięte na knajpianej podłodze, oddawałyśmy się w końcu tym nędznikom tylko wówczas, gdy wcześniej nas obrzygali, obeszczali i na-srali nam na twarz. Żaden sobie tego nie odmówił, wydostałyśmy się więc stamtąd unurzane w urynie, kale, rzygowinach i spermie. [...]

- Chodźmy! - rzekła Durand. - Nie jest jeszcze późno, powinnyśmy zdążyć. Muszę się zresztą przekonać, że moja piętnastoletnia ofiara nie żyje... [...].

Zaledwie przybyłyśmy w okolice katedry, zobaczyłyśmy orszak pogrzebowy. Ponieważ we Włoszech, zgodnie z obyczajem, zmarłych niesie się w otwartej trumnie, Durand bez trudu rozpoznała rysy dziewczyny, której zgon chciała zweryfikować.

- To ona, to ona! - powiedziała zaaferowana. - Och, do diabła! Wybrandzujmy się w jakimś kącie, patrząc na ten przemarsz.

- Nie - odparłam - lepiej będzie poczekać na nią w katedrze. Ukryjemy się w kaplicy, gdzie zrobimy to, o czym mówisz, przyglądając się, jak umieszczają dziewczynę w grobowcu.

- Masz rację - rzekła Durand - oto właściwy moment, ruszajmy! Miałyśmy dość szczęścia, by ulokować się na tyłach konfesjonau tej właśnie kaplicy, w której zamierzano złożyć zwłoki. Przyłgnęłyśmy do muru i podjęłyśmy pieszczoty w trakcie ceremonii, przygotowując sobie ostateczną rozkosz, w taki sposób, żeby sperma, wypłynąwszy w momencie złożenia trumny, posłużyła, by się tak wyrazić, za święconą wodę dla zmarłej. Grób przykryto tylko w połowie i uznałyśmy, że grabarz postąpił w ten sposób bądź to kierując się

jakąś nieznaną nam intencją, bądź też dlatego, że, zważając na późną porę, postanowił dokończyć swą pracę nazajutrz.

- Do wszystkich diabłów! Zostańmy tutaj - powiedziała Durand. - Przychodzi mi do głowy niewiarygodny kaprys. Widziałaś, jak piękna jest ta dziewczyna?

- I co z tego?

- Wyciągniemy ją z grobowca, wybrandzłujesz mnie na jej rozkosznej buzi, na jej zachwycającej głowie, której żałobne cienie, rzucone mymi rękami, nie zdążyły jeszcze oszpecić... Boisz się?

- Nie.

- Dobrze więc, zostajemy!

Kościół zamknięto i oto jesteśmy w nim jedynymi żywymi istotami.

- Jakże lubię tę posępną ciszę! - rzekła Durand. - Jakże harmonizuje ona ze zbrodnią, jak rozpala namiętności! Jest obrazem milczących grobów, a ja, powiadam ci, spuszczałam się na myśl o śmierci. Do dzieła!

- Chwileczkę, słyszę jakiś hałas...

Pospiesznie wycofujemy się do naszego zaułka... O, niebios! Co ujrzaliśmy! Ktoś uprzedził nasze intencje. I to kto! Wielki Boże, co za straszliwa deprawacja...! To sam ojciec przyszedł rozkoszować się swym odrażającym postępkiem. Przybył go dopełnić. Grabarz postępował przed nim z lampą w dłoni.

- Wyciągnij ją- rzekł niegodziwiec. - Mój ból jest tak wielki, że chcę ją jeszcze uścisnąć, zanim rozstanę się z nią na zawsze.

Trumna zostaje wydobyta, ciało wyciągnięte, a następnie złożone na stopniach ołtarza.

- Odejdź teraz, mój przyjacielu - rzecze kazirodczy i barbarzyński ojciec tej czarującej dziewczyny. - Przeszkadzałybyś mym łzom. Pozwól mi wylewać je samotnie. Przybądź znów za dwie godziny, a wówczas wynagrodzę cię za twą gorliwość...

Drzwi się zamykają. Och, przyjaciele, jakże opisać wam potworności, jakie ujrzaliśmy! Wszelako muszę. Mówię wam o zbląkaniach ludzkiego serca i niczego nie powinnam chować pod kocem.

Nie czując się jeszcze w tym kościele zbyt bezpiecznie, łotr barykaduje się w kaplicy, zapala cztery świece, umieszcza je przy głowie i u stóp swej córki, później rozwija całun, i oto ma przed sobą nagie ciało. Opanowują go trudne do opisanego rozkoszne dreszcze. Napięte mięśnie, przerywany oddech, wyciągnięty ze spodni kutas - wszystko to informuje nas o stanie jego natchnionego ducha.

- Jasny szlag! - woła. - Oto więc me dzieło... I wcale mnie ono nie trwoży... Gdzieżby

tam, to nie twoją niedyskrecję ukarałem, zadowolilem raczej w ten sposób moją zbrodniczość. Twoja śmierć mnie rozpala, zbyt długo już cię pieprzyłem... Jestem zadowolony...

Mówiąc to, zbliża się do ciała; obmacuje piersi, zagłębia w nich szpilki.

- Och, do diabła! - rzecze. - Ona już tego nie czuje... niestety, już nie... zbyt szybko się pośpieszyłem... Ach, kurwo! Ileż nowych męczarni jeszcze bym ci zadał, gdybyś żyła...!

Rozchyła jej uda, kłuje wargi sromowe, wsuwa igłę do wnętrza. W końcu, czując ogromne podniecenie, zbrodniarz jebie w pizdę swą córkę. Kładzie się na niej, całuje ją w usta, czyni, co może, by wcisnąć jej swój język do gardła, nie może jednak dopiąć celu, gdyż konwulsje spowodowane przez truciznę zacisnęły szczęki tej nieszczęśliwej. Wycofuje się, odwraca umarłą, kładzie ją na brzuchu i ukazuje nam najpiękniejsze w świecie pośladki. Żarliwie całuje ów tytek, a pokrywając go pocałunkami, jednocześnie z zapalem się brandzluje.

- Ach! Ileż razy rozkoszowałem się tą piękną dupą! - wykrzyknął wówczas. - Ile różnorodnych rozkoszy mi dostarczała przez cztery lata jej pieprzenia!

Zaprzestaje tych zabiegów, teraz z kolei dwa lub trzy razy obracając ciało.

- Ach! Kurwa, kurwa, piękny trup! - wykrzykuje. A ponieważ wypowiadając te słowa doznał niezwykle silnej erekcji, wiedzieliśmy, że objawia nam oto swoją manię. Znów klęka między udami dziewczyny, wielokrotnie całuje jej piękną dupę, nakłuwa ją, kasa, okłada silnymi klapsami, odgryzając nawet kawałek mięsa, i sodomizuje. W tym momencie jego szaleństwo sięgnęło szczytu. Lubieżnik zgrzyta zębami, toczy pianę, a wydobywszy z kieszeni długi nóż, odcina w chwili wytrysku głowę trupa... Wreszcie łagodnieje...